W. KUCZABIŃSKI
Zakład Introligatorski
ul. Karola - Ludwika l. 3
we LWOWIE

LIBRARY OF THE
UNIVERSITY OF ILLINOIS
AT URBANA-CHAMPAIGN

ELIAS CZAYKOWSKY
COLLECTION OF
UKRAINIAN CULTURE

891.85
Ab4
Or

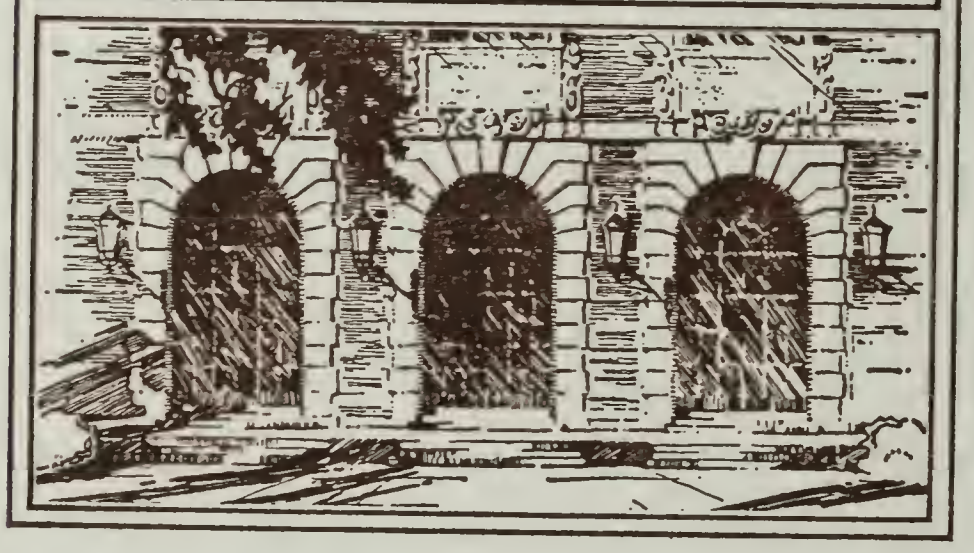

Roman Ochocki.

RUSINI.

SZKICE I OBRAZKI.

BIBLIOTEKA
N 249.
W KALINOWSZCZYZNIE.

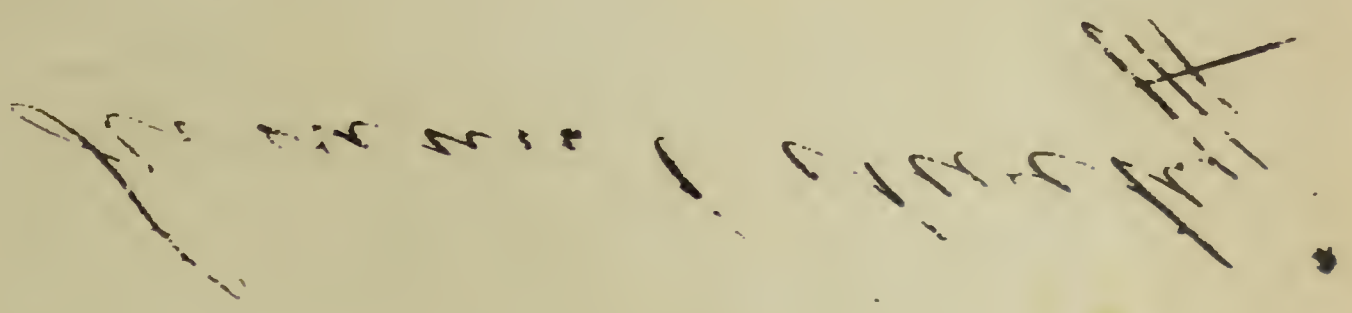

ABGAR-SOŁTAN.

RUSINI.

SZKICE I OBRAZKI.

DO CELU.
SEMEN KWITKA.
HNAT SIEROTA.
PRZY OGNISKU MYŚLIWSKIEM.

BIBLIOTEKA
№ 249
W KALINOWSZCZYŹNIE.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1893.

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

891.85
A64
Or

DO CELU.

Obrazek z życia Rusinów galicyjskich.

„Ojczyzna też, jako jedyna matka, rozdziałów nie cierpi, wszyscyśmy synowie, z jej żywota urodzeni — inszej mieć nie możem.“
Skarga. *Kazania sejmowe*, pag. 40.

I.

Licho utrzymaną, a szumny tytuł »drogi krajowej« noszącą żwirówką, śmiało i raźnie stąpał młody człowiek.

Rano znać musiał się w drogę wybrać, bo pomimo że słońce nie podniosło się jeszcze wysoko, na całej postaci wędrowca widne już były ślady długiej pieszej podróży. Pył roztartego, szarego piaskowca grubą warstwą pokrył skromne odzienie, a z pod dużego słomkowego kapelusza pot spływał strugami, żłobiąc podłużne bruzdy na obliczu, okrytem kurzawą.

Podróżny szedł pospiesznie, równym, jednostajnym szybkim krokiem posuwał się naprzód, nie zważając na znużenie — pilno mu widocznie było. W drodze wymijał ustawicznie wozy chłopskie, dążące w kierunku przeciwnym jego podróży.

Z niektórych wozów wychylały się czasem głowy i ciekawe oczy zwracały się ku niemu, jakby z niemem zapytaniem:

— Ktoś ty jest?

Ten i ów z pośród ciekawych poznawali widocznie podróżnego, bo witali go życzliwym uśmiechem i odwiecznem chrześcijańskiem pozdrowieniem: *Sława Isusu Chrystu!*

— *Sława wo wiki wikow!* odpowiadał, szedł dalej, nie zatrzymując się, ni zwalniając kroku.

Na szczycie stromego pagórka ujrzał krzyż wysoko w górę wzniesiony, a obok niego małą kapliczkę. Widok ten wywarł na wędrowcu głębokie wrażenie, bo ujrzawszy go, przystanął na chwilę, na twarz wybiegł mu wyraz rozrzewnienia i radości zarazem, po chwili ruszył jeszcze raźniej i wnet znalazł się obok.

Krzyż był ogromny, dębowy, zachowany doskonale i świeżo na zielony kolor pomalowany; na poprzecznicy zdala już widniał napis czerwony, głoszący ciekawym, którzy umieli czytać głoski kirylicy, że postawiono go w 1849 roku.— na pamiątkę zniesienia pańszczyzny przez najdobrotliwszego monarchę.

Podróżny z uwagą przypatrywał się krzyżowi i nowej jego sukience. On pamiętał tu dawniej taki sam wyniosły, w niebo strzelający znak wiary, bez napisów jednak, czas bowiem pozacierał był już, mchem pozaciągał dawne wyżłobienia; obecnie widać znaleźli się ludzie, którzy zapragnęli dawne dzieje odświeżyć, dawne rany rozdrapać.

Czy dobrze robili?

Pieszy wędrownik widocznie nie zupełnie ich dzieło pochwalał, bo z ironicznym uśmieszkiem niezadowolenia odwrócił oczy od krzyża i zaczął przyglądać się obok stojącej kapliczce.

Budynek ten, liliputowych iście rozmiarów, jaśniał wszystkiemi barwami tęczy. W głębi, przed pstrem, jaskrawem i bizantyńskiem malowidłem Bogarodzicy, płonęła mała olejna lampka. Z frontu na dwóch połowach otwartych drzwi błyszczały obrazy w tym samym stylu i równie nie estetycznie wykonane: św. Mikołaj i św. Barbara. Na szczycie bombiastego, zielonego daszku połyskiwał pozłocisty trójramienny krzyżyk, a po nad drzwiami, na lazurowem tle widniał wyzłocony napis grażdanką, a zwiastujący przechodniom, że: *hromada »Zahmilcze«* za poradą *świaszczennika otca* Bazylego Nawrockiego tę *czasownię postroiła.*

Jaskrawe barwy kapliczki jeszcze boleśniejsze zapewne zrobiły wrażenie na podróżnym, bo wyraz ironii znikł zupełnie z oblicza i ustąpił miejsca zadumie jakiejś bolesnej — tęsknocie

połączonej z głębokim smutkiem i przyoblekł mu twarz dziwnie surową powagą.

Spoglądając zasępionemi oczyma wokoło, ujrzał młodzieniec starego dziada, żebraka, siedzącego z lirą w ręku przy samej żwirówce. Kończył właśnie śpiewać dawną dziadowską pieśń: o smutnych losach św. Barbary.

Nuta pieśni otwartą bramę do duszy młodzieńca znalazła, aż do serca wciskała się, na jej odgłos rozjaśniło się znowu zachmurzone przed chwilą oblicze, a wyraz tęsknego rozrzewnienia znowu na nim zagościł.

Słuchając pieśni, podróżny sięgał do kieszeni, w celu wynagrodzenia starego śpiewaka za rozkosz, jaką pieśń mu sprawiła. Wyjąwszy sakiewkę, rozpoczął skrzętne poszukiwania wewnątrz niej; nie długo one trwały, bo i zawartość nie była zbyt bogatą: obok dwóch zmiętych, błękitnych papierków z wizerunkiem cesarza, pysznił się jasnym blaskiem nowiusieńki gulden z herbem i koroną św. Szczepana, a po za nim ukryły się wstydliwie sztuki zdawkowej monety, nawet ilością niewynagradzające nędznej powierzchowności.

Pośród tego proletaryatu monetarnego począł szukać monety stosownej na wynagrodzenie dziada. Wybrał w końcu grubego c z w o r a k a, który zdawał mu się wystarczającym darem dla lirnika. Miał już wrzucić wydobytą monetę do miseczki stojącej przed dziadem, gdy nagle usłyszana zmiana słów i nuty pieśni, zmieniły zamiar ofiarodawcy.

Dziad bowiem, ujrzawszy zdaleka nadchodzących kilkunastu urlopowanych, w czerwone mycki postrojonych ułanów, w miejsce pieśni o św. Barbarze, zaintonował inną, polsko-ruską, śpiewaną w austryackich pułkach:

»Zkąd ty Jasiu? — Z za Dunaju!
Co tam słychać w naszym kraju?
Nic ne czuty tilko wydno:
Nic nie słychać tylko wydno:
Idut laszki — na try szlaczki

Na czatyry — granatyry,
A hułany — horuj wkryły.«

Śpiewał dziad, pobrzękując monotonnie na lirze i spoglądając chciwem okiem w stronę zbliżających się żołnierzy. Podróżny stał, trzymając pieniądze w palcach. Z widocznem rozczarowaniem spoglądał na dziada, który niezbity tem z tropu, coraz donioślejszym głosem śpiewał:

»Na toj hori kiń tureckij,
Na konyku prync Radeckij,
W jednoj ruczci mecz trymaje,
A z druhoji krow sia liaje...«

Żołnierze przeszli obok, nie zatrzymując się nawet; jeden z nich tylko rzucił do dziada niedogarkiem z cygara, w twarz mu mierząc.

— *Na tobi didu za piśniu, bokom uże ona meni liże* — zawołał, a wszyscy razem zaśmiali się wesoło.

— Paniczu, złoty paniczu, dajcie grosz biednemu dziadowi — zapiszczał teraz, zwracając się do stojącego jeszcze obok niego młodzieńca — podarujcie co staremu. Bóg miłosierny wynagrodzi wam, będziecie panowali... Panienka miłosierna da wam hrabiankę za żonę. Paniczu, serdeńko, poratujcie biednego kalekę.

— *To wy mene didu Hrehoryj ne piznały?* — przerwał wzburzonym głosem podróżny — *ja ne panycz ... zwidkie ja panycz? Ja Iwan Gudz, syn Tanaska Gudza, z waszoho sela.*

— Tfu! Tanaska syn! — zawołał dziad, zrywając się pospiesznie i zbliżając się do mówiącego. — *Taż to ja wam po waszoji mami rodyna.* Panie Janie, zawsze już wy teraz panicz, z hrabskiemi dziećmi do szkoły chodziliście. Schowajcie ten grosz, dziad Hryhor ma dość i bez was, jeszcze mógłby i wam coś dać, choć wam pewno nie potrzeba, kiedyście na pana wyszli.

— Jaki ja pan — przerwał, mówiąc uparcie po rusku, młody Iwan — jam nie pan, tylko Rusin prawdziwy, który po to pomiędzy ludźmi rozumu się uczył, aby, wróciwszy w swoje strony, swoim mógł dopomódz, rozumem się podzielić.

Dziad na te słowa głową począł kręcić i z niedowierzaniem i nieufnością na Iwana spoglądał.

— Hm, hm, hm! Do swoich, powiadacie, chcecie wracać — mówił, patrząc z podełba i mrucząc ponuro — do swoich... Ta z czem? Z rozumem?... Jest tego dość teraz na świecie, każdy się teraz rozumem czwani. Ot, nasz ksiądz bardzo rozumny, a przez to mało brakowało, że go *żandary* do aresztu nie zaprowadzili, żeby nie pan *hadyjunkt* i nie grosze, jużby tam był gnił... ot za co?... za rozum.

Iwan zaraz przy pierwszych słowach dziada żachnął się i odsunął się od niego, nie przeszkadzało to jednak staremu mówić dalej, a coraz donośniej.

— Jeżeli wy tylko z rozumem do Zahnilcza idziecie, to *wertajte zwidkie pryjszłyśty*, nie macie co tam robić. My i tak rozumu mamy za dużo, oh! za dużo, aż pogłupieli z tego... *wertajte! wertajte!* — wołał za oddalającym się pospiesznie wędrowcem.

Iwan szedł naprzód sporym krokiem, nie oglądając się nawet po za siebie.

Kilkaset sążni po za krzyżem zwrócił się ze żwirówki na prawo na szeroką, równą drogę, obsadzoną z obu stron wysokiemi topolami. Obok rozścielały się wzorowo uprawne, na niewielkie poletki pokrajane łany, na których krzewiła się bujna roślinność.

Na skraju pochyłości pod lasem, aż do wsi jednym krańcem sięgającym, rozciągały się ogromne, równe, kanałami poprzecinane, śluzami najeżone łąki. Kopice świeżo skoszonego siana stały na nich w równych, regularnych szeregach, szarym kolorem smutnie odbijając od żywej zieleni łąk, niby kretowiska olbrzymie. Lekki wschodnio-południowy wietrzyk donosił aromatyczną woń niedawno zgromadzonego siana aż tu na drogę, ku wędrowcowi.

W dalszej perspektywie, u końca drogi ciągnęła się po dolinie duża, szeroko rozsiadla wieś podolska, trwożnie w zieleni sadów ukryta. Z jednej strony, wśród niższych zarośli świecił złocisty krzyżyk na świeżo pomalowanym zielonym dachu cerkwi. Z drugiej mieściły się poważne zabudowania folwarczne i bielał pośród lip niebotycznych, starych i poważnych, ogromny, długi dworzec pański, pomimo wieku i bujnie krzewiącego się mchu na wysokim spiczastym dachu, prosty, silny, śmiało licznemi oknami w dal patrzący.

Podróżny zszedłszy z drogi żwirowanej, zwalniał coraz bardziej kroku, upajał się widokiem dawno znać niewidzianego krajobrazu; chłonął w siebie woń łąk, a wrażenia te musiały budzić w duszy młodego człowieka miłe wspomnienia, bo przystawał od czasu do czasu, jakby pragnął rozkoszować się niemi.

Gdy zbliżył się do połowy mniej więcej przestrzeni, dzielącej wieś od gościńca, droga zaczęła się zniżać w dolinkę, na dnie której sączył się strumyk, również w regularne ramy kanału ujęty. Ponad kanałem rzucony był mostek szeroki, nie dziurawy, z obu stron wysokiemi ciosowemi baryerami otoczony. Zbliżając się do mostku, zwolnił Iwan kroku, usłyszał bowiem po za sobą turkot jakiegoś szybko toczącego się wehikułu i tętent pospiesznym kłusem idących koni. Zszedł więc ze środka drogi, w celu zrobienia wolnego miejsca dla przejazdu. Stanął twarzą do drogi zwrócony i patrzył.

Nadjeżdżający zaczął mu się równie pilnie przypatrywać. Był to siwy już mężczyzna, herkulesowych kształtów, siedział na koźle wysokiego faetonu i z wielką swobodą powoził parą prześlicznych, rosłych, angielskich klaczy. Spuszczając się z pagórka, zwolnił zupełnie biegu koniom, które wyrzucając głowami i pobrzękując wędzidłami, szły noga za nogą. Gdy zbliżył się o kilka już tylko kroków od Iwana, stojącego tuż obok mostu, stary pan nagłym ruchem osadził konie na miejscu i zwracając się ku podróżnemu z wesołym uśmiechem, żartobliwym, ale bardzo życzliwym tonem zawołał:

— A! pan doktor!... Witam!... witam! A zkąd bogi prowadzą?

— Z Wiednia, panie hrabio — brzmiała dość lakoniczna odpowiedź.

— A od stacyi piechotą?... Co ... *per pedes apostolorum?*... Źle wasz naród zaopatruje swoich przewodników, szkoda butów mój doktorze.

— Nie mają jeszcze za co mnie wynagradzać — odparł podróżny, uśmiechając się życzliwie i spoglądając z nietajoną sympatyą na otwarte, szczere oblicze hrabiego — zresztą na buty sam zapracować potrafię... — kończył wesoło.

— Fiu, fiu! jaka duma w trybunie! ale to dobrze — mówił dalej poważnym już głosem hrabia — lubię taką ambicyę w młodych ludziach, taką wiarę w siebie. Ty doktorze na pewno ani do »Narodnego domu«, ani do »Kryłoszańskiego« banku nie pójdziesz o subsydya się upominać. Co, prawda, żeś subsydyów nie brał?

— Nie, panie hrabio, nie brałem i mam nadzieję, że ich brać nie będę ani z »Narodnego domu«, ani starać się nie będę za pańską protekcyą o zapomogę z Wydziału krajowego, sam zdołam zapracować na skromne potrzeby.

— *Cincinatus! Cincinatus!*... Wiem, wiem, żeś moją pomoc odrzucił, gdyś tylko przestał być pędrakiem — i szepnął cicho, ale tak, że Iwan mógł dosłyszeć, a przynajmniej zrozumieć: — Zkąd się w tym chłopaku taki żelazny charakter wyrobił? — wnet jednak przerwał, spostrzegłszy, że Iwan go zrozumiał, i zwracając się ku niemu, mówił dobrotliwym, serdecznym głosem:

— Bóg mi ciebie zsyła; możesz sobie trochę grosza zarobić, a mnie z wielkiego ambarasu wyratujesz. Wyobraź sobie: mój Wacek, no... znany, *asinus asinorum*, zresztą niezły chłopak, dostał poprawkę przy *maturze;* wziąłem mu korepetytora, ażeby go przez czas wakacyj przygotował. Tymczasem mistrz był ponoś gorszym łobuzem od ucznia, licho mu nadało zbiegać się gdzieś, później wykąpać się w rzece, i dostał,

wyobraź sobie, zapalenia płuc; musiałem go do Sióstr miłosierdzia wyprawić. A chłopczysko bałamuci się tymczasem i pewno poprawki nie zda. Słuchaj Janek, tyś był zawsze taki poczciwy, zrób to dla mnie, wyucz ty jego tak, żeby zdał już raz ten nieszczęśliwy egzamin.

— Z największą ochotą... i tak nie mam obecnie zajęcia, łaskę mi pan hrabia robi, dając mi sposobność zapracowania jakiegoś grosza, kasa moja bowiem na wyczerpaniu, a dopiero po wakacyach mam dostać miejsce nauczyciela przy ruskiem gimnazyum we Lwowie.

— No, siadaj ze mną, prędzej! Norma zaczyna się niecierpliwić... ha hou!... stój ciesiu! No prędzej, z tej strony... No, stójże głupia... Gramolże się, mój doktorze... skaranie boskie z tymi literatami... Co? już?... Wio dzieci.

I konie ruszyły szalonym kłusem.

Za mostkiem utemperowały się trochę, zwolna wprowadził je hrabia w zwykły kłus, wreszcie zaczęły iść stępo. Gdy konie uspokoiły się zupełnie, hrabia zwrócił się znowu do Iwana i zaczął rozmawiać:

— One takie same, jak ty... im cięższa droga, tem raźniej ciągną, za to one są mojemi faworytkami... i tybyś był, ale sam nie chcesz.

— Cóż ja złego zrobiłem, panie hrabio? — przerwał mu Iwan drżącym głosem – czem mogłem hrabiego zasmucić, czy rozgniewać?

— Et nic, głupstwo, powiem ci później...

— Niech pan hrabia raczy powiedzieć, tak odrazu.

— Nie, nie! nie bój się, nie minie cię to; ja co mam powiedzieć, to zawsze powiem, ale w swoim czasie. Teraz lepiej zwrócę uwagę, jak my się tu dobrali.

— Jakto dobrali?...

— No, popatrz i zapamiętaj, bo nie zaraz zdarzy ci się tak różne żywioły razem zebrane spotkać, a w dodatku tak oryginalne... Nasamprzód dwie angielskie kobyły, folblutki, niemające ani nóg popalonych, ani bandaży na nich, które

mają w dodatku takie ogony, że mogą się od much opędzać; dalej Stach, furman galicyjski, nie umiejący ani słowa do koni po angielsku przemówić; następnie doktor filozofii, Rusin, nie biorący subsydyów od postronnych potencyj, siedzi tuż obok wschodnio-galicyjskiego hrabiego... i rozmawiają z sobą. Nie, to jest tak monstrualna w naszych warunkach kombinacya, że obawiam się o to, czy dojedziemy szczęśliwie?

Wkrótce konie wyszły na równinę i wnet szalona szybkość jazdy przeszkodziła głośnym medytacyom hrabiego.

II.

Hrabia Teodor z Zahnilcza był okrzyczanym dziwakiem, tolerowanym we wschodnio-galicyjskiem towarzystwie, li dzięki znacznej fortunie i starożytnemu nazwisku. Stosunkami pokrewieństwa i przyjaźni, rozgałęzionemi w całej dawnej Polsce, imponował wszystkim sąsiednim, większym i mniejszym potentatom.

Zgorzkniały i zniechęcony różnemi bolesnemi przejściami, w życiu politycznem udziału nie brał. Co gorzej, drwił boleśnie i to w oczy z tych wszystkich sąsiadów bliższych i dalszych, którzy o godności i dostojeństwa usilne starania czynili, śmiał się z urzędowej napuszystości, z jaką drobne autonomiczne funkcye załatwiali. On bo był strasznym zacofańcem, nie wierzył w skuteczność parlamentaryzmu.

Zbawienie kraju widział w podniesieniu zamożności ogólnej, w rozwoju rolnictwa, w doskonałej uprawie ziemi, jednem słowem w racyonalnem gospodarstwie.

Stosunki jego z ludem były również nieraz powodem zgorszenia liberalniej usposobionych sąsiadów. Rozpowiadano sobie pocichu, robiąc zgorszone miny, że w zahnilickim kluczu nikt dzieci do szkoły nie pędzi gwałtem, że chodzą tylko te, które rodzice sami przyprowadzą — że ogólna ustawa o przymusie szkolnym tam nie obowiązuje; zapominano jednak

dodać, że pomiędzy dorosłymi daleko więcej ludzi umie tam czytać i pisać, niż gdziekolwiekindziej. Czasem ze zgrozą szeptano sobie na ucho, że tam w Zahnilczu średniowieczne, feudalne czasy panują, — że chłopów biją, katują publicznie — nie mówiono jednak nic o tem, że tam ani jeden chłop nie sprzedał gruntu żydowi, bo kilku, którzy na pijaństwo się zadłużyli, gromada publicznie ochłostała, a hrabia długi za nich zapłacił. Nie mówiono również, że chłop tam zawsze znajdzie pomoc we dworze, czy w nędzy, czy w chorobie, że ma zaufanie do pana, że radzi go się i w gospodarstwie naśladuje. Nie, nic o tem nie mówiono.

Ludzie, znający hrabiego bliżej, utrzymywali, że pisał on jakieś źródłowe historyczne dzieło, że badał dzieje Rusi polskiej i jej stosunku do Rzeczypospolitej, mnóstwo bowiem dzieł tej treści miał u siebie. Sławy jednak nie szukał z tego, nic bowiem nie drukował dotąd.

Życie na różach mu nie przeszło. Małżonkę młodą, prześliczną i anielsko dobrą, a nad życie ukochaną, stracił przedwcześnie. Najstarszy syn Kazimierz zginął w pojedynku, mając dwadzieścia cztery lata zaledwie. Po tej stracie hrabia nie mógł już przyjść do siebie, dziczał coraz bardziej; jowialny humor, z którego ongi słynął, po śmierci ukochanego syna opuścił go zupełnie — pozostała gryząca ironia, czasem zwątpienie z boleści zrodzone. — Młodszy syn, Wacław, poczciwy, dobry chłopczyna, ale pozbawiony wybitniejszych zdolności, — dziecię chorej, umierającej już prawie kobiety, nie obiecywał starożytnego nazwiska nową chwałą okryć.

Hrabia Teodor, w pierwszym zaraz roku po ślubie, doznał był ciężkiego zmartwienia.

Miał on w Zahnilczu gumiennego Tanaska Gudza, którego za wielką uczciwość i przywiązanie do swej osoby bardzo lubił, a nawet cenił wysoko. Wyjeżdżając po ślubie z żoną do Włoch, polecił Tanasowi potajemny nadzór nad całem gospodarstwem i kazał mu przedewszystkiem zwracać baczną uwagę na czynności nowo przyjętego rządcy (któremu hrabia

jakoś nie ufał, a nie miał czasu znaleźć innego), a w razie odkrycia nadużyć, donieść sobie o tem.

Tanas, spełniając wolę hrabiego, czuwał nad dobrem pańskiem, a niedługo musiał czekać, ażeby przekonać się, że nowy rządca uorganizował całą złodziejską szajkę, złożoną z krewnych i przyjaciół, których jako oficyalistów do zarządu wprowadził.

Nie umiejąc sam pisać, udał się do miejscowego djaka i polecił mu napisać list do hrabiego i wyprawić go na pocztę wraz z cerkiewną korespondencyą. Djak spodziewając się sutego wynagrodzenia od rządcy, odniósł list zamiast na pocztę, do zarządu dóbr, objaśniając, że z polecenia Tanasa list ten napisał, nie odważył się jednak, wiedząc, jakie oskarżenia zawierał, wysłać go. Rządca, przeczytawszy, poprzysiągł zemstę Tanasowi i tak sprytnie ułożył następną kradzież, że wszystkie poszlaki spadały na Tanasa. Nie pomogły przysięgi biednego niewinnego chłopa, nie pomógł lament zrozpaczonej żony, nic nie pomogło. Przyszli żandarmi i mieli go już zakuć w kajdany. Do ostateczności doprowadzony Tanas wyprosił się na chwilę do komory, gdzie, jak zapowiadał, miał zamiar przebrać się w nowy s i e r a k. Z komory tej nie wyszedł więcej, zniecierpliwieni żandarmi wyłamali drzwi i ujrzeli — trupa wiszącego na czerwonym pasie.

Hrabia, uwiadomiony o tem, powrócił natychmiast, zarządził najściślejsze dochodzenie, rządcę zą złodziejstwo wsadził na kilka lat do ciężkiego więzienia, ale biednego wiernego Tanasa nie wskrzesił. Leżał on tam w lesie na rozdrożu, pod niską mogiłką, a mały ciosowy krzyżyk, z rozkazu hrabiego postawiony, wskazywał miejsce spoczynku biednego samobójcy.

Młoda Tanasowa żona nie długo przeżyła męża. Losem pozostałego dziecka, małego Iwana, zajął się hrabia szczerze i rozumnie. On to właśnie Iwan Gudz, doktor filozofii, przyjechał teraz z hrabią przed ganek starego dworu.

— Hej Tomasz! — zawołał hrabia, do wychylającego siwą głowę z pomiędzy drzwi starego służącego. — Gdzie panicz? zawołaj panicza.

— Panicza niema w domu — odpowiedział mrukliwie stary — już z godzinę jak pojechał konno, nie mówił gdzie jedzie.

— Ho! ho! skończy się to panowanie — szepnął hrabia, złażąc z kozła, a gdy już był na ganku, zwrócił się znowu do starego. — Tomasz! przygotujesz dla pana doktora dwa narożne pokoje, w których ostatnim razem stali wraz z nieboszczykiem hrabią Kazimierzem. A teraz dawaj śniadanie, bo głodniśmy strasznie... Czyż nie prawda doktorze?

W kilka chwil później otworzył Tomasz drzwi do jadalni i weszli do surowej, starą dębiną wykładanej sali. Stół był zastawiony starożytnem szkłem i porcelaną.

— *Iwasiu napiem sia horiwki?* — zapytał żartobliwie hrabia, widocznie rad z przyjazdu doktora. — W twoje ręce — i wychylił spory kieliszek starki! — Wypij! — mówił podając mu kieliszek — takiej wódki pewno ci szwaby w Wiedniu nie dawały.

— Doskonała! — odpowiedział doktor, stawiając wypróżniony kielich na stole. — Co prawda, w stolicy wódki zupełnie nie pijałem, obawiałem się, by nie popaść w nałóg; przy natężonej pracy umysłowej najłatwiej przyzwyczaić się do nadmiaru alkoholu.

— Przezorność godna uczonego męża — przerwał mu, śmiejąc się hrabia, niezwyczajnie dziś rozweselony. — A teraz zabieraj się do... zrazów z kaszą, potrawy, przy spożywaniu której jednoczą się oba narody, to piękne królestwo zamieszkujące.

Czas trwania śniadania przeszedł wesoło. Gospodarz sypał żartami i dowcipami, w których na dnie niejedna głęboka myśl tkwiła. Był to już jego specyalny talent: ubrania najważniejszych zagadnień społecznych w lekką suknię żartu towarzyskiego.

Doktor mało mówił, słuchał tylko uważnie i z widocznem uwielbieniem wpatrywał się w ożywioną, inteligentną twarz hrabiego.

Po śniadaniu przeszli do obok położonego gabinetu. Była to ogromna izba, wokoło stały szafy ksiąg nowych i starych. Rozłożone wszelkie okazy wypchanych zwierząt i ptaków, przyrządy służące do analizy chemicznej i tym podobne przedmioty z nauką związane, świadczące o zajęciach człowieka, który połowę życia przepędził w tym pokoju.

Hrabia podał młodemu gościowi cygaro, sam zapalił fajkę, i puszczając kłęby wonnego dymu, mówił powoli, dobitnie i zupełnie już teraz na seryo:

— Mój kochany, nasamprzód muszę cię wylajać należycie za to, żeś odrzucił moją pomoc, którą ci szczerem sercem ofiarowałem. Szkoda tego czasu, który zmarnowałeś na zdobycie materyalnych środków utrzymania. Zastanów się tylko, o wiele więcej byłbyś zdobył wiedzy przez ten czas, który poświęciłeś na zapracowanie tej odrobiny grosza, potrzebnego ci na zaspokojenie skromnych potrzeb.

— Dzięki ci, panie hrabio — odrzekł Iwan, zbliżając się do gospodarza i całując go z uczuciem w ramię. — Wdzięczny jestem za pomoc, którą chciałeś mi pan udzielić, ale.... przyjąć jej nie mogłem. Chciałem zawdzięczać wszystko sobie samemu. Nie chciałem zaciągać długów wdzięczności, które mogłyby mnie do czegokolwiekbądź w dalszem życiu zobowiązywać.

— Nadmiar dumy, to wasza największa wada — przerwał mu porywczo hrabia.

Iwan rozgrzawszy się własnemi słowami, nie zważał na słowa gospodarza, tylko mówił dalej:

— I tak wam to zawdzięczam panie hrabio, żem nie zmarniał w czasie pierwszego dzieciństwa. Gdyby nie wasza pomoc, byłbym w najlepszym razie jakimś kapralem w armii, albo parobkiem przy koniach, w najgorszym, złodziejem nawet. Któż to wiedzieć może? A dziś, dzięki tejże opiece,

mam nadzieję stania się człowiekiem użytecznym swemu pognębionemu narodowi.

— No, basta już! — przerwał mu niecierpliwie hrabia. — Nic nie jesteśmy sobie dłużnymi, a nawet skrupulatnie, może ja jestem więcej winien tobie, niż ty mnie.

Tu zamyślił się głęboko i dużemi krokami zaczął chodzić po pokoju, po chwili dopiero stanął przed milczącym doktorem i nagle zmieniając treść rozmowy, przemówił:

— Czytałem już twoje poezye, wydane przed pół rokiem... język bardzo ładny, forma zupełnie dobra i taka, jakiej u was nikt przed tobą nie używał, nawet polityczne tendencye, trochę może skrajne, przebaczę ci... Powiedz mi jednak, zkąd u licha nachwytałeś tych dzikich poglądów socyalnych?... Z niemi ja, stary szlachcic, pogodzić się nie mogę, a nawet więcej, za złe mam ludziom, którzy piszą o rzeczach, o których nie mają pojęcia. Sam kiedyś śmiać się będziesz z tych poglądów.

— Ja?... o nie, hrabio! To moje najświętsze przekonanie!— zawołał z zapałem młody poeta — dam się porąbać za nie! Żyjemy w czasach walki kapitału z pracą, walki potężnych z nieszczęśliwymi, walki panów świata z jego helotami.

— Lari fari!... — przerwał mu znowu gospodarz, śmiejąc się serdecznie z zapału mowcy. — Lari fari! powiadam ci. Nasłuchałeś się i naczytałeś jakichś tam banialuków, głoszonych przez ludzi, dążących do władzy bądź co bądź, choćby mieli na tej drodze krew przelewać i spokój światu mącić. Może zresztą tam na Zachodzie mają te nowe teorye racyę bytu, ale nie u nas. Tu mamy tylko walkę nędzy z nędzą, a czasami tylko dwie nędze: pańska i chłopska, łączą się z sobą, ażeby walczyć z szachrajstwem żydowskiem. Zazwyczaj jednak walka ta nie długo trwa i wkrótce obie nędze zaprzęgają się do wspólnego dyszla i żydom wodę wożą... zobaczysz.

— A jednak, jednak niesprawiedliwie się dzieje na świecie, lud ugina się w nędzy — mówił, smutnie kiwając głową poeta — środków ratunku szukać należy, choćby...

— Środków ratunku?! — zawołał hrabia, a twarz jego przybrała wyraz natchnienia prawie, z oczu promienie strzeliły — środków ratunku mówisz? A pocóż nam za niemi daleko szperać? po co nowe wymyślać? Są... są zasady przez łaskę Boską światu na pocieszenie zesłane. Róbcie to, co Chrystus robić nakazał. Niech tylko każdy miłuje bliźniego jak siebie samego, niech ta miłość wzajemną między ludźmi będzie, wówczas nie będzie potrzeby tworzyć nowych teoryj. Nie krwią, ale miłością i przebaczeniem — pobłażliwością idzie się do królestwa Bożego na ziemi.

Wzburzony hrabia, skończywszy mówić, usiadł na fotelu i głowę oparł na dłoni.

Iwan stał niemy, ani słowa nie odpowiedział, tylko w głębokiej zadumie patrzył na piękny krucyfiks, wiszący na ścianie gabinetu. Milczenie to trwało długo, znać głębokie myśli gościły w umysłach obu tych ludzi, bo nie spieszyli się z nowemi słowami. Pierwszy przerwał milczenie Iwan.

— Usuńmy ten drażliwy przedmiot na stronę — mówił, namyślając się jeszcze — może i zmienię kiedyś zdanie pod tym względem, choć wątpię. Przystąpmy do innej sprawy, bliżej nas obchodzącej. Niech mi pan hrabia raczy powiedzieć, co się tu w kraju dzieje? Co panowie sejmowi myślą?

— Ty wiesz najlepiej — odpowiedział niechętnie hrabia — że do polityki nie mięszam się, pewnie wiesz to wszystko lepiej odemnie.

— Nie! nie! Moje zdanie może być stronniczem, jabym był rad usłyszeć sąd hrabiego, jego zdanie. Czy porobią nam jakie ustępstwa? Czasby był już wielki, naród ugina się pod jarzmem. Nienawiści do Polaków nie chowam w sercu, ale żal zaczynam uczuwać wielki. Czas, czas rekompensaty za wieki niesprawiedliwości nadchodzi. Jeżeli chcecie, ażeby młodsza, zdrowsza część naszego narodu szła ręka w rękę z wami, to nie gnębcie dalej, dajcie nam to, co na naszej ziemi słusznie się nam należy.

— Slusznie się wam należy! — przerwał hrabia, powstając z fotelu i przechadzając się znowu po pokoju — że wam się coś słusznie należy, to pewne, ale — co? tego wy sami dokładnie nie wiecie; każdy czego innego pragnie i żąda, a zawsze dla siebie tylko.

Usiadl znowu, zapalil fajkę i zaciągając się wonnym dymem, mówil:

— Zróbmy mały przegląd tych, którzy mogą coś dać i tych, którzy mogą słusznie czego żądać; nie wesoła to galerya. Nasamprzód my Polacy, którzy ster i władzę, jak wy mówicie, w swej dłoni dzierżymy — Panowie z Rady państwa! Panowie z Sejmu — wołacie ustawicznie. A kto to są ci panowie?... zaraz ci powiem, znam ich wszystkich mniej więcej, z wyjątkiem chyba młodszych żywiołów. Przodem idą ludzie dobrej wiary, tam z zachodu, ludzie, dla których cześć w sercu chowam, ludzie przekonania i ofiary, ci jeżeli błądzą czasem, to z nieświadomości tylko. Ale cóż? Oni są nieliczym zastępem tylko i dla zrobienia czegokolwiekbądź, dla urzeczywistnienia choćby części swoich zamiarów, muszą się łączyć z masą obskurantów i krzykaczy staro-szlacheckich, którzy przez wiek niewoli niczego się nie nauczyli — ani też nie zapomnieli.

— Ach czemuż nie zapomnieli! — szepnął jak echo Iwan.

— Ha, trudna rada, choroba tkwi głęboko. Dziś jeszcze żądza zaszczytu i błyszczenia popycha niektórych ludzi do tego, że wbrew wrodzonemu ludziom wstydowi, wszelkiemi siłami pchają się naprzód, a czasami nawet na wielką hańbę pieniędzmi wyborców zjednywują... z bólem serca to mówię, a muszę, bo tak jest. A po za nimi są jeszcze i warchoły, krzykacze, którzy *larum* w około siebie czynią, żeby na się uwagę zwrócić, są maniacy... Eh, co tam mówić o tem — i machnął niechętnie ręką.

— A dlaczegoż oni są takimi?

— Dlaczego? spytaj Pana Boga, za co nas tak ciężko

doświadcza? Znać za nasze grzechy... A wasi, myślisz lepsi? I tych ci opiszę.

Spojrzyj tylko. Cała klika święto-jurska o sobie tylko myśli, w prywacie po uszy siedzi pogrążona, bralaby pieniądze ze wszech stron, nawet od cesarza chińskiego, gdyby był taki głupi i dawać zapragnął. Młodsi narodowcy sami nie wiedzą, czego chcą. Są pomiędzy nimi i czyści ludzie, ale większość pragnie za pomocą rozgłosu na wierzch się wybić i główną przyczyną niechęci do Polaków jest zazdrość osobista. Najmłodsza partya, radykaliści, do których i ciebie muszę zaliczyć, wplatają do programu politycznego zagadnienia socyalne... Wiesz, co o tem myślę... A dalej ciemna masa ludu, bałamucona przez was, przekupywana tu i ówdzie przez nas, a demoralizowana radykalnie przez żydów.

Masz prawdziwy obraz społeczeństwa. Warto było żyć tak długo, jak ja żyję, ażeby doczekać się podobnego widoku.

I z gniewem wydmuchnął z fajki resztki dopalającego się już tytoniu.

— Zostawmy to, hrabio — zwolna wyrzekł Iwan — ludzi tem pan nie poprawi, tylko się sam rozgoryczy.

— Masz racyę... zostawmy. Teraz, mój kochany, muszę się z tobą umówić o naukę Wacka.

Zrazu Iwan powstał z widocznym zamiarem oponowania.

Niecierpliwym gestem przerwał mu hrabia i mówił dalej:

— Czekaj, mój dumny trybunie, pomocy odemnie nie chciałeś przyjąć, ja od ciebie łaski również nie przyjmę. Zaraz ci przedstawię moje warunki... *Clara pacta*, jak starzy Rzymianie mawiali, tworzą dobrych przyjaciół. Tamtego latawca umówiłem był w ten sposób: jeżeli Wacio zda egzamin, to dostanie dwieście reńskich; jeżeli nie zda, to tylko sto... Czy zgadzasz się doktorze nauk wyzwolonych na to skromne honoraryum? Jeżeli nie, to podniosę.

— Zgadzam się — odpowiedział uradowany widocznie Iwan — czy to tylko warto, panie hrabio, tyle pieniędzy; w Wiedniu za taką sumę rok cały żyć mogłem.

— Te dwa miesiące, przez które będziesz nauczał Wacia, zmęczą cię więcej, niż trzy lata pobytu w stolicy. Wszyscy mówią, że on strasznie tępy. — Zostań tu na chwilę, ja muszę wyjść wydać pewne rozkazy.

Po tych słowach hrabia opuścił gabinet. Wyszedłszy aż do przedpokoju, zawołał do siebie starego Tomasza, któremu miękkim, lecz mimo tego rozkazującym głosem dał takie zlecenie:

— Tomaszu, słuchaj i uważaj! Pan doktor filozofii, Iwan Gudz, będzie przez wakacye bawił u nas. Jest moim gościem i tak go traktować, jak wszystkich gości. Zapowiedz całej dworni — tu głos hrabiego stał się groźnym i stanowczym i brzmiał jak komenda do ataku — że jeżeliby ktokolwiekbądź śmiał mu ubliżyć w najlżejszy sposób, to ja się o tem dowiem napewno i zapłacę mu za to hojnie. Wiesz, że nie żartuję.

— O, wiem — szepnął stary — tak będzie, jak Antkowi, baty i won ze służby.

— No, pamiętaj o tem stary!

— Słucham, jaśnie panie.

— Pokoje czy gotowe?

— Gotowe.

— No, to chodź za mną.

Skierował się z powrotem w stronę gabinetu, gdzie zostawił był Iwana samego. Tomasz wszedł za panem.

— Mój doktorze — rzekł — przejdź teraz do siebie; mam kilka listów do napisania, o trzeciej zejdziemy się na obiad, może i twój uczeń nadleci. Zapewne zechcesz wypocząć po pieszej wędrówce? a może zechcesz odwiedzić księdza Bazylego? — Przy tych słowach uśmiechnął się nieznacznie. — Czy tylko ten mantelzak przynosisz z dalekiej wędrówki? — zapytał, wskazując na małe zawiniątko, które Iwan na plecach przyniósł.

— Oh! nie — odparł zapytany ze swobodnym uśmiechem — mam jeszcze kufer z książkami i odzieniem, ale ten na dworcu zostawiłem.

— No, do widzenia! — zakończył rozmowę gospodarz, podając mu rękę. — Tomaszu, zaprowadź pana doktora do jego pokoju i zaraz poślij na kolej po rzeczy.

III.

Po wyjściu Tomasza, Iwan obejrzał się po pokojach, które miał zamieszkiwać przez czas pobytu w Zahnilczu.

Znał je od dawna, od bardzo dawna... Nie dawniej jak pięć lat temu, przepędzał w nich ferye wraz z nieżyjącym już hrabią Kazimierzem. Odnawiał więc tylko dawną znajomość.

Wspomnienia jakieś widać go rozrzewniły, bo opuściwszy głowę na piersi, zamyślił się głęboko. Gdy się obudził z tej zadumy, ujrzał przed sobą na ścianie naprzeciw okien, duże, piękne, wspaniałe malowidło — był to portret jego przedwcześnie zmarłego kolegi.

Patrzał nań z miłością braterską. W jego żywych, ruchliwych, błękitnych oczach zabłysły dwie duże perliste łzy, a cała świeża, więcej okrągła niż podłużna, słowiańska twarz przesłoniła się niekłamanym cieniem smutku, żalu, czy boleści?

Zbliżał się coraz bardziej do portretu i wpatrywał się uparcie w prześliczne, arystokratycznie wytworne wąsy zmarłego. Wspomnienia cisnęły mu się całą falą do mózgu. Myśli tłoczyły się jedne za drugiemi. Patrzył i szeptał w duszy:

— Marnie zginąłeś! marnie!... Świetne dziedzictwo krwi zgubiło cię. Dusza i nerwy osłabione miękkiem życiem dziesięciu pokoleń, które cię poprzedziły, zawiodły cię do mogiły przed czasem. Zabrakło ci sił do życia, do walki, do znoszenia przeciwności, do zwycięztwa... Umknąłeś z posterunku senatorski wnuku... A szkoda ciebie, bo miałeś duszę piękną i serce otwarte na odczucie niedoli tego ludu, z którego i twój ród powstał, pośród którego przodkowie twoi wieki przeżyli. Śpij spokojnie w mogile, ale bądź pewnym, że druh twój,

towarzysz młodości i marzeń twych chłopięcych nie zegnie się w walce, nie złamie się w przeciwnościach życiowych. Bądź pewnym, że chłopski syn dotrwa na stanowisku, dopełni tego, cośmy sobie razem zdziałać obiecywali.

Wspomnienia doprowadzały Iwana prawie do stanu halucynacyi, gorączka go jakaś trawić zaczynala. Oczy utopił w łudząco podobnej, żywej prawie twarzy portretu i mówił tak, że mogło się zdawać jakoby rozmawiał z dawno zmarłym.

— Śpij spokojnie w mogile, w zimnym sklepie i ufaj temu, którego zostawiłeś tu na ziemi... Jeżeli dusza twoja istnieje gdzieś w wszechświecie, niech będzie spokojną — marzenia jej i zamiary w ciało się przyobleką.

Dreszcz jakiś przeszedł mówiącego, obu rękoma ścisnął rozpalone skronie i mówił coraz gwałtowniej:

Tę, którą ukochała twa dusza młoda, wydarto ci. Nie mogłeś tego ciosu przeżyć... Miłości pragnąłeś, miłości dziewczyny — pragnąłeś oczu błyszczących, ust rubinowych, wonnych włosów... Mogłeś ją znaleść gdzieindziej, byłeś pięknym, młodym i bogatym... Nie, nie! po stokroć nie! Inna to choroba tkwiła w głębinach twej duszy, zawód miłosny to pretekst tylko... Tęsknota bezgraniczna za dobrem i pięknem, wstręt do brudnego, splugawionego świata dni naszych w grób cię wpędziła.

Łzy gradem z oczu mu płynęły i spływały po rumianem młodzieńczem obliczu i wielkiemi kroplami na posadzkę spadały. Nie zważał na nie.

— A zabiłeś się po szlachecku, po kawalersku. Nie targnąłeś się sam na własne życie... O! nie. Znalazłeś przyjaciela, dawnego druha, który ci... za głupstwo... za marne słowo, wpakował bryłkę ołowiu w serce... I koniec... koniec... Sen spokojny w cieniu purpurowego herbowego całunu. Nie, ja za tobą nie pójdę, niema kobiety, dla którejbym choć na krok zeszedł z raz obranej drogi... Niema boleści, ani rozpaczy, któraby mnie złamać mogła i do opuszczenia posterunku zmusiła. Zresztą ta, która mnie pokochała, pójdzie za

mną na dolę i niedolę, bo ona pokochała we mnie geniusz mego ludu, ona czci we mnie ducha swego narodu, który przyszedł rozkuwać pęta i kajdany gniotące nas od wieków. Moja gwiazdka dla względów światowych nie opuści mnie, ona poniesie moją harfę, lirę dziadowską hen za mną daleko, gdzie tylko brzmi czyste ruskie słowo, gdzie drga echo pradziadowskiej pieśni — Bojanowej.

Szelest jakiś dał się słyszeć na korytarzu. Iwan przerwał słowa, rozglądnął się po pokoju, i zdaje się, że dopiero w tej chwili zauważył, że mówił sam do siebie, czy do martwego portretu? Zapłonił się mimowolnie i uśmiechnął się nawet, ale jakoś tęsknie, żałośnie. Obszedł cały pokój dokoła, świeżo już tam było i czysto, ale widocznie niedawno kurz otarto... niedawno, przed chwilą zmieniono grobowiec pamiątek na mieszkanie dla żywych.

Na sekretarzyku pomiędzy oknami leżały jeszcze kawałki zżółkłego już papieru, na których widniały głoski, przez ś. p. Kazimierza pisane. Na szezlongu leżał mały tomik otwarty, niedoczytany widocznie — to »cierpienia młodego Werthera«, ulubiona lektura nieboszczyka. Na dywanie nad łóżkiem wiszą pistolety, te same, które on po śmierci Kazimierza przywiózł do Zahnilcza; z jednej z tych luf wyszła kula, od której zginął jego przyjaciel.

Wszędzie, wszędzie pamiątki. Odsunął szufladę, w niej pełno kotylionowych orderów. W kącie stoją oparte o ścianę rapiery, któremi się fechtowali. Nie, on tego nie zniesie dłużej, czuje, że mu się coś mięsza w mózgu, że boleść serce mu zgniecie. Czuje się słabym, obłęd go jakiś chwyta. Musi wyjść ztąd, inaczej oszaleje.

Nagle zbliżył się szybko do zawiniątka, które przyniósł ze sobą i począł go z gorączkową niecierpliwością rozsznurowywać. Po chwili wydobył z niego kilka sztuk odzienia, bielizny i ładnie oprawny nieduży tomik. Popatrzył nań z przyjemnością, i zwolna, ostrożnie przechylając go, wytrząsł z pomiędzy kartek, o brzegach złoconych, niewielki fotogram.

Zbliżył go do oczu i z czułością przypatrywał mu się. Na przybrukanej trochę fotograficznej karcie rysowała się twarzyczka cudownie pięknego dziewczątka, dziecka prawie; klasyczny profil, duże, długą rzęsą ocienione oczy i usta prześlicznie wykrojone składały się na uroczą postać, jakby z marzeń poety wyjętą. Usta, szczególniej usta miała przecudne, jakby do szeptu miłosnego, do pocałunku stworzone, a okolone wyrazem figlarnej, swobodnej wesołości.

— *Detynka moja* — szeptał zaledwie dosłyszalnym głosem i całował martwą kartę.

Po chwili schował fotogram do pugilaresu, książeczkę o złoconych brzegach na bok położył i rozpoczął tualetę. Kto go pierwszy raz zobaczył, nie byłby go o podobną pretensyonalność posądził; golił się, później czesał się z godzinę, wąsy bujne podkręcał i ciągle w zwierciadle przypatrywał się własnej twarzy. Przytem od czasu do czasu marszczył czoło komicznie, jakby nie był rad z tego, co w zwierciadle widzi.

Wreszcie ubrał się zupełnie.

Już miał wychodzić, gdy jeszcze raz powrócił i przypatrzył się całej swej figurze w dużem stojącem lustrze. Zmarszczył się jeszcze zabawniej, i machnąwszy niechętnie ręką, wyszedł z pokoju.

Wyraz smutnej rezygnacyi osiadł mu na obliczu.

— Cóżem winien temu, żem niepodobny do Apolla — szeptał pod wąsem.

IV.

Na drugim końcu wsi wznosiła się cerkiew.

Ongi przed laty, stała tam mała, waląca się, modrzewiowa cerkiewka, ginąca prawie wśród zieleni księżego sadu. Dziś na tej wyniosłości sterczała smukła, ładnie w gotyckim stylu zbudowana, murowana świątynia. Hrabia widząc, że stara cerkiew wali się, kazał ją rozebrać i nową trochę wyżej postawić.

Miała ona niegdyś dach na biało malowany, a ponad kopułą i na wieży wznosił się duży, czarny, żelazny krzyż. Dziś postać rzeczy zmieniła się. Od czasu, kiedy Ojca Bazylego Nawrockiego, miejscowego parocha, nie wybrali chłopi ponownie na delegata do Rady państwa, rozpoczęła się na plebanii polityka jawnie opozycyjna.

Ludność wsi podzieliła się na dwa obozy. Zawiązała się zacięta walka, z jednej strony prowadzona otwarcie, z drugiej zaś z lisią przebiegłością. — Stronnicy hrabiego ze zwolennikami proboszcza homeryczne boje staczali w radzie gminnej. Skutkiem chwilowego zwycięstwa proboszczowej partyi powstała uchwała gminna, mocą której przemalowano dach cerkwi na zielono, dawny zwykły czarny krzyż zdjęto, a zastąpiono go pozłacanym, trójramiennym.

Hrabia z pobłażaniem na tę innowacyę patrzył. Tak samo przejeżdżając koło cerkwi przed nowym krzyżem kapelusza uchylał, jak zwykł był czynić przed dawnym. Tak samo jak dawniej od czasu do czasu przychodził na nabożeństwo, a chłopi wówczas czekali przed drzwiami zakrystyi na jego wyjście, do kolan mu się kłaniali i do ucałowania ręki pańskiej cisnęli się, bez względu czy do dworskiej, czy do księżej partyi należeli. On był wyższym ponad stronnictwa parlamentaryzmu wiejskiego.

Pobłażliwość ta, czy obojętność hrabiowska w wysokim stopniu obniżała w oczach gromady tryumf proboszcza, a tryumfatora samego do rozpaczy i furyi doprowadzała.

Tuż obok cerkwi rozciągał się duży, cienisty ogród, pełny drzew owocowych. Trochę dalej na wzgórzu, wznoszącem się nad pochyłością przez ogród zajmowaną, bielały ściany obszernego probostwa. Na obejściu, w ogrodzie, na toku i wśród budynków gospodarskich wyglądał zewsząd dostatek i dobrobyt.

W największej izbie probostwa siedział obecnie ksiądz Bazyli z numerem *Czerwonej Rusi* w ręce, popijając czarną kawę, po bardzo wczesnym, ale posilnym obiadku. Odczytywał on swemu młodszemu sąsiadowi ciekawsze ustępy *patryo-*

ticzeskoho żurnala. W odstępach pomiędzy czytaniem rozmawiali między sobą językiem mało-ruskim, w którym było mnóstwo słów i form żywcem z rosyjskiego wziętych. O obce te naleciałości bardzo im chodzilo i starali się nie zapominać o nich. Tylko w czasie goretszej dysputy, gdy zapał ich uniósł, zapominali rusycyzmu, a mięszali natomiast całe polskie zdania.

Tak, tak *otcze Łuko* — prawił siwiejący już na dobre X. Bazyli — *dożyły my horoszych czasiw.* Dawniej mieliśmy znaczenie jakieś u cesarskiego rządu. Ja sam pamiętam, jak młodym wikarym będąc, miewałem posluchania u JE. hrabiego Mensdorfa, cesarskiego namiestnika. A dziś co!...

— A co? *bida taj hodi* — odpowiadał uważny sluchacz i widoczny wielbiciel wielkości ojca Bazylego.

— Teraz do starosty dopchać się nie można — mówił starszy dalej, nie zwracając prawie uwagi na słowa towarzysza. *Wsio szlachta... taj szlachta, nużno uże raz zdielat konec z tym neszczasnem położeniem,* tak dalej być nie może, *wir werden krepiren...* Jeżeli w Wiedniu nie umieją ocenić naszych zasług, to my gdzieindziej poszukamy dla nich uznania.

— *Tolko ostorożno* — przerwał cichym głosem młodszy ksiądz — w intrygę wplątać się łatwo, byle ona na korzyść mogła nam wyjść. Tam na północy lekceważą nas sobie, używają jako narzędzi, a później... *won k'czortu matiery.* Mam kolegów, którzy dla idei tam poszli; nie najświetniej się tam im dzieje. Najgorsze parafie dano im i dokuczają nawet.

— To jak komu. Nie każdy równy na świecie — ozwał się starszy ksiądz i dumnie wzniósł głowę, a śmieszny wyraz zarozumiałości zapanował na ospałej czerwonej twarzy.

— W dodatku tutejsze urzędy polityczne coś zanadto nami zaczynają się zajmować — mówił, nie przerywając słów młodszy — starostowie pilnie śledzą nasze stosunki ze Wschodem. Ksiądz Emilian odebrał niedawno list z Kijowa, który najwyraźniej był otwieranym. *Ostorożno, ostorożno, bo można sia w lacki ruszki popasty, taj propasty.*

Na te słowa ksiądz Bazyli podniósł się z krzesła niespokojnie, zrobił kilka kroków w poprzek pokoju i stanął przed księdzem Łukaszem. Okazała postać ojca Bazylego przedstawiała się w całym blasku. Był to słuszny otyły mężczyzna, mogący liczyć czterdzieści kilka do pięćdziesięciu lat życia. Czaszka jego świeciła potężną łysiną, w około której ciągnął się smużek siwiejących już włosów. Twarz przybrała już buraczkowy odcień. Czoło miał wysokie, poorane poprzecznemi zmarszczkami. Nos duży orli, wznoszący się ponad wązkiemi i jakby zaciśniętemi ustami. Twarz okalały wązkie, nisko przystrzyżone, siwiejące już faworyty, łączące się z bujnym zarostem na podbródku.

W chwili obecnej czerwoność na twarzy przybrała bronzowo pomarańczowy odcień; z małych, siwych, metalicznie świecących oczu tryskała zupełnie nieukrywana złość, połączona z tajonym niepokojem.

— Co ty mówisz ojcze Łuko? — wołał zbliżając się do młodego księżyny. — Zkąd ty możesz wiedzieć, że starostowie nas śledzą?

— Mówił mi Pasiczeńko, ten, co jest kancelistą przy starostwie, mówił, że wié na pewno, że podsłuchał.

— Zresztą, co oni mogą dośledzić? Przecież nie zdradę stanu? O Boże, Boże, do czego my już doszli, my Rusini... *die Ruthenen*, podpory tronu. O zdradę stanu nas posądzają. Nie! nie! *Dla nas tu miścia wże ne ma, abo my ruskije lude... abo wony lachi proklati, naj sia tut łyszajut. Razom ne wytrymajem.*

W tej chwili ojciec Łuka dosłyszał dyskretne puknięcie do drzwi i zwrócił na nie uwagę zaperzonego gospodarza.

— *Wże kohoś nese* — odburknął, niechętnie przerywając krasomówczy zapał, którym sam się upajał i zawołał głośno do pukającego gościa — *Herein!*

Na to niemieckie a mało uprzejme wezwanie drzwi się otworzyły wolno i wszedł do izby Iwan Gudz. Ksiądz go nie poznał w pierwszej chwili: odziany w czarny, długi surdut,

z pod którego wyglądały śnieżnej białości kołnierzyk i mankiety, wyglądał prawie na eleganta. Widząc, że go nie poznają, przemówił pierwszy:

— *Sława Isusu Chrystu!* — wyrzekł, zbliżając się do księdza Bazylego i całując go w ramię.

— *Sława wo wiki wikow!* — odpowiedział ksiądz, uważnie przypatrując się nowo przybyłemu. — *A...a... se wy... Iwan Tanachowycz.* Z Wiednia wracacie... ha! ha! słyszałem o was dużo różnych rzeczy... oh! różnych. Siadajcie, rozgośćcie się, jak u siebie panie doktorze. Sława teraz dla Zahnilcza, że wy się tu rodzili.

— Nie wiedzieć jeszcze, czy będzie to wielka sława — odparł skromnie młody doktor.

Rozmowa ożywiła się wkrótce. Ksiądz wypytywał o Wiedeń, o słowiańskich pobratymców, o nowości polityczne. Iwan odpowiadał, jak mógł; gdy wiedział, że rozmowa na drażliwe schodzi szlaki, chciał zmienić przedmiot i zwrócił się z zapytaniem do księdza Łukasza.

— No jakże ty się miewasz Łukaszu? — rzekł, uderzając go przyjaźnie po ramieniu. — Tyś już poważny duszpasterz, a ja dotąd włóczęguję i nie wiem, i nie wiem, kiedy się to skończy? Ot! dziadowska dola.

— *Ne znaju, szczo wam skazat'* — odparł niechętnie młody ksiądz. — Nie wiem, co was może życie zwykłego popa ze wsi obchodzić? Kolegowaliśmy co prawda w gimnazyum, ale potem zaraz wy do panów przystaliście, z hrabiami byliście za panie bracie... Drogi nasze rozeszły się. Teraz sławnym autorem zostaliście i polskie i ruskie gazety o waszej książce pisały... Szczególniej polskie...

— Słuchaj Iwanie! — zawołał nagle ojciec Bazyli, nakazując X. Łukaszowi niecierpliwym ruchem ręki milczenie. — Gdzieś ty zaszedł?... czyś ty oszalał? Dwa lata temu, gdyś opuszczał to miejsce, wychodziłeś ztąd prawdziwym Rusinem, może trochę za różowo w przyszłość patrzącym, może za mało

nasze położenie odczuwającym, ale zawsze Rusinem. A dziś, coś ty za jeden?

— Rusin! ojcze, Rusin! — odrzekł z siłą głębokiego przekonania Iwan — Rusin, może lepszy, niż dawniej, bo sprawiedliwszy dla drugich. W dali od swego zaścianka pozbyłem się zupełnie parafialnych nienawiści, czy zawiści?

Jesteś Rusinem, powiadasz — przerwał mu ksiądz — a cóżeś ty w tej nieszczęsnej książce powypisywał... Tyś zapomniał już nuty naszego wielkiego Bohdana, a nucisz za ich Bohdankiem... Tobie jakaś kwinta w głowie. — Tu zaczął się śmiać ironicznie. — Bóg, świat, Polszcza, Słowiańszczyzna. Oj Iwanie, Iwanie, jakiś ty młody, jaki niedoświadczony... Polszcza, Słowiańszczyzna. a w nich Bazyli Nawrocki i Iwan Gudz, choć poeta i doktor filozofii, będą mogli sobie wesoło pańskie bezrogi za pańszczyznę na wygonie pasać. Ot tobie będzie Polszcza, ot Słowiańszczyzna, ot tam cię twój kierunek zawiedzie i tych głupich, którzy cię posłuchają.

— Ojcze, przestańcie — przerwał Iwan rozgorączkowanemu ksiedzu Bazylemu — niesprawiedliwie sądzicie. Wszystko wam z czasem objaśnię. Zostawmy dysputę na później; zabawię tu przez dwa miesiące, nagadamy się do syta. Teraz chciałbym się przywitać z panią dziekanową i z panną Eufrozyną.

Gdy wymawiał ostatnie słowa, zaczerwienił się tak mocno, że rumieniec oblał mu nawet białe czoło.

— Dziekanowa?... zapewne w lochu ogórki kwasi — odpowiedział, uśmiechając się złośliwie ksiądz Bazyli — a moja córka ot tam w trzecim pokoju... w salonie — poprawił się — gra coś na fortepianie. Chodź, panie doktorze, przypomnij się jej znajomości. Dwa lata jej nie widziałeś. Wyrosła, wyładniała... zobaczysz.

Szedł naprzód, za nim Iwan, zarumieniony, zaambarasowany, z bijącem sercem. Ojciec Bazyli sam drzwi otworzył, i wpuszczając doktora do pokoju, od progu zawołał:

— Fruziu! moje dziecko, przyprowadzam ci dawno niewidzianego gościa... Czy poznajesz?

I drzwi po tych slowach zamknął. Wrócił do księdza Lukasza, mial mu bowiem coś ważnego we cztery oczy do powiedzenia. W ten sposób pozbył się niedogodnego słuchacza.

V.

I znaleźli się sami. We dwoje tylko.

Na dźwięk słów ojca młoda dziewczyna, walcząca przed chwilą z trudnościami jakiejś nowej sztuki, próbując ją wygrać na starym, rozklepanym, wiedeńskim fortepianie, podniosła się z krzesła i rzuciła ciekawe spojrzenie czarnych ślicznych oczu w stronę Iwana.

W chwili, gdy się ich spojrzenia spotkały i ona zarumieniła się nagle i oczy ku ziemi spuściła, doktor podszedł bliżej i podał jej rękę na powitanie.

Zrazu nic do siebie nie mówili, kłopotliwe milczenie trwało chwil kilka. Pierwszy przerwał je Iwan.

— Witam was, panno Eufrozyno... — mówił drżącym, nierównym głosem, w którym czuć było silenie się na spokój. — Tak dawno was nie widziałem, ani wieści o was nie miałem. Na piękną pannę wyrośliście przez czas, kiedy ja postarzałem się.

— O! jaki pochlebca! czy nauczyłeś się pan tego w Wiedniu? — odparła śmiejąc się wesoło dziewczyna, która podczas przemowy doktora zdołała opanować chwilowe zmieszanie. — Widać, że nietylko nauce porównawczej słowiańskich gramatyk oddawałeś się pan przez czas, w którym nie widzieliśmy się. Musiałeś pan brać lekcye prawienia komplimentów... od Wiedenek... — tu rzuciła nań figlarne, prawie zalotne spojrzenie. — Co... czy nie zgadłam panie doktorze?

— Jeżeli nawet brałem — odpowiedział czule, wpatrując się w śliczną postać dziewczyny — to przekona się pani, że niewielkie uczyniłem postępy w tym trudnym kunszcie... do syta będzie pani mogła wyśmiewać się z mojej nieudolności pod tym względem.

— Zobaczymy! zobaczymy!... Choć przypuszczam, że się pan ogaduje, tak jak pan to robil zawsze...

Iwan nie odpowiadał, tylko patrzyl zdumiony. Nie spodziewal się zastać ją taką. Z dziecka prawie, jakiem ją zostawil, rozwinęła się na uroczą kobietę. Pod śniadą cerą twarzy aż czuć było można gorące strumienie krwi. W melancholijnych czarnych oczach igrał dziwny, trudny do odgadnienia wyraz, przez chwilę tęskny i rozmarzony, to znowu figlarny, drwiący prawie. Na usta, rozwarte trochę, jak wiśnie karmazynowe, Iwan nie mógł bez drżenia patrzeć. Wzrost przytem dość słuszny i rozkoszna bujna kibić zlewały się w całokształt cudownie pięknej kobiety.

Zmiana, którą teraz dopiero spostrzegal i ocenil dokładnie Iwan, onieśmielila go zupełnie. Nie wiedzial, jak dalej prowadzić rozmowę, tracil zupełnie pewność siebie, jakiś smutek głęboki ogarniać go zaczynał.

Eufrozyna znać odgadla, jakie zrobiła wrażenie na młodym doktorze, bo przez dłuższy czas nie przemówiła ani słowa. Pozwalała się uwielbiać. Wreszcie sądząc, że dość tego milczącego zachwytu, rozpoczęła na nowo przerwaną rozmowę.

— Panie doktorze! Niech pan siada — mówiła — wskazując mu fotelik obok siebie i usiadła sama — dlaczego pan tak posmutniałeś? czy nie podobało się co panu w rodzinnych stronach, których dak dawno nie widziałeś?

— Czy mi się co tu nie podobało? — powtórzył za nią machinalnie. Nagle jakby ze snu się obudził, potarł dłonią po czole i przypomnial sobie zdarzenie, które, jak sądził, mogło być dostatecznem tłumaczeniem podejrzanego smutku.

— Oh! tak zaraz przy wstępie na grunta zahnilickie doznałem wielkiej przykrości.

— Cóż to być mogło?

— Usłyszałem koło krzyża przy kapliczce, jak dziad tutejszy, nasz ruski lirnik, stary Hrehor, brat cioteczny mej nieboszczki matki śpiewał przy drodze urlopnikom piosnkę

bez sensu i związku, w dodatku obrzydliwym, pokaleczonym żołnierskim żargonem.

Panna popatrzyła nań zdziwionym, podejrzliwym wzrokiem. Teraz zdawało się jej, że doktor i poeta drwi sobie z niej parafianki. Po chwili rozśmiała się i nadrabiając miną i udając wesołość odrzekła.

— Ha! ha! ha!... I to pana zasmuca? czy pan żartuje ze mnie?

— Tak jest! Smuci mię to i bardzo nawet — mówił z dziwną powagą. — Objaw to upadku tradycyj narodowych wśród ludu wiejskiego. Dawniej dziady, lirniki oprócz dum narodowych, pieśni bohaterskich i śpiewów religijnych nic innego nie śpiewali, dziś zaczyna być już inaczej.

— Ależ na miłość boską! — przerwała mu niecierpliwie już — cóż pana mogą dziady lirniki obchodzić. Dać mu kilka centów i koniec.

— Co mnie mogą dziady lirniki obchodzić! — odpowiedział Iwan, wpatrując się przenikliwie w zmięszaną twarz dziewczyny, a w głosie dźwięczały rozczarowanie i żal głęboki. — I to wy mnie o to pytacie panno Eufrozyno... Czyż nie wiecie, żem ja bezpośrednim następcą tych ślepców wędrownych, żem ja ich syn i spadkobierca... Ja zbieram to, co oni po kraju wśród ludu rozsiali... ja także noszę lirę z sobą... i dla mnie gęśl jest i matką i siostrą... — nie domówił ostatnich słów, tylko popatrzył, jakie wrażenie poprzednie zrobiły na Eufrozynie.

— To na toście tak długo pracowali — odrzekła, rumieniąc się i ciągle biorąc to za żart — ażeby aż na dziada wyjść... Warto się było tyle uczyć, wielka mi karyera.

— Tak, tak, może być wielką karyerą — mówił ciągle poważnie poeta i w tej chwili podniósł dumnie głowę i popatrzył pewnym, śmiałym wzrokiem na zmięszaną, onieśmieloną wyrazem jego głosu dziewczynę. — O tak i to może być wielką karyerą, ale nie taką, jaką dziś ludzie za dobrą uważać zwykli... Ja przy moich pieśniach mogę być głodnym,

głodniejszym nawet od starego Hrehora... bo ja dla zarobku nie zdobędę się na pieśń o pryncu Radeckim. Jakie mię losy czekają, nie wiem, ale tą drogą pójść muszę, wstąpiłem już na nią.

Tu wyciągnął z kieszeni ładnie oprawny tomik, który przyniósł z sobą i wręczył go Eufrozynie.

— Przyniosłem wam pierwszy owoc mojej pracy: marzenia i pragnienia duszy poety. Różnie o nim ludzie sądzą. Są to pierwsze dźwięki, rozesłane przez lirnika w świat. Przeczytajcie panno Eufrozyno i powiedzcie, co o tem sądzicie — wiele mi na tem zależy.

— Toś pan sam napisał i kazał wydrukować tę książkę — mówiła panna, wpatrując się w regularne, równe, *grażdanką* drukowane strofy. — Cóż panu jednak może zależeć na moim sądzie? czyż ja rozumiem się na tem?

W tej chwili drzwi z łoskotem się otworzyły i osoba w podeszłym wieku, ale rześka jeszcze i czerstwa wbiegła do pokoju. Pośpiech, z którym wbiegła, kazał jej widocznie zapomnieć o nieładzie, jaki w jej stroju zapanował. Czepek bowiem biały, duży, przechylił się na lewo i groził spadnięciem, a długi z szarego płótna szarafan był zaledwie w połowie pozapinanym. Nie żenowało jej to widocznie, bo nie zwracając uwagi na te niedostatki, zaraz z progu zawołała wesoło, wyciągając przed siebie ręce.

— Co Iwaś?... Iwaś jest... i mnie dopiero teraz mówicie. Moje kochane dziecko — wołała przyciskając zwiędłe usta do czoła młodego doktora, który pochylił się dla ucałowania jej rąk. — O to mi gość... Iwaś... ale cóż ja stara plotę?.. Co za Iwaś?... przecież to już teraz pan doktor Jan Gudz... Et jakoś niepolitycznie Gudz... Gudz... Możeby ciebie cesarz za twoje doktorstwo Gudzowskim, albo Gudziewiczem przezwał.

— Nie, pani dziekanowo dobrodziejko! — mówił po polsku Iwan — Gudzem już na zawsze zostanę, nie wstydzę się mego chłopskiego nazwiska.

Ale gdzież znowu Gudz... — nie mogła sobie z tem dać rady dziekanowa. — Mniejsza zresztą już z tym Gudzem,

zawsze ty zostaniesz już paniczem... To mi chłopiec! przynajmniej umié i chce po ludzku w towarzystwie przemówić. Ja bo cierpieć nie mogę tego prostactwa, co to teraz nastało... mówią do nas z przeproszeniem tak, jak do Hapki lub Horpyny.

— Za to doktor Iwan pisze po rusku — przerwała staruszce wnuczka, podając jej książkę, przez Iwana przyniesioną. — Oto właśnie książka napisana przez doktora.

Staruszka z pobożną miną wzięła książkę do ręki, otworzyła ją i uważnie strofom zaczęła się przypatrywać. Wkrótce jednak oddała książkę napowrót wnuczce, i ruszając lekceważąco ramionami, rzekła:

— Także nowa moda... Mnie nie uczyli czytać temi literami.

Widząc, że jej słowa przykre wrażenie zrobiły na słuchaczu, zwróciła się wprost do niego i ze szczerością wielką mówiła:

— Hej, mój chłopcze! czy panie doktorze! Jeżeli ci już koniecznie na to pisanie poszło, to choć pisz po polsku, może kto twoją książkę kupi, może kto przeczyta... Państwa uczonego jest dosyć... A z tego ruskiego pisania pociechy nie będzie; albo to oni, ci nasi księża, książki czytają? gdzie tam, gazeta, taj gazeta, a w dodatku ani tej gazety, ani tego ich nowego gadania nikt zrozumieć nie może... Zresztą, żeby ci tak szczerze powiedzieć, to pluń na to pisanie; ani po polsku, ani po rusku, chleba tem nie zarobisz... szkoda ciebie. Masz edukacyę, zostań profesorem, będziesz miał pensyę, i koniec.

— Ja przecież i pomimo pisania zostanę profesorem — odparł poeta, uśmiechając się pobłażliwie.

— No! no! Ktoby się był spodziewał? — mówiła dalej dziekanowa, patrząc rozpromienionemi oczyma na Iwana. — Ktoby był powiedział, żeby z takiego prostego dziecka taki człowiek edukowany wyrósł?... Tylko nieboszczka Hania, moja córka, zawsze mówiła: zobaczycie, na jakiego on człowieka wyrośnie, ale ty tego Fruziu nie pamiętasz... a... a pan hrabia drugi.

— Co tam jeszcze można wiedzieć pani dziekanowo, co ze mnie będzie?

— Jakto? co można wiedzieć?... Musisz być człowiekiem porządnym *taj hodi!*

— Będę się starać — mówił, wpatrując się w czarne oczy Fruzi. — Jednak nie wiedzieć, gdzie zajdę. Nieraz to człowiek układa sobie wszystko ślicznie, nagle coś mu się w zamiarach, w planach ułożonych pomięsza... i wszystko razem licho bierze, a człowiek marnieje...

— Jeżeli marnieje, to najczęściej z własnej winy — przerwał mu ksiądz Bazyli, wchodzący w tej chwili do pokoju. — Tobie doktorze dał Bóg dużo talentu, zdobyłeś niepoślednią dozę wiedzy, a kto wie, czy nie zmarnujesz tego wszystkiego. Czytałem twoje poezye... Nie tą drogą ludzie do stanowiska i znaczenia dochodzą... Pod włos futra nie gładź, przeciw wodzie nie płyń...

Tu przerwał na chwilę i patrząc uważnie to na doktora, to na córkę, wkrótce znowu spytał:

— A gdzież zatrzymałeś się panie doktorze?... Czy nie u nas przepędzisz ten czas, który masz zabawić w Zahnilczu? Pogawędzilibyśmy o niejednej sprawie, obchodzącej nasz naród; ty teraz na prowodyra wychodzisz, możebyś choć w części mnie starego posłuchał.

— Ja mieszkam we dworze, umówiłem się z hrabią i będę przygotowywać Wacia do poprawki.

— U hrabiego! u hrabiego! — mówił ksiądz z niechęcią i sarkazmem — zapewne, że to dobra protekcya, a poeci zawsze mecenasów szukali. Tylko jak pogodzić głoszone w twych poezyach skrajne poglądy z naszym hrabią, który jest, jak ci zapewne wiadomo, skrajnym feudałem i zacofańcem. Chyba nie zna waszych wierszy, inaczej wątpię, ażeby powierzył wam wychowanie, choćby czasowe, swego syna.

— Mój ojcze! — przerwał mu Iwan porywczo, a twarz spąsowiała mu z oburzenia. — Nikogo w życiu nie oszukiwałem, tem bardziej hrabiego, któremu tak wiele zawdzięczam.

Poezye moje zna, bo sam zaczął o nich mówić i zastałem w jego gabinecie jeden egzemplarz rozcięty i przeczytany, przerwał zaperzony i chwytając piersiami pospiesznie powietrze, bo oburzenie przez chwilę oddech mu zatamowało. Uspokoiwszy się wreszcie, spojrzał na zegarek i chowając go, rzekł do kobiet:

— Już pora obiadowa, a hrabia kazał mi dziś koniecznie stawić się w porę, ażeby mnie z przyszłym uczniem bliżej zapoznać, muszę się spieszyć. Zabawię tu dwa miesiące. Jeżeli nie będę uważany za natręta, to pozwolicie mi państwo przychodzić tu częściej — dawne wspomnienia odświeżyć... odżyć między swoimi.

VI.

Po wyjściu Iwana, ksiądz Bazyli przechadzał się dość długo miarowemi krokami, czoło jego sfałdowało się, widocznie w głębokich myślach był pogrążonym. Dziekanowa i Eufrozyna stały milcząco, jakby w oczekiwaniu, z czem odezwie się wyrocznia rodzinna. Po kilku minutach zadumy, stanął przed córką i patrząc jej badawczo w oczy, przemówił z gryzącą ironią i sarkazmem:

— Ba!... ba!... Pan doktor pragnie wspomnienia odświeżać — wiem, co to znaczy? — Chce wziąć Fruzię i czterdzieści tysięcy guldenów w dodatku. — Cóż moja panna córka na to?... Może ci się ten chłopski syn podoba?

— Mój ojcze! Czyż on ci kiedy mówił, że mnie chce! — odpowiedziała Fruzia, płonąc jak piwonia. — Nie, nie! on tego nigdy nie zrobi. — Nie uczyni mi tej przykrości. — Ja go lubię i szanuję, jak brata.

— *Tyndyryndy Parasiu!* — przerwał jej ostro ojciec — otóż właśnie, że ja nie mogę pozwolić na te niby braterskie sentymenty... Piękne mi braterstwo: dwudziesto-dziewięcioletniego doktora filozofii, poety w dodatku, z siedmnastoletnią

dziewczyną... A jeszcze, jak na złość, ten doktor wyprzystojniał jakoś... niczego z niego chłopiec.

— Gdzież on tam przystojny mój tatku? — odpowiedziała, uśmiechając się wesoło panna. — Cóż za porównanie z panem adjunktem, tamten to przystojny, piękny człowiek, Iwan zaś dawny, poczciwy przyjaciel, ale gdzież on przystojny?... On tak sobie...

— Tak to lubię — ozwał się udobruchany już ksiądz. — Właśnie dlatego zrobiłem ci tę uwagę, ażeby cię przestrzedz przed zbytniem spoufaleniem się z doktorem, to mogłoby się nie podobać panu adjunktowi. A ty wiesz, jak bardzo mi na tem zależy, żeby adjunkt się z tobą ożenił. Ma on kamienicę niezgorszą we Lwowie i dobrą pensyę, no i pójdzie wysoko, wysoko. Stryj jego rodzony jest apelacyjnym konsyliarzem, a wuj, bliski wuj, jest ekscelencyą i szefem sekcyi w ministeryum sprawiedliwości. — Tak, tak, on musi pójść bardzo wysoko.

— Tatusiu! tatusiu — szepnęła zarumieniona dziewczyna, przyciskając śliczną główkę do potężnej piersi rodzica — czy on tylko mnie zechce?... On taki śliczny, taki elegancki, taki światowy.

— Czy ciebie zechce? ha! ha! ha! — rozśmiał się potężnie, spoglądając z dumą na córkę. — Czy ciebie zechce? Alboż ty co? Czy nieładna?... nie edukowana?... I na fortepianie grasz, i po francusku gadać umiesz... Nie żałowałem pieniędzy na twoją edukacyę. — No i będziesz miała czterdzieści tysięcy w posagu...

— Zawsze tatusiu on szlachcic i pan, a ja... ja... popadianka tylko — szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem.

— Co ty tam pleciesz... popadianka... Czy ty wiesz? Czy ty rozumiesz, co to jest czterdzieści tysięcy?... Ładna mi popadianka, mało dziedziców jest, którzyby mogli taki posag dać córkom... Czy ty wiesz dziecko, wiele to twój ojciec musiał się napracować, głową nakręcić, nim tyle pieniędzy zebrał dla ciebie... i tyle samo dla Aryścia? Twój brat pójdzie także wysoko, ale i tam grosz znaczy. Dziś ma-

jąc dwadzieścia siedm lat, jest już czynownikiem do osobnych poruczenji przy jenerał-gubernatorze w Wilnie. U nas byłby zaledwie auskultantem w sądzie.

Po tych słowach zamyślił się znowu głęboko. Nagle żachnął się, jakby sobie coś przypomniał, i zabierając się do wyjścia, mówił dobitnie, niby sumując poprzednią rozmowę.

— Pamiętaj moja doniu, co ci powiedziałem... *Bery Petre na rozum* i zdaleka trzymaj mi tego doktora, nie spoufalaj go, z drugiej zaś strony odstręczać go zupełnie nie należy, może uda się nam zjednać go dla naszego stronnictwa, toby był dopiero nabytek — za nim wszyscy młodzi poszliby. Teraz bywaj mi zdrowa — idę popatrzyć, czy na lewadzie siano zgarnęli? Bądź zdrowa!

— Szachrajstwo! szachrajstwo! ta jeszcze raz szachrajstwo! — zawołała z oburzeniem dziekanowa, gdy ucichł już odgłos kroków jej zięcia — Bóg z wami! ale tu błogosławieństwa Bożego nie będzie. Ja ręce umywam od tej roboty... Tfu! Tfu! paskudztwo... Tfu!

— Babusiu! babusiu — jęknęła dziewczyna, której na płacz się zbierało — babusiu!

— Co tam babusiu? — łajała dalej staruszka. Ja ręce umywam... A tobie dziecko pod błogosławieństwem nakazuję: rób co chcesz! Idź za tego, którego wolisz. Ale na jednego tylko mile spoglądaj, jednemu tylko nadzieję rób. Widzisz dziecko — mówiła miększym już głosem, gładząc zapracowaną dłonią miękkie włosy wnuczki — ja prosta kobieta, edukacyj żadnych bardzo mądrych ja nie pobierałam, nauczyli czytać, pisać, rachować i Pana Boga chwalić, ale to ci bez edukacyi powiem, że porządna kobieta tem się tylko różni od ladacznicy, że jednemu tylko nadzieję robi, jednego kocha, jednemu się oddaje na wieki, całem sercem i duszą.

— Babusiu! babusiu! — wołała dziewczyna, zgnębiona grozą głosu staruszki, która przemawiała uroczyście, niby wyrocznia w natchnieniu. — Babusiu! czyś ty mnie wiele razy na bałamuctwie pochwyciła? Czyżem ja taka, ażebym oczami

do siebie wabiła na śmiech i igraszkę! a później śmiała się i żartowała... Nie, nie! mnie tego nie potrzeba. Obejdę się bez hołdów, bez wielbicieli.

Przy tych słowach płacz, który czuć było w głosie, ale dotąd pohamować go zdołała, opanował ją zupełnie; zaszlochała żałośnie, łzy obficie z oczu jej płynęły.

— Doniuż ty moja! — wołała przerażona dziekanowa, całując serdecznie wnuczkę w czoło i w zapłakane oczy — Doniuż ty moja serdeczna! dziecko kochane! Nie płacz, oczu czarnych szkoda. Ot, ja głupia stara, rozgadałam się, nagderała. Nieznośna ze mnie starucha, tylko dokuczać dziecku potrafię... No cyt! doniu, cyt!

— Oj nie, babusiu, nie! — odpowiedziała załzawionym głosem rozszlochana dziewczyna — nie od dokuczania, a gderania waszego te łzy płyną, ale tak same z siebie... Tak mi jakoś ciężko na sercu, boleśnie w duszy, sama nie wiem, który mi milszy? Pan adjunkt... jeszcze dziś rano o nim tylko myślałam. A teraz, teraz Iwan przyjechał. Ja go jak brata miłuję... Oj babciu, babciu! Żeby on rozum miał, a innej miłości, oprócz braterskiej, odemnie nie żądał.

— Cyt! detyńko, cyt! — przerwała jej z zabobonną trwogą staruszka. — Nie mów tego, żebyś w złą godzinę nie powiedziała, żebyś później na te słowa własne nie narzekała, nie modliła się o jedno jego spojrzenie. Człowiek nie wié, co go w życiu czeka i czego jutro pragnąć będzie. Ty sama dziś nie wiesz, czego chcesz, co ci się po duszy snuje. Poczekaj, podumaj, to serce ci samo powié, który ci milszy. Kochania niczem nie zagłuszysz, nie oszukasz...

I zabierała się do wyjścia.

— Gdzie babusiu idziesz? — pytała pieszczotliwie Fruzia, tuląc się do ramienia dziekanowej. — Idziesz, a mnie samą zostawiasz z myślami tylko, z myślami o kochaniu. — I z poza łez zabłysnął znowu w jej oczach wesoły, filuterny uśmiech.

— Muszę iść do lochu, dokwasić ten nieszczęśliwy półbeczek ogórków. Na Feśkę w niczem spuścić się nie można,

zawsze coś zmaluje. Ty doniu zostań sama i dumaj... oh! dumaj dziewczyno... od tego, jak wydumasz, szczęście całego twego życia zależy.

Po tych słowach wyszła pospiesznie.

VII.

Eufrozyna została sama.

Zrazu stała nieruchomie na tem samem miejscu, gdzie ją staruszka pozostawiła, później niepokój jakiś ogarnął ją, zaczęła prędko biegać po pokoju bez celu.

Wreszcie spostrzegła książkę, pozostawioną przez doktora, wzięła ją do ręki i poczęła pospiesznie przeglądać jej treść. Nagle jakiś wiersz zwrócił jej uwagę, przeczytała go uważnie. Przeczytała raz i drugi. Następnie przerzuciła znowu kilka kartek bezmyślnie i znowu trafiła na jakiś wiersz, który ją więcej zajął, powtarzało się to kilka razy.

W miarę czytania, zaduma jakaś ogarnęła ją. Zwolna tłum myśli opanował ją zupełnie, ręce wraz z książką opuściła bezwładnie na kolana, a zamyślone oczy zwróciła w dal przed siebie. Przez otwarte okno wyraźnie widać było front hrabiowskiego dworu, długi szereg błyszczących okien. A w koło dworca zielenialy odwieczne lipy.

Patrzyła na ten dobrze jej znany widok, lecz myśl jej była gdzieś daleko, bujała po przestworach minionej przeszłości. Przypominała sobie, jak dawno, dawno, dziś zdawało się jej, że to sto lat temu, gdy była jeszcze małą, drobną dziecina, przychodzili chłopcy ze dworu do jej brata Arystyda na zabawę. Pamięta śliczną twarz przedwcześnie zmarłego hrabiego Kazimierza, jego duże, czarne oczy. I drugiego pamiętała — Iwasia. On był mniejszy, nieśmiały blondynek, o lnianych włosach — błękitnych oczkach i okrągłej twarzy.

Choć był o tyle starszym, lubiła go jednak bardzo, bajki jej bowiem opowiadał, piosnki śpiewał i umiał doskonale z dzieckiem się bawić, on wówczas już kilkunastoletni chłopak.

Później, później, gdy zaczęła już podrastać, rzadziej go widywała. Na wakacye już tylko z jej bratem i młodym hrabiczem przyjeżdżał. Zmienił się był bardzo, twarz mu się była przedłużyła, oczy pociemniały. Dla niej jednak zawsze był taki sam, zawsze dobry, bardzo dobry. On pierwszy ją czytać uczył. Dla niej zawsze przywoził z miasta podarunki.

Teraz przypomniała sobie dokładnie, jak raz, gdy już była podrosłą dziewczynką, wybrali się wszyscy razem na ożyny do lasu. Niespodziewanie nadeszła chmura, zerwała się burza, pioruny zaczęły bić. Jej brat i hrabia pierwsi uciekli, ją zostawili z Iwasiem tylko, ale Iwaś był już słuszny i silny, był już studentem uniwersytetu, nie bała się przy nim niczego. Wziął ją za rękę i tak biegli, co im sił starczyło ku wsi. Wreszcie zaczęła słabnąć, dziecięce siły opuszczały ją — upadła na drodze. Wtenczas Iwaś wziął ją na ręce, ona drobnemi rączętami objęła go za szyję i tak przed pierwszemi kroplami ulewy przyniósł ją do domu.

Później coraz rzadziej go widywała. Przyjeżdżał na krótko. Opowiadał tylko o swoich naukach, o pracy na kawałek chleba. — Czasami opisywał jej, jak w czasie feryj z kijem w ręku, z zawiniątkiem na plecach, zwiedzał każdy zakątek rodzinnej ziemi. — Ona go słuchała, z zachwytem w jego twarz wpatrując się, bo i ona pragnęła wówczas puścić się z nim na taką wędrówkę — pieśniby słuchała, dalekim górom, o śnieżnych szczytach chciała się przypatrywać — zbliska, tak, jak to Iwaś robił.

Jakoś w tym czasie przywieźli do Zahnilcza młodego hrabiego — z kulą w piersi. Iwaś był przy nieboszczyku, on go sam przywiózł. Oh! ona pamięta, że gdy już księża kazania i mowy pogrzebowe pokończyli, kiedy mieli już gróbarze białą metalową trumnę do sklepów znosić, wówczas z pomiędzy grona kolegów i przyjaciół zabitego wystąpił Iwan — i przemawiał natchnionym głosem nad trumną przyjaciela.

Z oczu mu łzy obficie spływały, ale obok nich tryskał zapał promienny, a od czoła biła jasność jakaś niepochwytna,

jakby snop światła słonecznego, rozjaśniając smutny, szary, jesienny dzień. On przestawał płakać, wszyscy obecni zaczynali natomiast. Skończył wreszcie. Wszyscy panowie i młodzi i starzy ściskać go serdecznie zaczęli. On mimo smutku i boleści patrzał przed siebie, jak zwycięzca. Dotychczas widzi go oczyma duszy. Twarz jakby natchniona, tryumfem upojona, oczy dumnie w dal spoglądające. Był prawie piękny w tej chwili.

Dopiero gdy miała szesnasty rok, przyjechał znowu Iwan, na całe już wakacye. Bawił wówczas trzy miesiące. Już ją po imieniu nie nazywał, ona wiedziała, że inaczej być nie może. — Pan Jan... pan Iwan ukończył był już uniwersytet we Lwowie, lecz nie chciał na tem poprzestać, pragnął szerszej wiedzy, głębszej nauki, do Wiednia się wybierał.

Wówczas tak samo prawie wyglądał jak teraz, wąsy miał takie same, duże, jasne i włosy krótko przystrzyżone, tylko nie było jeszcze tych dwóch głębokich, podłużnych bruzd, które mu się teraz na czole pomiędzy brwiami tak wyraźnie zarysowały.

Jakże miłe wspomnienia zostały jej z tej jego ostatniej bytności. On jej opowiadał o sławie dawnych ruskich czasów, o walecznych książętach i nadobnych księżniczkach Rurykowego szczepu. Czasem wpadał w zadumę, po której przejściu przesuwał przed jej młodą wyobraźnią obrazy przyszłości, swe marzenia i rojenia, zdradzał nawet swe ambitne zamiary, żądzę sławy, która duszę płomienistą w nieznane, zaledwie przeczute krainy unosiła.

Z dawnych towarzyszy dzieciństwa miała teraz tylko jego jednego. Brat jej pojechał daleko na północ karyery szukać. Hrabia Kazimierz spoczywał cicho w lochach cmentarnej kaplicy. On jeden pozostał, a zawsze był taki dla niej dobry, poczciwy.

On to dał jej poznać ruskich narodowych poetów, lecz im nie mogły wystarczyć jednostronne tony Szewczenki i Fedkowicza, potrzebowali innego pokarmu dla rozmarzonych dusz. On wprowadził ją w czarowne, cudne krainy, malowane przez

polskich mistrzów pióra; razem czytali utwory Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

Na kilka dni przed odjazdem przeczytał jej cudowną pieśń miłości: »W Szwajcaryi«. Ona patrzyła nań wówczas, urocze strofy z ust mu prawie chwytała. Podczas tego czytania zauważyła, że dziwnie jakoś na nią spogląda, że dla niej ma inne spojrzenie niż dla innych... Niepokój jakiś ogarnął ją. Obawiać się czegoś zaczęła, nie mogąc odgadnąć czego!... Nie mogła z nim być taką jak dawniej — nie czuła już w nim brata.

Wkrótce potem wyjechał. Pamięta teraz, przypomina sobie doskonale, jak żegnając się z nią, podawał jej drżącą rękę, polecając jej mały tomik polskiego wieszcza miłości, który zostawił jej — na pamiątkę. Oczy jego mówiły więcej... o dużo więcej, ale ona udała, że nie rozumié.

Teraz powrócił. Rojenia jego młodzieńcze spełniać się zaczynają. Oto ma w ręku książkę przez niego napisaną. Czyta i przypomina sobie niejednę myśl, którą on jej dziecinnej naówczas wyobraźni przedstawiał. A tu, w tym wierszu, w tej strofie widzi siebie, czuje, że to do niej skierowane te namiętne, płomienne słowa poety... żar jakiś mózg jej przejmuje... czuje, jak rumieni się cała, na czole zarysowuje zmarszczka niezadowolenia, czy gniewu? I znowu z ciekawością spogląda na białe kartki książki.

Nagle zerwała się z fotelu, książkę gniewnie rzuciła na stolik, i zmarszczywszy brwi, szybko zaczęła przechodzić się po pokoju.

— Kto mu na to pozwolił? — szeptała przez zaciśnięte usta. — Czyżem go upoważniła do tego? Jakie on ma prawo?

Gniew w niej wzbierał widocznie, bo tupnęła nagle nóżką i znowu szeptała:

— Nie, nie! nie ma zupełnie prawa. Jam go tylko lubiła i lubię dotychczas, jak brata, jak przyjaciela, inaczej nie potrafię. O, tamten jest inny... Iwaś jest dobry, poczciwy, ale jakiś zwykły, prozaicznie wygląda... Pisze ślicznie o miłości,

powiedzieć jednak tego nie umié, jakby się obawiał czegoś. Nie! ja pana Adolfa wolę.... on taki śliczny, zresztą ojciec sobie tego życzy.

Nagle rozśmiała się wesoło.

— Jakam ja głupia — zawołała już głośno, śmiejąc się ciągle — kłopot sobie sama wymyślam. Może ja mu nawet nie w głowie. Ot, zwyczajnie poeta, pisze, co mu myśl na pióro przyniesie, a ja gryzę się Bóg wié czem.

Usiadła do fortepianu — i wnet skoczne tony straussowskiego »Kusswalca« zagłuszyły zupełnie marzenia.

VIII.

Iwan wracał z probostwa zasmucony. Jakiś niepokój nieokreślony miotał nim.

Zwyczajem wszystkich idealistów i poetów, stworzył on wewnątrz swej istoty, wysnuł z własnej duszy prześliczny obraz przyszłości, w którym główną rolę odgrywała Eufrozyna, ideał poety, kochanka duszy rozmarzonej — towarzyszka doli skromnego pieśniarza. Nie liczył się z tem, że Eufrozyna, przez niego stworzona, była zupełnie inna, niż Eufrozyna, rzeczywista córka proboszcza z Zahnilcza.

Dotychczas z przeciwnościami się nie spotkał. Co od niego samego zależało, spełnił święcie. Wiedzę przebojem zdobył, zadatki sławy posiadł — ludzie o nim mówili, pisali, do chwili obecnej świat cały i przyszłość przedstawiały mu się w różowych kolorach.

Dziś doświadczył po raz pierwszy istotnie bolesnego niepowodzenia, dotkliwego zawodu.

Tłumaczył sobie jak mógł. Czuł jednak w głębi duszy, że pierwsze po długiej rozłące spotkanie z ukochaną dziewczyną nie było takiem, jakiem je on sobie w snach tęsknych przedstawiał. Ona witała go tak, jak się wita dawno niewidzianego, trochę zapomnianego przyjaciela. Czyż ona nie odczu-

wała jego myśli, jego marzeń, które w czasie ich niewidzenia ustawicznie przy niej były, przypominać go jej miały.

Daremnie oczekiwał czulszego spojrzenia, napróżno szukał śladów wzruszenia. Nie, ona była dlań zimną, choć życzliwą na oko. Tłumaczył to sobie, jak mógł, a zawsze na swoją korzyść. Zaczynał się łudzić, wpadał w ten tak zwykły stan u idealistów. Niektórzy z nich całe życie w złudzeniu przepędzają, przeplatając je sporadycznemi rozczarowaniami, które znowu nowemi złudzeniami leczą.

— Młoda, nieśmiała dziewczyna... — tłumaczył sam sobie, kreśląc dużą głoskę *E* na piasku. — Czyż mogłem spodziewać się nawet, że mi się pierwsza na szyję rzuci. Ja nie mam prawa posądzać ją o to, że mnie zapomniała — tu przerwał pracę kreślenia jej litery i zamyślił się głęboko, a uśmiech rozkoszny rozjaśnił zasępioną twarz. — Czyż ona mogła zapomnieć? — szeptał dalej — jak po przeczytaniu *Przedświtu* mówiła, patrząc na mnie cudnemi oczyma, że największą rozkoszą, szczęściem najwyższem jest dla kobiety zostać towarzyszką poety, gwiazdą dla duszy pieśniarza, że trudem najmilszym harfę przed nim nosić... Nie! ona tego nie mogła zapomnieć — to nieśmiałość tylko.

Tak w myślach pogrążony, szedł ze spuszczoną głową, noga za nogą, nie zwracając uwagi na otoczenie i nie spostrzegł się nawet, jak znalazł się w bramie dworskiego dziedzińca. Z zamyślenia wyrwał go odgłos pospiesznych kroków; nim zdołał podnieść głowę, już go ktoś silnie chwycił za rękę, potrząsając nią na powitanie.

— Budzę cię panie doktorze! — wołał młodziutki Wacław, śmiejąc się serdecznie z niespodzianki, którą mu sprawił. — Cóżeś się pan tak głęboko zamyślił? Czy przestrasza pana osławiona w świecie moja pojętność, której masz pan dopomódz do przejścia Rubikonu... Nie bój się doktorze! — Nie taki djabeł straszny jak go malują. — Słowo daję, że będę się uczył — będę kuł jak kowal prawdziwy, żeby się raz z tego nieznośnego gimnazyum wydobyć.

— Dziękuję ci za obietnicę, rzekł, zbierając rozpierzchłe myśli Iwan. — I ja ani na chwilę nie tracę nadziei, że damy sobie radę i zadrwimy z przeciwności, które nas ustawicznie prześladowały.

— Już pan żartować ze mnie zaczyna i z moich nieszczęść. — Musi pan być bardzo głodny. — Spieszmy się do stołu, bo już po wazę z kredensu posłali.

— To chodźmy — rzekł Iwan i weszli do ganku, gdzie siedział hrabia, wydmuchując ostatki dymu z dopalającej się fajki. Widząc ich obu nadchodzących, wołał do Iwana.

— Ślicznie jak na początek — punktualność wzorowa, ani minuty nie czekaliśmy na ciebie doktorze, nawet — tu spojrzał na zegarek — dwie minuty przed terminem. — Obawiałem się, że dziś bez obiadu będziesz, bo mogłeś tam przyjść już po ich obiedzie, a zasiedziawszy się, o moim zapomnieć. No chodźcie chłopcy, właśnie wazę ponieśli.

Przy obiedzie Iwan jadł mało, zamyślał się tak, że hrabia czasem musiał powtarzać skierowane do niego pytania. Gospodarz za to był rozmowny i ożywiony niezwykle, nawet z Wacia żartował, co było oznaką najlepszego już humoru. Po kolei zeszła rozmowa na miejscowego proboszcza.

— Cóż tam nasz *borytel nacyonalytetu* porabia? Jak cię przyjął? Czy wyrzucał ci już, żeś się Lachom zaprzedał?

Iwan odpowiedział wymijająco, hrabia zrozumiał to odrazu i niecierpliwie ponowił pytanie.

— Nie wykręcaj mi się! — mówił — a powiedz otwarcie, jakie nasz dobrodziej zrobił na tobie wrażenie? Czy gadał co z tobą o publicznych sprawach? Pewno chciał cię dla swoich zwerbować?

— Kiedy się hrabia domaga, to powiem, że kilka razy skierowywał rozmowę na polityczne tory, ale nie dałem się wciągnąć. Znam ja te polityczne rozmowy z księdzem Bazylim, w dyspucie on zagorzały jak żyd w tańcu, unosi się niepotrzebnie, a finał zawsze jednaki — *sojedynienije*.

— Wiem! wiem! — przerwał mu gospodarz — umyślnie tylko zapytałem cię, aby się przekonać, czy się poznałeś na farbowanych lisach? — Bo jeżeli myślisz, że on jest tylko i jedynie wielbicielem północy, to się mylisz. On na dwu stołkach siedzi.

— Jakto na dwu? — zapytał się ciekawie Iwan.

— Tak jak oni wszyscy — odpowiedział poważnie hrabia. Chcieliby z dwóch stron korzyści ciągnąć... Patrz tylko na naszego Nawrockiego: syna posłał do Wilna, żeby się tam czynu dosłużył, blagując i czapkując; uda się mu, wszak znasz Arystyda? Sam do Wiednia cichaczem lata i w banku mikołajskim w radzie nadzorczej siedzi. Kręci światem jak może, drze łyka gdzie się uda. Bardzo się obawiam, żeby on w tej krętej żegludze pomiędzy Scyllą a Charybdą nie natknął się na skałę, którą u nas prozaicznie c. k. prokuratoryą zowią.

— I jabym się tego obawiał — rzekł Iwan — ale co do pierwszego twierdzenia, to nie zrozumiałem dokładnie... Wilno i bank to według mnie jest jeden i ten sam stołek... Do Wiednia jeździ w interesie banku. Drugiego stołka dojrzeć nie mogę.

— Cierpliwości gorączko! Cierpliwości! — przerwał mu hrabia, podnosząc rękę w górę — Hola! poczekaj, zaraz ci drugi stołek pokażę... Tomasz ponalewajno wina... doktorowi do szklanki. A może syn w Wilnie, w razie czegoś nieprzewidzianego schronienie dla papy przygotowuje, zapewne, ale nasz Bazyli ma córkę, którą znasz, śliczną Fruzię — mówiąc te słowa, spojrzał badawczo na gwałtownie zarumienionego doktora. — Otóż piękną pannę Fruzię przeznacza nasz wielebny na to, ażeby na drugim stołku usiadła i dla niego punkt oparcia stanowiła... On wié, że zawsze dobrze zostawiać furtki do odwrotu.

— Nie rozumiem jeszcze, panie hrabio — bąknął zmieniony Iwan zdławionym głosem — nie mogę domyśleć się, na jakim to stołku ma usiąść panna Eufrozyna.

— Na naszym państwowym, poeto! Na austryackim, obitym czarno-żółtym adamaszkiem. A tyś może myślał, że

na waszym narodowym ruskim? Nie, to byłoby zanadto niepraktyczne... Bazyli jest mądry, i do ruskiej narodowości przyznaje się tylko wtedy, jak potrzebuje narzekać na polskie prześladowania i pański ucisk. Bez tej przyczyny ruska narodowość nic nie warta.

I rozśmiał się hrabia ironicznie; lecz baczny postrzegacz byłby odczuł w śmiechu tym i odcień prawdziwej boleści.

Iwan patrzył nań ze wzmagającym się niepokojem. Mówić nic nie mógł, coś mu głos tamowało. Hrabia spojrzał nań ze współczuciem i po chwili mówił dalej:

— Musisz wiedzieć, że Fruzi do szczętu w głowie przewrócili, była taką miłą dziewczynką, a dziś sama nie wié, czem jest i czego chce. Przeszłego roku wyprawił ją ten stary, nie wiem po co, do Lwowa, do jakiejś, kat tam jej nazwisko spamięta, konsyliarzowej, swej powinowatej, niby dla dokończenia edukacyi. Nauczyła się tam paplać po francusku, ale Boże odpuść jak... grać trochę na fortepianie, popsuła sobie lekcyami śpiewu swój dawny nieuczony głos... i w dodatku poznała pana Ehrenfelda, adjunkta sądowego.

Iwan siedział, jak na żarzących węglach, oczu z hrabiego nie spuszczał, pragnąc doczekać się końca; hrabia jednak nie spieszył się, mówił dalej powoli, ale z gryzącą ironią:

— Tak pana Ehrenfelda. A nie myśl sobie, ażeby pan adjunkt był... tak, byle co... Nie, jest to Adolf Edler von Ehrenfeld, brataniec konsyliarza w apelacyi, siostrzeniec jakiejś tam wiedeńskiej ekscelencyi w ministeryum, więc osoba, która zechce reprezentować w naszem sądownictwie żywioł czysto krajowy, *echt*-galicyjski... Na tym to stołeczku Bazyli pragnie posadzić swą córkę. A i pan adjunkt nie od tego, zwąchał pismo nosem, dośledził, że pop grosza nazbierał, więc robi czułe miny; teraz postarał się o to, że go do naszego sądu przenieśli i co sobotę do Zahnilcza przyjeżdża — w zaloty.

— Czyż ona za niego pójdzie? — wybuchnął doktor drżącym, nerwowym głosem, trzęsąc się cały. — Czyż ona go zechce?... Ehrenfeld ... Adolf Ehrenfeld, przypominam go

sobie, to mój kolega, tak, tak, Ehrenfeld, Dolko ... ależ panie hrabio, on był, z przeproszeniem, głupi, jak stołowe nogi.

— A czy ja ci przeczę? Głupi, to głupi, nie twoja rzecz, ale jaki ładny, śliczny, powiadam ci, jaką ma brodę w klin, a grzywkę, aż miło. Gdyby był kamerdynerem, to w Paryżu możnaby nim furorę robić...

Iwan nic już nie odpowiedział, siedział jak struty do końca obiadu.

Hrabia musiał zauważyć, jak przykre wrażenie zrobiła na nim ta kwestya, bo więcej do niej nie powracał.

Po obiedzie doktór wymówił się od czarnej kawy i cygar, poszedł do siebie; tłumaczył się tem, że musi przygotować się do jutrzejszej lekcyi z Waciem.

Gdy wyszedł, hrabia szepnął pod wąsem:

Oto licho mu nadało, zakochało się chłopczysko w naszej popadiance; nie dadzą mu jej... Zawsze dobrze, żem dostrzegł — myślał dalej — wiem, że z tem żartować nie można, muszę uważać, żeby mi się chłopiec nie zmarnował. Zapalone to jeszcze, ale materyał jest. — I zapalił fajkę, puszczając na pocieszenie ogromny kłąb dymu.

Iwan przyszedłszy do swego pokoju, ani myślał o jakowemś przygotowaniu do jutrzejszej lekcyi. Padł bezwładny na na pierwszy z brzegu fotel i siedział, oparłszy głowę na poręczy. — Straszne myśli, jak Eumenidy dręczyć go zaczęły. Poczuł w piersi jad zazdrości, niedoświadczanej dotąd nigdy w życiu. W pierwszej chwili wydało mu się, że wszystko już przepadło, że raj wymarzony rozprysnął się jak bańka mydlana, że mu już nic na świecie nie pozostaje, że koniec jego zbliża się już.

Był jednak optymistą. Wolał przyjemne złudzenie, od przykrej, bolesnej rzeczywistości. Zaczął zwolna wszystko na na lepsze sobie tłumaczyć i stopniowo twarz mu się rozjaśniała.

— Cóż że ojciec życzy sobie tego? — myślał w duszy — to jeszcze nie dowód, że i córka tego chce, zresztą ojciec nie

ma na nią zbyt wielkiego wpływu. Eufrozyna daleko więcej babce ufa, a ta, wiem to doskonale, kocha mnie jak syna.

Tu zaczął rozpamiętywać i przypominać sobie wszystkie dowody przywiązania starej dziekanowej.

— Nie powinienem upadać na duchu — tłumaczył sam sobie w myśli. — Wątpić, to niegodne mnie, niegodne jej. Wątpiąc w jej stałość, ubliżam jej bardzo. Czyż można nawet przypuszczać, żeby tak młoda dziewczyna była zalotną — kokietką?

Pomyślawszy to, zarumienił się po same białka, wydało mu się bowiem, że stał się niesprawiedliwym.

— Niech sobie mówią, co chcą — marzył dalej — ja jestem pewny, że ona mnie kocha. Pamiętam jej spojrzenie — tak patrzy młode dziewczę tylko na tego, kogo na wieki pokocha.

Stał w oknie, z którego widać było plebanię i nie zdołała się ukryć przed bystrem okiem Iwana różowa sukienka, migająca pomiędzy drzewami księżego sadu. W tej samej sukience widział ją przed godziną, tak, to ona. Patrzył na nią i znowu szeptał do niej w marzeniu:

— Tak ja tobie ufam najdroższa, tobie jedyna, ale ty zaufaj mnie, nie zawiedziesz się, nie ulęknę się niczego, ani pracy, ani znoju, stanę oko w oko z każdem niebezpieczeństwem, zedrę maskę z każdej podłości... Aż tu na tem, pocałunkami twojemi okrytem czole, spocznie wieniec wawrzynu, włożony przez wdzięczny naród. I ty spoczniesz w cieniu tego wawrzynowego wieńca, podzielisz sławę poety, któregoś pierwsza ocenić zdołała.

Sukienka znikła z oczu. On zamknął okno i usiadł przy sekretarzyku do pisania. Wieczór się zrobił, podano światło, on pracował dalej. Dopiero około północy przestał i wyszedł do ogrodu odetchnąć powietrzem nocy letniej, rozkoszować się poezyą rozlaną w całej naturze.

Woń kwiatu lipowego nasycała całą przyrodę. Tu i owdzie w zaroślach śpiewał słowik, żab chóry odzywały się

w sąsiednich stawach, a smętna nuta »sopilki« dodana do tego koncertu przez jakiegoś samorodnego artystę, zlewała się w harmonijną całość.

Iwan wrażliwy na piękno przyrody, z rokoszą napawał się niem. Na twarz wybiegł mu znowu uśmiech szczęścia, a w duszy znowu zaczynał marzyć na wesołą nutę.

Wtem rozległ się z dachu starego lamusa złowrogi głos puszczyka. — Puhu! puhu! puhu! — huczało szkaradne stworzenie i śmiało się przytem przeraźliwie, szatańsko.

Iwan wstrząsnął się cały i coprędzej uciekł do pokoju.

IX.

Był to ważny dzień w życiu Iwana.

Od tego dnia rozpoczęły się dlań chwile pełne trosk i niepokojów — momenty złudzeń, w których czuł się najszczęśliwszym między śmiertelnymi, w których chciałby był cały świat do wrzącej piersi przycisnąć — godziny, dnie całe zwątpienia strasznego, rozpaczy bezgranicznej, kiedy świat zdawał mu się grobem stęchłym, ludzie szatanami lub małpami.

Pomimo codziennych lekcyj z Waciem, którym oddawał się z całem zamiłowaniem i wielkim skutkiem, chłopiec bowiem robił znaczne postępy i nie ulegało już wątpliwości, że egzamin zda; pomimo długich rozmów z hrabią, znalazł on prawie codziennie czas na wizytę w domu księdza Bazylego.

Zachowanie Eufrozyny dziwnem mu się wydawało. Była dlań zawsze równie przyjaźnie usposobioną, starała się jednak unikać pozostania z nim sam na sam. Po tygodniu pobytu Iwana w Zahnilczu zjawiła się na probostwie, jakby umyślnie dla stróżowania sprowadzona, panna Natalia, krewna dziekanowej, nauczycielka szkoły żeńskiej w Stanisławowie.

Natalia nie była strasznym smokiem. Dwudziestokilkoletnia szatynka, owalnej twarzy i piwnych oczu, ładna, dowcipna, dość złośliwa nawet, stała się bardzo miłą towarzyszką.

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN

Nad spodziewanie swoje, odkrył wkrótce Iwan, że panna Natalia była wcale wykształconą osóbką i niezwykle oczytaną. Obecność jej nietylko, że nie była mu przykrą, przeciwnie nieraz wdzięczny był za nią.

Od czasu do czasu wpadał Iwan w paroksyzmy zupełnego zniechęcenia, rozstroju jakiegoś fizycznego i moralnego. Wówczas dzień cały, czasem i dwa nie pokazywał się on na plebanii. Dłużej nie mógł wytrzymać. Szedł znowu ze zwieszoną głową, niby na ścięcie wiedziony. Nienawidził wówczas sam siebie, pogardzał sobą.

Lecz dość było, żeby Eufrozyna, patrząc na jego zgnębioną zasępioną twarz, uśmiechnęła się do niego życzliwie, słówko jakie, dające się na jego korzyść wytłumaczyć, rzekła, wówczas wpadał w drugą ostateczność. Wmawiał w siebie, że owe niepokoje i rozpacze były spowodowane czczem przywidzeniem, że niemi Eufrozynie ubliża, że ma nieznośny, nerwowy temperament, że nieszczęście sam w sobie nosi.

Natalia stawała się mimowolnie powiernicą jego nieszczęść, zyskała zupełnie zaufanie; przed nią najlepiej lubił wygadywać na siebie, malować się w najczarniejszych kolorach. Ona śmiała się z niego życzliwie, polubiła go i szanowała bardzo.

W drugą sobotę po przyjeździe Iwana, przy obiedzie, niby przypadkiem powiedział mu hrabia, że wracając z konnej przejażdżki, spotkał pana adjunkta, jadącego na probostwo.

Po obiedzie wybrał się Iwan na oględziny rywala. Zobaczywszy począł go mniej lekceważyć, a tem samem niepokój większy ogarnywał go.

Pan adjunkt był człowiekiem posiadającym tę przeciętną ogładę, ten polor towarzyski wystarczający w świecie zupełnie. W warstwach bogatszego mieszaństwa i biurokracyi uchodzić mógł za ideał skończony. Światem zaś literatów i profesorów, wyższą inteligencyą głęboko pogardzał i unikał go stale, czuł się bowiem tam nie swój i nie mógł odgadnąć, czego ci ludzie chcieli i gdzie dążyli.

Fizycznie w rzeczy samej był bardzo przystojny, prawie piękny, gdyby nie wyraz bezmyślności, przeglądający z ciemnych, złotawym, metalicznym blaskiem mieniących się oczu, gdyby nie piętno głupiej zarozumiałości i napuszystej pewności siebie, rozlewającej się na pięknem owalnem obliczu i nadający ślicznie wykrojonym ustom jakiś śmieszny i równocześnie niemiły wyraz.

Słuszny wzrost i zgrabną figurę szpecił jakby umyślnie wyszukanem, śmiesznie pretensyonalnem ubraniem. Starał się udawać w tem niektórych paniczów, których widywał we Lwowie i Wiedniu, ale fantazyjne garnitury od Franka i Gunkla różniły się bardzo od elaboratów jakiegoś trzeciorzędnego lwowskiego krawca — i one zresztą nie były szczytem estetycznego smaku.

Wogóle był to człowiek jakby stworzony na to, ażeby zrobić karyerę. Uczył się skrupulatnie tylko tyle, ile mu to było potrzebne do jego fachu; co po za programem egzaminu państwowego leżało, uważał za głupstwo, niewarte tego, żeby się niem człowiek »seryo« zajmował, a uważał się za człowieka »bardzo seryo«.

Obecnie po złożeniu ostatniego państwowego egzaminu, po otrzymaniu niezłego, jak na początek, miejsca, uznał za stosowne ożenić się, o ile się to uda, bogato — i robił wszystko, co uważał za stosowne w tym interesie.

Iwan poznał go odrazu; on nie mógł sobie przypomnieć. Ten brak pamięci, może zupełnie niezmyślony, rozdrażnił Iwana. Zaraz na wstępie powiedział mu, że poznałby go na końcu świata właśnie po tym nieszczęsnym »braku pamięci«, którym w szkołach już tak słynął.

Adjunkt się nie bronił zupełnie, nie odcinał; to jeszcze bardziej rozdrażniało Iwana. Wpadł też w cierpkie, uszczypliwe usposobienie, a miał przedmiot, na który mógł skutki swego humoru wywrzeć. Gryzł więc wyperfumowanego eleganta ironicznemi przycinkami, kąsał sarkazmem bezlitosnym. Wszystko było nadaremne.

Pan adjunkt nie umiał, czy nie chciał poznać się na złośliwości doktora. Jak bezsilne strzały odbijają się od hartownego pancerza, tak odskakiwały od podwatowanej zlekka piersi eleganta pociski dowcipu Iwanowego. — Nie podnosił ich wcale, nie odpowiadał na nie. — Zajęty był właśnie, opowiadał Eufrozynie wrażenia, odniesione w przejażdżce do Wiednia, którą odbył temi czasy w celu odwiedzenia Jego Ekscelencyi najukochańszego wujaszka.

Wszyscy kiwali pobożnie głowami na wspomnienie tak dostojnego nazwiska; a dowodzenie Iwana, że w Wiedniu Ekscelencya nie jest znowu tak wielką rzadkością, przyjęto z oburzeniem.

Po opisaniu tualet widzianych na Grabenie i w operze, pan adjunkt uczuł, że repertoar dzisiejszy wyczerpał zupełnie, uznał więc za stosowne cofnąć się.

Powstał więc i rozpoczął uroczyste pożegnania ucałowaniem zapracowanej ręki poczciwej dziekanowej, a zakończył ogólnym ukłonem i poleceniem swej osoby pamięci i względom całej szanownej rodziny.

Z Iwanem pożegnał się na samym końcu, nie omieszkał jednak powiedzieć mu, że było mu bardzo miło poznać człowieka, który położył już pewne zasługi — a w przyszłości popchnie zapewne na nowe tory literaturę ruskiego narodu, literaturę, którą on uważa właściwie za ojczystą, ojciec jego bowiem był synem Tyrolczyka i Rusinki.

Iwan powiedział mu, że on pan adjunkt jest jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie, bo może się radować i cieszyć w jednym stopniu, z rozwoju rozmaitych literatur: polskiej, ruskiej, czeskiej, może i węgierskiej — tyrolskiej wreszcie, bo jak zauważył, wszystkie te narodowości miały zaszczyt być reprezentowanemi w jego drzewie genealogicznem. Dodał wreszcie, że bardzo żałuje, iż nie może powitać w nim brata po piórze, bo w takim razie ufałby, że dawny meternichowski ideał tworzenia ogólno państwowej literatury, znalazłby urzeczywistnienie.

Ehrenfeld i to przyjął za dobrą monetę, za komplement słusznie mu należący się i czulem ściśnięciem ręki pożegnał poetę, który zaczynał podobać mu się nawet. Za rywala nie uważał go, nawet na myśl nie mogło mu przyjść, ażeby syn chłopa, jakiś tam Iwan Gudz, mógł roić sobie, mógł śnić o pozyskaniu ręki panny, mającej czterdzieści tysięcy guldenów posagu, a tembardziej śmiał rywalizować z nim — szlachetnie urodzonym Adolfem von Ehrenfeld... Ani przez chwilę taka dzika myśl nie powstała w jego praktycznym i racyonalnym umyśle.

Po odjeździe adjunkta panny poszły do ogrodu. Eufrozyna miała minę rozgniewaną i ani słowa nie przemówiła do Iwana, przez cały czas trwania wizyty. Natalię rozśmieszył i w doskonały humor wprowadził stoicyzm, z jakim elegancki kawaler znosił przycinki i dogryzki doktora. Gdy znaleźli się w ogrodzie, zapytała Iwana, śmiejąc się głośno już i serdecznie.

— Jakże się panu pan adjunkt podobał?

— Cóż pani na tem może zależeć? — odparł pochmurnie, spoglądając na Eufrozynę badawczym wzrokiem.

— Co mi na tem może zależeć? — powtórzyła pytanie panna, śmiejąc się ciągle serdecznie... O... bar... dzo... bardzo... wiele, cha! cha! cha!... Chcę dowiedzieć się, czy sąd pański zgadza się z moim? Nie dróż się pan tak bardzo, powiedz.

— Cóż mam pani powiedzieć? Sama pani widzi, że jest bardzo ładny, pachnie ślicznie, ubiera się tak elegancko, że ja profan nie odważyłbym się tak ustroić, jest bardzo a bardzo grzeczny, słodki nawet... no i... i... i nic więcej.

— Eh! nie dopowiadasz pan, tak nie ładnie. Powiedz pan nam coś chciał po tem i... i... i powiedzieć?

— To powiem wreszcie: robi wrażenie grzecznego, ale głupiego, ograniczonego człowieka.

— Panie doktorze! — zawołała Eufrozyna, której twarz pokryła się purpurą gniewu, oczy zaiskrzyły się — nie spodziewałam się tego po panu. Jesteś pan dziś rozdrażniony

i rozgniewany, a obecnie przemawia z pana niesprawiedliwość, lub może jeszcze niższe uczucie. Uderz się pan w piersi i powiedz, czy ja się mylę?

— Czy tak pani sądzi? odrzekł Iwan i popatrzył na nią wzrokiem pełnym dumy i gnębiącego wyrazu lekceważenia — może być, że omyliłem się, żem się nie poznał na zaletach pana Ehrenfelda, ale przyznam się, że zrobił na mnie wrażenie bardzo zwyklego zjadacza chleba powszedniego, a ja nie mam zwyczaju studyować głębiej pigmejczyków, nie pragnę nimi pism moich zapełniać; ten ładny pan coś nie wygląda mi na olbrzyma, pod żadnym względem.

Natalia ze zdziwieniem patrzała na doktora, innym się jej teraz wydał niż zwykle: tych oczu, ciskających błyskawice, tego czoła sfałdowanego nie znała; zapał wiejący od całej jego postaci i ją zaczynał porywać, patrząc nań z wyrazem uwielbienia, potakiwała jego słowom.

— Tak, tak doktorze! Masz pan zupełną racyę, ten pan nie robi wrażenia olbrzyma... oh! ani troszeczkę.

— Lecz robi wrażenie — wybuchnęła gwałtownie Eufrozyna — porządnego, przyzwoitego, grzecznego i dobrego człowieka, a to w naszych czasach ważniejsze, niż jakieś tam mrzonki, jakieś pretensye do bohaterstwa... wiek olbrzymów przeminął bezpowrotnie.

— Nie! nie przeminął! — przerwał jej Iwan, poważnie spoglądając jej w oczy — wiesz pani sama dobrze, że nie przeminął. Zapewne, że dzisiejsi olbrzymi nie pójdą zabijać minotaura lub czyścić świat z bestyj bajecznych, lecz śmiało powiodą naród na drodze chwały, śmiało staną do walki z potworami lęgnącemi się w łonie narodu i zduszą je... A uduszone, martwe wywloką i oddadzą tłumom na pohańbienie, na pośmiewisko, by naigrawały się nad zwyciężonymi, by w oczy im plwały, za hańbę i podłość piętnowały.

Zapał tak go uniósł, że tchu mu w piersiach zabrakło; przerwał na chwilę i patrzał na słuchaczki. Stały one nieru-

chome z oczami weń wlepionemi, znać zapał, entuzyazm, który jego opanował i je za sobą porwał.

— Panno Eufrozyno! — wytchnąwszy mówił znowu — grzechem, bluźnierstwem względem narodu jest — nie wierzyć w możliwość istnienia takich olbrzymów, takich proroków... Oni byli, są i będą tak długo, dopóki naród nie zginie zupełnie.

— Będą!... będą! — odpowiedziały niby echo obie dziewczyny.

— A teraz muszę panie pożegnać. Wszyscy razem mamy dziś tak rozstrojone nerwy, że boję się, żeby dzisiejsza dysputa sprzeczką się nie zakończyła.

Podał rękę na pożegnanie naprzód Natalii, potem dopiero Eufrozynie. Uczuł przytem, że ta ostatnia po raz pierwszy od przyjazdu do Zahnilcza uścisnęła mu rękę serdeczniej i popatrzyła nań dawnem rozmarzonem spojrzeniem.

X.

Spojrzenie, uścisk ręki poskutkowały.

Wychodził upojony, odurzony na nowo. Nie wracał do dworu, obawiał się, by ludzie obojętni z wyrazu twarzy myśli jego, jego szczęścia nie odgadli; obawiał się natrętnych pytań Wacia i bał się, by hrabia lekkim żartem nie rozprószył złudnych mar, które go otoczyły. Chciał zostać jak najdłużej pod wrażeniem tego uściśnięcia ręki, tego życzliwego spojrzenia ukochanej. Poszedł do lasu, by tam w cieniu rozłożystych dębów marzyć i śnić — o szczęściu i raju ...

Prześnić jednak człowiek życia nie może. Najcudowniejsze marzenia koniec mieć muszą. Jak słońce zaszło, Iwan musiał las opuścić i pomiędzy ludzi powracać. Pobyt jednak we dworze i obcowanie z hrabią i jego synem przykrym mu nie był i tylko w chwilach nadmiernej ekstazy lub rozdrażnienia unikał ich towarzystwa. Wogóle czas mu upływał szybko

pomiędzy pracą przy nauce Wacia, rozmowami z hrabią i wizytami na probostwie.

Codziennie tam teraz bywał. Odniesione wrażenia malowały się wyraźnie na otwartej, do ukrywania uczuć nienawykłej twarzy. Hrabia z uwagą obserwował go, chociaż niczem nie zdradzał swoich spostrzeżeń.

Były dnie, w których wracał rozpromieniony, szczęściem jaśniejący, pełen najświetniejszych nadziei. Wówczas roił i śnił na jawie. Snuł przed hrabią swe przyszłe zamiary, malował cele, do jakich dąży. A były piękne i dobre. Zwalczać pragnął nienawiść dzielącą dwa pobratymcze narody, na ślicznej, żyznej, podkarpackiej ziemi osiadłe, skłaniać do ustępstw obopólnych, rany i wrzody zadawnione, mimo to jątrzące się, goić, oblewając je strumieniami pieśni, pełnej miłości bratniej a serdecznej.

Czasem znowu przychodził zasępiony, jak noc grudniowa. Na pytanie zaledwo odpowiadał, a w odpowiedziach tych drgała straszna, jadowita nuta pessymizmu i zwątpienia zupełnego. Napróżno hrabia przeczył mu, napróżno mówił, że on, który tyle lat przeżył, tyle strasznych rzeczy własnemi oczami widział — mimo wszystkiego nie doszedł do zwątpienia. Jakież ma prawo, on, młody człowiek, przed którym życie dopiero otwiera się, służby dla społeczeństwa, dla narodu czekają, jakie ma prawo wątpić i rozpaczać?

Nie odpowiadał zwykle na te przedstawienia, ale całując gospodarza w ramię, milcząc wynosił się z pokoju. I szedł albo błąkać się po lasach, albo do swego mieszkania pracować. Tam pochylony nad stołem, długie godziny pisywał zawzięcie; częstokroć zorza poranna zastawała go jeszcze przy pracy.

Pisał cały szereg obrazów smutnych, osnutych na wrażeniach i spostrzeżeniach, jakie odczuł po powrocie do kraju. — Obiecywał sobie, że zrobią one wrażenie, że dobry wpływ na społeczeństwo wywrą. W najtajniejszych jednak myślach zapominał o wszystkiem, o narodzie, o całym świecie i pisząc miał na uwadze jedno tylko pytanie — czy jej się tu podoba?... Pisał dla jednej duszy, dla jednej pary czarnych oczu.

Na probostwie tymczasem działy się dziwne rzeczy.

Niepokój jakiś ogarnął księdza Bazylego i to w takim stopniu, że go już prawie ukryć nie mógł. Z domowymi nie rozmawiał prawie, bez przestanku tylko jakieś listy pisał. Od czasu do czasu odbierał depesze telegraficzne, o których rozpowiadał urzędnik telegraficzny, że pewnym jest tego, iż one znaczą co innego jak to, co zawarte w nich słowa mówią. Po otrzymaniu takiej depeszy, paroch zahnilecki znikał zwykle na kilka dni, w domu mówiono, że do Lwowa, do arcybiskupa pojechał.

Komendant posterunku żandarmeryi zwierzył się przed rządcą hrabiego, że polecono mu czuwać nad parafią i proboszczem zahnileckim. Na co miał zwracać najbaczniejszą uwagę? czego śledzono? Nie chciał żandarm powiedzieć, żałując, że wogóle wygadał się o tej sprawie.

Iwan o tem nie wiedział. Nic go to wszystko nie obchodziło. Nie zwracał nawet uwagi na księdza Bazylego. Cały był zajęty swoją miłością i dolegliwościami z nią połączonomi.

Eufrozyna stale starała się unikać pozostania z nim sam na sam, każde goretsze słowo, każde śmielsze spojrzenie skarciła gniewnym wzrokiem. Równocześnie opowiadała, niby żaląc się przed Natalią, że on niezdolny do prawdziwej miłości, że ona nie wierzy w uczucie, które w pięknych słowach nie jest w stanie objawić się. Łudziła sama siebie, nie była w stanie zdecydować się, do kogo serce ją ciągnie.

Czasem tylko, gdy rozgoryczony, zniechęcony jej obojętnością, nie patrząc nawet na nią zagłębił się w rozmowie z Natalią, która była dlań zawsze dobrą i uprzedzającą; gdy w rozmowie tej zapalał się, unosił, wpadał w natchnienie prawie; gdy roztaczał przed słuchającemi go pilnie dziewczętami całe bogactwo swej poetycznej duszy, klejnoty wieszczej wyobraźni; gdy oczy, twarz jego nabierały jakiegoś nadziemskiego wyrazu — wówczas Eufrozyna wbrew woli podnosiła nań oczy i wpatrywała się weń długo, serdecznie i tęskna zaduma jej twarz wówczas okalała. W takim stanie, bez ruchu,

bez słowa, bez oddechu, wpatrzona nań, wsłuchana w jego słowa, siedziała długie nieraz minuty — dopóki nie skończył.

Bywały dnie, w których zniechęcenie inne skutki nań wywierało. Nie pogrążał się w rozpaczy i skrajnym pessymizmie. Na przekor wszystkiemu, wpadał wówczas w dobry na pozór humor, śmiał się ze świata i ludzi, drwił ze wszystkiego — z siebie samego nawet. Śmiał się spazmatycznie, a w śmiechu tym nie było ani krzty prawdziwej wesołości, tylko ból, łzy, zwątpienie i żałość duszy zbolałej, wielka, niezmierzona.

Wówczas ona czy z litości, czy z innego powodu, spoglądała nań czulej, za rękę go czasem uścisnęła, do wytrwania w pracy, w walce zachęcała.

To mu wystarczało. Jedno spojrzenie przerzucało go od zupełnego zwątpienia do ufności bezgranicznej, do złudnego uszczęśliwienia. Wydawało mu się zaraz, że jego słowa zatliły w jej sercu płomień uczucia, którego tak długo, a nadaremnie wyglądał.

W dodatku ksiądz Bazyli, w dniach, które przepędzał w domu, był dlań nad wyraz serdeczny. To pobudzało go tem bardziej do trwania w złudzeniach, które, gdy są przyjemne, gdy dogadzają uczuciu próżności lub ambicyi — tak łatwo duszę oplatają.

Powodem obecnej serdeczności księdza Bazylego było to, że we Lwowie dowiedział się o ogromnej wziętości Iwana pomiędzy młodzieżą, mówiono mu tam o jego wielkim talencie, rokującym naświetniejsze nadzieje, o tem, że zapewne zajmie pierwszorzędne stanowisko w narodowej literaturze — jednem słowem, że jest człowiekiem, którego zjednać sobie koniecznie należy. Zjednać sobie... on wiedział, że byłoby dobrze takiego Iwana zjednać dla celów stronnictwa; nie myślał jednak poświęcać dlatego swej córki i swych ambitnych zamiarów. Zresztą pytaniem było, czy Iwan, ożeniwszy się nawet z Eufrozyną, przystałby do ich stronnictwa?.... Talent poetyczny on miał, ale na finezyach stronniczej polityki nie znał się zupełnie.

Prócz tego inny jeszcze wzgląd wpłynął na księdza Bazylego i kazał mu okazywać Iwanowi niezwykłą serdeczność. W czasie swoich krótkich bytności w domu zauważył on, że od przyjazdu Natalii, Iwan wyłącznie prawie z nią rozmawia, że od Eufrozyny prawie stroni, że ich rozmowy, jeżeli nawet zdarzają się czasem, to zwykle kończą się sprzeczką i nieporozumieniem. Wytłumaczył więc sobie łatwo, że Iwan widzi nieprawdopodobieństwo ożenienia się z Eufrozyną, zmienił racyonalnie uczucia i zakochał się w Natalii.

Przypuszczalna ta »zmiana dam« bardzo się księdzu Bazylemu podobała, zapragnął dopomódz doktorowi w spełnieniu domniemanych zamiarów, o ile to w jego siłach leżało.

— Nic nie mają oboje — myślał w duszy — ale trzeba im dopomódz, by się pobrali, coś dać na początek gospodarstwa. Pomówię z hrabią, przecież to jego wychowanek. Pewnie mu coś da, w sekrecie na moje ręce... dla niepoznaki na wiano dla panny młodej, mnie jako krewnemu, jakoś lepiej wypada dar uczynić.

XI.

Żniwa skończyły się.

Sierpień, w tym roku pogodny, ciepły i słoneczny, dobiegał kresu. Termin wyjazdu Iwana z Waciem zbliżał się. Pierwszego września mieli razem do Lwowa wyjechać. Im krótszym był czas pobytu w Zahnilczu, im bliższym termin odjazdu, tem bardziej wzrastał niepokój w sercu zakochanego doktora. Żył jakby w gorączce. Sen odleciał daleko od jego powiek, a jeżeli zasypiał, to na krótko, owym snem gorączkowym, który widziadłami nęka wyobraźnię i nie przynosi wypoczynku dla rozuzdanych nerwów.

Pragnął przed wyjazdem rozmówić się z Eufrozyną — wyznać jej swą miłość, miłość o której mniemał, że jest otoczoną mgłą tajemnicy i dowiedzieć się, jaki go los czeka. Nie miał jednak odwagi.

Kilka razy udało mu się zostać z nią przez kilka chwil sam na sam. Wówczas spuszczał oczy i rozpoczynał obojętną rozmowę, albo milczał uroczyście, bojąc się, by otaczający go czar nie prysnął. Bał się postawić wszystko na jednę kartę. Tak mógł ją widywać, mógł z nią rozmawiać. Gdy raz wyzna jej swą miłość, a ta broń Boże odrzuconą zostanie, to wszystko skończyć się musi — na zawsze. Z drugiej zaś strony wiedział, że przed wyjazdem powinien zdobyć się na jakiś stanowczy krok, choćby to miał przepłacić wygnaniem z raju — złudzeń.

W wigilię odjazdu dzień był nadspodziewanie gorący. Promienie słoneczne paliły jak pochodnie jarzące. Upał srożył się jakby na pożegnanie lata w przeddzień jesieni.

Od samego rana drobne, białawe chmurki zbierały się na zachodzie, grupujące się w nieregularne, rozstrzelone gromadki. Czasem jedna z nich odrywała się od towarzyszek i przelatywała szybko na drugą stronę horyzontu, przysłaniając chwilowo jasne słońce i ubezwładniając jego promienie.

W dniu tym Iwan zaraz po śniadaniu wybrał się na probostwo. Szedł bardzo powoli, zaledwie posuwał się po stromej ścieżce, prowadzącej przez niewielki pastewnik, z dolnej części wsi zgrupowanej koło dworu do górnej, która się obok cerkwi rozciągała. Co chwila przystawał, jakby dla schwycenia oddechu, lub — namysłu.

Patrzący nań mógłby odrazu odgadnąć, że to człowiek wahający się. W połowie ścieżki widocznie coś stałego postanowił, namyślił się ostatecznie, bo wzniósł nagle głowę w górę i już bez odpoczynku szedł raźnie pewnym i szybkim krokiem w górę.

Chmury tymczasem coraz gęstszemi kłębami gromadziły się na zachodzie, mieniąc dziwacznie barwy w jasnych promieniach słońca.

Iwan wyszedłszy na szczyt pagórka, przeskoczył przez powyłamywany w tem miejscu płot i znalazł się w ogrodzie do plebanii należącym. Nie potrzebował się oryentować, znał

tu dokładnie każdy krzaczek, każdy kamyk. Szedł wprost przed siebie ścieżką, ocienioną dużemi owocowemi drzewami. W miejscu, gdzie się dwie ścieżki krzyżowały, ujrzał dobrze mu znaną różową sukienkę i usłyszał nutę odwiecznej ludowej piosnki.

Serce mu zaczęło bić gwałtownie, musiał stanąć dla zaczerpnięcia oddechu, dla zebrania myśli. O kilkanaście kroków od siebie widział Eufrozynę, która nie przeczuwając jego obecności, swobodnie śpiewała. Słyszał dokładnie już teraz i słowa. Dziewczę śpiewało:

Dwa hołuby wodu pyły
A dwa kołotyły;
Bodaj tiji ne prożyły,
Szczo nas rozłuczyły.

Słowa piosnki podziałały nań, jak działa ostroga na wyścigowego bieguna. Poskoczył naprzód i w jednej chwili stanął obok przestraszonej tem niespodziewanem zjawieniem się dziewczyny. Podał jej rękę na powitanie i nie wypuszczając jej ze swych rozpalonych dłoni, przemówił zrazu drżącym, później coraz bardziej gwałtownym głosem.

— Panno Eufrozyno!... Ja jutro jadę... Ja... ja... muszę pani powiedzieć, muszę pani wyjawić tajemnicę, która duszę mi ugniata... Pani musisz wysłuchać...

Przestraszona dziewczyna i wyrazem jego twarzy i dziwnym tonem głosu, chciała mu coś odpowiedzieć, próbowała wyrwać rękę z żelaznego uścisku. Ręki nie wypuścił, ani dał jej przemówić, ale patrząc błagalnym wzrokiem w jej oczy, mówił dalej:

— Eufrozyno, ja kocham ciebie! — i niepozwalając jej wtrącić słowa, jakby obawiając się przedwczesnego wyroku, mówił pospiesznie i coraz bardziej gwałtownie — Eufrozyno ja kocham cię tak — jak nikt żadnej kobiety na świecie nie kochał. Jam cię ukochał miłością wielką, bezgraniczną. Ja poświęcę ci każdą chwilę mego życia, każdą myśl moją, każde

marzenie niedośnione jeszcze. Ja dla ciebie okryję się sławą, która i na ciebie spłynie. Powiedz, ach powiedz! Czy mogę mieć nadzieję?...

— *Hodi! hodi!*... Dość już tego — przerwał mu nagle ksiądz Bazyli, który nadszedłszy przypadkiem, stanął o trzy kroki po za gruszą i wysłuchał tego namiętnego oświadczenia. — Dość tego — wołał. — *Ne dla psa kowbasa.* Zachciało się paniczowi — i śmiał się sucho, ironicznie.

Iwan nie patrzał nań nawet. Przylgnął wzrokiem do oczu Eufrozyny i czekał wyroku. Czytał w nich wahanie się. Miał chwilkę nadziei.

— Powiedz!... Ach powiedz! — szeptał wielkim pieszczotliwym głosem. — Czy kochasz?... Ach! powiedz.

— No powiedz mu! — przerwał drwiąco ojciec, powiedz!

— Nie! — szepnęła z cicha dziewczyna.

— Nie! — powtórzył głuchym zgnębionym głosem Iwan, wypuszczając z dłoni jej rękę.

Nie! powtórzyło echo, odbijając się od drzew pobliskich, od szarych murów cerkiewki, od białych skał wapienia.

— Nie! nie! nie! — dzwoniło w uszach Iwanowi i wydawało mu się, że jego serce w bronz skrzepło i rozdźwięcza się straszną negacyą, burzącą cały gmach przez niego zbudowany, całą jego istotę. — Nie! nie! nie! — Krew przestawała w nim krążyć. Stał z otwartemi martwemi oczyma i czuł wyraźnie, że coś tam w głębi rwie się i łamie, że pękają jedna po drugiej struny jego gęśli, że jego świat wali się, w chaos zapada. Do życia przywołał go syczący, gadzinowy głos księdza.

— Słyszysz, że nie!... O nie! — Moja córka nie dla chłopskiego syna, nie dla syna wisielca...

Uniesiony gniewem strasznym, furyą bezgraniczną, jakby zapominając o obecności Iwana — jakby sam do siebie zaczął mówić gwałtownie.

— Nie! nie! — Ja ją muszę wydać za Ehrenfelda. — Syn w Wilnie tam drogę mi ściele... A przez nią, przez tego dudka adjunkta w Wiedniu zrobię, co zechcę. Niech mi wtedy

grozi prokurator, niech odważy się groźbę wykonać — i zwracając się do Iwana, mówił prawie nieprzytomnie. — Tak! — bo naród nasz uciśniony, biedny, musi na dwie strony spoglądać... Z dwu słońc światło brać... Z dwu strumieni napój ożywczy czerpać, by zaspokoił od wieków trawiące go pragnienie...

— Bluźnisz! bluźnisz fałszywy proroku! — zawoła Iwan gromowym głosem i wznosząc oczy z wyrazem dumy i zabijającej pogardy, mówił zimno i dobitnie. — Przeklęty naród, który z dwu słońc światło brać pragnie. — Przeklęty, który z dwu wrogich sobie strumieni napój czerpać będzie... Ani światłem się nie ogrzeje, ani pragnienie ugasi... Pośrodku zawiśnie, aby wegetować, aby gnić tak, jak gnił dotąd... Przeklętymi niech będą fałszywi prorocy, którzy zgnębiony, ledwie do życia budzący się naród, na błędne drogi wiodą, zdradzając go za cenę srebrników judaszowych.

Przestał na chwilę. Chmury okryły cały nieboskłon, osłaniając zupełnie słońce jasne i rzucając na cały świat brudno-szarą ołowianą barwę. — Nowy piorun rozdarł szaro-ceglaste chmury, aż ziemia zadrżała. — W tej chwili Iwan znowu mówić zaczął.

— Przeklętym będzie naród, w którym pieśniarze przychodzący budzić go z letargu, uznania nie znajdą, w którym pieśń serdeczna z duszy płynąca nie wywoła oddźwięku w drugiej duszy... w sercach wielu — w którym śpiewak z rozbitą harfą i z sercem rozdartem pójdzie konać na pustkowie.

— Pójdź precz mi zaraz! — szaleńcze! — zawołał ksiądz, w którym gniew taki wezbrał, że przemówić prawie nie mógł — pójdź precz! — opętańcze!

— Pójdę — odparł smutnie Iwan, spoglądając jeszcze raz na Eufrozynę. — Bądź mi zdrową!... Złudo mej młodości. Kochałem twą piękną duszę, której domyślałem się w tem pięknem ciele; która jest tam w głębi, ale tak ukryta, że może nikt już jej nie odszuka... a może nie ma jej już.... Niech Bóg ci pozwoli zapomnieć tę straszną chwilę, w której zdru-

zgotałaś życie człowieka, kochającego cię ponad życie... Bywaj zdrowa!

I nie oglądając się nawet na księdza, wyszedł z ogrodu i począł schodzić po stromej ścieżce.

Wicher szalony, poprzedzając zbliżające się czarne chmury, wył przeraźliwie, porywał i miotał na wszystkie strony tumanem kurzu i piasku, kłębując niemi nad ziemią.

On szedł przez wiry huraganu, pośród kłębów kurzawy, wśród tego piekła rozszalałej przyrody. Szedł prosty i dumny, nieugięty. Zdawać się mogło, że on niespożyty, a jednak życia w sobie już nie czuł. Krzepł i kostniał powoli, bo źródło życiodajne już wyschło dla niego.

Eufrozyna po odejściu Iwana stała zrazu na tem samem miejscu, jakby skamieniała. Później szła po jego śladach aż do samego płotu. I ztamtąd patrzyła, jak schodził w dół, jak ją opuszczał na zawsze. I ona ból jakiś nieznośny uczuła w sercu i ona poczuła, że coś zerwało się tam, w głębi duszy. I jej struna jakaś pękła, lecz ona nie wiedziała która, dawno już dawno nikt jej nie poruszał, zardzewiałą już była.

On szedł ciągle, jeszcze go widziała. Nagle krzyknęła rozpaczliwie:

— Ojcze! odwołaj go! On umrze, ojcze! odwołaj go!... On się zabije!

— Iwanie! Iwanie! — wołała, ale świst wichru, huk gromów głuszył jej głos rozpaczą zdławiony. — Iwanie! Iwanie! wróć!

— Milcz nieszczęsna! milcz! niech idzie na złamanie karku! Potępieniec, opętaniec, *diawoł sprawedływyj,* niech się dziś zaraz powiesi, najlepiejby zrobił. On tym przeklętym językiem gotów wszystkich naszych niedorostków pociągnąć, całą młodzież niedowarzoną głupiemi ideałami otumanić.... Chodź Fruziu! chodź dziecko! ulewa zaraz będzie... chodź, chodź do chaty!

I starał się przemocą ją uprowadzić.

— Iwanie! Iwanie! wołała uparcie dziewczyna, stojąc na pagórku, dopóki go widziała. A gdy zniknął jej z oczu, ukryty za potężnym złomem skały, poszła bezwładna prawie za ojcem do domu.

XII.

Burza srożyła się szalona.

Wiatr huczał i świstał, szarpiąc w kawały słomiane dachy chacin przytulonych do stoku góry, wyrwane snopki niósł z wściekłością hen ponad wsią, w pole, łamał, z korzeniami wyrywał drzewiny owocowe, rosnące przy chatkach.

Iwan szedł pospiesznie, nie zwracał uwagi ani na burzę w przyrodzie, ani na zniszczenie, jakie w około szerzyła. W nim szalała burza straszniejsza i sroższe zniszczenie sprawiała. Szarpała ona i rwała w kawały węzły, które duszę jego ze światem wiązały; obalała, niszczyła podstawy, podwaliny, na których niebaczny gmach życia zbudował.

Wiatr zerwał mu z głowy kapelusz, nie spostrzegł nawet tego. Szedł z rozwianym włosem, z bladem obliczem. Zdawało mu się, że czuje ból okrutny w każdym nerwie. Jakiś szał zimny, sceptyczny opanowywać go zaczynał. Śmiał się tylko dziwnym, obłąkanym prawie śmiechem.

— Apostoł... apostoł... — powtarzał zcicha, śmiejąc się szydersko. — Apostołem jam pragnął być, tłumy za sobą pociągać... na nowe szlaki naród cały prowadzić... A jednej dziewczyny nie zdołałem sobie zjednać... słowem natchnionem zaczarować.... Apostoł!... apostoł...

Zszedł na dół, tam jedna droga wiodła do dworu, druga w las. Na rozdrożu stanął, namyślając się. Po chwili skierował się do lasu.

— Po co tam pójdę? — myślał — Co tam będę robił? Pójdę, by ludzie się ze mnie śmiali, lokaje urągali. Co tam będę robił?

I szedł wprost przed siebie. Już jest pomiędzy pierwszemi drzewami. Wchodzi pomiędzy coraz gęściejsze. W około niego wznoszą się, pną się w niebo dęby-starce, dęby-olbrzymy, kilka pokoleń ludzkich pamiętać mogące.

Wiatru już nie czuje, bezsilnym on pośród tych bohaterów świata roślinnego. Choćby najstraszliwszy — to złamie, wyrwie z korzeniami jednego, dwa olbrzymy, na skraju rosnące, ale odbije się ubezwładniony, zawstydzony od muru omszałych, starych pni. Tylko wierzchołki szumią i gną się. Tylko drobne gałązki zlatują odłamane, fruwając w powietrzu zielenią liści.

On przechodził pomiędzy tymi milczącemi, dumnemi olbrzymami i czuł w tej chwili całą swą małość, swą nicość. Każdy z tych dębów martwych, duszy pozbawionych, jest użyteczniejszy niż on, ma swe przeznaczenie w życiu przyrody, a nawet ludziom więcej korzyści przyniesie.

Im głębiej zapuszczał się w las, tem większy spokój panuje tu obok niego na dole; tem straszniejszy szum, tem groźniejszy huk ponad nim... i aż tam... tam bardzo wysoko — w chmurach.

Nagle blask jakiś, nieznany dotąd jego oczom, oślepił go zupełnie, a huk straszliwy zagłuszył go całkiem. Siłą jakąś niewidzialną rzucony, padł pomiędzy plebs roślinny, krzewiący się pokornie w cieniu olbrzymów. Tuż obok niego zwalił się potężny konar dębu i omal, że nie przygniótł go swoim ciężarem. To piorun przyszedł pobratymcy huraganowi w pomoc i rozłupał najwznioślejszego, najzuchwalszego z olbrzymów.

Niedługo leżał Iwan ogłuszony. Nawet grom nie zdołał uspokoić jego boleści. Jemu się zdawało, że tylko wraz z życiem pozbyć się jej potrafi. Wstał zdrów, nic mu się nie stało. Zaczął iść dalej bezmyślnie w głąb lasu.

Raptem przystanął, zaczął się rozglądać wkoło. On tu kiedyś był... Przypomina sobie znane drzewa... Tak! tak... tam pomiędzy paprociami kryje się niski, ciosowy krzyżyk, mchem obrośnięty, zielem otoczony. A na nim dojrzeć jeszcze

można napis: *Tanas Gudz* i datę śmierci... Tak on tu często bywał. Pod tym krzyżem spoczywa ciało niesłusznie posądzonego, ciało jego uczciwego ojca.

Zbliżył się do krzyża i padł przed nim na kolana, tak ciężko i bezładnie, że aż ziemia jęknęła, a jemu się zdało, że to dusza ojca użaliła się nad nim, odczuła boleść synową. Spłoszona tym jękiem podziemnym ptaszyna, która ukryła się przed burzą pomiędzy paprocie, frunęła w górę, z żalem spoglądając na człowieka, wypędzającego ją z bezpiecznego schroniska.

Iwan oparł głowę na poprzecznicy krzyża, straszne ciężkie myśli cisnęły się do niej. Nie modlitwa... nie! od dawno zapomniał się modlić; nie miał matki, któraby mu przypomnieć mogła.

Rozpacz szalała w jego duszy, jako wicher ponad lasem; ale tam w tej duszy uczonego męża nie było dębów olbrzyma, któreby się huraganowi oprzeć mogły; był tam jeden tylko nadpruchniały już, choć silnie napozór wyglądający — dębem honoru go zowią; ale cóż się stanie, gdy grom uderzy? gdy piorun go roztrzaska, połamie i kawałkami drzazg na wszystkie strony rozniesie?

A pioruny biją co chwila.

Opuścił głowę, która gięła się pod ciężarem widziadeł straszliwych, które mu mózg żarły, niby roztopionym ołowiem skronie paliły. Przyciskał skronie do zimnego kamienia i szeptał cicho, cicho.

— Ojcze! ojcze! ojcze! czemuż mię tu zostawiłeś?... Na boleść i rozpacz, na walkę beznadziejną, na zwątpienie.

I cisnął znowu czoło do ciosu zimnego, jakby pragnął zlać się z nim w jednę nierozdzielną całość i stać się głazem martwym.

Nagle jakieś wspomnienie bolesne, jak błyskawica przez mózg mu przebiegła, zaszarpało najodleglejszemi nerwami. Zadrżał całem ciałem i zaczął mówić gwałtownie, rozpaczliwie, żal straszny drgał w każdem słowie. Był to jęk duszy chorej, nadziei pozbawionej, ginącej.

— Po co oni odkrywali mi widnokręgi, których objąć wzrokiem nie zdołam?... Po co wskazywali cele, do których napróżno dążyłem, napróżno dążą inni? Po co wlali mi w duszę pragnienia, których nie zaspokoję? Niech będzie przeklęta ta chwila, w której na ziemię przyszedłem... i ta ręka, która mię w inny świat wprowadziła. Jacyż szczęśliwi ci maluczcy. Żyją, jak ptactwo niebieskie, nie znają boleści duszy, ni żądzy ideału. Nie znają rozczarowania.

Ostatnie słowa mówił coraz wolniej, głowę opuszczał coraz niżej, tak, że przechyliła się na drugą stronę poprzecznicy. Słowa zamierały mu już na ustach, myśl już tylko straszliwa, piekielna, jak robak wewnętrzny, gryzła mu, żarła duszę.

— Po co ty żyjesz? — szeptała mu. — Twoje ideały... gdzież one?... Naród, któremu chciałeś pracę twą, myśl, geniusz twój w ofierze złożyć, jest albo ciemny i głupi, albo podły i przewrotny; dziewczę, które ukochałeś, jest zwykłą zalotnicą, niewartą wspomnienia. Nic ci nie pozostaje... żadnego światełka w tej nocy straszliwej... Po co masz żyć? Nic ci po tem życiu głupiem! Nic cię z niem nie wiąże! Skończ raz tę głupią farsę!

On klęczał ciągle, do opuszczonej, w dół zwieszonej głowy krew nabiegać zaczęła; bladość z twarzy ustępowała, lecz w duszy panował ciągle chłód grobowy, tylko szeptał bezwiednie.

— Ojcze! ojcze! po coś mię tu zostawił?

Naraz podniosł głowę w górę, znowu jakaś myśl nowa zrodziła się w niej i wyrwała go z apatyi, która go zewsząd ogarnęła.

— Muszę, muszę tamtym do Wiednia napisać — szeptał pospiesznie — żeby się nie łudzili, zamków na lodzie nie budowali. Biedne chłopcy, dobre człopcy, po co mają się łudzić, niech wiedzą. Śliczny im biuletyn poślę, raport przedniej straży.

Wstał. Popatrzył jeszcze raz na krzyż, na otaczające drzewa, na pogięte, pogniecione paprocie, i spokojnym, pewnym krókiem poszedł z powrotem. Jakaś zimna obojętność, lodowata,

martwa maską twarz mu okryła. Przed wyjściem z lasu przygładził ręką rozwiane włosy, otrzepał okurzone odzienie i wzniósł oczy w górę zobaczyć, co tam się dzieje?

Burza ustała już. Chmury gnane szalonym wichrem, popłynęły gdzieś daleko na wschód, uroniwszy zaledwie kilka kropel zimnego deszczu i kilka gromów potężnych. Przeleciały, nie pozostawiając innego śladu, prócz chwilowego oziębienia w powietrzu. Dlaczegóż burza w duszy człowieka nie przechodzi tak szybko? dlaczego łamie ona i druzgoce ideały jego, których naprawić, do życia na nowo powołać, nikt już nie potrafi?

Na niebie słońce świeciło już jasno i malowało na wschodzie tęczę różnobarwną, odwieczny łuk nadziei, a w duszy rozdartej poety panowała noc ciemna, ponura, która skrywała ruiny i zgliszcza, sprawione przez ostatnią burzę, a pośród ruin tych pełzała myśl wstrętna i zimna, jak gad jadowita: Po co ty żyć będziesz?

Znać odpowiedział już w duszy na to pytanie, bo twarz miał zupełnie spokojną, tylko na ustach osiadł gorzki uśmiech, odpowiadający na pytanie jasno, zrozumiale: Nie będę! Nie warto!

XIII.

Szedł pewnym krokiem wprost do dworu.

Wszedłszy do swego pokoju, na wstępie zaraz spojrzał na portret hrabiego Kazimierza, nie zatrzymał się jednak przed nim. Popatrzył i uśmiechnął się na pół ironicznie, na pół smutnie. Skierował się wprost do łóżka i zdjął z dywanu znany mu dobrze pistolet — próbował go już, dziś rano do celu zeń strzelał. Przez chwilę patrzył nań, później odciągnął kurek, przedmuchnął i systematycznie zaczął go nabijać. Nabiwszy, położył pistolet na sekretarzyku pomiędzy papierami i kałamarzem.

Potem zamknął drzwi na klucz i usiadł do pisania. Pisał pospiesznie, gorączkowo. Twarz mu się boleśnie kurczyła i coraz

straszniejszym uśmiechem krzywiła. Pisał krótko. Skończywszy, zwrócił się do okna i przy resztkach dziennego światła zaczął napisany list odczytywać. Znikł mu już z twarzy uśmiech, a zapanowała znowu niepodzielnie zimna rezygnacya.

Wtem usłyszał gwałtowne dobijanie się do drzwi. Za chwilę pod naciskiem silnej dłoni zamki puściły i w drzwiach otwierających się gwałtownie ukazał się hrabia. Włosy siwe w nieładzie miał rozrzucone, a w oczach malował się niepokój wielki i troska jakaś i smutek bolesny. W jednej chwili stanął tuż obok Iwana i wyrwał mu list, trzymany w ręce.

Zmięszany tem niespodzianem, gwałtownem wejściem Iwan, stał przerażony, niemogąc słowa przemówić, patrzył tylko na starca, który zbliżając się do okna, począł list czytać głośno. Słowa listu odczytywane donośnym, grzmiącym prawie głosem, głucho, ponuro rozbrzmiewały po obszernych, pustych prawie pokojach.

— Bracie Hrehory! — czytał hrabia — Przesyłam wam moje sprawozdanie... Wszystko przepadło... czy nigdy nie było? Lud ciemny i głupi śpi, budzi się tylko na to, żeby się wódki u żyda napić i pieniędzy na lichwę pożyczyć. Do Polaków nie miejcie za to żalu, bo oni tacy sami... w takiej samej nędzy pogrążeni. Że kilku głupców kupuje przy wyborach głosy za pieniądze, mniejsza z tem, i nasiby to robili, gdyby pieniądze mieli. Lud śpi, ale ci co przewodzić mu mają, podli są i przekupni, o swoim tylko zysku myślą i sto razy dziennie sprzedać go gotowi. Oto wszystko, co dostrzegłem i to wam donoszę. Powiedz wszystkim naszym, niech do tej przeklętej ziemi nie wracają, niech zostaną Niemcami, Francuzami, Holendrami, czem chcą, byleby się tylko nie przyznawali, że się Rusinami porodzili, bo to wstyd i hańba!... Niech ideałów swoich zapomną, a kawałek chleba ukochają, niech go szukają, o niego tylko dbają, a może jeszcze będą szczęśliwi... To radzi im przyjaciel, który pragnienie ideału życiem przypłacił... Gdy ten list będziecie czytać, będę już na wieki

spać w zimnej ruskiej ziemi.... Głupie było życie, niema za czem żałować... Twój *Iwan*.

Hrabia skończył czytać. Iwan stał przed nim ze spuszczonemi oczyma.

— Będziesz żyć! będziesz!... — wołał hrabia, a szyderstwo i gryząca ironia mimowolnie dźwięczały mu w głosie. — Byłem u tego Bazylego... br!... br!... da ci córunię!... da!... na rozum z nim pogadałem... są sposoby.

Przy początkowych słowach hrabiego Iwan drgnął całem ciałem jakby pod działaniem prądu ożywczego. Oczy mu się otworzyły szerzej i dwie duże perliste łzy w nich zaświeciły. Pod koniec jednak zbladł znowu i chwytając hrabiego za rękę, zawołał gwałtownie:

— Czyż myślisz panie hrabio?...

Hrabia nie przerywając słów swoich, wzniósł rękę w górę i gestem nakazał mu milczenie. Mówił zwolna, dobitnie, a każde jego słowo sięgało aż do głębi Iwanowej duszy.

— Ty będziesz jeszcze szczęśliwy... będziesz miał Eufrozynę, zaśniesz przy niej... a gdy się przebudzisz, to może poczujesz w sercu nową wiarę, nowe sympatye... teściowe ideały może wielbić będziesz... Dla mnie to straszniejszy dzień... Dziś po raz pierwszy zachwiała się we mnie wiara w naszą przyszłość. Łudziłem sam siebie, wmawiałem w siebie... Dziś widzę, co wart ten pierwiastek nowy, żywioł ludowy... Wy tak samo słabi, słabsi od naszych... Wy nowi tak samo gotowiście opuścić posterunek, jak to my... ze strupieszałych rodów!... ha! ha! ze strupieszałych rodów robimy.

Tu przerwał na chwilę i śmiał się szydersko, bezlitośnie.

— Tyś zgromadził dziś w sobie wszelkie cechy tchórza — mówił dalej. — Jakiem prawem potępiłeś lud cały, nie znając go? Dlaczegoś zwątpił o całej oświeceńszej warstwie, biorąc miarę z jednego spodlonego, którym właśni jego bracia pogardzają?... Dlatego że dziewczyna, którą pokochałeś, nie chciała pójść za ciebie. Głupie dziewczę, znarowione, które samo nie wié, czego chce lub nie chce. I... to przyczyna rozpaczy!

Tu ręką wskazał na portret, śmiech szyderczy zamarł mu na ustach, robiąc miejsce smutnej zadumie.

— Potępiłeś go w swoich poezyach — mówił ze smutkiem — za to, że zdradził chorągiew, że opuścił posterunek. A ty, ty sam... co chcesz?... co chciałeś zrobić?... Wy!... nowe pokolenie, wy młodzieńcy z jakiegoś nędznego kruszcu, z jakiejś podłej gliny jesteście ulepieni... Jad jakowyś piersi wasze trawi i życie wam truje... Nędzne pokolenie, które boleści znieść nie umié, przed życiem ucieka... Wielkie mi bohaterstwo zasnąć w mogile.

— Panie hrabio! — przemówił Iwan, korzystając z chwilowej przerwy — panie hrabio! — mówił drżącym głosem, a twarz oblewała mu się rumieńcem wstydu. — Tak, jam zawinił, ale za cóż mię znowu tak poniżasz? Czy myślisz pan, że ja wezmę za żonę kobietę wyproszoną, wyżebraną? kobietę za wasze pieniądze kupioną? Nie! nigdy, wszak powiedziała mi sama, że mnie nie kocha.

Otarł pot, wielkiemi kroplami spływający mu z czoła i mówił ciągle, w głosie czuć było coraz większą serdeczność.

— Nie zawiodłeś się panie na ludowym pierwiastku. Prawda, żem ja padł pod brzemieniem wielkiej boleści, żem był zdecydowany na czyn haniebny... Lecz, panie, jam cierpiał strasznie — bom kochał nadmiernie. Uczucie to było we mnie całym, w każdym nerwie, w każdej drobinie mej istoty. Zlałem się był z niem w jednę niepodzielną całość. A gdym zobaczył, że to złudzenie tylko, wówczas cały świat wydał mi się marą, złudą i wątek życia rwać się zaczął. Ty panie przyszedłeś i bezlitosną ręką zdarłeś maskę z mojego egoizmu. Dzięki wam, panie!

I biorąc list z rąk hrabiego, podarł go na drobne kawałki i rozrzucił je po pokoju. Zwrócił potem twarz w stronę portretu Kazimierza i wzniósł nań przed chwilą załzawione oczy, w których wyraz odwagi i pewności siebie zagościł na nowo.

— Tak! dzięki ci panie za to, żeś dopełnił względem mnie czynu, którego ja nie spełniłem względem twego syna,

mojego nieodżałowanego przyjaciela, brata prawie. Lecz koniec już słabości. Jam silny znowu... gotowy do służby dalszej. Ja w obliczu tego, wspólnie nam drogiego, przysięgam ci, panie, że każdą chwilę życia, każdą myśl, wszystkie czyny moje poświęcę tej idei, którą omawialiśmy razem w dniach pierwszej naszej młodości; że pieśnią i czynem będę się starał łagodzić dawne nienawiści, lęgnące się między dwoma bratniemi narody; że będę niósł różczkę oliwną zgody i pokoju. Przysięgam, że żadna inna namiętność nie zagości.

— Daj pokój! nie przysięgaj! człowiekiem tylko jesteś — przerwał mu poważnie hrabia. Słowa przysięgi nawet, słowami są tylko — nam czynów potrzeba. Ja bez przysięgi czterdzieści lat tej idei służę. I ty nie przysięgaj, a działaj.

Wzruszenie głos mu zatamowało.

Iwan zbliżył się, i chyląc się kornie, dłoń jego całować zaczął, skrapiając ją łzami. I on, starzec, łzy miał już w oczach, i on pochylił się nad młodzieńcem i złożył na jego białem czole poważny ojcowski pocałunek, i mówił doń serdecznym drżącym głosem:

— Niech Bóg ci błogosławi! Idź w życie, idź do boju za dobrą sprawę. Ty mężne masz serce, może dojdziesz do zwycięstwa?... W ten sposób wyprawiali, błogosławili dawniej ojcowie synów, spieszących do walki za ojczyznę. Tak ja, starszy syn tej matki zbolałej, błogosławię ciebie młodszego brata, bo myśmy synami tej samej ziemi, tej samej ojczyzny i po za nią zbawienia dla nas niema.

Iwan pochylił głowę na piersi hrabiego, i ledwie dosłyszalnym z rozrzewnienia głosem wymówił:

— Dzięki ci, panie! Nigdy już! nigdy nie będziesz musiał rumienić się za mnie.

XIV.

Nazajutrz rankiem hrabia wraz z Iwanem i Waciem wyjechali do Lwowa.

Musiał się jednak gdzieś dalej, na dłużej hrabia wybierać, choć o tem nie mówił, bo przed wyjazdem z rządcą długo konferował i zostawił rozporządzenia odnoszące się do spraw zarządu gospodarstwa na cały miesiąc. Był bardzo poważny i zamyślony.

We Lwowie wszystko dobrze poszło. Egzamin Wacia wypadł świetnie. Hrabia był tem uszczęśliwiony. Ponieważ wykłady w uniwersytecie zaczynają się dopiero w październiku, mieli przed sobą cały miesiąc wolnego czasu, postanowił więc zabrać obu młodzieńców z sobą na Ukrainę, gdzie miał zamiar pojechać w celu odwiedzenia dawno niewidzianych, a ukochanych krewnych.

Podróż ta była dla Iwana źródłem ożywczem, kojącem bolesne rany, dającem zapomnienie. Miesiąc przepędzony nad brzegami Dniepru i Rosi zostawił niezatarte ślady w jego umyśle, w jego sercu. Tam spotkał się z braćmi rodzonymi, wprzężonymi w ciężkie jarzmo niewoli, tam zrozumiał, co to jest prześladowanie narodowości.

Uciekając przed przykremi wrażeniami, szedł w step i tam u stóp mogił, starych kurhanów dnie i noce przepędzał. Tam wsłuchiwał się w szumy, w dźwięki wiatru stepowego, wiejącego od dzikich pól, od morza Czarnego, od Kaukazu dalekiego. Wsłuchiwał się w tę dziką a tęskną zarazem muzykę przyrody, zrozumiałą li tylko dla uszu poety lub rycerzy.

Z duchami dawno zmarłych, w boju za ojczyznę poległych bohaterów on obcował... One mu, gdy oparł głowę na kurhanie, zlecenia jakieś szeptały, rady doświadczone dawały. A dziad siwobrody brząkał na lirze i nucił piosnki o sławnym Sahajdacznym, który zamienił żonę na tytoń i lulkę, by mu białogłowa w pochodzie nie zawadzała... i pociągnął hen pod Chocim walczyć za wiarę i ojczyznę.

Nad brzegami Dniepru pomiędzy sitowiem spotykał duchy rusałek, śmiechy ich wabiące słyszał, lecz głuchym był na pokusy... Czasem i żywe oczy spotkał mile nań patrzące, ale mowy tej tajemniczej on już nie rozumiał — inne wrażenia

chwytał i innych wspomnień szukał. Głuchym był na te pokusy, nie dał się nowym złudzeniom opanować.

Po miesięcznym pobycie powrócił do Lwowa.

Hrabia żądał koniecznie, ażeby z Waciem, który zapisał się na studenta Uniwersytetu, zamieszkał i czuwał nad dalszemi jego naukami i postępowaniem. Boleść gwałtowną, jaką czuł zrazu, ukoić potrafił, ale miał w duszy smutek głęboki, nieokreślony a bezustanny — pracą go tłumił.

Zaraz po powrocie z Ukrainy, wydał nowy tomik poezyj, w którym wyśpiewał to, co mu duchy dawno zmarłych szeptały, co mu wiatr stepowy do ucha przynosił. W styczniu wydrukował powieść. Żaden dziennik ruski przyjąć jej nie chciał, musiał ją własnym nakładem w świat puścić. W książce tej dotknął najbardziej bolesnych miejsc kwestyi ruskiej. Sprawę tę traktował bezinteresownie a sprawiedliwie. Zrobiła ona ogromne wrażenie, zakipiało jak w garnku. Byli i tacy nieliczni, którzy sprawiedliwość mu oddawali, inni jednak, dotknięci ostrem piórem, nie mogli znaleść dostatecznych słów nagany. Potępiali, lecz mimo to czytali, książka rozchodziła się i myśli w niej rzucone wsiąkały zwolna w dusze czytelników.

Stosunki jego z reprezentantami ruskiej narodowości, były coraz przykrzejsze. Zaczynali go unikać, okrzyczeli go »pańskim jurgieltnikiem«, człowiekiem, który talent od Boga mu dany za obcy żołd przefrymarczył. Nietylko świętojurcy nań powstawali, i tak zwany obóz narodowy odsunął się od niego.

Napróżno im opowiadał, co tam nad Dnieprem widział, nadaremnie im przedkładał, że sami nigdzie nie dojdą, że walcząc z Polakami, wojnę domową niecą, rozwój dobrobytu zbiedzonej ziemi tamują. Oni tego nie chcieli zrozumieć, zdrajcą go, zaprzańcem zowiąc.

Chyba gdzieś pomiędzy najmłodszymi spotykał chłopaków, którzy uniesieni czarem języka, głębiną myśli, jakie jego utwory cechowały, z uwielbieniem nań spoglądali. Uczniowie jego do takich należeli. Pociechą w strapieniu mu byli.

Druga radosna niespodzianka spotkała go ze strony hrabiego. W dwa miesiące po wydrukowaniu jego powieści przysłano mu z księgarni jakąś opakowaną książkę. Otwiera nie wiedząc coby to być mogło, patrzy... To tylko co odbity egzemplarz jego powieści w polskim przekładzie. Na pięknie wydanej książce zdala widoczny dużemi literami wydrukowany tytuł: *Zbutwiali* — a poniżej, obok nazwiska autora, nazwisko tłumacza: Teodor hrabia z Zahnilcza.

Ostatnie dni zimy srożą się mrozem i zawieją. I od ludzi, od braci zachodzi doń lodowaty podmuch zawiści i zazdrości... Taka książka, ten dowód uznania i pamięci ze strony czcigodnego starca jest dziś dlań promieniem słońca wiosennego, falą ciepłego ożywczego majowego wiatru.

Usiadł z książką w ręku, czyta z rozrzewnieniem i podziwia, jak tłumacz wiernie pojął, odczuł i w bratnim języku oddał każdą myśl jego, czuł, że onby sam nie potrafił tego tak zrobić.

W drugim pokoju Wacio leżąc na szezlongu świszcze wesoło aryę walca, zapamiętaną z ostatniego balu. Iwanowi robi to przyjemność. On żyje teraz Waciem. W jego strapieniach on jest mu jedyną może pociechą. W nim widzi, że ziarno jego ręką rzucone nie marnieje, przeciwnie kiełkuje już i obfity plon wydać obiecuje. Uczeń jego rozwija się równocześnie moralnie i fizycznie. Pomimo, że pracuje szczerze, nie choruje na śmieszną, nienaturalną powagę, jest młody ciałem i duszą — bawi się czasem wyśmienicie.

Wtem dały się słyszeć jakieś kroki na schodach, drzwi się nagle otworzyły i w nich ukazał się, w futrze, ośnieżony i zziębnięty — hrabia Teodor. Iwan i Wacio poskoczyli uradowani ku niemu. Wacio zawiesił mu się na szyi, całując obmarznięte wąsy, doktor uścisnął z uszanowaniem podaną mu rękę.

— Jak się macie chłopcy? — mówił rozbierając się z futra hrabia. — Przyjechałem do was, choć nie spodziewaliście się zobaczyć mnie teraz i ja nie miałem zamiaru z domu się wybierać. Przyjechałem głównie dla ciebie Iwanie...

Doktor stał patrząc nań niespokojnie; w głosie hrabiego odczuwał pewne zakłopotanie, wahanie jakieś.

— Stało się u nas w Zahnilczu nieszczęście — wymówił wreszcie starzec — ksiądz Bazyli nie żyje już... Odebrał sobie życie... otruł się.

— Otruł się! — powtórzył jak echo Iwan, lecz po chwili zebrawszy myśli począł pytać gwałtownie. — Cóż się z nią stało?... Biedna, biedna Eufrozyna!... Co ona pocznie?... Jakaż przyczyna tej nagłej śmierci?... tej zbrodni?

— Poczekaj!... powoli!... Zawsześ taki gwałtowny — mitygował go hrabia, rozcierając skostniałe ręce. — Poczekaj chwilę, wszystko ci pokolei opowiem... Wiesz, że Bazyli należał do rady nadzorczej mikołajskiego banku; w jesieni, nawet w lecie jeszcze, gdy interesa banku zachwiały się, bojąc się odpowiedzialności przy obrachunkach na przypadek upadości, ratował bank własnemi pieniądzmi, które swoją drogą w największej części z tego banku potrosze był ściągnął; nic to jednak nie pomogło, ratunek był niemożliwy — bank runął, wyznaczono rewizyjną komisyę, i wszystkie nieczyste machinacye na jaw wyszły.

— Jak to? więc był pod zarzutem złodziejstwa.

— Niestety tak!... Kazano go aresztować. Przyjechał komisarz z żandarmami i doręczył mu nakaz uwięzienia. Wówczas wyszedł do drugiego pokoju, niby dla pożegnania się z rodziną, i — zażył truciznę... Do dwu godzin umarł. Nieszczęśliwy człowiek, schańbione nazwisko dzieciom pozostawił. Biedna dziewczyna nie może się w rozpaczy ukoić.

— A cóż pan adjunkt?... narzeczony? — pytał z trudnością Iwan. — Kiedy się pobiorą?

— Jaki narzeczony? Nigdy nim nie był... O!... sprytny, musiał się dowiedzieć, że z Bazylim źle, bo jeszcze w jesieni zerwał zupełnie; gdym z Ukrainy powrócił, już nie bywał na probostwie. Nic ci o tem nie wspominałem, nie chcąc budzić niemiłych wspomnień. Zresztą powiem ci otwarcie, że nie pragnąłem widzieć cię zięciem Bazylego.

— Cóż ona robi biedna?

— Wiesz, powiem ci — mówił, zamyślając się hrabia — że to dzielna dziewczyna, może to nieszczęście uzdrowi ją, może w biedzie pozbędzie się głupich narowów, jakich w ostatnich czasach nabrała. Prosiła mnie, bym jej jakie miejsce przy szkole ludowej wyrobił. Będzie mieszkała z babką, musi na kawałek chleba pracować.

W czasie słów hrabiego rozmaite wrażenia malowały się na twarzy Iwana, była chwila, że łzy kręciły mu się w oczach, zdołał wreszcie opanować wzruszenie i odpowiedział spokojnie:

— Panie hrabio! niech pan raczy o niej pamiętać, ona warta tego... Ja nie mogę się z nią zobaczyć obecnie. Wyraźnie powiedziała, że mnie nie kocha... ha! trudna rada, bałbym się, by nie pomyślała, że się jej narzucam, że chcę z jej nieszczęścia skorzystać... Zresztą dziś mam już inne szersze cele. Na gwałt należy ratować resztki narodowej uczciwości... Dążyć do celu.

— Dąż! dąż! — mówił dobrotliwie hrabia. — A ja Eufrozyną sam się już zajmę, nie pozwolę, żeby się zmarnowała... A później zobaczymy.

Wzruszenie jakieś opanowało doktora, niecierpliwie pocierał dłonią po czole, jakby pragnął myśli rodzące się w mózgu zgnieść. — Nagle wybuchnął:

— Nie! nie!... To niemożliwe... Ja nie mam dziś prawa z bardonem trubadura iść brząkać pod oknem ukochanej... Dzieją się rzeczy okropne, upadek na całej linii, trzeba się bronić, trzeba młodsze pokolenie inaczej wychować. Ja muszę pracować.

Hrabia z przyjemnością nań patrzył i słuchał, gdy mówił dalej:

— Jeżeli w niej obudzą się wspomnienia dzieciństwa, jeżeli odżyje to, co ją kiedyś nauczałem, jeżeli zapragnie iść wraz ze mną przez tę ciężką drogę życia, pracować wspólnie, walczyć razem... W takim razie ja się dowiem o tem i spot-

kamy się jeszcze... Inaczej szczęścia nie rozumiem, i dla pozyskania jej, kroku z wytkniętej drogi nie uczynię.

— Zobaczymy, jak to będzie! — przerwał mu hrabia. — I ja wolę, żeby się dziewczyna trochę z trudami życia polamała i w pracy zapomniała wiele rzeczy, których nie pragnąłbym widzieć w twojej żonie.

Rozmowa przeszła na inne tory. Skarżył się młody poeta hrabiemu na nienawiść, która go zewsząd otacza, na potwarze, spotykające go na każdym kroku. Opowiadał, że złość posuwa się do najobrzydliwszych środków, że starają się jego uczniów, chłopaków nieletnich zniechęcać doń.

— Ciężka jest droga, na którą wszedłeś, ale jedyna mogąca do uzdrowienia dowieść... — pocieszał go hrabia i do wytrwania zachęcał.

Pobyt szanownego starca nie długo trwał i musiał wracać. Z żalem rozstawał się z nim Iwan. Oprócz niego nie miał nikogo, przed którym mógłby się z cierpień trapiących go wywnętrzyć. W nim tylko widział opiekuna i obrońcę.

Po wyjeździe hrabiego życie stawało mu się nieznośnem, do poprzednich utrapień przybył jeszcze niepokój o Eufrozynę. Wbrew woli i postanowieniu myśl o niej powracała często. Uczucie odradzać się zaczynało. Nadaremnie z niem walczył. Nieraz gdy siedział w pracy pogrążony, wyobraźnia przywoływała mu przed wzrok duszy jej śliczną, zamyśloną twarzyczkę, jej słodkie oczy patrzyły nań z białej ćwiartki papieru. Kiedy rozgniewany własną słabością rzucał pracę i kładł się, ażeby snem wzmocnić nerwy, i wówczas w uszach mu dźwięczały jej słowa, w pamięci odbudowywał rozmowy z nią prowadzone. Myślał ciągle o niej.

Zawistni też nie próżnowali. Nim rok szkolny dobiegł kresu, pobyt we Lwowie stał się dlań prawie niemożliwym. Z ludźmi, którzy go zgubić postanowili, walczyć uczciwą bronią nie mógł, do innej wstręt czuł.

Z rozkoszą więc powital koniec roku szkolnego. Twarz mu się ożywiła, krew raźniej krążyć zaczęła, gdy wraz z Waciem znalazł się w wagonie. Jechali znowu do Zahnilcza.

XV.

Eufrozyny w Zahnilczu już nie zastał. Wyjechała wraz z dziekanową, zamieszkała w Stanisławowie i przygotowywała się do złożenia egzaminu nauczycielskiego. Nieobecność ta była dlań bolesną niespodzianką. Za dumny był jednak, żeby przyznać się do tego.

Pobyt tu smutne nań zaczynał wywierać wrażenie. Na każdym kroku spotykał się z bolesnemi wspomnieniami; każdy kamień, każde drzewo przypominało mu jej spojrzenia, jej słowa, uśmiech, ją całą. Nerwy zamiast uspokajać się wśród wypoczynku, rozdrażniały się coraz więcej. Perspektywa powrotu do Lwowa i walki dalszej, i cierpień dalszych, oszczerstw i potwarzy bezustannych, strachem go przejmowała.

Hrabia to widział doskonale, nauczył się zgadywać myśli swego wychowańca. Wiedział i pomyślał o tem, ażeby go z tego piekła wyrwać. Gotował mu nową najmilszą niespodziankę.

Raz przy herbacie pomiędzy pismami z poczty przyniesionemi znalazła się gazeta, zaadresowana do Iwana, pismo, którego nie trzymał, widocznie przysłano mu go umyślnie. Otworzył z ciekawości.

Znalazł tam pamflet obrzydliwy, hańbiący go, starający się rzucić cień niesławy na jego stosunek z hrabią. Jednem słowem ohyda, ułożona sprytnie w kształcie drobnej nowelki. Nazwiska były zmienione, ale tak podstępnie, że każdy mógł się prawdziwych domyśleć z łatwością.

Podłość ta dopełniła miary. Czuł, że chwyta go gniew szalony, gdyby znalazł pod ręką pismaków, którzy płodzili obrzydliwe piśmidło, byłby ich zgniótł, zmiażdżył jednem uderzeniem.

— Kości im połamię! — zawołał nagle, rzucając gazetę na stół i zrywając się od stołu — zetrę na miazgę... Cierpliwość ludzka ma przecież granice... Nie, nie dziwię się panie hrabio niektórym Polakom, że pragną zniszczyć to plugawe

gniazdo jaszczurcze. Przeciwnie dziwię się, że nie zrobili tego, łotry... łajdaki... do czego potwarz dojść może... Niech pan hrabia przeczyta, zobaczy.

— Nie głupim mój kochany — odparł spokojnie, patrząc nań z uśmiechem — jedynem lekarstwem na paszkwile — nie czytać, lub przeczytawszy przypadkiem zapomnieć o nich zupełnie. Paszkwil który wywoła gniew w oszkalowanym, dopnie swego celu i sprawi przyjemność tym sposobem podłemu potwarcy.

— Kiedy bo to przechodzi granice — wołał zaperzony Iwan, biegając prawie po pokoju, wzburzony, rozszalały.

— Siądź tu — zawołał nań stanowczo hrabia — mam ci coś powiedzieć, co cię z pewnością uspokoi... Siadaj i słuchaj.

Usiadł, ale był ciągle wzburzonym, drżał cały.

— Pamiętasz — mówił hrabia poważnie — com ci mówił, gdyś tu z Wiednia przyjechał, gdyś był pełnym illuzyi i kraju nie znał. Dziś musisz mi przyznać, że: po pierwsze, lud jest zdrowym materyałem, z którego można jeszcze wszystko zrobić, po drugie, że ci, którzy się na kierowników jego narzucili, nic nie warci... Z tego wynika, że należy koniecznie wychować warstwę inteligencyi waszej ruskiej, któraby nie dążyła do zyskania dobrobytu li dla siebie, obierając za sposób dojścia doń walkę ze wszystkiem, co jest rozumniejszego i lepszego w kraju, któraby nie krzykiem, blagą i reklamą, ale pracą stateczną na miano inteligencyi zasługiwała. Inteligencya taka wraz z odpowiedniemi żywiołami polskiemi mogłaby dopiero skutecznie pracować nad podniesieniem ludu z upadku, w którym dziś zostaje.

Tak, tak! — mówił zasłuchany w słowa hrabiego Iwan, kiwając z niedowierzaniem głową — ale zkąd wziąć tej rozumnej i uczciwej inteligencyi.

— Wychować — odparł stanowczo hrabia. — Zwątpienie jest grzechem, nie zapadaj weń znowu. Staram się o to, żeby dać ci nowe pole do pracy, szersze i żyzniejsze, na którym byłbyś wolnym od przykrości, jakie cię na każdym kroku

we Lwowie spotykają. W niedawno założonym uniwersytecie w Czerniowcach jest do obsadzenia katedra literatur słowiańskich. Trzeba, żebyś się starał o otrzymanie tego miejsca. Ja pomogę, o ile potrafię.

Iwan słuchał z natężeniem, łowiąc uchem każde słowo hrabiego. Twarz mu płonęła, z oczu zapał tryskał.

— Katedra literatur słowiańskich, o niej zawsze marzyłem — zawołał radośnie; po chwili jednak posmutniał i rzekł z westchnieniem: — nie dadzą mi jej nigdy... Nie dadzą człowiekowi tak spotwarzonemu. Szkoda trudu.

— Znowu jeremiada! — zawołał hrabia, rozgniewany tym razem na seryo. — Znosić nie mogę tego wiecznego unieszczęśliwienia... Zkąd ty możesz wiedzieć, czy dadzą, czy nie dadzą? Do ciebie należy wnieść podanie z twoją kandydaturą i czekać, co ci na to odpowiedzą. A obecnie słuchać, co ci dalej powiem.

Iwan spuścił oczy zawstydzony i szepnął cicho: Słucham.

Do nowego uniwersytetu wchodzi cała młodzież ruska z Bukowiny, niechowająca w sercu nienawiści do Polaków, obca tej smutnej walce domowej; zbiera się tam wielu Rusinów z Galicyi, którym kierunek dzisiejszych prowodyrów nie smakuje, którzy inną drogą iść pragną... Tych oświecić, tych pozyskać, za sobą pociągnąć — to będzie twoje zadanie, twój cel.

Myśli rzuconej przez hrabiego chwycił się Iwan oburącz. Tego samego dnia zrobił podanie i oddał go do rąk opiekunowi, który obiecał się zająć tą sprawą. Sam zaś fantazyował bezprzestannie o przyszłej katedrze; dnie i noce pracował w bibliotece hrabiego, i nim wakacye skończyły się, miał już przygotowane wykłady na całe pierwsze półrocze. Odżył wśród tej pracy, zapał dawny powrócił ze zdwojoną siłą, w bujnej, poetyckiej wyobraźni widział przed sobą swoich przyszłych wychowańców w życiu publicznem, cieszył się ich powodzeniem, współdziałał z nimi.

Nie opatrzył się nawet, jak wśród ciągłej pracy zbiegł czas feryj. W połowie września siedział od świtu w bibliotece,

zajęty robieniem notat, gdy niespodziewanie wszedł tam hrabia z jakimś pakietem w ręku.

— Witam pana profesora! — zawołał wesoło. — Masz tu nominacyę — rzekł, podając mu duży opieczętowany pakiet. — Wiem o tem, bo równocześnie uwiadomiono i mnie i na moje ręce ten pakiet przesłano. No otwórz, czytaj....

Iwan stał, trzymając pakiet. Ręce mu dygotały z wielkiego wzruszenia, nie miał siły zdobyć się na rozerwanie koperty.

Hrabia sam rozciął papier i wydostał do podania załączone alegaty i... przychylną odpowiedź. Urzędowego aktu nominacyi nie wygotowano jeszcze w ministeryum.

Iwan z radości stracił prawie przytomność, uniesienie jego przybrało formy uciechy małego chłopaka. Gwałtem chwytał i całował ręce hrabiego, biegał wokoło pokoju; wreszcie wybiegł podzielić się pomyślną wieścią z Waciem.

Tego dnia przy obiedzie podano szampańskie wino; zaproszono nowego proboszcza, przyjaciela i kolegę Iwana i wypito uroczyście zdrowie młodego profesora, wypito za pomyślność jego planów i zamiarów.

Czas, który pozostawał do wyjazdu, minął Iwanowi niepostrzeżenie. Uszczęśliwiony, rozpromieniony, zapomniał o wszystkich minionych cierpieniach i dolegliwościach. Po całych dniach fantazyował o swem przyszłem zajęciu. Bawił się niem. Przybrawszy czasem komicznie uroczystą minę, wchodził do pokoju Wacia i kłaniając się, przemawiał z patosem: Panowie, proszę uciszyć się, prelekcya się zaczyna...

Smutki i boleści daleko odeń uleciały, zapomniał o nich. Hrabiemu zdawało się, że zapomniał i o Eufrozynie.

XVI.

Sierocie po księdzu Bazylim przyszłość smutnie się przedstawiała.

Zawód, jakiego doznała ze strony eleganckiego konkurenta, więcej obraził jej miłość własną, niż rozkrwawił serce.

Nigdy go nie kochała naprawdę, straty też nie odczuła boleśnie. Ciosem dla niej niespodzianym, a nad wyraz bolesnym była okropna śmierć ojca. W pierwszych chwilach nie była w stanie pojąć, zrozumieć nieszczęścia, jakie ją dotknęło. Zdawało jej się, że jest ofiarą snu jakiegoś okropnego, że zmora ohydna trapi ją. Prozaiczne kolce życia przebudziły ją boleśnie, zmusiły do zajrzenia rzeczywistości w oczy.

Po za wstydem, hańbą i boleścią wysuwała się ruina — ubóstwo.

Cudem prawie udało się hrabiemu z remanentów i ruchomości pozostałych po księdzu Bazylim uratować tyle, że miały za co nająć domek w Stanisławowie i mogły zaspokoić przez jaki rok codzienne potrzeby. Mówiono nawet, że hrabia coś od siebie pokryjomu dodał.

Zamieszkały wspólnie z Natalią, która obydwom zbiedzonym, unieszczęśliwionym kobietom dawała dowody dobroci serca i prawdziwego przywiązania.

Zaczęły się dla młodej, do rozrywek przyzwyczajonej, rozpieszczonej jedynaczki — szare dni powszednie. Mijały, jeden jak drugi jednakowe, bez zmiany. Przy pomocy Natalii i znajomych jej nauczycielek zaczęła się uczyć, pragnęła zdać egzamin nauczycielski, przyszłość sobie zapewnić. Nie łatwo jej to szło.

Przy wrodzonych zdolnościach, a skromnych wymaganiach domowych nauczycielek, zgromadziła ona pewien zapas nauki, który zdaleka oglądany robił nie złe wrażenie, przy bliższem rozpoznaniu zaś przedstawiał się zaś jako zlepek zbudowany bez podwalin — na lotnym gruncie wyobraźni.

Musiała zaczynać od początków i pracować usilnie. W miarę postępu praca stawała się coraz łatwiejszą, nabierała metody. Zasmakowawszy jednak w nauce, przesadzać zaczęła w pracy. Dnie całe nad książkami spędzała. To odbiło się na jej powierzchowności, na jej zdrowiu może. Znikły dawne żywe rumieńce, twarz się jej przedłużyła, oko rozszerzyło, a cały wyraz wyszlachetniał jeszcze bardziej. Około ust igrał

czasami uśmiech tęskny, smutny i otaczał jej postać niezrównanym urokiem.

Dziwnem w niej było, że przy ciągłem zajęciu nauką, przy braku czasu rozwinęło się w niej zamiłowanie do czytania dzienników. Przez Natalię, przez jej koleżanki potrafiła zawsze dostać kilka rozmaitych, choćby kilka dni temu wydanych, to jej nie zawadzało. Przerzucała je, w niektórych tylko numerach czasami odczytywała po kilkakroć to samo miejsce. Częstokroć czytanie to wywoływało w niej oznaki oburzenia, z niechęcią rzucała przeczytany numer i wychodziła z pokoju, ażeby łzy ukryć.

Postępowanie to zwróciło uwagę Natalii, wzięła porzucony kiedyś numer i odrazu odgadła tajemnicę. Eufrozyna kochała Iwana, jego los, jego karyera literacka, przeciwności, z któremi walczył, obchodziły ją; oburzały podłość i zła wiara, których używano w polemice z nim. Oddalony, rósł w jej wyobraźni na bohatera.

Numer, który wywował wybuch gniewu w Iwanie, wycisnął obfite łzy z oczu Eufrozyny. Rzuciła gazetę z oburzeniem i zaszlochała nerwowo, ukoić się nie mogła. Natalia podniosła ją i przy niej przeczytała. Tajemnica znikła między niemi. Biedna dziewczyna oparła głowę na ramieniu przyjaciółki i plakała długo... długo.

— Jaki on nieszczęśliwy — wołała przez łzy — com ja zrobiła? Jak on mną pogardzać musi?... I słusznie, słusznie... — łzy jej głos tamowały, trzęsła się cała i tuliła do piersi Natalii, jak przestraszone dziecko. — Ja nigdy, nigdy go już nie zobaczę... On pogardza mną... On może zapomniał już...

Uspokajała ją i pocieszała starsza przyjaciółka, lecz co prawda, na pocieszenie nie wiele mogła powiedzieć.

Od dnia, gdy tajemnica znikła, obie teraz razem śledziły w dziennikach za losem Iwana. Obie odczytywały po kilkakrotnie wszystko, co on napisał. Szarą godziną, gdy chwila wypoczynku nadchodziła, siadywały obok siebie, rozpa-

miętywając każde jego słowo, powiedziane ongi w Zahnilczu. Przed oczami Eufrozyny zmartwychpowstawał wyraz jego twarzy, uśmiech lub zasępienie.

Dreszcz ją przejmował, gdy rozpamiętywała dzieje dnia, w którym po raz ostatni widziała go. I burzę tę straszną i przestrach, rozpacz, jaka miotała jej całą istotą w chwili, gdy on odszedł.

— Tak, tak — szeptała smutnie — on mną pogardził, a teraz zapomniał już, zapomniał na zawsze... Czem ja mogę być dla niego! Ja ciemna, głupia dziewczyna... Ja nieuk taki.

I chwytała za książki i uczyła się gorączkowo. Zdawało się biedaczce, że gdy zda egzamin, to on dowié się o niej, nazwisko jej przeczyta, przypomni sobie może.

Wieść o nominacyi Iwana na profesora uniwersytetu, przyjętą została w niskim dworku na przedmieściu stanisławowskim, wybuchem wielkiej radości. Obie dziewczyny nie mogły znaleść dość energicznych sposobów na okazanie zadowolenia. W ręce klaskały, biegały po pokoju i śmiały się, śmiały się aż do łez.

Zdziwiona dziekanowa wyszła z kuchni zobaczyć, co to się mogło stać? jaka przyczyna tak hałaśliwej uciechy?

— Doktor Iwan został profesorem uniwersytetu w Czerniowcach — objaśniła ją Natalia, Eufrozyna odwróciła oczy pełne łez, jej radość bez przyczyny zmieniła się w smutek.

Popatrzyła na nią babka i odgadła boleść jej serca, przeczuła, co tam się w piersi dziewczęcej dziać musi? Nie mówiąc słowa, zbliżyła się do niej, w czoło ją pocałowała i co prędzej wyszła, bojąc się, by sama nie zapłakała.

Biedna dziewczyna — szepnęła wychodząc — teraz serce się jej kraje... Ja zawsze myślałam, że on wysoko pójdzie... Nie spodziewałam się jednak, żeby taki był zacięty...

Od tego dnia Eufrozyna żyła jak w gorączce.

Nie zdradzała się z tem przed Natalią, ale w duszy zadawała sobie ustawicznie pytania: Z Zahnilcza droga do

Czerniowiec przez Stanisławów... Czy wstąpi odwiedzić?... Czy przypomni sobie?...

Dnie mijały za dniami. Skończył się wrzesień, przeszły już pierwsze dnie października, a jego niema.

— Może się spóźnił?... może hrabia go tam zatrzymuje? — pocieszała się w duszy dziewczyna, lecz nadzieja zaczęła ją zupełnie opuszczać.

Wreszcie wyczytały w gazetach o świetnym wykładzie, jakim rozpoczął Dr Gudz swe lekcye w Czerniowcach. Pisemka tam na miejscu wydawane nie umiały znaleść słów, któreby określiły stopień ich uniesienia. — »To było święto narodowe« — pisały. Zdawna wrogie mu pisma zionęły znowu jadem nienawiści. Czuć jednak w tem było, że to już gniew bezsilny i zazdrość podła.

Eufrozynę, gdy to czytała, nieokreślone jakieś uczucie za serce chwytało, jak kameleon mieniło się w niej samej. Cieszyła się z jego tryumfu, z jego powodzenia; cieszyła się z upadku, ze wstydu jego wrogów. A jednak w sercu i do niego żal uczuwała, żal coraz sroższy. Za co? Nie umiałaby na to odpowiedzieć nawet — czuła jednakże.

— Myślałam, że on ma lepsze serce — szeptała w duszy.

Lecz wnet zawstydziła się sama przed sobą swej niesprawiedliwości. Przypomniała sobie, jak on błagalnym głosem słowa zmiłowania prosił, jak on wzrokiem do niej się modlił. A ona była głuchą i ślepą... Tak, Bóg jest sprawiedliwy! Słusznie się jej ta boleść należy, wszak ona była nieczułą na na jego cierpienia, stokroć sroższe.

Żal w sercu stłumiła, lecz przebudzonego uczucia stłumić nie mogła. Nieobecnego, obcego może już dziś dla niej zupełnie człowieka kochała całą siłą młodego serca, całą potęgą bogatej wyobraźni. Urósł on w jej oczach na bohatera, na którego z dołu ziemi tylko zwykłym śmiertelnikom spojrzeć można.

Czytanie jego utworów przeszło u niej w kult jakiś, w rodzaj bałwochwalstwa. Już nie treść, nie forma, ale samo

nazwisko autora w zachwyt ją wprawiały. Dziś zrozumiała każdą myśl, którą on dla niej pisał ongi, wówczas, gdy ona zrozumieć tego nie mogła, czy nie chciała.

Czas płynął, ona uczyła się i... wzdychała.

XVII.

Iwana z entuzyazmem przyjęto w Czerniowcach.

Znano go daleko więcej z jego własnych utworów, niż z paszkwilów, jakie o nim lwowskie pisma rozsiewały. Znano go jako młodego, pełnego talentu poetę, natchnionego i wytwornego pisarza, autora »Zbutwiałych.« Witano w nim uczonego, którego głęboka wiedza rzeczy słowiańskich znaną była nietylko w ojczyźnie.

Echa sporów i waśni galicyjskich, rozdzielających Polaków od Rusinów, słaby oddźwięk znajdowały na Bukowinie. Tam obie narodowości łączyły się ściśle w celu obrony wspólnej przeciw żywiołowi rumuńskiemu, który zaprzeczał prawa istnienia obu zarówno i obie jednako upośledzał. Tak Rusini jak i Polacy powitali w Iwanie nową siłę, nowego bojownika, który im pomoc niesie, a i w walce czynny przemożny udział weźmie.

Inauguracyjny odczyt Iwana przybrał pozory wielkiej dlań owacyi. Nietylko wszyscy studenci słowiańskiego pochodzenia, ale i ludzie starsi, pracownicy na niwie społecznej, tak Polacy, jak i Rusini, spieszyli powitać młodego profesora. Kobiety nawet starały się o możność słyszenia go. Ścisk był w sali ogromny. Iwan stał się modnym.

W czasie wykładu cisza panowała w sali. Ludzie słuchali, bojąc się odetchnąć głośniej, bojąc się stracić jedno słowo.

Młody profesor czynił wyznanie swej wiary politycznej. Wygłosił program, jakiego nadal trzymać się będzie. Mówił to tak porywająco, słowa jego tryskały taką poezyą, czar taki, urok niezwyciężony otaczał i postać jego i słowa, które mówił,

że łzy z oczu wyciskał, westchnienia w piersiach budził, porywał i unosił za sobą słuchaczy w krainę ideału — w świat piękna i dobra, do królestwa zgody i jedności, królestwa Bożego na ziemi.

Skończył. Od oklasków mury gmachu drżały. Starzy ludzie szli ku niemu i ze łzami w oczach cisnęli się, by w ramię go ucałować. Młodzież na rękach wyniosła go z sali, kobiety z nietajonem uwielbieniem nań patrzyły. Stał się bohaterem.

Iwan po raz pierwszy w życiu doświadczał uznania publicznego — tryumfu. Upoił się nim. Zapał, jaki budził w słuchaczach, porywał jego samego. Następne prelekcye były równie świetne; świetniejsze może, jeżeli to było wogóle możliwem. Całą duszę w nie wlewał; były jakby poematem. Początki cywilizacyi słowiańskiej, epokę bohaterską południowców, boje straceńców z zachodnich kresów, cudowną patryarchalną sielankę środkowych Polan, malował natchnionem słowem śpiewaka — wieszcza. Wlewał w dusze słuchaczów wszystkie myśli własne, swe sny i marzenia, poczucie rycerskości i bohaterstwa, które hrabia weń wpoił.

Stał się kierownikiem myśli i czynów całego tłumu młodzieży, w ogień by za nim poszli; był ich wodzem, kierownikiem, hetmanem duchowym.

Cały czas poświęcał nauce, przygotowaniu do wykładów w uniwersytecie. Wszystkie jego myśli były ku nim tylko skierowane.

Gdy w rzadkich chwilach znużenia umysłowego spoczął trochę, gdy oparłszy strudzoną głowę na dłoniach, wracał mimowolnie w świat wspomnień, wówczas uśmiechał się pobłażliwie, tak jak uśmiechać się zwykł starzec patrzący na igraszki dzieci. Przebaczał w duszy szaleństwa, które popełniał, zrozumieć ich jednak już nie mógł. Służba publiczna, cele społeczne, sława własna wreszcie pochłonęły go zupełnie. Postać Eufrozyny zacierała się zwolna w jego pamięci, usuwała się w dal, rozpływała i tylko zjawiała się czasem lotna i powiewna, bezkrwista i idealna, niby cień elizejski.

W czerwcu, pierwszego roku pobytu Iwana w Czerniowcach, wypadła wielka uroczystość narodowa. Rusini pragnęli uczcić dwudziestopięcioletnie zasługi śpiewaka-żołnierza, barda, kobziarza bukowińskiego. Duch przez Iwana rozbudzony miał się zamanifestować wielką owacyą, urządzoną zasłużonemu poecie, zacnemu człowiekowi.

Uroczystość przybrała niezwykłe rozmiary. Prócz Polaków i Rusinów ze sfer inteligentnych, niespodziewanie napływać zaczęli do miasta huculi z gór, ludzie, wśród których stary śpiewak pół życia przepędził, których kochał, o których śpiewał. Kto ich uwiadomił o uroczystości zamierzonej? tego dotychczas nikt nie doszedł. Schodzili się jednak tłumnie. Malownicze postacie, gotowe modele dla malarzy spływały z oddalonych gór: jedni przyjeżdżali na drobnych, lecz silnych konikach huculskich, inni ubożsi pieszo tę wędrówkę odbywali.

Rano odbyło się nabożeństwo. Stary poeta klęczał, bił się w piersi, pokutę czynił i za błędy młodości Pana Boga o przebaczenie prosił. Tłum z różnorodnych żywiołów czynił za nim to samo.

Po południu miał mieć Iwan odczyt o zasługach starego barda, a potem miano uwieńczyć skronie osiwiałego w bojach i pracach wieńcem zasługi.

Na godzinę przed oznaczonym terminem w sali było już pełniuteńko. Obok elegancko ubranych panów i pań z miasta, obok tłumu młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej, siedzieli zadomowieni proboszczowie górskich wiosek, cisnęły się na pół dzikie, lecz piękne postacie huculów.

W kącie sali uwagę sąsiadów zwracała postać nieznanego, niewidzianego tu nigdy starca i cudownie pięknej dziewczyny.

Stary pan miał dystyngowaną, arystokratyczną powierzchowność; panienka pięknością swoją zazdrość sąsiadek budziła. Pan, patrząc na nią, uśmiechał się wesoło, jowialnie prawie, widok jej nietajoną przyjemność mu sprawiał. Panienka zaś drżała smutna i zadumana, śliczną jej twarzyczkę urok

tęsknoty otaczał, na każdy szelest od wejścia pochodzący wstrząsała się nerwowo i zwracała rozmarzone oczy w stronę drzwi.

To hrabia Teodor przywiózł Eufrozynę na odczyt Iwana.

Rozpoczęło się nareszcie.

Iwan prowadził starego poetę pod rękę. Gdy znaleźli się na sali, huczne oklaski powitały ich przzbycie. Stary śpiewak kłaniał się z wdzięcznością i rozczuleniem na wszystkie strony. Oklaski te dziwiły go, wstydziły prawie, nie przywykł do nich, były dlań — nowością.

Znaleźli się wreszcie na podniesieniu. Jubilata usadowiono na honorowem krześle. Iwan zajął miejsce dla prelegenta przeznaczone. Ukłonem i ciepłem słowem powitał zebranych, potem zaczął malować dzieje żywota dzisiejszego jubilata.

Przesuwał im przed oczyma dnie jego dzieciństwa w sieroctwie, w opuszczeniu spędzone, matkę, biedną kobietę, anioła opiekuńczego smętnego pacholęcia... Później jego włóczęgę po świecie za okruchami chleba powszedniego; trudy i znoje wojenne, rany i krwi przelanie, tęsknotę poety za ojczyzną uroczą, za górami cudownemi, za szelestem liści bukowych, szumem lasów świerkowych, za zieloną Bukowiną.

Słuchacze tak zespolili się z myślą, z duszą mowcy, że wraz z nim cierpieli boleścią starego barda, tęsknili jak on, krew przelewali, rany odnosili. We wszystkich krew jednakiem tętnem krążyła, pulsy jednako uderzały. Czar słowa opanował już ich.

Eufrozynie serce biło gwałtownie, z głową naprzód wyciągniętą, z oczami w mowcę wpatrzonemi siedziała drżąca, łowiąc każde jego słowo pożądliwie.

Prelegent w dalszym ciągu przeszedł do działalności jubilata na polu literackim i społecznem, malował jego zasługi. Podnosił przedewszystkiem to, że był śpiewakiem zgody i miłości, wieszczem pojednania.

— Żaru on nie kładł na rany — wołał uniesiony zapałem — przeciwnie, balsamem zgody je zalewał. Czuł on, że w bratnim uścisku z polskim narodem nasza przyszłość leży,

przyszłość naszej narodowości. Czuł, że myśmy ich braćmi rodzonymi i tylko z nimi połączeni coś znaczyć możemy.

Zapał i uniesienie siły mu wyczerpały, zamilkł na chwilę, pot kroplisty z czoła ocierał. Po chwili mówił znowu z rosnącym zapałem.

— Ja sam osobiście wiele dobrego od Polaków doświadczyłem. Była chwila, w której złamany bolem, gorzej niż piekielnym, zwątpiłem w świat, w ludzi, w ojczyznę i w Boga nawet... I chciałem rzucić to wszystko razem... Polska ręka powstrzymała mię, polska ręka wskazała mi obowiązki, jakie mam dla własnej narodowości, dla was bracia... Ja błogosławię dziś tę rękę.

Szalone, namiętne oklaski zagłuszyły ostatnie słowa mowcy. Okrzyki: *Sławno! sławno!* — rozlegały się po sali.

Eufrozyna przy ostatnich słowach nie zdołała zapanować nad wzruszeniem, zaszlochała głośno. Nie zwróciła tem jednak niczyjej uwagi na siebie, bo wiele kobiet płakało w sali.

Dobry kawał czasu upłynął, nim się uciszyło.

Gdy ucichło, Iwan zwrócił się do słuchaczy i prosił ich, że słusznemby było, żeby męża tak zasłużonego, tak wsławionego, wieńcem zasługi obdarzyć.

Program uroczystości był z góry ułożony; nie znał go tylko ten, który był przedmiotem owacyi.

Piękna panna w pierwszym rzędzie krzeseł siedząca powstała i podchodząc ku jubilatowi, podała mu zielony wieniec laurowy na drewnianej tacy wyrobu krajowego. Wszyscy starsi, poważniejsi cisnęli się za nią. Sala zatrzęsła się od oklasków i okrzyków. *Sławno! sławno! Niech żyje!* — rozlegało się na wszystkie strony. Z pośród okrzyków i gwaru wkrótce wyróżniać się zaczęła jedna nuta, która zagłuszyła wszystkie inne głosy. Chór studentów śpiewał starą ruską pieśń:

»Mnohiji lita... mnohiji lita... lita.«

Rozlegało się po sali i przez otwarte okna nuta pieśni w świat płynęła... daleko, daleko aż do gór wyniosłych, do czarnohorskich szczytów.

Jubilat stał ze spuszczonemi oczyma, rozrzewniony, rozczulony. Trzymał wieniec w dłoni, nie pozwolił na głowę go sobie włożyć. Patrzył na ten zapał, na ten entuzyazm i serce mu rosło, przyciskał dłoń do piersi, jakby bojąc się, by to serce zbolałe nie wyskoczyło z piersi, z nadmiaru radości.

Śpiew ustał. Stary poeta skinął ręką, prosząc o uciszenie i mówić zaczął.

Dziękował serdecznie za uroczystość, którą jemu niezasłużonemu urządzono, dziękował za uznanie, jakie w narodzie znalazł. A zwracając się do Iwana, rzekł wskazując nań:

— Jemu to właściwie ten wieniec należy się. Nie moją to zasługą, lecz jego jest, że duch się w nas obudził, że serca odtajały... Jam nie zasłużony. Com od Boga wziął, tom wam oddał, nie wielką zasługę ma skowronek za śpiew swój, to dar Boży... On zaś do talentu przyłączył głęboką naukę... Jemu wieniec oddajcie.

I ucałował białe czoło młodego profesora, wziął go w objęcia, usiłując włożyć mu wieniec na głowę. Iwan zgrabnym ruchem głowę usunął i w tej chwili wieniec z rąk starca pochwycił, po to, żeby mu natychmiast osiwiałą skroń nim przyozdobić.

W sali zapanował chaos nie do opisania, wszyscy cisnęli się do estrady, każdy chciał uścisnąć dłoń obu bohaterów dnia. Ścisk zrobił się nieznośny.

Eufrozyna zrazu stała obok hrabiego. Nie mogła jednak dłużej wytrzymać w biernej roli. I ona zapragnęła zobaczyć go zbliska, złożyć mu powinszowanie dzisiejszego tryumfu. Może przypomni ją sobie wreszcie. Rzuciła się naprzód, pragnęła przez tłum się przecisnąć. Próżne marzenia.

Ścisk ludzi, jak prąd wodny, pochwycił ją z sobą i uniósł bez steru. Zdawało się jej czasem, że już ostatnia chwila wybiła, że już dusić się zaczyna. Płynęła jednak z prądem, zbliżała się do drugiego końca sali, do estrady. Widziała go już doskonale o jakie dziesięć kroków od siebie. Zobaczyła, jak znowu podał rękę jubilatowi i zbierali się do wyjścia. Będzie

może przechodził obok niej, zobaczy ją, przywita może... Seree jej biło coraz mocniej.

Tłum rozstępować się zaczął, ludzie rozpychali się na wszystkie strony. Eufrozynie, dzięki jej piękności, udało się zostać w pierwszych rzędach, widzi go, nadchodzi... jest już o krok zaledwie... Nie patrzy jednak w tę stronę... Ona nie ma sił zawołać doń. Przechodzi, mija, ominął, popatrzył i nie poznał... Zawołała — Iwanie! Iwanie! — Nie usłyszał... Rzuciła się naprzód, chciała siłą docisnąć się do niego — odepchnięto ją...

Zgnieciona, zapłakana wyszła wraz z falą ludzką z budynku; o kilka kroków od bramy stał hrabia, czekając na nią. Podał jej rękę i poszli do hotelu.

Przy wyjściu z sali podano Iwanowi bilet. — Otworzył go natychmiast, poznał pismo hrabiego. W kilku słowach hrabia prosił go, żeby przyszedł dziś do niego koniecznie, bo pragnie go co najprędzej widzieć. Wskazał nazwę hotelu.

Młody profesor opuścił wszystko i pobiegł natychmiast »pod Czarnego Orła.« Otworzył drzwi i stanął jak wryty.

Przy stole zastawionym przyborami herbacianemi siedział hrabia i Eufrozyna.

— Witaj mi profesorze! — zawołał wesoło hrabia. — Cóż, wdzięczny mi jesteś, żem ci takiego słuchacza przywiózł?

Oni stali milcząco, patrząc na siebie. Oboje przemówić nie mogli. Iwan ruszył się pierwszy, podszedł ku niej i podał jej rękę na przywitanie. Ona ścisnęła tę rękę gorąco, serdecznie, i patrząc nań załzawionemi oczami, szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem:

— Czy przebaczysz mi?

Hrabia tymczasem usunął się nieznacznie do drugiego pokoju.

— Przebaczam! odparł Iwan, i na karmazynowych jej ustach złożył pierwszy pocałunek. Nie broniła mu go.

Usiedli później obok siebie, i ona długo, długo szeptała mu coś. Spowiadała się ze swych zmartwień i boleści. Opo-

wiadała, jak kocha go nad życie. On słuchał i pozwalał się kochać i uwielbiać. Przywykł do tego.

W czasie długiej, miłej pogadanki doszedł ich uszu dźwięk dzwonu zegarowego. Na bliskim ratuszu biła dziewiąta godzina. On wstał i powiedział jej, że musi wracać, żeby dziś jeszcze podpisać protokół pierwszego posiedzenia komitetu, który ma na celu wydanie zbiorowe dzieł jubilata. Przykrość to jej zrobiło, ale nie zatrzymywała go. Wszak on nietylko do niej należy — on jest sławnym człowiekiem, własnością całego kraju.

Hrabiego nie było w pokoju.

* * *

W czasie wakacyj odbył się ślub w Zahnilczu. Hrabia zastępował rodziców i pobłogosławił, Wacio zaś drużbował.

Ona była bardzo, bardzo szczęśliwą, kochała męża nad życie, był dla niej istotą niedoścignioną, najdoskonalszą na świecie.

I on ją kochał bardzo; ale więcej jeszcze kochał swą sławę, swoje zajęcie i obowiązki, a najwięcej ideał — ojczyznę.

Ona, zamiast stać się kochanką rozmarzonego poety... Beatryczą... Laurą — została żoną profesora i z wielką znajomością rzeczy dbała o jego wygody.

On, zamiast z rozkapryszoną jedynaczką, ożenił się z kobietą rozumną i praktyczną.

Zaraz po ślubie hrabia stał się stałym stronnikiem pani profesorowej i utrzymywał, że dawniej inaczej, lepiej kochać umiano.

W Oleksińcu polnym, w lipcu 1888 r.

SEMEN KWITKA.

SZKIC.

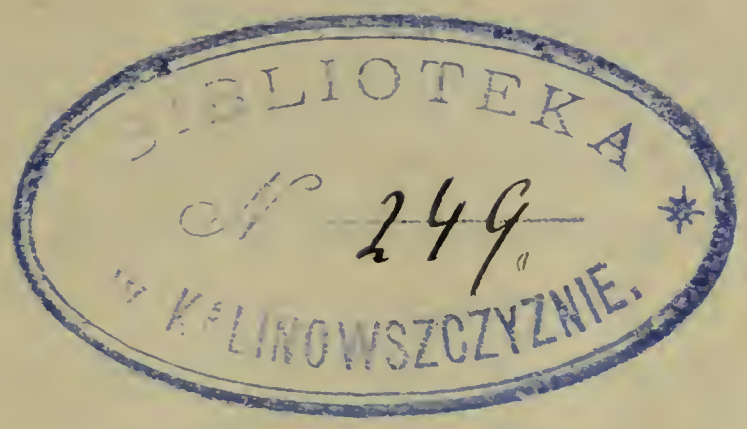

— Co mu się mogło stać? — pytałem zaniepokojony, spoglądając na kulejącego konia, którego chłopak stajenny przeprowadzał po dziedzińcu. — Zawsze musicie coś zmalować! Kto na nim jeździł ostatni raz? Gdzie chodził?

— Ta-że nigdzie! — odrzekł stary Hrehor, skrobiąc się w głowę.

— Jakto nigdzie? przecież nie trzymałeś konia w stajni przez cały tydzień, gdy mnie w domu nie było?

— Ta-że nie!... ale dalibóg, że już nie pamiętam... Aha! prawda, to Maks na nim na pocztę jeździł.

— Maks! Maks! — zawołałem na chłopaka, w celu przeprowadzenia śledztwa.

W tej chwili jakiś konny posłaniec pokazał się w bramie.

— A ty zkąd? — spytałem, zwracając się ku niemu.

— Z Malinki, proszę pana — odparł kozak, zsiadając z konia i wiążąc go do słupa — z listem od jaśnie pani.

Wziąłem podany mi list do rąk i rozrywając pospiesznie kopertę, zacząłem odcyfrowywać drobniuchne pismo pani Malwiny. Hrehor i Maks, korzystając z niespodziewanej interwencyi, ulotnili się obaj wraz z okulawionym koniem.

W liście, po wielu sąsiedzkich wiadomostkach, już gdzieś pod koniec wyczytałem następujący ustęp: »Co się z panem dzieje? Doprawdy, że to jest niegodziwie tak zaniedbywać sąsiadów. — U nas ciągle kłopoty z Olesiem. Przedwczoraj mój mąż wrócił z Kijowa i przywiózł nowego nauczyciela; pan ten nie wzbudza we mnie zaufania, to też wielkąby mi pan zrobił przyjemność, gdybyś przyjechał dziś do nas i przyj-

rzał się temu nowemu nabytkowi. W dzisiejszych czasach nie można nigdy być dość ostrożnym...« etc. etc. Rozwodziła się pani Malwina nad dzisiejszem zepsuciem, nad rozprzestrzenieniem nihilizmu i zgubnych zasad, dążących do obalenia dzisiejszego społecznego ustroju.

Szedłem z listem w ręku ku domowi, rozmyślając, co z tym fantem robić, gdy wtem od oficyny zaszedł mi drogę kucharz, pan Walenty.

— Całuję rączki wielmożnego pana — przemówił słodziuchno, kłaniając się do ziemi — całuję rączki! A jak się sen udał? Jak tam szlachetne zdrowie wielmożnego pana?

— Czego chcesz? — krzyknąłem opryskliwie, bo nie lubiłem ckliwej paplaniny tego pochlebnisia.

— To jest, ażeby na ten przykład wielmożnemu panu powiedzieć — mówił niezdetonowany dalej — przyszedłem prosić wielmożnego pana o godną dyspozycyę na obiadek.

— Zrób, co sam zechcesz! — odpowiedziałem, nie zatrzymując się nawet.

— Niech wielmożny pan raczy swój zacny gust objawić, niby tak na jaki kształt ma być obiad?

— Nie nudźże mnie, zrób tam coś z mięsa...

— Z mięsa... z mięsa... Na żaden sposób nie może być... niemożliwość — stanął, zastępując mi drogę do drzwi domu i jakby lubując się dźwiękiem własnego głosu, powtarzał — niemożliwość! niemożliwość!... Kalina mięsa dziś nie przywiózł.

— A niech go tam! zakląłem rozgniewany na dobre.— Dlaczego nie przywiózł? Cóż to nowego?

— Święta żydowskie — odpowiedział cicho Walenty, spuszczając głowę i ustępując z drogi, szepnął: Jeżeli Wielmożny pan pozwoli, to możeby z jednego barana zabić... teraz pod jesień to one tłuste.

— Jeszcze czego nie stało? Opasy mi będziesz wybijać... Rób, co ci się żywnie podoba, ja nie będę w domu na obiedzie, pojadę do Malinki.

Walenty poszedł, pomrukując coś zcicha, a ja zwróciłem się do kozaka i powiedziałem mu, że odpisu nie będzie, bo ja sam na obiad do państwa przyjadę. Hrehorowi kazałem przygotować konie, a sam poszedłem przebrać się stosownie.

Ubierałem się bardzo, bardzo powoli, rozmyślając o pani Malwinie, o jej mężu, panu Bolesławie Jańskim, o jej synku Olesiu, o kobietach wogóle. Myśli najdziwaczniej mi się kłębiły, ale uparcie powracały do pani Malwiny, bo była ona piękną, czarującą nawet może, a przytem taka jakaś interesująca, taka niepochwytna... Co mogło taką kobietę skłonić do wyjścia za — takiego Bolesława? — On jest niezaprzeczenie zacnym człowiekiem, dobrym gospodarzem nawet, ale i rura do barszczu. A ona? — No i ona, pomimo wszelkich pozorów, przeciw niej mówiących, jest porządną kobietą, sam wiem o tem najlepiej. Niejednokrotnie doprowadzała mnie do gniewu tem, że jakby umyślnie starała się o dawanie ludziom przyczyn do obmowy, a w gruncie? nic! Chyba ja już tak głupi jestem? Może ona wyśmiewa mnie w duchu?

Rzuciłem z gniewem źle układającą się krawatę; skaranie boskie z temi wiązanemi krawatami.

— Czego ta kobieta chce odemnie? — myślałem dalej, a gniew mój wzrastał coraz bardziej. — Czy ja jej potrzebuję? czy jej się narzucam? Bardzo potrzebni mi ci posłańcy, te listy — ta bezprzestanna, babska paplanina? Wszystkie panny, wszystkie ciotki i mamy w całej najszerszej okolicy uważają mnie za kochanka pani Malwiny. A ją... Nie! nie, dość już nareszcie tego, muszę już raz tę komedyę zakończyć; powiem jej, że już czas, żebyśmy przestali okrywać się śmiesznością.

Odgłos dzwonków pod oknami dał mi znać, że konie już zaprzągnięto, a ja byłem dopiero do pół ubranym.

— Muszę już raz zrobić koniec temu — snułem myśli dalej. — Do czego to może doprowadzić? Niech już będzie albo wóz albo przewóz; albo tak, albo siak. Kpem trzeba być, ażeby dać się tak za nos wodzić. Dobrze mówi moja

ciotka, że psuję sobie reputacyę temi bałamuctwami. Bałamuctwami? Żeby też to było bałamuctwem takiem, jak inne bywały... a to — śmiech ludziom powiedzieć.

— Proszę pana prędzej! — zawołał Maks, wpadając jak bomba do pokoju — Mrówka tak zwaryowała, co aż strach. Skacze, skacze, jeszcze dyszel połamie, okrutna mucha tnie.

Pospiesznie dokończyłem tualetę, skoczyłem na wózek i piorunem przeleciałem trzy wiorsty, dzielący mój dom od dworu w Malince.

Panią zastałem na werandzie. Siedziała ustrojona w prześliczny szlafroczek z perskiej termołamy; z pośród faldów wzorzystej materyi wychylały się białe łokcie i alabastrowa szyja; główkę miała opuszczoną, a ciemne, wyraziste jej oczy spoczywały na welinowych kartkach ostatniej powieści Bourget'a; zdawała się być tak zatopioną w czytaniu, że nie spostrzegła nawet mego wejścia, nie słyszała moich kroków. Gdy stanąłem tuż obok niej, odezwałem się przyciszonym głosem:

— Dobry dzień pani!

Dopiero wówczas podniosła swoje czarne, rozmarzone i niby mgłą jakąś przysłonięte oczy, i patrzała na mnie przez chwilę, a z ust jej purpurowych, jak dojrzałe wiśnie pełnych, rozkosznie rozchylonych, nie wybiegł najmniejszy dźwięk; patrzała na mnie jakby zdziwiona mojem tu przybyciem.

— Dobry dzień pani! — powtórzyłem jeszcze głośniej.

— A to pan — przemówiła wreszcie po chwili — nie spodziewałam się już pana u nas zobaczyć. Myślałam, że pan zupełnie o sąsiadach zapomniał. Mój mąż tak długo teraz siedział w Kijowie, a ja byłam taka samotna, tak samiuteńka, że aż bałam się o siebie. Wié pan, że aż mi się coś mącić zaczynało... tu — i wskazała ślicznym paluszkiem na białe czoło. — Czemuś pan nie odwiedził samotnicy? To nieładnie, nie po chrześciańsku.

— Nie mogłem, w domu nie byłem — usprawiedliwiałem się pokornie, choć czułem, że wbrew zdaniu Malwiny postąpiłem właśnie zupełnie po chrześciańsku — musiałem od-

wiedzić marszałkostwa... ciotka już na dobre była rozżalona na mnie za takie zaniedbywanie stosunków rodzinnych, jakiego ja dopuszczałem się w ostatnich czasach.

— A więc pan byłeś w Wachnówce — przerwała, patrząc mi badawczo w oczy. — Cóż oni tam porabiają? Nigdy nie mogę się wybrać do pani marszałkowej, choć ona tak dla mnie łaskawa; w Jarmolińcach tego roku spotkałyśmy się w żyrardowskim magazynie, robiła mi wymówki, że u nich nie bywamy.

— I mnie zapytywała o panią — szepnąłem przez zęby, czując, że twarz oblewa mi się potężnym rumieńcem; tak rumieniłem się za te kobiety, nie wiedząc, która z nich mijała się z prawdą; to jednak wiedziałem na pewno, że moja ciotka nie cierpiała pani Malwiny i wygadywała o niej przedemną niestworzone rzeczy.

— Ale pan wié — ciągnęła dalej moja piękna sąsiadka, obserwując bacznie fazy rumieńca na mej twarzy — jak to z moim mężem trudno się gdzieś wybrać. Wiecznie to gospodarstwo, te kłopoty...

Tu przerwała na chwilę, i patrząc mi badawczo w oczy, zapytała nagle:

— Jakże tam panna Wanda? bardzo ładna?... Podobno czarująca....

Panna Wanda był to właśnie ów anioł niewieści, z którym pragnęły mię wyswatać wszystkie bliższe i dalsze ciotki.

Panna Wanda to była ładna, pięknie wychowana, posażna i podobała mi się nawet, lubiłem z nią rozmawiać i miło mi zawsze czas schodził w jej towarzystwie. Teraz jednak sam, nie wiedząc dlaczego, widocznie podrażniony słowami pani Malwiny, zacząłem żartować z panny Wandy, przedrzeźniać jej śpiew, szydzić z jej ułożenia, jednem słowem postępowałem jak człowiek źle wychowany; tem więcej, że wiedziałem doskonale, iż nic z tego nie zostanie w tajemnicy i całą naszą rozmowę, upstrzoną tysiącznemi dodatkami, stugębna, plotkarska poczta doniesie do uszu panny Wandy. Cóż mię to jednak

mogło obchodzić? Dla mnie nie było dziś panny Wandy na świecie. Wszelkie arcy-mądre i praktyczne postanowienia znikły z mej duszy, wszystkie stanowcze zamiary stopiły się pod płomienistem spojrzeniem czarującej kobiety; patrzałem w cudnie piękne jej oczy, połykałem słówka z purpurowych ust płynące, chłonąłem jej przyciszone westchnienia; cieszył mię niewymownie uśmiech swobodny i wesoły, który wykwitał na tej pięknej twarzy, w miarę coraz to większej złośliwości mego opowiadania.

Brnąłem więc coraz to głębiej, ona uśmiechała się coraz weselej, wreszcie wyczerpałem przedmiot do dna i nie mogłem już znaleść żadnej, choćby najdrobniejszej śmieszności w pannie Wandzie. W braku innego zabawniejszego tematu rozpoczęliśmy poufną pogadankę o sprawach codziennych, dom pani Malwiny obchodzących — wszedłem w rolę zaufanego przyjaciela tegoż domu; opowiadała mi strapionym głosikiem o powszednich kłopotach gospodarskich, o mężu, o jego znanej niezaradności i o swoim najukochańszym jedynaku Olesiu wreszcie.

— Wie pan, że Bolesław znowu przywiózł nowego korepetytora dla Olesia — mówiła poufale — mój mąż zawsze musi jakimś konceptem ruszyć. Powiada, że trudno było coś lepszego znaleść, przywiózł więc jakiegoś pana Siemiona Kwitkę, nie bardzo pewnie mi ten panicz wygląda.

— Jakto niepewnie wygląda? — spytałem bezmyślnie, ażeby cośkolwiek powiedzieć.

— O! bardzo nawet niepewne indywiduum — mówiła, nie przerywając prawie — bo musisz pan wiedzieć, że ten Kwitka jest podobnoś nihilistą.

— Nihilistą! czyż być może? — zawołałem zdziwiony i obecnie w rzeczy samej opowiadanie pani Malwiny zaczęło zaczęło mię zajmować.

— Ciszej! ciszej panie! — szepnęła trwożnie, przykładając różowy palec do ust — jak tak się lękam całej tej historyi. Znasz pan dobrze Bolesława i wiesz, że on zawsze

szuka tego co najtańsze, i to we wszystkiem, nie wyjmując moich sukien; i teraz znalazł sobie arcytani nabytek. Ten nowy nauczyciel jest ni mniej ni więcej — tylko wypędzonym z uniwersytetu studentem, całe dwa lata wysiedział w Kijowie we fortecy w śledczem więzieniu. Naturalnie, że przy takiej konduicie nie mógł znaleść nigdzie zajęcia. Bolesław skorzystał zaraz z okazyi i umówil go za dwieście rubli rocznie — inni żądali po sześćset i ośmset. Już to mój pan dla kilkuset rubli zawsze musi mi jakąś przykrość zrobić. Truchleję cała, żebyśmy z tej przyczyny nie mieli jakiej wielkiej nieprzyjemności.

— Jakąż przykrość pani mieć może? — przerwałem jej uspokajająco — taki chłopak rad, że będzie miał co jeść; zapewne musieli go bezpodstawnie posądzić; wysiedział w śledczem więzieniu, a przekonawszy się, że niewinny — wypuścili go w końcu. Biedak jakiś być musi.

— Zapewne, że biedak, widać to po nim, zaledwie ma się w co przyodziać, ale jakiś odmienny, jak zwykli ludzie. Bóg wié, z jakiej przyczyny głowę wysoko nosi i pomimo nędzy widocznie jest dumny.

— Czy on jest Rosyaninem? — pytałem rozciekawiony. Zawsze pragnąłem zetknąć się bliżej z prawdziwym nihilistą; przedstawicieli »młodej Rosyi« znałem tylko z pism Dostojewskiego i Ganczarowa.

Nie! nie jest Rosyaninem — odpowiedziała na me pytanie piękna gospodyni — choć mówi po rosyjsku, nie uważa się za Rosyanina. Powiada, że jest »Mało-rossem«, Rusinem z Zadnieprza. Z całą służbą mówi ich własnem, ludowem narzeczem.

Opowiadanie intrygowało mnie coraz więcej, tak że z niecierpliwością oczekiwałem hasła, powołującego nas do obiadu, przy którym miałem ujrzeć tego ciekawość mą budzącego Rusina, tego nihilistę.

Wkrótce powrócił pan Bolesław z pola, od kopania buraków; pani po jego zjawieniu się znikła gdzieś w głębi domu, a ja pozostawszy sam na sam z sąsiadem, przeszedłem z we-

randy do saloniku i mimochodem palnąłem mu bardzo uczoną dysputę: o użyteczności superfosfatu, jako nawozu przy uprawie roli pod buraki. Sąsiad słuchał, głową kiwał, ale koniec końców zadecydował, że superfosfat w naszych warunkach — za drogi. Nie sprzeciwiałem mu się zbytecznie.

Po kwadransie ukazała się znowu naszym oczom pani domu, ustrojona w tak wykwintną wełnianą suknię, że stanowczo przestałem wierzyć, by Bolesław system oszczędnościowy stosował i do wydatków na stroje swej pani. Podałem jej rękę i przeszliśmy do sali jadalnej. Ujrzałem tam rozradowanego bardzo mojem przybyciem Olesia i nowego nauczyciela.

— Siemion Andrejewicz Kwitka — wygłosił Bolesław, przedstawiając mi młodego człowieka, który skłonił się tylko zdaleka, — poczem usiedliśmy wszyscy do stołu.

Pomimo bardzo smacznie zrobionego obiadu, pomimo rozmowy z panią Malwiną, oczy moje ustawicznie szukały widoku młodego Rusina, bo to, co słyszałem o nim, pobudziło moją ciekawość nadzwyczajnie.

Siedział przy obiedzie sztywny i milczący, twarz wychudzoną pochylił nad talerzem, tak nisko, że z trudnością zdołałem dojrzeć jego profil ostry i czysto zarysowany; szare, duże oczy podnosił od czasu i rzucał inteligentne badawcze spojrzenia na obecnych; po wyrazie jego twarzy mogłem odrazu poznać, że rozumié znaczenie naszych słów, nie wmieszał się jednak ani razu do rozmowy.

Gdyśmy powstali od stołu, dałem znak Bolesławowi, aby go do salonu na czarną kawę zaprosił; poszedł, ale widocznie nie bardzo był z tego zadowolony, widocznie krępowało go nasze towarzystwo.

Gospodarz zagadnął go o coś po rosyjsku, odpowiedział mu w tym samym języku, wówczas zbliżyłem się ku nim i zapytałem młodego człowieka po małorusku:

— Dlaczego pan mówisz po rosyjsku? Wszak jesteś pan Rusinem, nosisz nazwisko jednego z wielkich ludzi waszego narodu, może nawet jesteś jego potomkiem lub krewnym.

Nauczyciel spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, pochylona jego figura wyprostowała się w czasie, gdym doń mówił, tak że nim skończyłem, ujrzałem przed sobą zupełnie odmiennego człowieka: barki miał szerokie i pierś wypukłą, a w czarnych, dziwnie inteligentnych oczach błysnął namiętny ogień.

— Tak nas już w szkołach nauczyli — szepnął po chwili zawstydzonym głosem i zwiesił znowu głowę na piersi. — Ja, ja wolę mówić ojczystym językiem, po rusińsku, nie wiedziałem jednak, że pośród wykształconych Polaków są ludzie, umiejący się wysłowić chłopskim językiem. Słowa »chłopskim językiem« wymówił z przyciskiem i widoczną goryczą w głosie.

— Tak pan znowu nie sądź, nie znając nas Polaków — odpowiedziałem mu, patrząc nań poważnie. — My, wszyscy Polacy na Rusi zamieszkali, język ten znamy i władamy nim tak samo jak naszym własnym. Co do mnie, lubię go nawet bardzo i zabraniam stanowczo służbie i włościanom używania w rozmowie ze mną łamanego polskiego języka, rozmawiam ich własnym — ruskim.

W tej chwili pani Malwina zwróciła się ku mnie z jakiemś pytaniem, ja musiałem jej odpowiedzieć, przerwała się więc rozmowa z nauczycielem, który zabrawszy swego ucznia wyszedł z pokoju.

Po półgodzinnej może jeszcze pogadance ze znudzoną panią i zakłopotanym gospodarzem domu i ja wyjechałem z Malinki.

Jesień na dobre się zaczęła, w początkach piękna i słoneczna, później coraz bardziej słotna, smutna i pochmurna; roboty w polu pokończono, polowanie z powodu błota i rozkali stawało się prawie niemożliwem — konie po pęciny w błocie grzęzły, psy po ciężkim, rozmokłym gruncie iść nie mogły. Siedziałem więc w domu, a raczej nocowałem w domu, a dnie całe przepędzałem w Malince.

Piękne zamiary i mądre postanowienia rozpłynęły się jak dym w czystem powietrzu; choć ludzie obgadywali nas, dobrze

mi było przy mojej sąsiadce. Byliśmy ciągle w tym samym stopniu poufałości, co w miesiąc po poznaniu się. Rozmawiałem z panią Malwiną o literaturze i sztukach pięknych, o teoryi uczuć i ploteczkach sąsiedzkich, o gospodarstwie i kłopotach finansowych z Bolesławem; obserwowałem wreszcie pilnie młodego nauczyciela.

Po kilkotygodniowem spotykaniu się prawie codziennem u stołu, młody człowiek przestał mię unikać, mała różnica wieku zbliżała nas ku sobie, z widoczną już przyjemnością rozmawiał ze mną, ja nie unikałem go również.

I fizycznie zmienił się nie do poznania: twarz jego, przedtem blada i jakby martwa, nabrała ciała i żywych kolorów, szare oczy fosforycznego blasku, a pod cienkim, ciemnym wąsikiem zarumieniły się pięknie wykrojone usta; cała postać wyprostowawszy się, nabrała zuchowatego pozoru, tak, że odrazu można w nim było poznać kozaka, potomka nieustraszonych mołojców.

Jedna tylko pani Malwina nie mogła się jakoś z kozakiem pogodzić. — Drukowano wówczas *Ogniem i mieczem;* codziennie z niecierpliwością wyczekiwaliśmy numeru *Słowa.* Powieść ta czarującemi opisami, cudownemi obrazami doprowadzała wyobraźnię mojej sąsiadki do niezwykłego stanu rozbudzenia.

— Czy nie uważa pan — mówiła drżącym głosem, chwytając mię za rękę — jaki on do Bohuna podobny?

— Kto? — pytałem trochę niemile zdziwiony, bo przyznam się w skrytości, że sam radbym był bardzo być podobnym do tego hajdamaki, wielkie bowiem miał on u naszych pań powodzenie.

— A ten nasz pan Kwitka — odpowiadała spuszczając oczy. — Nie mogę sobie Bohuna inaczej przedstawić — mówiła dalej — takie przeszywające dziwnie zuchwałe oczy, taki wąs, taki profil, może tylko był trochę słuszniejszy.

— Dziwnie twórczą czy bujną masz pani imaginacyę — odpowiadałem niechętnie.

— Nie śmiej się pan ze mnie... szeptała wówczas — ale my kobiety miewamy dobry instynkt. Ja... ja boję się tego nihilisty, on ma w sobie coś demonicznego. *It is a tragedy* w tem wszystkiem.

— W tem może i ma pani racyę — odparłem zamyślony — w rzeczy samej jest coś tragicznego w postaci, w wyrazie twarzy tego człowieka... Kto wié, może jego życie było smutną, bolesną tragedyą?

Od owej rozmowy coraz więcej szukałem towarzystwa młodego kozaka; starałem się, kiedy tylko sposobność się nadarzała, zawiązywać z nim rozmowę; on także zdawał się szukać już spotkania ze mną, a rozmawialiśmy zawsze po małorusku.

W pewien pochmurny dzień listopadowy, po obiedzie, siedzieliśmy we dwu tylko przy płonącym kominie; pani Malwina zakatarzywszy się należycie, nie wychodziła dziś z sypialnego pokoju; Bolesław w kancelaryi »ubijał« jakiś tajemniczy interes z żydami. Rozmawialiśmy dość poufale, bo Kwitka oswoił się już z różnicą naszego położenia towarzyskiego, która go tak raziła zrazu.

Po kwadransie obojętnej rozmowy, Semen nagle powstał, twarz mu spłonęła żywym rumieńcem, chciał widocznie coś powiedzieć, ale jąkał się, odwagi mu brakowało.

— Ja... ja mam... — wyszeptał zakłopotany.

— Czem mogę panu służyć? — podchwyciłem zachęcającym głosem — mów pan otwarcie, co będę mógł, to zrobię.

— Ja mam wielką prośbę do pana — wykrztusił nareszcie — nie wiem tylko, czy pan?... doprawdy nie mam odwagi...

— Mówże pan śmiało!

— Ja pragnę nauczyć się po polsku czytać przynajmniej i chciałbym pana prosić o pomoc.

— Ależ z największą ochotą, miło mi będzie usłużyć panu — odpowiedziałem pospiesznie z nietajonem zadowoleniem.

— Nigdy nie byłbym się odważył utrudzać pana taką prośbą — mówił już teraz płynnie, patrząc mi śmiało w oczy — gdyby nie to, że słyszałem, iż pan ma wiele polskich książek u siebie, tu zaś mogę znaleść tylko francuskie i angielskie romanse, zresztą zdawało mi się, że nie zrobię panu tą prośbą wielkiej przykrości.

Nietylko nie zrobił mi przykrości, ale przeciwnie nadzwyczajnie przyjemnym mi był ten dowód zaufania, jakie potrafiłem w nim wzbudzić. Ośmieliłem go i zachęciłem; ułożyliśmy się w ten sposób, że co niedzielę i święto będzie na całe poobiedzie przychodził do mnie na naukę polskiego języka.

Ciągnęła się ta słotna jesień długich kilka tygodni, podczas których znalazłem zajęcie i wielką rozrywkę w uczeniu młodego Rusina naszego ojczystego języka. Wdzięczna to była praca, uczeń mój był bystry i pojętny, zdawało się, że zgadywał naprzód to, co mu miałem powiedzieć. Po miesiącu nauki czytał wybornie, mówił niezbyt płynnie, ale zupełnie poprawnie i zaczynał pisać wcale nieźle.

Zajęcie przy uczeniu Kwitki, zainteresowanie wzbudzone jego niezwykłemi postępami, tak absorbowały moją uwagę, że o pani Malwinie coraz mniej myślałem.

Zrazu nie zwróciłem na to uwagi, ale zauważywszy, zdziwiłem się tem bardzo, że i ona doskonale umiała obchodzić się teraz bez mego towarzystwa, z każdym dniem mniej ze mną rozmawiała, a o poufnych pogadankach, o zwierzeniach »tajemnic duszy« mowy już nawet nie było.

— Przyszła kobieta do rozumu — myślałem z pewnym odcieniem goryczy — ona może ma tyle taktu, że przy obcym człowieku nie chce się kompromitować.

Wskutek ostudzenia przyjaźni, bo przyjaźnią tylko był zawsze nasz stosunek, stawałem się coraz rzadszym gościem w Malince. Za to Kwitka nigdy nie opuścił lekcyi i w każdą niedzielę i święto najregularniej, choćby w najohydniejszą słotę lub nawet zamieć śnieżną, o drugiej po południu zjawiał się do nauki. Dałem mu klucz od szaf z książkami i pozwoliłem

brać te książki, które mu się wydawały stosownemi, mimo tego radził się mnie zawsze, ażeby — jak powiadał — nie brać plewy za ziarno i nie obciążać pamięci niepotrzebnym balastem.

Zbliżały się już święta Bożego Narodzenia.

Do Malinki nic mię już nie ciągnęło, a miałem bardzo serdeczne zaproszenie do bliskich krewnych w Galicyi; koniecznie wypadało pojechać, zresztą pragnąłem tego.

Powiedziałem o tem Kwitce; on usłyszawszy to, zamyślił się głęboko i do końca dnia był ciągle zadumany.

Nazajutrz wbrew zwyczajowi przyszedł w powszedni dzień. Zaczął od zwykłych u niego przeprosin i dopiero ośmielony, znowu wyspowiadał mi się ze swych pragnień.

— Panie! — mówił — mam po świecie przyjaciół, kolegów, braci prawie, którzy przed *tiurmą*, a nawet niektórzy z tiurmy już uciekli za granicę i rozsypali się po całej Słowiańszczyznie. Niektórzy z nich są i w Galicyi, nie mogłem do nich pisywać jawnie przez pocztę, boby mię znowu wzięli. Teraz mam prośbę do pana — tu wyciągnął z kieszeni plik listów — niech pan raczy listy te zaraz za granicą wrzucić do skrzynki pocztowej, oni prześlą odpowiedzi pod pańskim adresem w Galicyi, który im wskazałem, a pan... listy te może mi przywiezie.

W głosie jego drżącym, w oczach rozmodlonych, w całej postaci drgała prośba tak szczera, że pomimo, iż wiedziałem, na jaką się mogę narazić awanturę, mimo to przyrzekłem zadość uczynić jego żądaniu.

Nazajutrz wyjechałem, ale czułem, że w Malince zostawiłem człowieka, który w danym razie byłby życie ważył za mnie.

Czas pomiędzy miłymi sercu a dość rzadko widywanymi upłynął mi szybko; nie opatrzyłem się nawet, jak zbiegły dwa tygodnie wśród pogadanki, polowań i odwiedzin. Zapomniałem zupełnie o Malince, pani Malwinie... i Kwitce. Dopiero liczne listy, nadchodzące z różnych stron Słowiańszczyzny, przypo-

mniały mi mego pojętnego ucznia; na każdym z nich była notateczka: »dla wręczenia panu Kwitce«.

Zabrałem cały ten pakiet i bezpiecznie w kieszeni przewiozłem przez granicę.

Gdy w godzinę po moim powrocie do domu zjawił się Kwitka w celu przywitania mnie, wręczyłem mu cały ten plik; zobaczywszy go, nie chciał zrazu wierzyć, gdym go jednak przekonał, że nie żartuję, to ze łzami w oczach chwycił moją rękę i chciał ucałować. Wyrwałem rękę, ale on w tej chwili pochylił głowę do mego ramienia i wycisnął tam serdeczny pocałunek.

Cały był wzruszony i prawie bezprzytomny; schwyciwszy przywieziony przezemnie plik papierów, wybiegł z niemi do drugiego pokoju i tam jeden list po drugim odczytywał z gorączkowym pośpiechem.

Po godzinnem czytaniu, złożywszy wszystkie listy porządnie, zawinął je w papier i do kieszeni na piersiach schował. Zawołałem go do siebie. Samowar już kipiał, zatrzymałem go więc na herbatę.

Jakiś czas siedział milcząc, ale widocznie wezbrane myśli, wzburzone uczucia nurtowały mu w duszy, bo twarz mu płonęła, oczy świeciły większym niż zwykle blaskiem, a rękoma poruszał niespokojnie: to gniótł chleb, robiąc zeń gałki, to nożem takt na filiżance wybijał. Nagle przerwał milczenie i wzruszonym głosem zawołał:

— Jaki ja byłem głupi! jak niesprawiedliwy! W jakim byliśmy my wszyscy błędzie, w jakiem zaślepieniu! Od kolebki uważałem Polaków za nieprzebłaganych wrogów; za takich mieliśmy was wszyscy. A dziś... dziś pan, pierwszy Polak, którego bliżej poznałem. Oddajesz mi bezinteresowną usługę, wyświadczasz mi łaskę, z narażeniem siebie samego na największe niebezpieczeństwo. Jak ja mogłem nawet prosić pana o coś podobnego? To szlachetna, rycerska zemsta.

— Ależ mój panie! — odparłem porywczo, chcąc uniknąć dalszych podziękowań — każdy z nas zrobiłby to samo.

— Właśnie... właśnie w tem się myliłem i sądziłem, że wszyscy jesteście tacy, jak tych kilku studentów w Kijowie, z którymi na nasze nieszczęście stykaliśmy się często. Tamci nas unikali, bali się nas jak djabel święconej wody, z nimi nie mogliśmy się porozumieć, bo oni woleli z Moskalami, z jeneralskimi synami przestawać, niż z nami — chachłami.

— Bądź pan sprawiedliwym — przerwał mu znowu — ja sam będąc kiedyś w Kijowie, wszelkiemi siłami starałem się was Rusinów wyszukać, poznać się z wami, dowiedzieć się: jaki duch pomiędzy wami panuje? Jednak usiłowania moje pozostały bez skutku; otoczyliście się tajemniczością, chińskim murem odgrodzili, związali z nihilistami, z rewolucyonistami wszelkich odcieni, tak, że bez narażenia osobistego bezpieczeństwa nie można się z wami spotkać, w konspiracye wdaliście się i tem odstręczacie wszystkich statecznych ludzi — z nihilistami przecież nikt nie będzie paktować.

— Nie sądź pan! Nie sądź pan, zanim prawdę poznasz. Nie jesteśmy nihilistami, do spisków socyalno-rewolucyjnych nie należeliśmy nigdy, bo mamy na tyle rozsądku, aby wiedzieć, że gwałtem gwałtu nie zmożemy. Prawda, że z rewolucyonistami rosyjskimi staraliśmy się porozumieć, ale czyż i wy tego nie robiliście ongi? I wy i my ciężko odpokutowaliśmy za te porywy. Dziś przekonaliśmy się już, że niczego po nich spodziewać się nie można. Kosmopolityzm głowy im poprzewracał i nie są już w stanie zrozumieć nas, naszych pragnień, naszych dążeń.

— A dlaczegóż nie staraliście się porozumieć z Polakami? Dlaczego postępując obok siebie w jednem jarzmie, nie czyniliśmy starań w celu ulżenia go sobie?

— Dlaczego?... Alboż ja wiem — mówił powoli, namyślając się nad każdem słowem — od dzieciństwa wpajano w nas przekonanie, że wyście naszymi największymi wrogami, śmiertelnymi wrogami naszej narodowości. Żywo stoi jeszcze w pamięci ludu wspomnienie naszych wojen, zapasów na śmierć lub życie. Przez wieki pracowano nad wpojeniem w dwa bratnie

narody nieufności, nienawiści i dziś nie próżnują wspólni nasi opiekunowie. Lecz ja, od kiedy znalazłem się pomiędzy wami, uczułem w duszy wątpliwości; dziś zaś jestem już prawie pewny, że błądziliśmy srogo, ale czy czas jeszcze do zwrotu, do zmiany kierunku, do naprawienia wiekowych błędów, do zgojenia ran tak zaognionych?

— Dajże wam Boże uczynić to — co powinniście byli dawno zrobić dla was samych, my zanadto silni jesteśmy, zanadto żywotni, ażeby nam zagłada grozić mogła, ale wy pozostawieni sami, rozpłyniecie się w tem rozszalałem morzu.

— Zgadzam się zupełnie z panem — odpowiedział poważnie — dziś doszedłem już do tego przekonania, ale jakiemi drogami jam do niego doszedł? Dowiedziałbyś się pan o tem, gdybym mu krótką a tak bolesną historyę mego życia opowiedział. Jeżeli to pana może zająć, opowiem kiedyś, dziś muszę się spieszyć do domu, bo coś na zamieć się zanosi.

— Najchętniej posłucham, kiedy zechcesz opowiadać — odparłem, nie nastając zbytecznie, bo to jedyny sposób wzbudzić zaufanie w każdym Rusinie.

Minęło dni kilka.

W tym czasie pojechałem do Malinki dla powitania sąsiadów.

Kwitka był tego dnia dziwnie roztargniony, lecz widocznie wesoły i rad z czegoś, twarz miał rozpromienioną i śmiejące oczy; kilka razy zbliżał się do mnie i sam rozpoczynał rozmowę:

— Kiedy mam przyjść do pana? — mówił swobodnym głosem — opowiadać moje dzieje?

— Kiedy się panu podoba — odpowiedziałem — posiedzę teraz w domu, a zawsze jednakowo rad mu u siebie będę.

Swoboda i wesołe usposobienie młodego Rusina, przyznać się muszę, raziło mnie trochę. Ja tego dnia nie mogłem się pochwalić podobnemi zaletami duszy, byłem nie swój i jakby czemś podrażniony, choć nie mogłem sam przed sobą zdać sprawy z przyczyn tego podrażnienia.

Pani Malwina także była w złym humorze, złośliwa i szydercza, rozmowę prowadziła krótkiemi, ucinkowemi zdaniami. Od czasu do czasu spoglądała na mnie badawczo, lecz wnet zwracała oczy w inną stronę, gdy jej wzrok spotkał się z mojemi oczyma.

— Jakże się Bohun sprawuje? — zapytałem ją żartobliwym niby tonem, świdrując ją przytem wzrokiem.

— Jaki Bohun? — odrzekła z zupełnie wyraźną niechęcią w głosie, a oczy jej równocześnie okryły się dziwną, niewidzialną przesłoną, która tak szczelnie zasłania głąb duszy przed ciekawem okiem kochanka, lub badacza. Wszystkie sprytne kobiety umieją w pewnych wypadkach tak patrzeć, że może się zdawać, iż mają martwe, szklanne oczy, na których gra uczuć, namiętności nie odbija się wcale.

— I pani to mnie pyta się, jaki Bohun? — odrzekłem, uśmiechając się bezlitośnie i ironicznie — ależ sama go pani tak nazwała. Pytam o jej własnego Bohuna... o malinieckiego.... No! jeżeli pani nie chce zrozumieć, jeżeli pani zapomniała, to powiem wyraźnie: pytam o Kwitkę.

— A, pan Kwitka, nauczyciel Olesia — odpowiedziała, jakby przypominając sobie dopiero teraz o jego istnieniu i spojrzała na mnie znowu tym samym sfinksowym wzrokiem, ale pomimo pozornego spokoju w spojrzeniu i głosie, dostrzegłem jednak, że twarz jej pokryła się lekkim rumieńcem. — Przyznam się panu — mówiła dalej — że nie należę do słowianofilów, ani do protektorów socyalnych reform, i ten pan bardzo mało mię obchodzi.

Z jak dziwnym spokojem ta kobieta umiała kłamać! wiedziałem bowiem doskonale przez garderobowo-kredensowo-plotkarską pocztę, że godzinami całemi nieraz rozmawiała z młodym nauczycielem, że próbując jego postępu w nauce polskiego języka, kazała mu odczytywać felietony, mieszczące w sobie bohaterskie czyny Bohuna.

— Nic o nim nie wiem — mówiła dalej pani Malwina, uśmiechając się ciągle ironicznie — oprócz tego, co widzieć

muszę; a widzę, że gdy tylko ma wolną chwilę, to bezustannie czyta książki od pana przyniesione, lub biega do pana i dałby sobie oczy wydrapać za pana.

— Zkąd pani o tem wiedzieć może? doprawdy nie rozumiem.

— Sama na własne uszy słyszałam objawy tego uwielbienia. Podczas świąt był tu Adaś Kukowski i coś tam na pana powiedział, za to Kwitka tak się nań oburzył, że omal do awantury nie przyszło, ledwie uspokoić ich zdołałam.

Ostatnie słowa pani Malwiny prawdziwą przyjemność mi zrobiły. Pomyślawszy jednak głębiej nad całą tą rozmową, uczułem pewne współczucie dla Kwitki, zal mi go się zrobiło. Znałem panią Malwinę doskonale; przez kilka lat »przyjaźni« nauczyłem się rozumieć doskonale wszelkie objawy jej uczuć, które zaczynały się i kończyły na »egzaltacyi na zimno«, lubiła się bawić w miłość, a zabawę tę zwała dla odmiany: to przyjaźnią, to sympatyą dusz, to powinowactwem inteligencyi; bałem się więc, ażeby dla młodego i widocznie wrażliwego chłopca którakolwiek z tych odmian chłodnego sentymentu nie stała się pożarem, szerzącym w duszy zniszczenie; przekonałem się później, że obawa moja była zupełnie płonną. — Kwitka znał świat, kobiety i ich uczucia daleko lepiej, niż ja, narzucający mu się na opiekuna.

Gdy wyjeżdżałem, Kwitka odprowadził mię na ganek; na pożegnanie szepnąłem mu, ściskając go za rękę:

— Jutro święto, będziesz pan miał czas, przyjdź do mnie na obiad, będę czekał pana.

Konie ruszyły i nie spostrzegłem się nawet, kiedy znalazłem się w domu. Cały czas myślałem o tym Rusinie, o całym ich narodzie, budzącym się do życia, błądzącym po manowcach i niemogącym odnaleść prawdziwej drogi, zdroweog kierunku i celu.

Na tem ciemnem, mrocznem tle zarysowywały się tu i owdzie postacie jasne, natchnione, pełne poświęcenia, które otaczało ją świetlaną aureolą niby proroków jakich; zdawało

mi się, że są to wysłannicy niebios, zstępujący na ten niski padoł ze szczytną misyą podźwignięcia z upadku swoich współbraci — między nimi widziałem i Kwitkę. W jasności jednak, która od nich biła, były i jakieś ciemne, brzydkie promienie, całe pęki rudego, piekielnego światła — to łuna nienawiści plemiennej, to zemsty porywy — to fałszywe blaski. Naszym obowiązkiem jest — fałszywe te promienie wyrwać, ciemne te pręgi miłością braterską rozjaśnić, rękę do zgody wyciągnąć.

Cieszyłem się więc zaufaniem, które zdołałem rozbudzić w młodym Rusinie; pragnąłem stać mu się pomocnym, wesprzeć go, przerobić go z malkontenta na użytecznego członka społeczeństwu.

Nazajutrz przed samym obiadem przyszedł Kwitka.

Przez kilka miesięcy naszej znajomości nauczyłem się czytać w jego fizyonomii; odrazu więc poznałem, że był niezwykle wzburzony i roznerwowany, oczy mu płonęły i biegały bezprzestannie, poruszał się wbrew woli, gorączkowo, starał się jednak zapanować nad tem wzruszeniem i przybrać pozór spokoju, czy dobroduszności.

Przy obiedzie nic prawie nie jadł, zaledwie kilka łyżek zupy przełknął, na inne potrawy nie spojrzał nawet, za to wbrew swemu zwyczajowi wypił kilka kieliszków wina.

Gdy po obiedzie podano czarną kawę, jednym haustem wypróżnił dość dużą filiżankę i poprosił o drugą, mówiąc, że nie wié, z jakiego powodu, ale czuje dziś nieprzeparty pociąg do tego napitku, że wstydzi się tego i t. d.

Uśmiechnąłem się na te słowa pobłażliwie; nie potrzebował się przedemną tłumaczyć, znałem ten stan nerwów i duszy doskonale i nie zdziwiłbym się był ani trochę, gdyby był zaczął śmiać się bez przyczyny jak szalony, lub płakać boleśnie; nie zrobił jednak tego, umiał snać bardzo silnie panować nad wzburzonemi nerwami.

Po wypiciu drugiej filiżanki kawy usiadł niedaleko od ognia rozłożonego na kominie i rozpoczął swe opowiadanie.

— Gdyś mię pan po raz pierwszy zobaczył — zaczął mówić — to moje nazwisko zwróciło pańską uwagę: Kwitka. Może być, że jestem z tego samego rodu, co i nasz sławny pisarz Kwitka Osnowianeńko, tylko, że jego bliższa rodzina innemi drogami poszła, niż my; tamci stali się Moskalami, rząd wyniósł ich do stanu szlacheckiego, zrobił z nich *dworian*, ja więc z nimi nic wspólnego nie mam i nie chcę mieć nigdy.

Z nami inaczej się działo.

Dziad mój był bardzo młodym asaułą kozackim na Zaporożu. Kiedy caryca Sicz zrujnowała, inni opuścili ojczyznę i poszli za Dunaj nową Sicz zakładać, on pozostał nad porohami, kochał bowiem dziewczynę, której nie miał siły opuścić, kochał matkę-Ukrainę i czuł, że w innej ziemi życia dlań niema. Został więc, przysiągł carycy na wierność, ale nie zaciągnął się do dońskich kozaków, porzucił szablę i spisę; za grosz, który miał oszczędzony, nabył od rządu spory szmat stepu, hen w dzikich polach, ożenił się, futor pobudował i osiadł w stepie jako wolny człowiek. Nie był szlachcicem, ale też nie był chłopem — poddanym. W odludnym futorze żył spokojnie, konie i woły hodował, grosz zbierał do grosza, ale szczęścia wielkiego w życiu nie zaznał. Dzieci z pierwszej żony nie miał i niedługo z nią żył, umarła młodo. W późnym wieku ożenił się po raz wtóry i na pociechę starości urodził mu się syn — mój ojciec.

Nastały srogie rządy cesarza Mikołaja, pamiętne w dziejach imperyi *nikołajewskije wremiena;* ojca młodziuchnym chłopakiem wzięto do wojska, nie zamknął nawet oczu dziadowi, stary umierał w srogim niepokoju o jedynaka, który bił się gdzieś aż za Karpatami w węgierskiej ziemi. Żona asauły, moja babka, pozostała na futorze mienia i dobytku doglądać. Wkrótce potem nadeszły ciężkie czasy Sewastopola; ojciec mój wojował ciągle, pot i krew przelewał a nawet nie dosłużył się oficerskich szlif — nie był *russkim dworianinem*.

Po wojnie sebastopolskiej puścili go nareszcie do domu. Starym latami nie był, ale steranym bardzo, trudy wojenne

i rany nad wiek go pochyliły, niesprawiedliwość rządu duszę mu zatruła, serce rozgoryczyła.

— Nie dla nas kozaków świeci słońce w tej naszej ojczystej ziemi — mawiał często wzdychając żałośnie — nie dla nas woda w »Dnieprze-Dunaju« płynie. Nie nam sławy się tu dobijać. Tylko kacapska i tatarska krew tu coś warta, tylko szwabski szwargot carowi miły.

Tu przerwał Semen na chwilę opowiadanie, głos mu bowiem drżał z oburzenia i słowa tamował, rękoma bezwiednie szukał czegoś obok siebie, znalazł szczypce i począł niemi zawzięcie w kominie poprawiać. Po chwili dopiero zwrócił się znowu do mnie i namiętnym głosem zapytał:

— Czyż stary nie miał słuszności? Czyż nie tak było? Czyż do dziśdnia nie jest tak samo? Czyż nie jesteśmy niewolnikami, helotami tego olbrzymiego państwa?

— Samiście sobie po części winni — odparłem zadumany — zresztą nie wam tylko jednym taki smutny los przypadł w udziale. Pomówimy o tem, gdy skończysz, opowiadaj teraz dalej. — Coraz bardziej zaczynało mię zajmować to opowiadanie, malujące tak żywo nieznane mi dotychczas stosunki zadnieprzańskiej Rusi.

— Dobrze — odpowiedział Kwitka i usiadł znowu. — Gdy stary z wojny powrócił, zastał w domu matkę staruszkę, grosza i dobytku wszelkiego w bród. Starowina syna tęsknie wyglądała i grosz dla niego zbierała. Wrócił, w rok później ożenił się, dzieci się dochował.

Było nas trzech braci i jedna siostra najmłodsza.

Za Aleksandra inne już czasy nastały, naród uczyć się zaczął, nawet *kreposnyji* dawniej włościanie dzieci do szkoły zaczęli posyłać.

Gdy starsi moi bracia do nauki podrośli, gdy Lew miał dziewięć lat, a Danilowi na ósmy poszło, zaczął się ojciec naradzać z babką i matką, co z nami ma robić, gdzie na naukę oddawać; sprzeczali się dość długo i w końcu nic nie uradzili. Wreszcie raz ojciec, bez wszelkiej porady na jarmark do

Perejesławia na *Preczystą* pojechał i ztamtąd nam przywiózł nauczyciela, starego dyakona Gedeona.

Był to ascetycznie wynędzniały wędrowny mnich, który cały boży rok pościł i ciało umartwiał; to też nie był już do żywego człowieka podobny i wyglądał jak chodzący szkielet, tylko w oczach płonął mu ogień życia — czy fanatyzmu.

W żadnym klasztorze nie mógł się długo utrzymać, tylko wędrował po cudownych miejscach, lub czasem tu i owdzie zatrzymywał się i dzieci uczył. Błahoczynny z Rożmina strofował ojca za to, że takiego włóczęgę do domu przyjął; mówił, że herezyę czuć od niego na trzy wersty. Ojciec szorstko mu odpowiedział, że nic mu do tego, że ojciec Gedeon taki sam pop, jak i on, a może nawet i lepszy, że zresztą musi go trzymać, bo na innego nauczyciela dla dzieci nie ma funduszów.

Miał po części ojciec słuszność — stary dyakon był zacnym człowiekiem i dobrym nauczycielem. Po całych dniach byliśmy przy nim; starsi bracia w moment nauczyli się czytać i pisać, ja z początku przysłuchiwałem się tylko ich nauce, i opowieściom starca.

Nieraz, pamiętam, w jasne księżycowe noce zasiadaliśmy przy mnichu na przyzbie przed domem. Mgły nad stawem unosiły się, żaby na wyprzodki skrzeczały, od czasu do czasu zagluszał ten żabi koncert głos derkacza, który gdzieś tam po szuwarach brodził, lub dawał się słyszeć świst żółwia błotnego, pełzającego nocą po łąkach.

Wówczas to stary Gedeon roztaczał przed młodocianą naszą wyobraźnią wspaniałe obrazy przeszłości, wywoływał z mgły zapomnienia dawno zmarłe postacie książąt, bohaterów, męczenników i hetmanów; drżeliśmy wraz z tłumem ludu, przed dziesięciu wiekami żyjącym, wobec nieczystych praktyk Błuda czarownika; płakaliśmy nad nieszczęśliwym losem pięknej Kseni-księżniczki; marzyli o sławie i wielkich czynach, gdy opowiadał nam stary o dziełach Boj tur Wsiewołoda — i Bojanowi, piewcy boskiemu, sławyśmy zazdrościli.

Innym razem opowieści i o naszych czasach nam snuł. Więc o głośnej na cały świat sławie kozackiej, hetmańskiej — o dzielnym i pobożnym Sahajdacznym — o wielkim Bohdanie Chmielniczeńku, walecznym ale dumnym i nieopatrznym — o strasznych bojach z »Lachami-wrogami«, którzy krew kozacką, chrześciańską rzekami całemi przelewali — o tem, jak później szatan opętał Bohdana i ten zaprzedał swą matkę Ruś-Ukrainę w niewolę północnemu carowi — o Mazepie hetmanie, który za wolność kozaczą zginął marnie.

Słuchaliśmy tych opowieści milcząc, głucho, łowiąc chciwie każde słowo starca, a w dziecięcej wyobraźni jasne chmurki na szafirowem niebie, mgły białej tumany po nad stawem unoszące się, zamieniały zwolna kształty, przybierały na się postacie hetmanów-bohaterów, walki na nieboskłonie staczały, aż do krwi przelanej mołojeckiej niebiosa się czerwieniły purpurowo. Tak nauczyliśmy się nienawidzić Lachów-wrogów, zemstę im w duszy przysięgaliśmy.

Oh! stary czerniec umiał nienawiść w duszę szczepić.

I północnego wroga nie oszczędzał. Krew nam w żyłach stygła z gniewu i rozpaczy bezsilnej, kiedy bajał nam o tem, jak caryca wojskiem sławnem, zaporozkiem, Polszczę zawojowała, a w nagrodę za to Sicz-matkę zrujnowała, a atamanów, asaułów, mołojców albo wytraciła, albo za szeroki, turecki Dunaj wygnała, albo też w carskie *saldaty-posipaki* zamieniła.

I tym także wrogom zemstę w duszy przysięgaliśmy i rozwijaliśmy w rojeniach dziecięcych hetmańską malinową horągiew i trąbiliśmy wrażą pobudkę, budzącą do nowego życia całą Ruś-Ukrainę, od nurtów madiarskiej Cisy po fale Donu sinego. I zdawało się nam, że to jest możliwe, że marzenia dziecięce w czyn zamienimy, że o własnych siłach zmartwychpowstaniemy, zamarłe, spróchniałe kształty do życia, do sławy powołamy.

Trzy lata stary czerniec Gedeon bawił pod naszą stepową strzechą. Starszych braci tyle nauczył, że z łatwością

wstępne egzaminy do kadeckiego korpusu w Kijowie złożyli. Mnie ojciec oddał do gimnazyum w Kremeńczugu.

Tam zetknąłem się z rzeczywistym światem. Mgły i ułudy — czarodziejskie widziadła i poetyczne marzenia, stwarzane przez rozegzaltowanego i fanatycznego mnicha, bladły i znikały jedne po drugich. Nienawiść tylko do Lachów i Moskali przez niego wszczepiona, nie osłabła z czasem, przeciwnie z dniem każdym, z każdym rokiem wzmagała się coraz bardziej, potężniała.

Ja, syn zamożnego, bogatego prawie osadnika, ale nie szlachcica, w gimnazyum zetknąłem się z pańskiemi dziećmi, z synami rosyjskich właścicieli ziemskich, jenerałów, wyższych urzędników, ci zaś nie wyciągali do mnie ręki ochotnie; przedziały stanowe, istniejące na świecie, zaznaczają się może jeszcze ostrzej w szkołach, nie łagodzą ich bowiem doświadczenie życiowe i ogłada towarzyska. Niejeden raz musiałem usłyszeć od jeneralskiego syna, który był osłem i uczyć się nie chciał, że nie wiedzieć po co pozwolono chłopa do szkół przyjmować, że napewno cesarz pożałuje kiedyś tego nierozważnego kroku. Znosiłem upokorzenia bezprzestanne.

I nauczyciele mniej więcej w podobny sposób postępowali z uboższymi chłopcami. Od dziecka doświadczałem niesprawiedliwości, która mi serce krwawiła i zawiść w duszy wzmagała. Jeden tylko nauczyciel fizyki, mały, sucherlawy człowieczek, z długą rudą brodą, był zupełnie inny; postrach całej klasy, bicz boży na paniczów, na elegantów, ten mi nie dokuczał, nie prześladował; przeciwnie wszystkich uboższych chłopców zbierał w koło siebie, w nauce nam dopomagał, o świecie opowiadał; mnie on najwięcej między wszystkimi lubił. Wkrótce przekonałem się, że i ten sprawiedliwym nie był; przy klasyfikacyi czuliśmy my, przez niego protegowani, ubodzy synowie ludu, że nie sama nasza pilność i wiedza wywyższyła nas ponad innych bogatych paniczów, ale głęboka nienawiść, którą rudy profesor do wyższych warstw społecznych w swej piersi chował.

On to pierwszy truciznę niewiary i zwątpienia w mą duszę wlał. On nas nauczał, że siła i materya raz na zawsze są nierozdzielne, bo nikt nie widział siły oderwanej od materyi, ani też naodwrót materyi pozbawionej wszelkich sił fizycznych.

— Sprawiedliwość! opatrzność! — wołał nieraz nikły, zaschnięty człowieczek — to puste dźwięki, słowa bez znaczenia i sensu, przez scholastyczną szkołę wymyślone, a nam przekazane jako smutne dziedzictwo ciemnoty. Jedyna sprawiedliwość, to siła! Co wywalczysz, to posiędziesz, inaczej niewolnikiem, helotą pozostaniesz do śmierci. Walka o byt, to najwyższe prawo światem rządzące. Zgnieść tego, kto ci na drodze stoi, to jedyne przykazanie, obowiązujące ludzi silnych i mądrych.

Młode, niedoświadczone serca pożądliwie ponętną truciznę chłonęły. Nauki rudego nauczyciela nowe szlaki dla mojej myśli otwierały.

Pamiętam, że niejednę bezsenną noc przemarzyłem, myśląc o tych nowych dla mnie naukach, tętna gorączkowo mi uderzały, krew warem płynęła, myśl, dusza cała nurzyła się w ciemnych zaciekaniach, żądna odkrycia zagadki wszechbytu, początku wszechświata. A gdy sen skleił mi znużone powieki, to i w widzeniach sennych dwie moce staczały walki zażarte. Białe anioły, cheruby jasne, bohaterowie mojej ojczyzny, bohaterowie całej ludzkości, święci i męczennicy, o których sławie mnich mi prawił, gdym był dziecięciem, występowali do boju z czarnemi potworami, od których ogniem piekielnym ziało; zawzięci, niemiłosierni wojownicy otchłani walczyli z aniołami, a na czele zastępów piekielnych, czarnych szedł zawsze mój nauczyciel, ponury prorok z rudą rozwianą brodą, olbrzymią maczugą wywijał i łamał, druzgotał świetlane, promienne szeregi Gedeona, wołając wściekle:

— Bóg to utopia! Siła przed prawem!

Leżałem w gorączce, grozą wyśnionej walki zgnębiony i we śnie już nawet nie wiedziałem, po której stronie stanąć.

Serce ciągnęło mnie do tych białych Gedeonowych zastępów, czułem rozpacz w duszy, patrząc na ich pogrom, wrodzone poczucie sprawiedliwości nakazywało mi biedz im na pomoc. — Z drugiej zaś strony oślepiał mię groźny majestat rudego proroka, jego zimna, ironiczna twarz; przestraszała mię jego potęga, przeczuwałem straszny ciężar druzgoczącej wszystko maczugi — i wbrew podszeptom serca przez sen wołałem:

— Siła przed prawem!

Lata płynęły... Coraz bardziej zapominałem o ojcu Gedeonie i o jego naukach, tylko ślepe przywiązanie do matki-Ukrainy i fanatyczna nienawiść do Lachów i Moskali pozostała mi z nauk tych na długo. Uczyłem się tyle, co mogłem, pożerałem chciwie wszelkie nauki, co w połączeniu z protekcyą rudego profesora zapewniło mi świetne świadectwa.

Nauki moje gimnazyalne miały się już ku końcowi, gdy z domu otrzymałem bardzo smutne wieści. Starszego mego brata Danilę odesłali z korpusu do domu — zgarbionym, złamanym starcem w siedmnastym roku życia, obłęd miał w oczach i drżące członki, śmial się dzikim, zwierzęcym śmiechem i jadł tak jak zwierzę. Biedny, stary ojciec siwe włosy z głowy rwał i jęcząc mówił, że Bóg go pokarał za to, iż własną krew obcemu bałwanowi na ofiarę rzucił.

Daniło idyotą został — do dziś dnia pomiędzy ludem na Zadnieprzu jako *bożyj czołowik* żyje i z miłosierdzia ludzkiego korzysta.

Najstarszy Lew w dwudziestym roku życia oficerem został i za Dunaj na wojnę poszedł. Pamiętam go, przed samym wymarszem na Wielkanocne święta do domu na trzy dni przyjechał z rodzicami się pożegnać. Ojciec i matka płakali nad nim, nie dlatego, że szedł na wojnę, bo taka już żołnierska nasza, kozacza dola, ale dlatego, że mowy ojczystej zapomniał, że ze wspomnień naszych, z tradycyi ukraińskiej się śmiał, że miał bez przestanku na ustach słowa o carskiej potędze, o wielkiem powołaniu Rosyi, że śmiał się i naigrawał z bezrozumnych ukraińskich mieezlanji.

Wesoło, bez żalu żegnał dom i płaczących gorzko rodziców, śmiał się i żartował.

— Nie płacz starik — z pocztowej bryczki jeszcze wołał do ojca — twój syn *russkim genieralom budiet.*

Pojechał. W pięć miesięcy później dano znać ojcu, że go ciężko rannego przywieziono do Mikołajowa i tam w lazarecie złożono, ale że tam taki natłok, że ranni są pozbawieni wszelkich wygód i opieki. Pojechał stary po niego i przywiózł po to tylko — by pod rodzinną strzechą ducha wyzionął. Pod Plewną tak go Turcy postrzelali, że cudem prawie dotychczas żył. Trzy dni też tylko między swoimi w malignie przeleżał i umarł, wołając.

— *Czest' i sława gosudarju imperatoru! Wpierod rabiata!*

Pochowaliśmy go na stepie w mogile, obok dziadowego grobu. Jesienny, zimny deszcz tego dnia padał, świat smutnie wyglądał, okryty, otulony szaremi, brudnemi chmurami. Stada wron i kruków nad głowami nam krakały. A zidyociały brat Danilo tańczył na mogile i śmiał się przeraźliwie, szkaradnie, szatańsko, niby puszczykowo.

— Sława! sława zaporozkiemu hetmanowi! — wołał bezrozumnym głosem — na pohybel wrogom! *Mnohiji lita!...*

Wstrząsł się ojciec cały i zapłakał jak małe dziecko, biednego idyotę kazał uprowadzić z mogiły, a do mnie rzekł:

— Ty synu nie pójdziesz już służyć białemu carowi, dość dwóch... oh! dość; ty służ matce-Ukrainie, może Bóg ci pobłogosławi.

Miałem wówczas siedmnasty rok, ukończyłem już był nauki gimnazyalne i zbierałem się jechać do Kijowa na uniwersytet.

W głowie mej zamęt panował straszliwy — wiara dziecinna zamarła zupełnię, a żal za nią uczuwałem, bo nie miałem jej czem zastąpić; w niezgodzie byłem sam z sobą, z własną duszą, która serdeczniejszej strawy łaknęła, a znaleść jej nie mogła w suchych dociekaniach naukowych, lub karkołom-

nych systemach filozoficznych. Żal za straconą wiarą czułem, a jednak śmiałem się za to sam z siebie, głuszyłem pragnienia duszy w zarodku, bojąc się przed samym sobą przyznać do nich. Żartowałem z uczuć wszelkich, a jednak jedno potężne, i z każdym dniem wzmagające się nosiłem w własnem sercu — uczucie nienawiści do Rosyi, do jej rządu.

W tydzień po pogrzebie brata wyjechałem do Kijowa, wraz ze mną wyjechała i moja siostrzyczka Eudoksya. Docia pieszczona, która naparła się koniecznie jechać do miasta na naukę.

Nie pomogły ani prośby, ani groźby ojca, pragnącego odwieść ją od tego dziwnego zamiaru; nie pomogły łzy matki chorej, umierającej prawie.

— Nie będę jadła, ani piła, ani spała — wołała ręce łamiąc — umrę tu, jeżeli nie puścicie mię uczyć się. Nie gnębcie mnie, nie więźcie, jam człowiek wolny, nie wasza poddanka.

Uparła się i pojechała, na niedolę swoją, na hańbę i wstyd dla ojca starego, dla mnie nieszczęśliwego.

Przestał opowiadać i spuścił głowę na piersi, w tej chwili zobaczyłem pierwszy raz łzę w jego oku. Wyrwany z głębokiej zadumy, w którą mię to boleści pełne opowiadanie pogrążyło, spojrzałem wkoło siebie i ujrzałem, że krótki styczniowy dzień miał się już ku końcowi; ogień wygasł zupełnie, a w miejsce trzasku płonącego łuczywa usłyszałem, jak wicher przeraźliwie świstał po kominie; na dworze, po za oknami, grubym szronem okrytemi, dawał się słyszeć huk burzy i gwizd huraganu — zamieć stepowa, podolska, rozszalała się na dobre na bożym świecie.

Zadzwoniłem, kazałem Maksowi przynieść drew i ogień na nowo rozniecić.

— Późno już — ozwałem się do Semena — słońce zachodzi, może się herbaty napijemy?

— Dobrze — odparł bezmyślnie i znowu pogrążył się w dumaniach.

Wkrótce ogień płonął znowu jasno, aż grabina z żaru trzeszczała, a małe jarzące węgliki do stóp się nam kłaniały; lekka, wonna para unosiła się po nad świeżo nalaną gorącą herbatą.

— Jeżeli mam panu dziś skończyć moje opowiadanie — pierwszy przerwał milczenie Kwitka, popijając pospiesznie gorącą jeszcze herbatę — to muszę opowiadać dalej. Do końca daleko.

— Mów! słucham — odpowiedziałem lakonicznie, zapalając papierosa.

— Gdy przyjechałem do Kijowa, trudno mi było zrazu znaleźć odpowiednie umieszczenie dla siostry i dla mnie, a rozdzielać się z nią nie chciałem. Po dość długich poszukiwaniach wynalazłem nareszcie na Lipkach wdowę po piechotnym kapitanie, która zgodziła się przyjąć nas oboje do swego domu. Po dość długich targach umówiłem się z wdową o cenę za nasze mieszkanie i pożywienie, i nie zwlekając, sprowadziliśmy się do niskiego domku.

Gospodyni nasza była Niemka z urodzenia, ale zmoskalona zupełnie i po mężu nazywała się Lisicyna; oprócz córki miała dwóch synów. Pracowite i dobre kobiecisko, nie wyzierała po za próg swego domu, dzieci z nią robiły, co same chciały, a ona myślała tylko, jakim sposobem im dogodzić, żeby im na niczem nie zbywało.

Moja Docia odrazu poprzyjaźniła się z cichą i zamyśloną Lizą Parehomówną; we dwie wyszukały sobie nauczycieli i rozpoczęła się Docina nauka, na własną rękę, przez nikogo niekierowana. Nie pozwalała bowiem nawet zapytać o to: gdzie była i co robiła?

— Jam nie niewolnica twoja — odpowiadała mi zawsze jednako, krnąbrnie i szorstko — po co mię pytasz o to, co do ciebie nie należy, ja przecież do twoich nauk i czynności zupełnie się nie mięszam.

Widziałem jednak, że uczyła się na zabój, nad siły, dnie i noce nad książką spędzała. Wynędzniała, wymizerniała, rysy

się jej zaostrzyły, oczy w głąb czaszki wpadły, świeciły żywym ale nienaturalnym, jakimś fosforycznym blaskiem; włosy przystrzygła krótko, po męzku i ubierała się bardzo skromnie, ubogo, w szarą wełnianą sukienkę, zawsze jednę i tę samą. Po półrocznym pobycie w Kijowie, niktby był jej nie poznał. Z pulchnej, zdrowej, wiejskiej dziewczynki, podobnej do rozkwitającego pączka róży, zrobiła się drażliwa, nerwowa, wynędzniała istota, sama niewiedząca, czego chce i dokąd dąży.

Ja wmieszałem się w różnobarwny tłum studentów. Czasy to były najżywszego ruchu słowianofilskiego w Kijowie. Pułki rosyjskie w zwycięskim pochodzie przedzierały się właśnie przez Bałkany; wieść o wzięciu Plewny i złożeniu broni przez rozsiewającego postrach wokoło Osmana-baszę, święcono jako wielkie święto wszechsłowiańskie, miasto iluminowano, w cytadeli z dział bito, we wszystkich cerkwiach odprawiano dziękczynne nabożeństwa. Tłumy ludu przeciągały ulicami, a radosnym wołaniom nie było ani miary, ani końca. I ja młody i zapalony złączyłem się na chwilę z tłumem, z gawiedzią uliczną; i mnie powodzenie rosyjskiego oręża głowę na chwilę zawróciło, upoiło, ale na mgnienie oka zaledwie.

Pośród nas było wiele młodzieży — studentów uniwersytetu i uczniów szkół średnich — z południowej Słowiańszczyzny. Ci mieli zawsze jakieś inne wiadomości z za Dunaju. Oni to pierwsi zaczęli szerzyć pośród nas wieści o bezsilności Rosyi — o tem, że zwycięstwa odnoszone nad rozkładającą się Turcyą są wysiłkami nadludzkiemi, pirrchusowemi tryumfami. Oni to pierwsi zawołali, że niema się czego Słowiańszczyzna cieszyć z powodzeń oręża rosyjskiego, bo jej wszystko jedno: czy być pod tureckiem czy rosyjskiem jarzmem; że niema różnicy pomiędzy sandżakami a guberniami; że nie wolność i swobodę, ale nową tylko formę niewoli niosą Moskale na Bałkański półwysep.

Wolnomyślni, rewolucyjnie usposobieni Rosyanie to samo już prawili i nas Rusinów ku sobie pociągali, co zresztą nie było zupełnie trudnem. Jak grzyby po deszczu rodziły się co-

dziennie rewolucyjne, wolnomyślne piosenki i rozpowszechniały się z niesłychaną szybkością — dziś skomponowaną, jutro całe miasto nuciło i wnet rozchodziły się po całem państwie. Do śmierci nie zapomnę nuty i słów piosenki, która, zrodzona w Kijowie, w kilka dni później doszła do Uralu — do Wisły — nad Dunaj — i do lodowych skał Północnego Oceanu.

Tu począł zrazu cicho nucić, głos jednak wzmagał się mimowolnie, zapał go unosił tak, że wkrótce słyszałem wyraźnie i melodyę i słowa. Śpiewał:

»Czto rol pazornuju igrajem,
My na dwójnom staim puti,
Adnoj rukoj my Polszczu dawim
Drugoj Sławian chatim spasti.

Oh! wy Sławianie naszi bratija
Pust' was nie tieszyt zwon mieczej,
Bo Judy nowaho abjatija
Straszniej tureckich pałaczej!

I kak Jewreji żdut mesyja
I nie daidut sia nikahda;
Tak nie wzajdiot dla was w Rossyi
Aswobożdienija zwiezda«[1])

— *Nie wzajdiot! nie wzajdiot!* — powtórzył dwukrotnie.

— Zrazu pieśń ta gniewała mnie — opowiadał dalej — gniewał mnie brak patryotyzmu u młodych Rosyan, którzy

[1]) ... że odgrywamy wstrętną rolę... na rozstajnej drodze stoimy (siedzimy na dwu stołkach), jedną ręką Polskę gnieciemy, a drugą pragniemy oswobodzić Słowian. Oh! wy Słowianie nasi bracia, nie cieszcie się dźwiękiem tych mieczów, bo uściski nowożytnego Judasza są straszniejsze od tureckich katów. I tak, jak Żydzi oczekujący Mesyasza, nigdy go się nie doczekają, tak i dla was w Rosyi nie wnijdzie nigdy gwiazda wolności *(dosłowny przekład. Przyp. autora).*

mogli taką piosnkę o swej ojczyźnie śpiewać. Później przekonałem się, że mieli zupełną słuszność, że dla wszystkich Rosyan, mających szlachetniejsze porywy, idealniejsze cele, dzisiejsza Rosya przestała już być ojczyzną, a stała się — krajem niewoli egipskiej.

Wolnodumcy ci rosyjscy powoli wciągali i nas Rusinów do swej roboty; Serbowie, Bułgarzy, Czarnogórcy dawno już byli z nimi w porozumieniu. Polaków tylko nie mogli zwabić. W tym czasie pierwszy raz zetknąłem się z Polakami. Niezbyt wielu było ich w Kijowie, a ci, co byli, dzielili się na dwie zupełnie oddzielne, nie stykające się ze sobą partye. Jedna liczniejsza, po największej części ze studentów medycyny złożona; — ci o chlebie powszednim myśleli — ubodzy, straszliwie ubodzy chłopcy o wszystkiem zapomnieli w nauce pogrążeni, w nauce, która im kiedyś miała dać stanowisko i sposób do życia. Drudzy, panicze, z tytułu byli tylko studentami, na wykłady nie przychodzili prawie nigdy, z bogatą rosyjską młodzieżą za pan brat przestawali i z nimi razem powozami czasem do uniwersytetu zaglądali, a po całych dniach i nocach u Sitowej w operetkowym teatrze siedzieli, z aktorkami się zabawiając.

O jakiemkolwiek porozumieniu między nami a Polakami, do którejbądź partyi należącymi, nawet mowy być nie mogło. Myśmy im nieufali — oni nas unikali i bali się nawet pozoru jakiego zetknięcia.

Z natury rzeczy musieliśmy wejść w ściślejszy stosunek z południowymi Słowianami i z wolnomyślnymi Moskalami, lecz ci ostatni nigdy nie odkryli nam swojej organizacyi, ani zapoznali dokładnie z celami, do których dążą. Poprostu pragnęli mieć z nas posłuszne narzędzie do wykonania swych ciemnych planów, chcieli cudzą ręką kasztany z ognia wyciągać.

W początkach chodziłem na te tajemnicze schadzki, na których więcej dysputowało się, niż robiło; więcej się krzyczało, niż postanawiało. Przy ciemnej, kopcącej lampie siady-

wało nas nieraz ze czterdziestu w nieobszernej studenckiej izbie, popijając cuchnącą wódkę i brudną herbatę, zagryzając to razowym chlebem i słonym groszowym śledziem. W czasie tych posiedzeń przewracaliśmy językiem ustrój społeczno-państwowy całej Europy.

Gdy który z nas domagał się od tego areopagu przyznania praw istnienia w przyszłości dla rusko-ukraińskiej rzeczypospolitej, wówczas powstawał najczęściej Godin, żyd z pochodzenia, a przywódca partyi ruchu i wołał namiętnie:

— Precz z wszelkiemi narodowościami! Niech giną rasy i plemiona, niech giną państwa i narody! Won! won z tym starym, zardzewiałym, spróchniałym aparatem! won! Naszym celem ludzkość wolna, zjednoczona, wszelkich więzów, kajdan pozbawiona. My nie Rosyanie, my ludzie tylko.

— Dlaczegóż Polacy się z wami nie łączą? Oni z waszych mrzonek skorzystają, ojczyznę sobie odbudują, a was i nas w nową niewolę wprzęgną — pytał któryś z naszych zagorzelców.

Co, Polacy? — wrzeszczał wówczas roznamiętniony trybun — jeżeli oni nie wyrzekną się swoich bałwanów, swojej głupiej ojczyzny, i niedorzecznej religii — swoich popów i szlachciców, a w zamian za to nie zaczną służyć naszym celom, z nami ręka w rękę nie pójdą, to zgnieciemy ich w naszym dziejowym pochodzie, kraj ich cały z ziemią zrównamy, naród co do nogi wytracimy, aby to zapleśniałe, plugawe robactwo nie mnożyło się nadal.

Przy podobnym sposobie spiskowania i działania do rezultatu niebezpiecznego dla państwa nie mogliśmy dojść, a co do nas Rusinów, to nawet nie dążyliśmy do tego. Agitacya nasza niczem się nie różniła od dysput i marzeń młodzieńczych — na całym świecie. Mnie one nie wystarczały, uwikłałem się w inną sprawę, uczucie raczej, która mi wiele boleści sprawiła, wielkiej cichej rozpaczy była przyczyną — jednak sprawa to zupełnie osobista.

Po ostatnich słowach Semen zamilkł, wstał z krzesła i zaczął szerokiemi krokami chodzić po pokoju; czoło mu się w głębokie pionowe bruzdy fałdowało, oko suchym blaskiem świeciło, a cała twarz przybrała wyraz zaciekłości, czy głębokiej a tłumionej wewnątrz boleści. Po chwili wziął ze stołu papierosa, zapalił go i puszczając duże kłęby dymu przed siebie, chodził po pokoju coraz to szybszemi krokami; nagle stanął wprost przedemną.

— Czy ciekawyś pan uczuć ubogiego ruskiego studenta? — zapytał wzburzonym, drżącym głosem, patrząc mi przytem badawczo w oczy — dziejów jego nieszczęśliwej miłości, jego zawodów, rozpaczy?

Chciałem mu odpowiedzieć potakująco, ale nie dał mi przyjść do słowa, tylko zapalając się coraz bardziej, mówił:

— Eh! choć może to pana i nie zajmie, ale mnie lżej będzie, gdy komu opowiem, a zresztą może i zainteresuje pana ta opowieść, zawsze to oryginalny i charakterystyczny rys społeczeństwa i naszej epoki, a może tylko mnie się on takim wydaje.

Mówiąc to urywanym głosem, niby do siebie, usiadł znowu na dawnem miejscu i zaczął porządnie opowiadać dalej.

— Mieszkaliśmy, jak panu mówiłem, na Lipkach u wdowy Lisicynej, ta miała córkę Lizę, na oko poczciwą, dobrą dziewczynkę. Gdy przyjechałem do Kijowa i zamieszkałem wraz z siostrą u Lisicynych, Liza mogła mieć szesnaście lat; ja uważałem ją za dziecko i nie zwracałem na nią uwagi; Docia, moja siostra, choć młodsza od niej prawie o cały rok, wydawała mi się w porównaniu z Lizą dorosłą kobietą.

Zapisałem się był na filologiczny wydział, mając zamiar wykształcić się na nauczyciela, w celu szerzenia kiedyś pomiędzy moimi uczniami poczucia odrębności małoruskiej narodowości. Uczyłem się, na zebrania studenckie uczęszczałem stale — na dziewczynę, z którą pod jednym dachem mieszkałem, nie spojrzałem nawet — spotykaliśmy się tylko przy obiedzie i wieczerzy.

Bliższe nasze poznanie rozpoczęło się od tego, że kiedyś po obiedzie Liza poprosiła mnie, bym przejrzał i poprawił jej wypracowanie z literatury; wziąłem zeszyt, uśmiechając się ironicznie i poszedłem do mego pokoju — przyznam się, że byłem pewny, iż spotkam się z całą kupą nonsensów.

Zacząłem czytać i z podziwienia wyjść nie mogłem; wprawdzie tu i owdzie spostrzegłem kilka omyłek gramatycznych lub ortograficznych, ale całość wypracowania szesnastoletniej dziewczyny zaimponowała mi ogromnie. Po przeczytaniu pierwszej stronnicy usłyszałem jakiś szelest za plecami, podniosłem oczy i ujrzałem Lizę, stojącą tuż obok mnie. Była mocno zarumienioną, szczupła, nierozwinięta jeszcze jej pierś podnosiła się i opadała nieregularnie, a z ładnych modro-błękitnych ocząt, z zakłopotanego wyrazu okrągłej twarzyczki, przezierał niepokój i niepewność.

— Z jakiej książki przepisałaś to pani? — spytałem szorstko.

Dziewczyna zarumieniła się jeszcze mocniej, a w oczach jej zauważyłem błyskawicę gniewu i oburzenia.

— Gdybym była przepisała, to nie miałabym była potrzeby prosić pana o poprawianie — odpowiedziała rozdrażnionym głosem i nie patrząc na mnie, sięgnęła pospiesznie ręką po zeszyt. Nie dałem jej go wziąć, przytrzymałem jej drobną rękę i przeczytałem do końca. Ona stała milcząca obok, czekając wyroku.

Skończyłem i spojrzałem znowu na nią z niedowierzaniem; wypracowanie napisane było doskonale, niezwyczajnie; czułem to, że ja, student filologii, nie potrafiłbym tak napisać, a miałem się za mądrego. Od owej chwili zacząłem się bacznie przypatrywać Lizie.

O miłości, o kochaniu z początku ani mi się śniło; patrzyłem na nią, jak na okaz niezwykle zdolnej dziewczyny; rozmawialiśmy z sobą coraz częściej, coraz dłużej. Gdy nadeszła wiosna, chodziliśmy z sobą na spacery w dwie pary ja z Lizą, Docia zaś z jej bratem Aleksiejem Lisicynem. Ci,

kochali się naprawdę. Nie pytałem wprawdzie Doci o to, bo znałem jej tajemnicze, skryte usposobienie, ale byłem pewny, że skończy się to pomyślnie; Aleksiej za dwa lata miał skończyć medycynę, gdy zostanie lekarzem, pobiorą się zapewne; zdawało mi się to tak naturalnem, że nawet nigdy nie zastanawiałem się nad tem dłużej.

Że Lizę pokochałem, przekonałem się dopiero naówczas, gdy po skończeniu pierwszego roku moich nauk uniwersyteckich pojechałem do domu na ferye. Zrazu nie wiedziałem, co mi być może; nie umiałem znaleźć sobie zajęcia, dnie zdawały mi się być wiekami. Nieraz godziny całe w stepie na kurhanie przepędzałem, myśląc tylko o niej bezprzestannie, rozpamiętywałem każde jej słowo, każdy jej ruch, przypomnieć sobie starałem wyraz jej twarzy przy każdem słowie, jakie do mnie przemówiła kiedykolwiek; zdawało mi się, że słyszę dźwięk jej śmiechu wesołego.

Każdą moją rozmowę z Docią kończyłem mimowolnie zapytaniem: czy Liza do niej nie pisała? albo: co się tam z Lizą dzieje?

Siostra śmiała się ze mnie, drwiła z mego sentymentalizmu, twierdząc, że powinienbym się był sto lat temu urodzić, że dziś nie pora już na takie pasterskie miłostki.

Rozdrażniony podobnemi przycinkami, zacząłem jej Aleksiejem dokuczać; mówiłem jej, że jeżeli myśli, że ja o niczem nie wiem, to się bardzo myli, wiem ja, wiem wszystko, tylko mówić jej nie chciałem, nie chciałem jej o to pytać, bo zresztą to do mnie nie należy — ale w każdym razie ona nie ma prawa dokuczać mi miłością dla Lizy, bo sama ni lepszą, ni rozumniejsza.

Cha! cha! cha! Ja, ja mam być zakochaną — zawołała, śmiejąc się do rozpuku — i w kim, w Aleksieju? Semenie, tyś chyba rozum stracił — mówiła, śmiejąc się ciągle. — Nas dwoje i miłość, dwoje rozsądnych ludzi i miłość! Co to jest miłość?... Prawda, ty się fizyologii nie uczysz, ty filolog, poeta, nie rozumiesz tego. Powiem ci więc, że trzeźwi, dzisiejsi ludzie

owej lirycznej roztkliwionej miłości nie znają. Daj mi więc pokój i nie męcz mię nierozsądnemi pytaniami i przypuszczeniami. Możesz się kochać w głupiej Lizie do szaleństwa, ale mnie o podobne zboczenia umysłowe nie posądzaj.

Odszedłem rozżalony na siostrę i równocześnie zasmucony głęboko. Często już z moją siostrą nie mogliśmy się zrozumieć nawzajem. Błądziłem więc coraz dłużej po stepie, siadywałem nad strumieniem i wczytywałem się w poezye Puszkina i Lermontowa. Dostrajałem się w duchu do wysokości romantycznych bohaterów; patologiczny bajronizm, z tęsknoty za ukochaną zrodzony, zawładnął całą moją istotą. Nie wytrzymałem jednak długo w osamotnieniu.

Pod pozorem, że chcę sobie wyszukać korepetycyje, aby w ten sposób ulżyć trochę ojcu w wydatkach na nasze utrzymanie, wyjechałem do Kijowa na trzy tygodnie przed końcem feryj.

Liza przyjęła mię serdecznie, widziałem blask radości w jej oczach; powiedziała mi, że tęskniła za mojem towarzystwem, że rada z mojego powrotu. Tak więc rozpoczął się dalszy ciąg mojej idylli.

Wykładów jeszcze nie było, czas miałem zupełnie wolny. Chodziliśmy codziennie na długie spacery w dół z biegiem rzeki ponad brzegami Dniestru, albo, przejechawszy jednę, dwie stacye koleją, zapuszczaliśmy się w chłodne sosnowe lasy, gdzie na żółtym piasku rosną olbrzymie paprocie. Nigdy jednak nie przemówiłem do niej namiętniejszem słowem; zachowywałem się zawsze tak, jakby tam zawsze był ktoś trzeci z nami. Uważałem ją za świętość, nigdy myśl nawet zuchwalsza nie postała w mej głowie.

Trzy tygodnie przeszły jak mgnienie oka. Nazajutrz miała Liza powrócić z wakacyj, spodziewano się i Aleksieja, który czas feryj w Krymie przepędzał. Wracaliśmy z dłuższego spaceru ponad Dnieprowemi brzegami; szliśmy właśnie szeroką wspaniałą aleją, prowadzącą od Mikołajewskiego mostu do cytadeli; noc była jasna i czaru pełna, noc wrześniowa, promie-

nista; księżyc zlewał obfite strumienie światła; ciemny szafir nieba aż mienił się w jego promieniach. Ona szła milcząca, przytulona do mego ramienia, a mnie się zdawało, że idziemy... do nieba. Mimowolnie dotknąłem jej ręki, która bezwładnie zwisła z mego ramienia i zacząłem ją pieścić i ściskać; dziewczyna nie broniła mi tych pieszczót, owszem uczułem, że przygarnęła się czulej do mego ramienia — czułem drżenie jej ciała.

Żal mi się zrobiło wówczas straconych chwil, które sam na sam z sobą przepędziliśmy. Przypomniałem sobie, że już więcej nie będziemy mogli chodzić tak we dwójkę... Temi myślami zajęty, usunąłem się z chodnika i stanąłem pod rozłożystem drzewem, opierając się o balustradę. Patrzyłem w dół na Dniepr cudowny — niezrównany. Ona także się nachyliła ponad balustradę, uczułem wtenczas wyraźnie bicie jej serca; słyszałem jej oddech nieregularny, przerywany; jej złote, krótko ostrzyżone, kędzierzawe włosy muskały o moją skroń.

Nie mówiąc ani słowa, zwróciłem swą twarz ku niej i pocałowałem ją. Odsunęła się powoli, jakby niechętnie odemnie i cichym proszącym głosem szepnęła:

— Siemion, nie rób tego, proszę... to może nas zadaleko zaprowadzić... Nierób mnie nieszczęśliwą.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu tak zawstydził się, jak wówczas; słowa jednego na moje usprawiedliwienie nie mogłem wykształsić. Od tego dnia kochałem ją jeszcze więcej.

I znowu przerwał Semen swoje opowiadanie, rozpaloną skroń oparł na dłoni i pogrążył się w głębokiej zadumie. Patrzyłem nań uważnie w milczeniu. Proste słowa tego opowiadania odkrywały mi głębie jego duszy i wywoływały w mojem sercu przykre, bolesne wspomnienie, a równocześnie, ze wstydem, przyznaję się, uczuwałem w duszy jakąś zazdrość brzydką, gniewało mię to prawie, że on, syn na wpół dzikiego kolonisty gdzieś aż z dzikich pól, doświadczał takich samych uczuć, jak my, ludzie salonu. Czyżby uczucie to nie znało granic spo-

łecznych? Czyżby było własnością wszystkich ludzi bez różnicy stanu?

Semen znać odgadł moje myśli, bo podniósł nagle głowę i patrząc na mnie mówił, zapalają się swemi własnemi słowami.

— Miłość!... ha! cóż to jest miłość? Jest to cudowny, niezbadany kwiat duszy ludzkiej, który rozkwita tak w cieplarniach społecznych, jakoteż na nizinach, na stepach, na ugorach; a jeżeli jest prawdziwy, to jednaką woń odurzającą posiada. Więcej, lepiej, tkliwiej niż ja kochałem Lizę, nie potrafi kochać nikt na ziemi, ani wszechwładny książę, ani potężny gieniusz; w miłości mojej byłem na wysokości mocarzy i geniuszów świata.

Roznamiętniał się coraz więcej, twarz mu promieniała i słowa płynęły z ust gwałtownie — jak górska kaskada.

— Co to jest miłość? To światło słoneczne duchowej natury; człowiek, który nie zaznał blasku światła tego, nie żył, nie mógł żyć prawdziwie, nie czuł się nigdy zupełnym człowiekiem, wegetował jedynie. A taki zaś, który przyzwyczaił oczy duszy do tego blasku, a później zgaszono mu tę pochodnię, tęskni za jasnością tą i żyje wspomnieniami.

— Gdy jednak błędne ogniki brał za światło prawdziwe? Gdy kometę gonił, myśląc, że to gwiazda stała? — przerwałem zapaleńcowi, sam uniesiony jego słowami i wspomnieniami. — Jeżeli marę uczuć czcił jak prawdziwe uczucie, jeżeli się omylił, to za czem tęskić ma?

— Niech i wówczas nie wyprowadza się z błędu, jeżeli tylko może; po co zabijać miłe wspomnienia? Ja wiem, że miłość opromieniła mi dwa lata życia i zrobiła to, żem dziś człowiekiem, nie bydlęciem; ochroniła moje ciało od zniszczenia, moją duszę od zgnilizny.

Kochałem Lizę — i miłość moja sprawiła, że nie należałem do wybryków, do rozpustnych orgij, w których nurzali się moi koledzy; kochałem Lizę — i uczucie to zmuszało mnie sądzić sprawiedliwie; idee, zamiary i czyny moich towarzyszy; miłość ochroniła mnie od tego, że nie przyznałem

słuszności utopijnej mrzonce: iż nie ma na świecie prawa własności — bom ja serce, całą istotę Lizy uważał za moją wyłączną własność i życie z ochotą naraziłbym był w obronie tej własności; wszelkie teorye: o wolnej miłości, o zburzeniu rodziny, zdawały mi się z tego samego powodu głupią gadaniną.

Jedynem pragnieniem mego życia wówczas było: skończyć nauki, zostać gimnazyalnym nauczycielem, gdzieś w okolicy przez Rusinów zamieszkałej, ożenić się z Lizą i w szczęściu, w rozkoszy żyjąc — pracować nad rozbudzeniem poczucia narodowej odrębności w uczuciach mej opiece powierzonych.

Z pragnień tych nie uskuteczniło się ani jedno. Huragan życia porozwiewał, porozpędzał młodzieńcze marzenia — pozostały wspomnienia i nauka na przyszłość: sucha, bezlitosna nauka życia.

Na politycznym widnokręgu wówczas występowały różne nieoczekiwane, nieprzewidziane zdarzenia jedne po drugich. Zwycięstwa zadunajskie, pokój San-stefański zniesiono na kongresie berlińskim — jednem pociągnięciem pióra: urok, aureola, blask, które otaczały Rosyę w oczach wszystkich Słowian, rozwiały się raz na zawsze; partya przewrotu podniosła zuchwale głowę i dążyła uparcie do wzniecenia rewolucyi społecznej; spiski knowano bez przestanku, zamach następował po zamachu; w powietrzu czuć było coś niezwyczajnego, a wśród studentów panował tragiczny nastrój.

Nie czas opisywać panu owych gwarnych zebrań i schadzek młodzieży, które stawały się coraz częstszemi, na których wygłaszano coraz to skrajniejsze teorye, postanawiano coraz bezwzględniejsze sposoby działania. Rząd zdawał się być oślepionym, przestraszonym, policya nie śmiała nawet zwracać uwagi na kluby i kółka, które tworzyły się między nami.

Polacy zamanifestowali się wyraźnie i usunęli się od wszelkiego współudziału, od wszelkiéj konspiracyi; kilku zaledwie wichrowatych i wykolejonych i upadłych moralnie zaciągnęło się do klubu nieprzejednanych rewolucyonistów.

Z nami Rusinami kokietowała partya ruchu i starała się wszelkiemi sposobami pociągnąć nas ku sobie, złote góry nam obiecując; trzymaliśmy się jednak zdaleka, i naprawdę niewielu więcej z naszych było wtajemniczonych, niż Polaków; na ogólne zebrania chodziliśmy jednak i mniej więcej wiedzieliśmy, do czego wszystko zmierza.

Godin stał zawsze na czele nieprzejednanych terorystów; do akcyi, do wykonywania wyroków, do zamachów skrytobójczych nie używano go nigdy i obawiano się na niebezpieczeństwo go narazić — nieocenionym był bowiem jako agitator; jego wymowa błyskotliwa a potężna, rozumowanie najczęściej paradoksalne, ale piekielnie łudzące i napozór logiczne, czyniły zeń jeneralnego mowcę nocnych zebrań.

Podczas trzeciego roku moich studyów wciągali mnie koledzy coraz częściej na te posiedzenia. Słuchałem tylko, nie spieszyłem zabierać głosu, perswadować; czułem to doskonale, że nie leżało w zakresie moich sił powstrzymać ten rozhukany strumień, ale widziałem też wyraźnie, że w niedobrym kierunku płynie.

Pamiętam, jak na jednem z takich zgromadzeń Godin wystąpił z gwałtowną, świetną mową. — W mowie tej ogłosił zgromadzonym, że wtajemniczeni dowiedzieli się na pewno, iż cesarz rozkazał przygotować projekty przyszłej konstytucyi dla Rosyi; że Loris Melikow popycha wszelkiemi siłami tę sprawę naprzód.

Tu i owdzie ozwały się oklaski i okrzyki radości. Zagłuszył je jednak grzmiący głos Godina.

— Niedoczekanie ich! zawołał wściekle. — My nie dopuścimy do tego! Nie możemy dopuścić! Konstytucya, to nasza śmierć! To śmierć całej młodej, pełnej nadziei, jakąś wartość mającej Rosyi. To oszukaństwo tyranów, którzy będą nas ugniatać parlamentaryzmem, tak jak gniotą inne narody w Europie i będą mówić, że gniotą — legalnie. Głupi motłoch olśnią konstytucyą i tłuszcza ta zpodleje, znikczemnieje do reszty. Bogacze legalnie już obdzierać będą naród i nikt im nie

będzie śmiał nic powiedzieć, bo z woli ludu działać będą. Nie! nie! po stokroć nie! My nie możemy dopuścić do ogłoszenia konstytucyi, nie możemy oddać tego stada baranów do uprawomocnionej strzyży... Raczej uciec się do ostatecznych środków... Raczej śmierć dla Loris-Melikowa!... Śmierć dla tyrana Aleksandra II!

Na te słowa mróz po nas przeszedł. My Rusini, pośród których było wielu chłopskich synów, chowaliśmy w sercach bądź co bądź cześć i wdzięczność dla osoby dobrotliwego i wspaniałomyślnego monarchy, który lud *kreposny* z niewoli *pomieszczykow* wyswobodził. Ozwały się tu i owdzie energiczne protesty, ale »nieprzejednani« zagłuszyli je natychmiast i zagrozili najstraszniejszą zemstą temu, ktoby tajemnicę choć pół-słówkiem zdradził; wiedzieliśmy dowodnie, że groźbę wykonaliby z pewnością. Groźby te zresztą były zupełnie zbyteczne, lecz nikt z naszych nie mógł się domyśleć, kiedy, jak i przez kogo zamach ten miał być wykonany; wprawdzie ludzie, biorący udział w zgromadzeniach, wiedzieli już o istnieniu sprzysiężenia na życie cesarza, wprawdzie wieść ta szerzyła się pomiędzy młodzieżą z błyskawiczną szybkością, nikt jednak nie był w stanie odkryć sprzysiężenia — zapobiedz zbrodni.

Dnia tego byłem raz ostatni na rewolucyjnem zgromadzeniu. W tydzień później przyszedł do mnie jeden z komitetowych i oświadczył mi, że »naczelna trójka« ma mnie w podejrzeniu, że kazano mnie śledzić, i że ciężko odpokutuję każde słowo, któreby mogło wprowadzić policyę na ślad organizacyi.

Wytłumaczyłem mu, że na zgromadzenia nie chodzę, bo jako Rusin mam co innego do czynienia — niż mieszać się do zatargów i walk, jakie powstają między jedną a drugą partyą rządzącego i panującego nam narodu. Co do zdrady — upewniłem go, że mogą być zupełnie spokojni — wszak od trzech lat prawie wiem o spiskach i zgromadzeniach, więc mogłem zdradzić i przedtem.

Wyszedł, powtarzając groźbę.

Miałem dość tego wszystkiego, wiedziałem już wyraźnie, że ani od rządu, ani od partyi rewolucyjnej nie możemy się niczego spodziewać; że tak rządząca, jak i spiskująca część narodu rosyjskiego nie chce nic wiedzieć o naszem istnieniu i zaprzecza nawet naszemu językowi prawa bytu, zwąc go gwarą ludową.

Kilkudziesięciu nas, Rusinów, uorganizowało osobny klub i pracowaliśmy tylko nad zapoznaniem się drobiazgowem z naszą ubogą literaturą; robiliśmy usiłowania zawiązania stałych stosunków z żyjącymi po za obrębem państwa rosyjskiego; pragnęliśmy węzły plemienne zacieśnić, do jakiegoś porozumienia doprowadzić, język i pisownię uczynić jednaką, odrębność naszą narodową zaznaczyć.

To nas zgubiło.

Stosunek z Lizą był zawsze jednaki, nic jej nie mówiłem o miłości, o zamiarach moich, obawiałem się, żeby nas to za daleko nie zawiodło; ja uczyłem się do egzaminu, ona zaś teraz więcej gospodarstwem domowem, niż nauką się zajmowała, bo stara Lisicyna coraz częściej i niebezpieczniej na zdrowiu zapadała.

O Docię zaczynałem być na seryo niespokojnym, stosunek bowiem, łączący ją najwyraźniej, choć go się wypierała, z Aleksiejem Lisicynem, mógł być w danym razie bardzo niebezpiecznym; wiedziałem o nim napewno, że do partyi najzagorzalszych terorystów należał i czynny udział we wszystkich robotach partyi brał; jedyną moją pociechą była pewność, że był on nad wyraz przezornym i sprytnym człowiekiem i prawdopodobnie potrafiłby zawsze z niebezpieczeństwa się wywikłać i poszlaki zmylić — przypuszczenia te nie omyliły mnie.

Zimę całą przeżyliśmy jak w gorączce. Groźby terorystów stawały się coraz to głośniejsze, wszystko robiło się prawie jawnie; policya zgnębiona, jakby otumaniona, latała bez celu na wszystkie strony, robiła wszędzie rewizye, ale nic znaleźć nie mogła, nikogo nie więziła; z powodu tej bezkarności

szał rósł z każdym dniem, głośno dawały się słyszeć zdania, że rząd czuje się bezsilnym, że boi się drażnić, że partya rewolucyjna wzięła już górę w całym narodzie, że z tego powodu policya patrzy na spiski i agitacye przez palce. Później dopiero wyszły na jaw rozporządzenia Loris-Melikowa, nakazujące do pewnego czasu umiarkowane postępowanie, ażeby nie wywołać tumultów i w ten sposób nie oddalać ogłoszenia konstytucyi.

Pierwszego marca zachciało się naszym dziewczętom pójść do teatru; poszedłem i ja z niemi, żeby je potem w nocy do domu odprowadzić. Wieczór ten zostanie mi pamiętny na całe życie.

W czasie trzeciego aktu nagle, niespodziewanie wszedł jenerał-gubernator do swej loży; ubrany był wbrew zwyczajowi w pełny, galowy uniform, a twarz jego i wyraz jej stanowczy zapowiadały coś niezwykłego. Skinął ręką w stronę sceny — aktorowie przerwali przedstawienie, a w całej sali zapanowało grobowe milczenie, tragiczność chwili była zrozumiałą dla wszystkich.

— Obwieszczam wam — przemówił smutnym, złamanym głosem cesarski namiestnik — że straszny... najstraszniejszy cios dotknął dziś naszą ojczyznę świętą Rosyę. Najmiłościwiej nam panujący dotychczas monarcha, cesarz Aleksander II, dziś już nie żyje.... Zabity zbrodniczą ręką.

Skończył mówić, cisza grobowa panowała ciągle w sali, nikt nie śmiał się pierwszy odezwać, nikt pierwszy poruszyć z miejsca.

Chociaż nie byłem rosyjskim patryotą, chociaż w duszy chowałem nienawiść do państwa, które za krew w jego sprawie przelewaną odpłaciło nam zdradą i niewolą — mimo to uczułem, że mi jękła boleśnie jakaś tam struna w sercu. Jako uczciwy człowiek uczułem, że stała się zbrodnia straszna, a bezrozumna, bezcelowa, zbrodnia, która cofnie całą Słowiańszczyznę wstecz, zatrzyma jej naturalny pochód dziejowy. Przeczuwałem, że rząd użyje teraz wszelkich środków represyi

i uprawnionym będzie do tego w oczach całej Europy; że więzić i katować będą winnych i niewinnych; że zapełnią się cytadele i więzienne kazamaty po same brzegi; że kwiat wykształceńszej młodzieży uwiędnie w podziemiach i katordze, zginie pod knutem i przy taczce.

I nie omyliłem się.

W milczeniu podałem rękę Lizie i bez słowa rozmowy doszliśmy do domu. Tam dopiero pierwsza przerwała milczenie moja siostra i słowami swojemi wzburzyła mię do reszty. Mówiła, że: to, co się stało, nieodzownie stać się musiało dla przyszłego szczęścia narodu; że cesarz posiadający już i tak miłość prostego ludu, chłopów i czerni na obszarze całego imperium, podpisując konstytucyę, stałby się bożyszczem całego narodu — i walka z nim stałaby się niemożebną, itd. itd. Recytowała całą szlachetną teoryę, głoszoną przez Godina i »nieprzejednanych«.

Uniósłem się, powiedziałem jej, że jest głupią dziewczyną, która jak papuga powtarza, co jej Aleksiej nagadał, że w głowie się jej zupełnie przewróciło, i wyszedłem do swego pokoju, zatrzasnąwszy gniewnie drzwi za sobą.

Opanowało mię zupełne jakieś ubezwładnienie duchowe, opuściła mię ochota do życia, na chwilę nie mogłem zebrać myśli, i prawie szczęśliwym się uczułem, gdy trzeciego dnia przyszedł żandarmski oficer z żołnierzami i zaaresztował mię. Nie pytałem go nawet: za co? na jakiej podstawie? z czyjego rozkazu? Poszedłem za nim, rad, że nikt nie będzie mi moich dumań przerywać. Melancholia jakaś opanowała mnie zupełnie.

Przy ostatnich słowach Kwitki wszedł służący z doniesieniem, że podano wieczerzę. Semen powiedział, że niema zupełnie apetytu, że kolacyi zresztą nigdy nie jada. I mnie się jeść dziś jakoś nie chciało, opowiadanie Rusina zajęło moją myśl, zabsorbowało tak uwagę, że zabiło apetyt.

Kazałem więc tylko podać światła do pokoju. W chwili przerwy w opowiadaniu zauważyliśmy, że zamieć na dworze wzmogła się jeszcze i szalała teraz z wściekłością; mały mój

drewniany domek aż trząsł się w swoich posadach, krokwie w dachu trzeszczały żałośnie; o powrocie Kwitki do Maliniec nie można było nawet marzyć; został więc na noc i opowiadał dalej.

— Początków mego pobytu w więzieniu — mówił znowu — nie pamiętam zupełnie; od dawna nurtująca, kryjąca się w organizmie choroba z nóg mię zwaliła, pozbawiła przytomności — dostałem silnej tyfoidalnej gorączki.

Do przytomności powróciłem dopiero w kilka tygodni po uwięzieniu, w fortecznym lazarecie. Zacząłem wtenczas zastanawiać się nad mojem położeniem i uspokoiłem się pod tym względem.

— Cóż mi mogą zarzucić? — myślałem. — Do niczego nie należałem, nic na sumieniu nie mam, dowodów winy znaleść nie mogą, wobec tego, że winy nie było. Potrzymają trochę w śledczem więzieniu i wypuszczą.

W zasadzie nie omyliłem się. A jednak to więzienie było przyczyną zwichnięcia całej mojej karyery w Rosyi, skierowania mego życia na inne tory.

Po zupełnem wyzdrowieniu przeniesiono mię ze szpitala do kazamaty. Siedziałem tam dnie, tygodnie, miesiące długie... długie. Nikt nie zapytał nawet o mnie. Oprócz strasznej, okrutnej nudy, nie doznawałem innych przykrości. Wszystko, co na świecie mówią o znęcaniu się w śledczych więzieniach nad więźniami politycznymi — w dzisiejszych czasach — jest nieprawdą. Izbę miałem suchą i przestronną, jedzenie wcale znośne i obchodzono się ze mną ludzko, t. j. właściwie nie obchodzono się ze mną wcale; bo oprócz stróża więziennego, który mi jedzenie przynosił, nie widziałem nigdy nikogo. Mogłem był zapomnieć mówić.

Czasem gniewało mię to, że nikt od rodziny, nikt od Lisicynych nie starał się ze mną zobaczyć; po zastanowieniu się jednak śmiałem się sam z siebie i z moich dziecinnych zachcianek, rozumiałem bowiem, że to było pomimo wszelkich starań niemożliwem.

W pół roku po uwięzieniu zawezwano mię do protokołu, przesłuchano i odprowadzono z powrotem. Siedziałem znowu z pół roku i znowu nowe przesłuchanie. Tak powtórzyło się ze cztery razy.

Wreszcie zaprowadzono mię do sali sądowej. Ujrzałem tam obok siebie dwudziestu kilku kolegów Rusinów tak samo, jak i ja, pod strażą przyprowadzonych. Za stołem, zaścielonym czerwonem suknem, na którym stało błyszczące »zierkało«[1]), siedziało kilku oficerów wyższych i niższych stopni.

Gdy nas już wszystkich wprowadzono, powstał jeden z pomiędzy nich — wojenny prokurator i oświadczył, że: z powodu braku dowodów naszej winy, oskarżenie o zbrodnię... zdrady stanu przeciwko nam cofa; a dochodzenie przestępstwa tworzenia zakazanych tajnych towarzystw w łonie uniwersytetu przekazuje sądowi uniwersyteckiemu.

Odprowadzono nas znowu do kaźni, ale już tylko na kilka dni t. j. do rozpatrzenia naszej sprawy przez sąd uniwersytecki. Wkrótce zaprowadzono nas znowu tych samych do auli uniwersyteckiej, po to tylko, aby nam obwieścić, że sąd uniwersytecki skazał nas na wykluczenie ze wszystkich zakładów naukowych w Rosyi i odebrał wszelkie stopnie naukowe, jakieby który z nas miał; więzienie zaś śledcze, które odsiedzieliśmy w fortecy, uznał jako dostateczną karę za nasze przekroczenie.

Wszystkie moje nadzieje runęły odrazu. Nie mogłem już w Rosyi zostać niczem, każda karyera była przedemną zamknięta; pociemniało mi w oczach, jak pijany wyszedłem z auli. Uczułem się naraz paryasem społecznym.

---

[1]) Złocona trójgraniasta piramida, na szczycie której znajduje się orzeł, herb państwa, a po bokach wprawione za szkłem drukowane wyjątki z zasadniczych ustaw caratu. Przedmiot ten znajduje się we wszystkich salach sądowych całej rosyjskiej imperyi i ma reprezentować — koronę *(Przyp. aut.)*.

Spieszyłem dowiedzieć się, co się dzieje z moimi; przez cały czas trwania mojej kaźni, nikogo z nich nie widziałem, słowa od nich nie słyszałem.

Szedłem, biegłem, leciałem na Lipki.

Zbliżyłem się do domku Lisicynych — nic się przez ten czas nie odmienił, stał taki sam niziutki, pochylony w głębi ogródka. Wiosna wczesna rozbudziła już była wegetacyę, bzy kwitły i pstre tulipany wygrzewały się w słońcu na małych grzędach.

Otworzyłem furtkę — nie widzę nikogo i wchodzę na ganek — ani żywego ducha; pchnąłem niezamknięte drzwi domu, wszedłem do środka.

Na odgłos moich kroków wybiegła Liza.

Popatrzyłem na nią. Wyglądała zdrowo, rumiano; ubranie jej domowe było przybrukane trochę, zaniedbane; a cała postać zmienioną — z drobnej, szczupłej dziewczynki stała się otyłą, krąglutką kobiecina.

— A... a... to wy... Siemion Andrejewicz — przemówiła, patrząc zdziwionym wzrokiem na mą wynędzniałą postać. — Zkąd się pan tu wziąłeś?

— Z »tiurmy!« — odparłem szorstko.

— Pst! Cicho! Nie mów pan tu tego — szepnęła, kładąc palec na ustach.

W tej chwili doleciał moich uszu płacz małego dziecka. Na ten odgłos Liza pospiesznie wbiegła do drugiego pokoju; poszedłem w ślad za nią. W pokoju tym, wyglądającym na skromną sypialnię małżeńską, w kołysce obok łóżka leżało malutkie, kilkomiesięczne dziecko, płaczące przeraźliwie. Ona nachyliła się nad kolebką, zaczęła nią huśtać i nucić jakąś cichą piosenkę.

— Czyje to dziecko — spytałem, nie wiedząc prawie, co mówię; obłęd mię jakoś chwytać zaczynał.

— Moje! — odrzekła krótko.

— Ja...a..k, jak to? — ledwie wybełkotać zdołałem — a... a nasza miłość?

Ona rozśmiała się całkiem swobodnie, a mnie się zdawało, że mi ktoś roztopiony ołów do mózgu wlewa... Ona się ciągle śmiała, mówiąc:

— Widzicie Siemion Andrejewicz... was wzięli, ja nie mogłam wiedzieć, co z wami się stanie, myślałam, że gdzieś przepadniecie marnie.... W pół roku po waszem uwięzieniu trafił mi się konkurent Franc Fridrichowicz Gejcyg, urzędnik przy intendanturze, porządny człowiek... Cóż było robić? Matka chora, umierająca życzyła sobie tego, ja nie byłam od tego... Franc, przystojny mężczyzna, podobał mi się... więc poszłam... Dobry człowiek, szczęśliwą z nim jestem.

Mówiła to tak swobodnie i wesoło, jakby opowiadała o wczorajszej przechadzce; taki wyraz dobroduszności jaśniał na jej okrągłej, czerwonej i połyskiwać już trochę zaczynającej twarzyczce, że aż wstyd mi się zrobiło mego tragicznego nastroju; roześmiałem się sam. Ucieszyło ją to widocznie, bo nieprzerywając mówiła dalej, coraz weselej się uśmiechając:

— I dobrze się stało! Coby nam było przyszło z tego, gdybym była na was czekała? Partyę byłabym straciła, a wy... cobyście byli ze mną robili? Z uniwersytetu podobno was wypędzili, Aleksiej mi o tem mówił, stopnia nie macie, miejsca żadnego nie dostaniecie, gdzież wam się żenić? Ot! doprawdy, że lepiej się stało!

Zacząłem i ja sam uczuwać, że lepiej się stało.

— Cóż tam z moimi słychać? — spytałem z niepokojem.

— Cóż? zwyczajne sprawy. Słyszałam, że starzy pomarli, a Docia z Aleksiejem mieszkają na *Prarieznoj Nr 28*, idźcie tam do nich, to się o wszystkiem dowiecie. Mego męża tylko co z *prysiudźtwia* [1]) nie widać, on by nie był rad, jakby was tutaj zobaczył... Widzicie — dodała uśmiechając się najdobroduszniej w świecie — zawsze to nieprzyjemnie urzędnikowi państwowemu zastać w domu gościa prosto z *tiurmy*.

---

[1]) Biuro urzędowe.

Pożegnałem ją skinieniem głowy i wyszedłem, śmiejąc się serdecznie. Dramat mego życia zmienił się nagle, niespodziewanie w płaską komedyę, w farsę. Dawny mój wyśniony, wypoetyzowany ideał widocznie rad był mej wesołości, bo wyprowadziła mię aż do furtki i tam na pożegnanie jeszcze raz zapytała:

— A co? prawda, że lepiej się stało?

— Lepiej! lepiej! — odpowiedziałem śmiejąc się ciągle, poszedłem i śmiałem się na ulicy, śmiałem się jeszcze na Kreszczatiku.

I ja tę kobietę kochałem, stroiłem ją w złotą przędzę mej wyobraźni, w klejnoty ideału — a to tylko najzwyklejsza... *żena intendanckoho czinownika.* Ja cenię i szacuję wspomnienia mej miłości, bo to było czyste i szlachetne uczucie, ale nic nie żałuję Lizy; tę, którą kochałem, pozostała we mnie, w mej duszy, bo ja ją samą stworzyłem i może jeszcze z martwych powstać, wcielić się w inną istotę — ale z Lizą Gejcygową nic wspólnego już nie ma i mieć nie może.

Gdy wszedłem na Kreszczatik, znalazłem się wśród strasznego tłumu; na chodniku aż roiło się od ludzi; odwykłem od chodzenia po ludnych ulicach; przechodnie mnie potrącali; szedłem nie patrząc wcale przed siebie -- zadumany.

— Za chwilę zobaczę Docię, siostrę ukochaną — myślałem radośnie — ona mi opowie o śmierci rodziców, o ostatniej woli ojca.... A więc pobrali się nareszcie — dumałem dalej — Liza wyraźnie mówiła, że Docia mieszka z Aleksiejem... Ciekawym, co się tam dzieje z naszym domkiem, z polem, ze stepem i z mogiłą, kto tam po śmierci ojca gospodaruje?... Ha! nic mi nie pozostaje teraz, jak na tym kawałku ziemi siąść i rolę orać.

Doszedłem nareszcie. Po ciemnych schodach wdrapałem się na trzecie piętro i skierowałem się do oficyny, gdzie — według skazówki stróża — znajdowało się mieszkanie Lisicyna.

Otworzylem cicho drzwi i wszedłem do wnętrza mieszkania. Docię zastałem w domu; w ciemnej, zakurzonej izbie

siedziała przy dużym stole, zajęta preparowaniem muskułów ręki ludzkiej, odrazu można było poznać, że to rzemieślnicza praca, na sprzedaż przeznaczona. Gdy wszedłem, podniosła oczy od roboty — aż przestraszyłem się tej twarzy; wszelkie ślady młodości znikły z niej, wyglądała jak *moszcze*[1]) w Ławrze, tylko jakiś fanatyczny, nie naturalny ogień płonął w dużych, czarnych oczach.

— Cóż wypuścili cię nareszcie? — zapytała patrząc na mnie i uśmiechając się ironicznie. — Widzisz, zawsze tak wychodzą ci, którzy chwytają się półśrodków; nas gdyby byli wzięli, to napewno byliby powiesili, ale nas nie wezmą... nie dośledzą...

— Zostaw to — przerwałem jej niechętnie i wziąwszy ją za rękę, patrzyłem na jej zniszczoną, zmizerowaną twarz — zostaw te obrzydłe sprawy, mów mi co o nas... o śmierci rodziców... Kiedyście się wy pobrali?

— Hi! hi! hi! Pobrali! — zaśmiała się nerwowo, kurczowo — ty wiecznie zostaniesz człowiekiem z przeszłego stulecia... Pobrali!... Czyżem ja taka głupia gęś, jak ta twoja Liza? Czyż mnie popa potrzeba?

Stałem milczący, zgnębiony; nie mogłem słowa przemówić; widziałem przed sobą ofiarę strasznego, bezlitosnego fanatyzmu, pozbawioną możności zdrowego sądu o życiu, o obowiązkach ludzkości; istotę w stanie patologicznym.

Ona tymczasem mówiła coraz gwałtowniej.

— Do czego cię doprowadziły poetyczne twoje mrzonki, narodowościowe brednie, czułostkowości — do więzienia; a nas, którzy we wszystkiem udział bierzemy, nas bojowników wielkiej idei, czynnych żołnierzy olbrzymiej armii, która już cały świat objęła i wkrótce go podbije — nie zapytano o nic, rewizyi nawet nie zrobili. Te wasze ludzkie uczucia, to głupstwo i złudzenie — mrzonka.

---

[1]) *Moszcze,* relikwie świętych prawosławnych, przechowywane w pieczarach pod Ławrą kijowską.

— Zostaw to proszę! — zawołałem gwałtownie. — Czy byłaś przy śmierci ojca?

— Ciekawam po co? — odparła opryskliwie — niczego nowego nie mogłam się od chorego, zdziecinniałego starca dowiedzieć. Sami popi pochowali i kazali sobie jeszcze trzydzieści rubli za to zapłacić.

— Cóż się dzieje z domem? z ziemią? wydzierżawiłaś zapewne? — spytałem dalej zdławionym głosem.

— Wszystko, wszystko sprzedałam — mówiła pospiesznie — ciebie nie było, do sukcesyi nie przyznałeś się, mnie uznano jedyną spadkobierczynią, Danyło »bisnowaty« po żebrach chodzi. Przyjęłam sukcesyę i bojąc się, żeby, jeżeli ciebie zasadzą, nie chcieli twej części skonfiskować — sprzedałam ziemię zaraz. Pieniądze poszły na sprawę dla dobra ogółu, grosza ztamtąd nie wzięłam dla siebie.

Widziałem już jasno, że nie mam jej więcej o co pytać; wiedziałem, że i ją szatan jakiś opętał, że nie miałem już siostry. Zwróciłem się ku drzwiom, chciałem wyjść.

— Poczekaj! — zawołała za mną — nie odchodź, za chwilę Aleksiej przyjdzie; potrzebujemy koniecznie wysłać kogoś do Charkowa, ale kogoś pewnego, może ciebie pośle... Czas ci już bardzo zająć się czemś na seryo.

— Niech sam jedzie! — wrzasnąłem wściekle i opuściłem mieszkanie siostry.

I uczułem się sam, sam jeden na świecie; rodzina w grobie; brat idyota, ofiara rozpusty w moskiewskim korpusie; siostra opętana, do dzikiego fanatyzmu doprowadzona, także ofiara moskiewskiego nihilizmu.

Znalazłem się wśród ludnego miasta; nie miałem z czego żyć, grosza na kawałek chleba mi brakło; nikt mnie na stałe przyjąć nie chciał, zmieniałem sposób zarobkowania co tydzień; wszyscy bali się — nihilisty!... Ja nihilistą! Ostatniemi czasy roznosiłem towary ze sklepu; pan Bolesław znał kupca, u którego posługiwałem; od niego dowiedział się, żem był w uniwersytecie; rozmówił się ze mną i przywiózł mię tutaj.

— Znalazłem się po raz pierwszy pomiędzy Polakami, na polskiej ziemi, jak wy powiadacie, i wkrótce poznałem, że miałem wiele, bardzo wiele niesłusznych ku wam uprzedzeń, dużo niesprawiedliwej nienawiści. Grzeszyłem, jak i inni, jak wszyscy prawie moi rodacy — nieświadomością; dziś widzę już jasno, że nadeszła ta doba dziejowa, w której musimy się bliżej zapoznać, w której dwa narody zwaśnione muszą do siebie rękę do zgody wyciągnąć i oddawać sobie nawzajem usługi w celu wydobycia się z wspólnego, a tak ciężkiego jarzma i niewoli.

— Daj Boże! daj Boże! — przemówiłem doń, ściskając go serdecznie za rękę; i on się rozczulił niezwyczajnie i ściskał moją dłoń nerwowo; opowiadanie widocznie rozbudziło w nim dawne wspomnienia, a te go w ten niezwykły stan wprowadziły. Późna już była pora; pół do dwunastej biło właśnie na zegarze, zaproponowałem mu więc udanie się na spoczynek. Potakującym ruchem głowy odpowiedział mi, że zgadza się na to; odprowadziłem go do gościnnego pokoju i tam rozstaliśmy się w milczeniu, nie mieliśmy sobie dziś nic więcej do powiedzenia.

Jakoś tej nocy zasnąć nie mogłem; opowiadanie Kwitki rozbudziło i w mej duszy cały rój wspomnień z niezbyt odległej przeszłości; rozpamiętywałem tak niedawno przeżyte burzliwe chwile, zamieć nocna, gwizd burzy, jęk wichru wtórowały żałobnie mym niewesołym myślom. Zastanawiałem się nad temi wspomnieniami, porównywałem je z opowiadaniami Kwitki i uczuwałem w duszy wstyd; to dziecko ludu miało daleko silniejszą, hartowniejszą duszę, niż ja; on umiał trzeźwo patrzeć na rzeczy, nie łudził się; prawda i to, że wyleczył się za pomocą strasznie ryzykownego, heroicznego środka.

Zwolna od wspomnień osobistych myśl moja przechodziła do spraw ogólnych narodowych. — Uprzytomniłem więc sobie w pamięci historyę walk i niechęci plemiennych, które wlały jad niezgody i zawiści pomiędzy nas a Rusinów, które w dal-

szym przebiegu oba bratnie narody doprowadziły do jednego smutnego rezultatu — do niewoli; i tu jeszcze w tej nędzy i niedoli nie są w stanie zdobyć się na bohaterstwo — zapomnienia — przebaczenia win wzajemnych.

Po północy burza uspokajać się zwolna zaczęła, huk przycichł zupełnie, znużona przyroda zapadała w mroźny, cichy sen nocy styczniowej, i ja uczuwałem, że wraz z nią poddaję się temu prawu, zwolna traciłem poczucie rzeczywistości, senne mary coraz gęściejszym tłumem otaczać mię zaczęły — usnąłem wreszcie.

I śniłem... śniłem cudownie, życie oddałbym z ochotą, gdyby za tę cenę można było marę senną w żywe przyodziać kształty — zaklęciem jakiem utrwalić na wieki. Przed senną moją wyobraźnią roztaczał się wspaniały obraz wielkiej, potężnej ojczyzny — od morza do morza. Pokój, zgoda i jedność panowały w tym cudnym kraju; plemiona podawszy sobie ręce, ku jednym celom dążyły, jednego Boga chwaliły, i zapanował raj, królestwo Boże na tej krwią męczeńską tak obficie zlanej, polskiej ziemi; przez pokutę, przez cierpienia, ofiary i boleści, ze zmazy grzechów wielkich oczyszczeni; staliśmy się rozsądnym i Bogu miłym narodem.

Wszystko kończy się na tym świecie i sen mój się skończył. Gdy obudziłem się, promienie jaskrawego mroźnego słońca łamały się już w lodowatych kwiatach, które przez noc rozkrzewiły się bujnie na szybach okien; dzień był biały, godzina dziewiąta.

Za chwilę wszedł służący. Spytałem go, co się dzieje z Kwitką. Odpowiedział mi, że jeszcze przed godziną wstał i bez herbaty poszedł do domu.

Od owej chwili, w której zostałem wtajemniczony w dzieje żywota młodego Rusina, czułem się niejako związany z nim jakąś niewidzialną duchową nicią i często myślałem o nim, i uczuwałem jakiś wewnętrzny głos, który mi mówił, że mam moralny obowiązek dopomożenia mu do wydobycia

się z tego opłakanego stanu, w jakim był dzisiaj; nie wiedziałem jednak zupełnie, jak się wziąć do tego.

Wiosna już nadeszla, a ja ciagle nie mogłem nic jeszcze wymyślić.

Stosunek mój z Kwitką zmienił się chyba o tyle, że zaufanie, jakie powziął do mnie odrazu, wzrastało z każdym dniem; byliśmy na stopie przyjaznej poufałości.

Z prawdziwą żarłocznością połykał prawie polskie książki, które brał odemnie; długie nieraz staczaliśmy spory i dysputy o kwestyach w tychże zawartych. Pod wpływem prawdziwych faktów historycznych, z któremi się zapoznawał Semen, czytając bezstronnych polskich pisarzy, dawna jego nienawiść do Polaków topniała w moich oczach tak, jak znikały śniegi zimowe pod promieniami wiosennego, ożywczego słońca.

Przez dłuższe obcowanie z nim i przez obserwacyę tak go poznałem, że nauczyłem się najdokładniej czytać jego myśli z wyrazu twarzy, i odczuwałem wyraźnie, że on znowu ma jakiś interes do mnie, że pragnie poprosić mię o jakąś przysługę, ale obawia się obciążyć mnie tem zbytecznie. Postanowiłem bądź co bądź wydobyć zeń tę tajemnicę.

Raz — w maju już to było — po dość długiej rozmowie o stosunku Polaków do Rusinów w Galicyi, zamyślił się Semen głęboko i milczał posępnie; widocznem dla mnie było, że miał coś jeszcze do powiedzenia, ale ważył w myśli, jak to sformułować.

Popatrzyłem nań z uśmiechem i żartem prawie rzekłem:

— Widzę, że ci coś znowu cięży na sercu, wykrztuśże to raz, może znowu w czemś będę mógł być ci użytecznym?

— Eh! nie, nie — mówił jąkając się — zdaje mi się, że ugrzązł mi w głowie niemożliwy do wykonania projekt... to jest projekt projektu... Zresztą choćby to i mogło być do skutku doprowadzonem, to i wówczas nie śmiałbym cię tem obciążać. Zachodu z tem byłoby dużo, bardzo dużo, a projekt prawdopodobnie niewykonalny.

— Powiedzże mi raz — przerwałem mu zachęcającym głosem — powiedz! Wiesz przecież, że dla tych, którzy czegoś bardzo mocno pragną, niema niemożliwości — dodałem z uśmiechem — a ja bardzo pragnę być ci w czemkolwiek użytecznym.

— Ale... bo widzisz... To z wielkiemi trudnościami musiałoby być połączone.

— Później o tem, teraz powiedz mi już raz, co to za projekt?

Dobrze, więc powiem! — odpowiedział stanowczym głosem, rumieniąc się przytem tak, jak mały chłopczyk, schwytany na jakim figlu. — Mojem marzeniem — mówił — jedynem pragnieniem dziś jest dostać się do Galicyi; pracowałbym o chlebie i wodzie, uczyłbym się dzień i noc, ażeby módz tam egzaminy poskładać i miejsce nauczyciela gimnazyalnego uzyskać — mówił dalej jednym tchem prawie, nieprzerywając. — Tam, tam, gdzie nam wolno mówić, pisać, nauczać naszym językiem, gdzie jesteśmy uważani za ludzi, za równych innym obywateli państwa, tam chciałbym się dostać, tam pracować.

Rozśmiałem się wesoło, słuchając jego słów; przypomniały mi się były w tej chwili narzekania i utyskiwania niektórych Rusinów galicyjskich; a porównane z entuzyazmem Semena, z jakim o Galicyi mówił, wywołały we mnie wesołość i śmiech trochę ironiczny. On zauważył mój uśmiech i zapewnie fałszywie go sobie wytłómaczył, bo przestał w tejżesamej chwili mówić i zasępiwszy twarz zapytał z nieufnością:

— Dlaczego się pan ze mnie śmiejesz?

— Ależ nie z ciebie mój drogi, tylko z twojej nieśmiałości, która tak długo przeszkadzała ci wyjawić tak zwykłego życzenia, któremu tak łatwo bez wszelkich trudów i ambarasów można zadość uczynić.

— Czyż być może?... Nie! Ty znowu żartujesz tylko ze mnie.

— Nie! nie żartuję zupełnie. Napiszę tylko, a za kilka tygodni moi znajomi wyrobią ci pozwolenie zapisania się na uniwersytet we Lwowie i dopomogę ci do znalezienia jakiej

pracy, któraby zapewniła ci sposób utrzymania, zanim posadę jaką otrzymasz.

Semen był w siódmym niebie; uniesieniom wdzięczności nie było miary, tak, że mię już wstydzić zaczynały; ażeby je przerwać wreszcie, wymyśliłem sobie naprędce jakieś pilne gospodarskie zajęcie: kazałem osiodłać konia i pojechałem oglądać, czy nie nadeszła już pora plewienia buraków. Kwitka snując tysiące najrozmaitszych projektów, uszczęśliwiony poszedł do domu.

W rzeczy samej miałem dobrego znajomego, przyjaciela prawie, człowieka zacnego i rozumnego, który zajmował znaczne w kraju stanowisko i miał wielkie wpływy w naukowym świecie. Napisałem do niego, opowiadając dokładnie koleje życia Kwitki; opisałem mu dzisiejsze jego zapatrywania i usposobienie względem nas; prosiłem wreszcie o zaopiekowanie się sprawą mego znajomego.

Poleciłem równocześnie Kwitce, ażeby zrobił podanie do jenerał-gubernatora, z prośbą o wydanie mu paszportu na wyjazd za granicę. Z odpowiedzią z Kijowa niedługo zwlekano; w dziesięć dni po wniesieniu podania otrzymał uwolnienie z rosyjskiego poddaństwa i pasport emigracyjny; rząd był rad, że może się z kraju pozbyć tak *niebłahonadiożnoj licznos'ti*.

Wkrótce potem nadszedł i list od mego znajomego, wzywający Kwitkę, aby zaraz przyjechał do Lwowa; wynaleziono mu tam miejsce korepetytora u zamożnej rodziny w mieście stale zamieszkałej; przyjęcie zaś do uniwersytetu nie wymagało zupełnie specyalnych starań i protekcyj.

Pod koniec czerwca był już gotów do wyjazdu. W czasie przygotowań do ostatecznego opuszczenia kraju, jeszcze częściej mię odwiedzał, niż dawniej; mały Oleś zdał był już wstępny egzamin do gimnazyum w Kamieńcu, Kwitka więc nie miał obowiązkowego zajęcia.

Podczas tych kilku dni rozmawialiśmy z sobą bardzo wiele; raz, pamiętam, zapytałem go w żartobliwym tonie:

— Jakże tam pani Malwina się miewa? Czy nie opłakuje Bohunowego wyjazdu? — ciekawy byłem bardzo, jakie to pytanie zrobi na nim wrażenie.

— Eh! nie, nie... ona nie z takich — odparł wesoło, śmiejąc się — jest to pani, która dla zabicia nudów zawsze jakąś zabawkę wyszukać sobie potrafi. Bawić się bawi, ale nic więcej. — Tu zaczął na wesołą i skoczną nutę śpiewać znaną studencką piosnkę:

Lubit' siebia ja pozwalaju,
No stoż nie stanu praliwat'... itd.

Przerwał nagle i patrząc znacząco na mnie, mówił dalej poważnie już:

— Ja też nie przelewałem i nikomu nie radziłbym to robić. Nie warto! Oh nie! Takie panie to są prawdziwe błędne ogniki; a dla tych, którzy ich grę towarzyską wezmą na serjo, stają się naprawdę niebezpiecznemi, stają się upiorami uczucia. Pozwalam siebie kochać, ale łez nie myślę przelewać.

Gdy w kilka godzin później uścisnąłem dłoń Semena na pożegnanie, gdym mu życzył szczęścia i powodzenia na nowej drodze życia, to rozrzewnił się tak, że miał łzy w oczach i nie mógł prawie słowa przemówić. Skoczył nagle na bryczkę, konie szarpnęły, dzwonek jęknął i za chwilę znikł mi w tumanie letniego pyłu.

Po jego odjeździe stałem jeszcze jakiś czas przed gankiem, pogrążony w głębokiej, bolesnej zadumie; podziwiałem w duszy przedziwny instynkt Kwitki, który pozwolił mu poznać, przeczuć raczej, w kilku dniach to, na przekonanie się o czem ja lat całych potrzebowałem.

— Tak, tak, błotne błędne ogniki... nic innego.

Tego samego dnia wieczorem otrzymałem list od mojej ciotki, która donosiła mi: że panna Wanda przyrzekła już swą rękę panu Edmundowi; że sam podeptałem szczęście, które rodzina wszelkiemi sposobami starała się dla mnie zdo-

być; że ostateczną przyczyną jej decyzyi były plotki: jakobym ja miał po świecie rozpuszczać krzywdzące jej dobrą sławę wieści; że prawdopodobnie będę miał z tej przyczyny aferę z Edmundem etc. etc. List kończył się, jak zwykle, morałem, dowodzącym jasno, że tego rodzaju postępowanie, jak moje dotychczasowe, wiedzie prostą drogą do hańby i nędzy, ale, że zawsze czas na poprawę pozostał.

Zgniewany tem wszystkiem, zmiąłem list w garści, kazałem osiodłać konia i pojechałem do Frania na — wista.

W trzy lata później przyjechałem do Lwowa.

Przyznam się otwarcie, że o istnieniu Kwitki zapomniałem zupełnie; zdziwiłem się też niepomiernie, jak po posiedzeniu Towarzystwa historycznego nieznany mi człowiek przystąpił do mnie i zaczął się ze mną serdecznie witać; patrzyłem nań, czułem, że ktoś znajomy, dobrze znajomy; nie mogłem sobie jednak odrazu nazwiska przypomnieć. Dopiero jak przemówił:

— Pan mnie nie poznajesz?

Po głosie poznałem go. Był to Kwitka.

Wyszliśmy razem, odprowadził mię do hotelu, wstąpił do mnie i długo, długo rozmawialiśmy. Był już wówczas nauczycielem gimnazyalnym, miał zapewnioną przyszłość i... ożenił się.

— Nie możesz mieć wyobrażenia — mówił mi — jak jestem szczęśliwy, wszystkie marzenia moje urzeczywistniły się, ideał mój zmartwychpowstał, a to jego nowe wcielenie przewyższa o całe niebo poprzednie jego kształty. Ożeniłem się z kuzynką tej rodziny, w której znalazłem na samym wstępie do tej nowej mojej ojczyzny, zajęcie, pomoc i opiekę; ożeniłem się — z Polką.

Po godzinnej może pogadance pożegnał mię i prosił na wszystko, ażebym jutro koło czwartej przyszedł do nich, życzy

sobie bowiem koniecznie, ażeby jego żona poznała mnie osobiście; obiecałem stawić się.

Z punktualnością chronometru w oznaczonej porze zadzwoniłem do drzwi profesora Kwitki; otworzyła mi młoda, śliczna kobiecina, i gdym zapytawszy, czy gospodarz jest w domu, otrzymał przeczącą odpowiedź i chciał się cofnąć, zawołała wesoło:

— Przepraszam pana, panie — tu wymieniła moje nazwisko — mąż mój polecił mi, żebym w razie jego spóźnienia przez jakiś czas bawiła pana sama i koniecznie zatrzymała aż do jego nadejścia; nie zróbże mu pan tej przykrości i zostań. Zresztą ceremoniować się nie ma pan potrzeby, ja znam pana wybornie, tak jakbyśmy wyrośli obok siebie, mąż mój ciągle mi o panu prawił.

— A to bardzo musi pani lubić dźwięk mego nazwiska — odparłem żartobliwie, wchodząc do pokoju — jeżeli Semen tak uparcie zanudzał niem panią.

— Oh! nie zanudzał. Siemion opowiadał mi zawsze o panu same piękne i ciekawe rzeczy. A jak się miewa pani Malwina? — zapytała figlarnie.

— Smutna — odrzekłem — starzeje się bardzo.

Po dziesięciu minutach rozmowy byliśmy z panią Maryą, bo tak się zwała żona Kwitki, w rzeczy samej na tak przyjaznej stopie, jakbyśmy się od niepamiętnego czasu znali; była to wesoła, swobodna i dobrze wychowana kobieta. W przeciągu kwadransa zdołała mię objaśnić, że jest czwartą z rzędu córką nie bogatego szlachcica, który ma wioskę gdzieś w Zaleszczyckim czy Czortkowskim powiecie, że zna doskonale aż trzy moje ciotki, że jest daleką kuzynką mego szwagra... i że prawdopodobnie musieliśmy się spotykać wówczas, kiedy ja byłem uczniem gimnazyalnym, a ona małem dzieckiem.

Potem rozmowa przeszła na powodzenie, zajęcia i zapatrywania jej męża. Odrazu z jej słów poznałem, że zaszła w przekonaniach, w poglądach, w ideałach Kwitki radykalna zmiana.

— Z tymi tutejszymi Rusinami — mówiła poważniejąc — mój Szymon nie może sobie dać rady, ciągle mają o coś do niego pretensyę... nazywają go *perekińczykiem*, zdrajcą.

— Jakto? — zapytałem niepomiernie zdziwiony — jego... jego... Kwitkę nazywają zdrajcą? Ależ on jest Rusinem do szpiku kości.

— No, takim samym Rusinem — przerwała mi moje uniesienie trochę sztywnym głosem i wydymając lekceważąco swe piękne usta pani Szymonowa — jak ja i pan, mówi po rusku, kocha lud, kocha Ruś, tak samo, jak i my oboje.

— Pani, pani — wołałem coraz bardziej zdziwiony — ależ jego ideały, jego marzenia o państwowej odrębności Rusi itd?

— Eh! co tam takie młodociane ideały — rzekła trochę pogardliwie. — A czyż dla pana pani Malwina pozostała dotychczas ideałem, choć wiem, że nim ongi była? Otóż i Szymona ideał przekształcił się bardzo i jest nim obecnie: państwo, które potrafiłoby dać nam Słowianom wolność, nam wszystkim uciśnionym, Polakom, Rusinom, Litwie; któreby mogło sparaliżować, obalić, za Don wypchnąć, tego moskiewskiego potwora; oto jego ideał dzisiejszy, i zdaje mi się, tak samo wygląda ideał pana, tak samo mój, tak samo każdego uczciwego Słowianina, do jakiegokolwiek by on należał szczepu, jakichby był przekonań społecznych.

Wejście Kwitki przerwało nam poważną dysputę. Pożartował trochę z patosu swej »ślicznej Maryni«, ale w gruncie rzeczy przyznał jej zupełną słuszność.

Rozgawędziliśmy się straszliwie, zostałem u nich na herbacie, a gdy o jedenastej godzinie wychodziłem, musiałem przyrzec Kwitce, że w danym razie przyjadę mu syna do chrztu trzymać, naturalnie, że go będzie chrzcił katolicki ksiądz.

Gdym wyszedł od nich, zadawałem sobie przez drogę pytanie: czy jest gdzie na świecie prawdziwy Rusin, rozumie

się wykształcony człowiek? Czy nie jest przypadkiem cały ten naród tylko ludowym pierwiastkiem, z którego czerpią surowy materyał dwie rdzennie różne cywilizacye: polska i rosyjska? Czy ten Rusin ukształcony, który nie stał się Polakiem, nie jest z konieczności — Moskalem?

Na pytania te nie mogłem sobie odpowiedzieć, historya dopiero zdoła dać na nie pewną i niezbitą niczem odpowiedź. Ja tylko wiedziałem dowodnie, że Siemion Andrejewicz Kwitka, wypędzony student kijowskiego uniwersytetu, którego dopiero cztery lata temu ja sam nauczyłem po polsku, jest dziś Szymonem Kwitką i takim samym Polakiem, jak ja, lub ty szanowny czytelniku.

W styczniu 1890 r.

HNAT SIEROTA.

Obrazek z życia ludu ruskiego.

I.

Co mi powiesz Hnatku?... Czy przejeżdżałeś dziś Balodę?

Słowa te wyszły z ust młodego, pięknego panicza, leżącego na szezlągu i ziewającego przeciągle, niby na znak, że rozmowa z chłopakiem stajennym nudziła go niepomiernie.

— Jeździł! — odpowiedział Hnat, skrobiąc się w głowę.

— A na starym Osmanie, co? — pytał dalej młody pan.

— Na starym jeździł rano Iwaś, a ja z południa przejeżdżałem sam młodego Ibrahima. Niech Bóg zachowa, jaki uparty!

— Cóż robi? — zawołał troskliwie pan i zerwał się ze swego wygodnego legowiska. — Czy zawsze tak samo cugle wyciąga? Pewno za ostro go zbierasz; koń miękki w pysku, to go niecierpliwi.

— Czart by go tam zanadto zbierał — odrzekł, pełen pewności siebie chłopak — taka już snać jego natura paskudna i matka taka sama szalona była... Waryat *taj hodi!*

— No! no! zobaczymy, jaki on waryat! Jeżeli jutro się wypogodzi, to zapolujemy na stepie od czarnej mogiły. Dla mnie osiodłasz Ibrahima; zobaczysz, jak podemną pójdzie? Gdzie się jego waryacya podzieje?... A teraz ruszaj spać!...

Rzekłszy to młody człowiek rzucił się znowu na szezlag i piękne owe szafirowe, podłużne oczy przesłonił powiekami opatrzonemi w długie ciemne rzęsy.

Hnat stał tymczasem przy drzwiach, niby czekając dalszych rozporządzeń, skrobał się chłopskim zwyczajem w głowę

i ironicznem okiem spozierał na swego pana, jakby wiedząc, że nudzi go śmiertelnie swą obecnością. Byłby tak stał Bóg wié jak długo, gdyby nie to, że panicz, pragnący najwidoczniej pozbyć się go coprędzej, zawołał zniecierpliwionym głosem:

— Ruszajże raz do stajni!... Utrapienie z tymi nocnymi ptakami!... Potem znowu będziesz spać do dnia białego, i zamiast o ósmej, znowu ruszymy o jedenastej.

Po tak stanowczym rozkazie, Hnat, skłoniwszy się nisko, opuścił pański pokój. Młody człowiek, jak tylko drzwi się za chłopakiem zamknęły, zerwał się znowu pospiesznie z leżanki i zaczął chodzić, biegać prawie pospiesznemi krokami po wyścielonym dywanem pokoju; chwilami zatrzymywał się koło okna i uważnie nadsłuchiwał, niby łowił w powietrzu każdy szmer i szelest, jakby czekał na coś niecierpliwie i doczekać się w żaden sposób nie mógł. Niecierpliwość ta malowała się na całej jego wzburzonej twarzy, przebijała się w nerwowych ruchach ciała, dźwięczała w dosadnych zaklęciach.

Hnat tymczasem, opuściwszy pokój pański, nie spieszył zupełnie do stajni; odszedł on o kilka zaledwie kroków od drzwi wchodowych i zasłonięty głęboką ciemnością nocy jesiennej, ukrył się w gęstym klombie bzu. Drobny, gęsty deszcz jesienny ciekł bez przestanku, a ciemność zdawała się jeszcze zwiększać z każdą chwilą; Hnat przecierał zalewane deszczem oczy, ale napróżno, w ciemnicy tej nic przed sobą nie widział. Za to wprawne ucho dziecka stepowej przyrody nie zawiodło go; do uszu Hnata doleciał nieznaczny zrazu szelest, zaczął słuchać uważnie i wkrótce rozpoznał wyraźnie odgłos cichych kroków — najwyraźniej biegł ktoś lekko i ostrożnie po zlanym wodą deszczową chodniku, prowadzącym ze dworu do pawilonu, zamieszkiwanego przez młodego panicza. Hnat usunął się jeszcze głębiej w klomb, a oczy skierował w tę smugę światła, która wydobywała się z okien paniczowego pokoju i oświecała wąski a długi pasek dziedzińca. Po chwili ujrzał, jak cień słusznej, cienkiej dziewczyny przemknął się przez ów

świetlany pasek, mignął tylko i zniknął w czarnych drzwiach, prowadzących do wnętrza pawilonu.

Hnat, dostrzegłszy dziewczynę, stał przez mgnienie oka jakby skamieniały; sto rozmaitych pragnień szarpnęło nim jednocześnie i ubezwładniły go zupełnie; w pierwszej chwili chciał zawołać na nią — głosu w piersi nie znalazł, chciał podskoczyć ku niej, chwycić ją wpół i do ponurych, czarnych drzwi nie dopuścić — siły go jednak ze wzruszenia tak opuściły, że ruszyć się nie mógł. Wszystko to trwało zaledwie chwilkę; dziewczyna błysnęła tylko w smudze światła, niby jaskółka niknąca przez tło tęczowe i znikła w ciemnym, niby otchłań strasznym kurytarzu.

Chłopak wkrótce oprzytomniał i cicho, ostrożnie począł się podkradać pod okno paniczowskiego pokoju. Drżał jednak całem ciałem. Czy wilgoć i zimno jesienne, czy inna jaka wewnętrzna przyczyna wywoływały te dreszcze miotające całem jego ciałem? Dygocząc cały i siłą woli głusząc dzwonienie szczekających zębów, podsunął się pod samo okno i ciekawem okiem rzucił w głąb pokoju, który przed chwilą był opuścił. Drżał coraz mocniej, a obraz, który przedstawił się jego oczom, znać potęgował jeszcze te dreszcze.

W pokoju tuż obok drzwi wchodowych stał panicz i silną swą dłonią przytrzymywał rękę przestraszonej dziewczyny. Piękna dziewczyna sromała się snać tej sam na sam rozmowy, bo oczy opuściła ku ziemi, a pociągła jej, zazwyczaj blada twarzyczka, płonęła ognistym rumieńcem. Panicz mówił coś do niej namiętnym, przekonywującym głosem, ona zrazu milczała.

Przez nieszczelnie przymknięte okno, słowa rozmowy dochodziły uszu podsłuchującego Hnata, wytężył on wszystkie zmysły, cały w słuch się przemienił, oczami łowił ulotne słowa.

— Powiedzże Jeryno, co będzie? — pytał niecierpliwie panicz.

— Ta, co ma być! — odszepnęła ledwie dosłyszalnym głosem, odwróciwszy się przytem do drzwi i wolną ręką przesłoniwszy twarz i oczy.

— Niby ty to nie wiesz?

— Nie wiem!

— Nie udawaj głupiej! — zawołał niecierpliwie i puściwszy jej rękę, począł znowu pospiesznie chodzić po pokoju. — Czyż Janowa ci nie mówiła?

— Janowa mnie tu z ręcznikami przysłała... Ot one...

I rzuciwszy na sofę trzymane dotychczas ręczniki, chciała pokój opuścić. Nie dał jej tego jednak uczynić panicz, pospiesznie poskoczył ku niej i chwyciwszy ją znowu za rękę, począł szeptać cichym, namiętnym głosem:

— Powiedz Jeryno, czy pojedziesz do Bokowny, do Andryja Pobereżnika, powiedz?

— Nie, *ne choczu!*

— Dlaczego?... Cóż ci się tam złego stanie?

— Bo nie chcę, za nic nie chcę! — powtarzała uparcie. — Bóg by mnie za to pokarał — zawołała, wybuchając cichym płaczem — ludzie by mnie osądzili, jasna pani patrzeć by się na mnie już nie chciała, a Hnat... Hnat śmierć by mi zrobił... Nie, nie chcę!

— Czyś ty zupełnie już oszalała?... Co ty dziś bredzisz?... Bóg skarał!... ludzie osądzili!... A czyż to Bóg pokarał, czy ludzie wyśmiewają Kseńkę... Pałaszkę?... Powiedz!.. Co?... Obie one porządne gospodynie i mężów mają gospodarzy.

— Co mi tam Kseńka! co Pałaszka! — przerwała mu porywczo dziewczyna. — Ona *inaksza* a ja inna... Hańba takim gospodyniom! Wstyd takim gospodarzom, ich mężom! Wstyd! hańba! wstyd! hańba! wołała, powtarzając kilkakrotnie ostatnie wyrazy. Oczy się jej przytem zaiskrzyły, twarz ogniem płonęła, drobne pięście zaciskała konwulsyjnie.

Młody człowiek spoglądał na nią z nietajonym zachwytem, równocześnie jednak doznawał jakiegoś uczucia mimowolnego wstydu; nie śmiał tej rozdrażnionej dziewczynie prosto w oczy spojrzeć, dłoń jej tylko ściskał mocniej w swej ręce i spuściwszy oczy do ziemi, szeptał coraz ciszej:

— Jeryno! śliczna Jeryno! Nie bądźże głupia... Popatrz na mnie, czym ciebie nie wart? Takiego liczka Hnat twój nie ma, tak koniem jak ja nie potoczy... Słuchaj! słuchaj! złotembym cię obsypał, w atłasach, jedwabiach byś chodziła... Potemby cię twój Hnat wziął, jeszczeby mi się za dobytek do nóg skłonił.

— Nie, on nie taki! — szepnęła dziewczyna, starając się uwolnić swą rękę z żelaznych uścisków paniczowej dłoni — onby mnie zabił, zabił, zabił!... Oj biednaż moja główka, biedna, — zaczęła nagle zawodzić płaczliwym głosem — żeby on wiedział, gdzie ja, to zarazby mi śmierć zrobił. Niczego nie chcę, ni złota, ni hatłasu... Bodaj tę Janową grom zabił z jej ręcznikami.

— Głupi twój Hnat i ty z nim! Pluń na niego, po co ci on... Jak zechcesz, to znajdę ci po roku dziesięciu chłopców jak malowanie, a każden cię weźmie i w nogi jeszcze będzie całował za twą urodę i za majątek, którym cię obsypię.

— Nie chcę! Za nic nie chcę! — wołała ciągle szarpiąc się dziewczyna. — Puśćcie mnie paniczu, niech na sierotę plotek nie robią... Hnat mi milszy nad wszystkich... On sokół mój... I z muzyką ślub z nim wezmę i jasna pani dobra mi nie pożałuje i skrzynię da i krowę da. Na Hnata *parowy* grunt idzie... Będę gospodynią... Z muzyką ślub będę miała!

Panicz puścił jej rękę, zwrócił się w przeciwną stronę i spluwając z gniewem, zawołał:

— Tfu! głupiaś wraz z twą muzyką i Hnatem twoim postrzelonym. Idź sobie, choćby dziś za tego durnia... Cóż ty myślałaś, że siłować cię będę? że mi świat bez ciebie obrzydnie! Oh! jest takich jak ty dość... No ruszaj do garderoby, zębów nie szczerz na darmo!

Kończył te słowa do pustych ścian pokoju; dziewczyna dawno już była za drzwiami i jak strzała leciała przez ciemny dziedziniec ku głównemu dworskiemu zabudowaniu, gdzie pod bokiem jasnej pani mieściła się garderoba i szwalnia.

Hnat pod oknem wysłuchał całej rozmowy, w ciągu słuchania rozchmurzyło mu się zwolna zasępione oblicze, przy ostatnich słowach panicza wyrwało mu się z ust mimowolnie *Sława Bohu!* i zanim dziewczyna wyszła na dziedziniec, odskoczył od okna i ukrył się w ciemnościach zalegających cały dziedziniec.

II.

Hnatko sierota — Hnatko *neszczastnyj* wyrósł był przy dworze.

Rodzice dzieckiem go jeszcze odumarli; stryj opiekun bił niemiłosiernie i z chaty jak psiuka wyganiał; grunt i obejście, ojcowiznę sierocą zagarnął. Jasna pani, dziedziczka miłosierna *przyhołubiła* sierotę przy dworze; z dzieciństwa kazała go obficie karmić w piekarni, później kazała staremu kredenserzowi Dominowi uczyć go czytać i pisać, próby te jednak do niczego nie doprowadziły, bo mały Hnat ani zdolności, ani ochoty do nauki nie okazywał. Za to do koni od małego oczy mu się śmiały; przepadał za niemi, oddano go więc, gdy skończył dwanaście lat, pod bezpośrednie rozkazy Bazylego, dawnego wachmistrza, sprawującego podówczas funkcye koniuszego przy dworze w Hołczyńcach. Chłopiec jakby do koni się był rodził; wszyscy byli zeń bardzo zadowoleni i jemu dobrze się z tem działo — jadł dobrze, ubrany był zawsze dostatnio, no i pracą nadmierną nie zamęczano go wcale.

Po powrocie młodego dziedzica, panicza hołczynieckiego, Hnat stał się odrazu jego faworytem; na wszystkie konne spacery młody pan nie brał nikogo z sobą tylko Hnatka. Rozpuścił się tem Hnat okrutnie i nabrał był takiego rezonu, że nikomu zmilczeć nie chciał. Wrogów sobie też narobił bez liku. W dodatku parobcy szeptali między sobą, że Hnat na gałgańską drogę schodzi, że choć taki młody, to mimo to dziewki i »mołodyce« dla panicza podmawia i na złą drogę

sprowadza; zmawiali się też nań nie raz, ale sprytny Hnat umiał zawsze zasadzki uniknąć.

Czas upływał szybko, chłopak nie oglądnął się nawet, kiedy wyrósł na tęgiego i ładnego parobczaka; na cały hołczyniecki klucz i okolicę nie było nadeń sprawniejszego »kozaka«; hołczynieckie araby chodziły pod nim jak orły, jak żmije; okoliczni panicze zazdrościli go hołczynieckiemu paniczowi, lecz napróżno starali się go odmówić — Hnat kochał panicza. Panicz też pamiętał o nim; sam nie proszony nawet polecił plenipotentowi swej matki sprawę zagrabionego przez Hnatowego stryja gruntu, jedynej ojcowizny sieroty. Plenipotent szczerze zajął się procesem paniczowskiego faworyta, i zanim Hnat ukończył dziewiętnasty rok życia, przywrócono go do posiadania kilkunastomorgowego gruntu i zniszczonej walącej się sadyby.

Ten Hnat, tak niedawno *nieszczastny, syrota,* wyszedł był nagle na pierwszą partyę we wsi, na parobka, do którego wszystkie dziewczęta wzdychały, wzdychali i rodzice dorastających dziewcząt, bo wiedzieli, że paniczowski faworyt żeniąc się, dostanie ze dworu i materyał na odbudowanie sadyby, i wszelkiego dobytku na zaprowadzenie gospodarstwa.

Rozjaśnił się więc był sierocy horyzont Hnata — jednakże na przeźrocznem tle tego horyzontu malowały się tu i owdzie ciemne plamki. Chłopak stawszy się posiadaczem obszernego gruntu, zapragnął zostać zupełnie porządnym gospodarzem, takiego »porządnego« gospodarstwa chłop rusin nie rozumié zgoła bez gospodyni; począł się więc za nią oglądać. Miał w czem wybierać, nie było takiej we wsi, którejby mu nie chcieli dać; sam »starosta« z ochotą dałby mu był jednę ze swych trzech dorastających dziewcząt. On jednak bogackiej dziewki nie szukał; upatrzył był sobie biedną dziewczynę, sierotę taką samą jak i on był niedawno jeszcze, nie posiadającą nic, oprócz łaski pańskiej.

W dworskiej garderobie rosło śliczne dziewczę, Jeryną ją zwano; była to zupełnie bezdomna sierota, nikt nie znał

ani jej ojca, ni matki; niemowlęciem ją na trakcie znaleziono i miłosierna pani przy dworze je wychowała. Wdzięczna była Jeryna pani za opiekę i wierniejszej po nad nią dziedziczka sługi nie miała; głośno też mówiła, że losem biednej sieroty się zaopiekuje i zaginąć jej nie da.

Piękna też wyrosła w dostatku, wolna od wszelkiej troski o byt codzienny. Miała wówczas lat szesnaście, szczupła była i zgrabna na podziw; rączka jej drobna, niezapracowana, świeciła niezwykłą białością, w pasie była wcięta. A pierś dziewczęca i bez stanika i rogówki tworzyła biust, którego mogły jej zazdrościć rzeźby mistrzów starożytnych. Twarzyczkę miała owalną, cery smagłej, od której dziwnie uroczo odbijały duże szafirowe, prawie aż czarne oczy, tworząc wraz z purpurowemi ustami całość podziwu i uwielbienia godną.

Przytem była na oko dziwnie skromna i potulna, dworu się trzymała, po wiejskich muzykach i wieczornicach nikt jej nie spotkał; ludzie mówili, że ją tak Janowa klucznica pilnowała. W oczach tych jednak ciemnych dziwne blaski czasem płonęły, iskry się z nich jakieś sypały niby z ognisk jakichś potężnych. Piersi dziewicze jeszcze nie całkiem rozwinięte wznosiły się czasem nierówno, gwałtownie, a pod cienką, przejrzystą skórą, w błękitnych żyłach krew paląca warem płynęła i zlewała się obficie do młodego serca, pokrywając niezwykłą bladością smagłą twarzyczkę. Miewała czasem niepohamowane napady gniewu strasznego; wówczas usta jej rumiane bielały jak płótno i mowę jej coś tamowało, a po główce chodziły straszne myśli — w takiej chwili była w stanie targnąć się na własne młode życie.

Tę to Jerynę, »znajdę« — jak ją we dworze zwano — Hnatko wybrał na swą przyszłą gospodynię. Wybór ten stał się przyczyną, że nieraz chodził smutny i zasępiony, a pytającym go o przyczyny smutku, odpowiadał niechętnie i opryskliwie.

Pokochał był Hnat Jerynę po swojemu, po chłopsku, słowem nikomu o tem nie wspominał, nawet wybranej; jednakże zdawało mu się, że ma już do niej jakieś prawo, że

niewolno jej z nikim innym w taniec iść, z nikim rozmawiać, do nikogo się uśmiechnąć. Ona milcząco na układ ten przystawała, bezwiednie despotyzmowi się temu poddawała; potulnie, milcząco uznała jego władzę nad sobą, i w myślach rozważyła zapełnie na zimno, że może pokochać Hnata i może zostać jego żoną.

Wszystko szło zrazu jak z płatka, Hnat czekał tylko jesieni, ażeby się ożenić; jesieni potrzebował koniecznie, bo wesele chłopskie na wiosnę byłoby poprostu anachronizmem... Tymczasem w ciągu lata zauważył rzecz, która go strasznie zaniepokoiła i zbudziła w nim uczucia, których nie znał nigdy przedtem. Panicz najwyraźniej począł się zalecać do Jeryny — za piękna była na to, aby nie zwrócić na siebie uwagi znającego się na tem wybornie panicza. — Co do przypuszczeń swoich Hnat nie mógł się mylić, z doświadczenia wiedział, w jaki sposób objawiają się paniczowe zalecanki, wszak sam brał udział w ustaleniu świetnego losu i Kseńki Mielnikowej i Pałaszki Wasylowej.

Zazdrość się w nim dzika zbudziła i rozdmuchała straszne na dnie duszy drzemiące namiętności, po hajdamackich przodkach odziedziczone. Przez całe lato spokojnej chwili nie zaznał; noce nieraz całe wił się jak wąż, jak potępieniec. — Czasem zrywał się dodnia i pilnował wyjścia mieszkania paniczowego, to znowu szpiegował dziewczynę całemi wieczorami... Gdy ujrzał ją w ten słotny, ciemny wieczór biegnącą do paniczowego mieszkania, uczuł, że krew w nim krzepnie, że straszna się godzina zbliża; w oczach mu krwawe łuny płonęły, w uszach słyszał krwi ciepłej chlupanie, ręką kurczowo zaciśniętą szukał za pasem noża... Był gotów podpalać, zabijać, pastwić się nad trupami... z tem wszystkiem podkradł się spokojnie pod okno i stłumiwszy oddech, słuchał uważnie rozmowy Jeryny z paniczem. To co usłyszał, uspokoiło go zupełnie; nie miał nawet żalu do jasnego panicza, że mu chciał dziewczynę zbałamucić, przeciwnie czuł się nad wyraz dumnym z tego, że Jeryna przeniosła go nad panicza i jaśnie wielmo-

żnemu to wprost w oczy powiedziała. Na podsłuchiwaniu wyszedł zresztą jak najlepiej, dowiedział się teraz napewno, że dziewczyna go kocha, że go się boi i nie ulega już żadnej wątpliwości, by jego swatowie z harbuzem od niej powrócili.

Uczuł nagle, że wszystkie jego namiętności i obawy, rozbudzone niedawno do najwyższego stopnia, uspokoiły się nagle, niby dotknięte rószczką czarodzieja, przestał odrazu myśleć o nich, machnął lekceważąco ręką i — poszedł spać do stajni.

Nazajutrz rano, gdy się obudził, deszcz jeszcze obfitszy padał, z rozmokłej ziemi tumany się mgieł podnosiły, szare niebo niby ołowianą tłocznią ugniatało rozmoknietą ziemię. O polowaniu myśleć nawet nie było można. — Hnat postanowił wreszcie swe zamiary w czyn zamienić. Wnet po przebudzeniu poprosił Bazylego o uwolnienie na ten dzień od służby, potem ogolił się, uczesał, przywdział nową świtę zamiast barwy dworskiej; tak ustrojony i wyświeżony poszedł do kredensu i zameldował staremu kamerdynerowi Michałowi, że pragnie prośbę do jasnej pani osobiście zanieść.

Jaśnie pani była najłaskawszą dziedziczką w całej okolicy i dostęp do niej nie był zgoła trudny; Hnat też wkrótce uzyskał żądane posłuchanie. Audyencya ta odbyła się według starego odwiecznego rytuału, który lud ruski przechowuje z nadzwyczajną troskliwością. Jak długi padł pani do nóg, bił u jej stóp czołem, dziękował za chleb, za sól i za opiekę w sieroctwie, prosił przytem najpokorniej: czy jaśnie pani pozwolą przysłać swatów do Jeryny pokojowej? Dziedziczka łaskawie przyjęła oświadczyny Hnata i odpowiedziała, że jeżeli się Jeryna zgodzi, to ona nic przeciw temu stadłu nie ma.

Tegoż samego jeszcze dnia przed wieczorem Bazyli Kohut i Andryj Szczerbatyj, dwaj najpoważniejsi we wsi gospodarze, za zgodą i pozwoleniem dziedziczki, zaswatali Jerynę pokojową dla Hnata sieroty.

Przygotowania do ślubu trwały trzy tygodnie, to jest tyle, ile potrzeba czasu do wyjścia zapowiedzi. Zaraz po zaswataniu Hnata uwolniono od służby w stajni; osiadł on

w swej podrujnowanej, ale teraz świeżo »połatanej« chacie i miał się zajmować przygotowaniami do wesela i przyszłego gospodarstwa. Kupił pług, parę koni, wóz, ale jadać chodził albo do dworskiej piekarni, albo do sąsiadów, w chacie nie było komu zgotować. W ogóle jakoś nie swojsko było mu w tej chacie — brakło mu stajni, rżenia ślicznych arabów, towarzystwa chłopców-towarzyszy; świta nie tak mu do grzbietu przylegała jak kurta liberyjna. Jednem słowem czuł się zasmuconym — nudził się. Pocieszał się jednak tem, że po ślubie wszystko się odrazu na lepsze zmieni.

Nareszcie nadszedł oczekiwany dzień. Wesele było tak paradne, że mało ludzie takich we wsi zapamiętali. *Korowaj* [1]) we dworze upiekli taki ogromny, że starszy drużba, choć chłop jak dąb, mało nie giął się pod nim. Młody dziedzic dał Hnatowi przy błogosławieństwie kwit do majdańskiej gorzelni aż na dziesięć wiader wódki. Starostował panu młodemu sam Iwan Bodnar, największy bogacz w całej wsi a swojak Hnata przez jego nieboszczkę matkę, która cioteczną mu była.

Jedli, pili, śpiewali od soboty do wtorkowego wieczoru. Później zabrali się goście weselni do karczmy poprawiać gody. Państwo młodzi zostali sami u siebie w chacie.

W karczmie przy kieliszku stara swacha Horpyna pierwsza zagaiła rozmowę:

— No! no! kumo Chimo — prawiła Horpyna, kiwając głową na wszystkie strony — co dziwne to dziwne!... Taka *harna*, taka śliczna, ta, na psa niech padnie urok, ta nasza Jerynka, i poszła ze dworu sprawiedliwą, *czesną* [2]) dziewką...

— Tak, tak kumo — potakiwała jej Chima — *nespodiwano!* A już wszyscy rozpowiadali, że do panicza chodzi... Ale to *brechnia*, kłamstwo paskudne, samam się przekonała, a mnie to niepierwszy zna; trzydzieści lat już swachuję...

Pomiędzy rozmawiające dwie baby wetknęła głowę stara Jewdocha; usłyszawszy ostatnie zdanie, wtrąciła poważnie:

---

[1]) *Korowaj*, wielka bułka pszenna, pieczona na wesela.

[2]) *Czesnyj*, uczciwy (z rosyjskiego).

— Znać stara dziedziczka nie dała jej zmarnować, bo ją miłowała bardzo i *hołubiła* [1]) jak swoją.

— Tak, tak, tak! — potakiwały wszystkie baby.

— Popatrzcie tylko, co ona tam za nią dobra wszelakiego nadawała; toż żadna gospodarska córka tyle nie przyniesie... I krowę i skrzynię, i co do chaty potrzeba.

— A Hnatowi-ż nie dali jeszczcze kwitu na materyał do lasu w Bokównie — wtrącił, mieszając się do rozmowy Hryńko Płeskań.

— *Takoj ne ma szczo skazaty* — zakonkludowała stara Jawdocha — *dobri pany taj hodi.*

III.

Jasne i wesołe były początki pożycia młodych małżonków. Wszystko się im pięknie składało: pieniędzy mieli dosyć, zasługi bowiem więcej niż roczne mieli oboje zaoszczędzone. Wnet po ślubie Hnat zajął się zwożeniem darowanego drzewa. Dobrzy ludzie, sąsiedzi serdeczni dopomagali mu w tej pracy; przez zimę zwiózł wszystko — a z pierwszą wiosną stanęła nowa, najokazalsza we wsi chata. Cała wieś przez miesiąc o niej rozpowiadała sobie dziwy. Miała ona komin wspaniały murowany, otwierane okna, a w »świetlicy« podłogę z tartych desek. Najwięksi bogacze zazdrościli Hnatowi tej chaty.

Jeryna stroiła się wspaniale. Co niedzieli ukazywała się oczom zawistnych sąsiadek w innej spodnicy i w nowym fartuchu. Aż blask od niej bił, a ludzi kłuł w oczy dostatek i brak troski o jutro. Bawiło ją to nad wyraz — była najzupełniej szczęśliwa. Wszyscy parobcy latali za nią jak szaleni; mówili jej, że jest najpiękniejszą pomiędzy wszystkiemi dziewczętami i mołodycami; — ona drwiła z nich, co innego miała na myśli.

---

[1]) *hołubić*, pieścić.

Na przyszły rok, przed samemi żniwami, dał im Pan Bóg syna. Radości miary nie było. Chrzciny wyprawił Hnat tak sute, że ludzie potem rozpowiadali sobie o nich przez kilka lat: ochota trwała cały tydzień; samemu popowi dał uszczęśliwiony Hnat aż dziewięć rubli. Łaskawi goście zbiegali się do Hnatowej chaty z całej wsi i wypili na tych godach ze dwanaście wiader wódki, nie rachując piwa i wina besarabskiego, zjedli ogromnego wieprzą i roczną jałówkę. Ale ktoby tam żałował, kiedy Bóg daje dostatek.

Wskutek tych godów, cała gotówka poszła, a oprócz tego Hnat na wódkę sprzedał Abramkowi arendarzowi dwa morgi najlepszej pszenicy. Lecz i tego nie uważał za wielkie nieszczęście, pozostało mu jeszcze dwa morgi żyta, mórg pszenicy i cała jarzyna; wiedział, że przy tem z głodu mrzeć nie będą, i tak mało kto z gospodarzy miał więcej. Wreszcie małżonkowie nie martwili się niczem, nigdy; — ufali w swą szczęśliwą gwiazdę, która im dotychczas stale przyświecała i w łaskę a opiekę dworu, której dowody ciągle odbierali.

Jeryna, jako młoda matka, na robotę nie chodziła; na dworskim łanie nikt jej nie widział, a nawet ich własne zboże zebrali sąsiedzi łaskawi, w jakiś *tabelny* [1]) dzień za dobre słowo i obfity poczęstunek. Bodaj to świeciła się miłość ludzka!

Hnat choć przyzwyczaił się jakotako do wiejskiej chałupy i roli poważnego gospodarza, czuł jednak ciągle robaka, który go gryzł bez przestanku: świta mu zawsze dolegała, tęsknił za czapką z galonem i palonemi butami stajennego chłopca. Nudził się nieraz okropnie; uczuwał boleśnie brak nieokiełznanej, hulaszczej swobody dworskiego kozaka. Czasami godziny całe, dnie nawet przesiadywał na przyzbie przed chatą w »dolce farniente« pogrążony i z nietajoną zazdrością przypatrywał się, jak jego młodszy kolega »durny« Iwaś przejeżdżał »młodego Ibrahima«.

---

[1]) *tabelny dzień,* carskie święto.

— Gdzie takiemu Iwasiowi na Ibrahimie jeździć! — wołał z goryczą. — Ja sam go od »łoszęcia« plekał, ja sam na niego pierwszy siadał, a teraz ma na nim taki Iwaś jeździć... Niedoczekanie jego!

To znowu innym razem przelatywał mu poprzed oczy, szybko niby błyskawica, »szaraban« pana Karola z Hrehorówki. Różnomostna, szalona czwórka stepowików rwała z kopyta aż ziemia dudniła. Stary Dynys, jak bożek furmański siedział na koźle, podparłszy się w boki i tylko »wiokał« a hukał na sokolą czwórkę. *Maładiecka* [1]) to, kozacka jazda!

Hnat zazdrościł serdecznie Iwasiowi, zazdrościł Dynysowi, zazdrościł im wszystkim razem. Nuda straszna go gryzła, męczyła. Nieraz zbierała go ochota, porzucić i żonę, i dziecko, i chałupę a gospodarstwo dostatnie i iść szukać gdzieś w świat służby u jakiegoś młodego, *wrażego* pana — pójść za swoją burłacką, kozacką dolą.

Ot ne żurywby [2]) *sia choć czołowik!* — mawiał wtenczas i szedł do karczmy, zalewać robaka.

W razie jakiego zjazdu we dworze, choćby miał najpilniejsze zajęcie, to zostawiał je i szedł do dworskiej piekarni, na poczęstunek z furmanami. Później wieczorem, zabierał wszystkich do karczmy i raczył ich tak obficie, że później nie byli już w stanie koni zaprzęgać. Tam to dopiero przy czarce pieniącej się okowity, dawał folgę gnębiącemu go smutkowi; wspomnieniom hulackiej przeszłości nie było końca... Rozmowa toczyła się o wszystkich znanych, sławnych koniach, o dawnych pohulankach, o minionych, świetnych jarmarkach.

Abramko zawsze witał Hnata uprzejmie, czule prawie, i był dlań zawsze z najwyższym respektem; był on najpożądańszym gościem w karczmie. Kredyt też miał nieograniczony prawie! co zapragnął, to mu bez najmniejszego oporu dawano. O zapłatę żyd nie upominał się wcale, zostawiał to na później.

---

[1]) *maładiecki,* tęgi, dziarski.

[2]) *żuryty sia,* troskać się, martwić się.

Od czasu do czasu, w chwili, gdy Hnat był najbardziej pijany, spisywał przy równie pijanych świadkach jakieś cyrografy. Spici jak noce grudniowe, starosta i pisarz wiejski, podpisywali te dokumenta i wiarygodność ich stwierdzali przybiciem gminnej pieczęci.

Takie to życie snuło się pod słomianą strzechą nowo wybudowanej chaty. Małżonkowie, z czasem zobojętnieli zupełnie dla siebie — żyli li wspomnieniami i żałowali oboje — dawnych świetnych czasów.

IV.

Od ślubu Hnatowego upłynęły już były cztery lata.

Aż lęk zbierał wspomnieć, jak straszne i smutne zaszły zmiany w Holczyńcach. Starą dziedziczkę, jasną, miłosierną panią wywiozły cztery stare siwosze na cichy, wiejski cmentarz i spoczywa tam ona w sklepie murowanym, w smutnym grobie pańskim, pomiędzy dziadami i pradziadami, spoczywa czekając trąby archanielskiej i zmartwychwstania powszechnego. Tylko ponure, czarne smereki [1]) poruszane wiatrem północnym, ponurym, żałobną pieśń nad nią zawodziły, tylko puhacze nocną porą, na dachu cmentarnej kaplicy, biedały nad niedolą ludzką.

Młody dziedzic po śmierci matki dał folgę krwi swej gorącej, nieokiełzanej. Porzucił on ojcowiznę, czasami tylko na parę dni zaledwie zjeżdżał do dworu, a cały rok boży przepędzał gdzieś daleko w obcej ziemi, w cudzych wielkich miastach. Przyjeżdżał po to tylko, ażeby zabrać pieniądze od żydów posesorów, którym oddał za grosze marne ziemię ojczystą i wierną czeladź.

Na folwarku rozsiadł się był, jak basza turecki, Icko Cwajnos, najbogatszy kupiec z Rajpola, a z nim ściągnęła się

[1]) *smereka,* świerk.

cała czereda miszuretów i bachorów żydowskich. W pańskim parku pasły się podłe żydowskie kozy... A cała służba dworska, opieki wszelkiej pozbawiona, rozbiegła się po sąsiednich dworach, szukać kawałka chleba powszedniego. Tylko starzy gracyaliści schodzili się czasem na cmentarzu, na swój smutny los się użalić i zwracali swe zapłakane oczy na dwór opustoszały, na ciemne, storami pozapuszczane okna, na walące się, opuszczone kominy. Ze łzami, z ciężkiem westchnieniem wspominali o tej świętej pani, która do ostatniego tchnienia rządy w swej białej dłoni trzymała, o każdym najmniejszym pamiętała, każdemu tylko dobrze zrobić umiała.

U Hnata także było nie wesoło.

Mieli jednego syna i ten drugiego »roczku« nie doczekał; umarł jakoś pod wiosnę.

— *Zaduszyło ho!* — zawyrokowała stara znahorka.

Drugiego dziecka nie mogli się doczekać.

Hnat rozpił się był na umor; wszystko zostawiał u Abramka, który już grunt cały zakupił był na trzy lata naprzód i jeszcze umową pisemną zobowiązał był nieszczęsnego pijaka, żeby mu, za łyżkę strawy, za kęs suchego chleba, za kieliszek wódki śmierdzącej, obrabiał swą własną niwę. Żyd sam pracować nie lubi!

Jeryna zgorzkniała była zupełnie, tylko resztki już dawnych świetnych strojów pozostały jej były, a i te musiała skrzętnie chować przed mężem, ażeby je do karczmy nie wyniósł i tam za kieliszek wódki nie zamienił.

Męża tego nienawidziła już teraz serdecznie, nie kryła się z tem nawet. Przed sąsiadkami nieraz na swą biedę, niedolę ciężką narzekała. Jej takie wesołe, takie strojne, takie jasne życie się uśmiechało! Odepchnęła go, pogardziła niem... Przez co, dlaczego? — Dla ułudnej mary cześci, dla mgławej miłości. Teraz żałowała za niem, teraz łzy gorące wylewała. Czyż jej to, takiej pięknej i urodziwej, przystało ręce białe zapracowywać dla męża pijaka? Czyż na to jej dał Bóg lica białe i usta rumiane, żeby je na słońcu opaliła, jak cyganka jaka?

Potrzeba mi było iść na biedę, na niedolę, na »harowanie« — mawiała z płaczem rozżalona. — On byłby mnie złotem obsypał, jedwabiem odziewał. On panicz złoty, jak *zoreńka* [1]) *jasny!...*

Najserdeczniejsze przyjaciółki jej teraz były Kseńka Mielnikowa i Pałaszka Wasylowa, te same, któremi dawniej tak srogo pogardzała. Z niemi to jednemi śmiało o paniczu rozmawiała, dawne wspomnienia snuła, na swój nierozum narzekała. Schodziły się one do niej w niedzielne popołudnia i zaczynała się rozmowa, zawsze na ten sam temat.

— Wyście obie rozum miały — mawiała, przygryzając usta do krwi — a ja *durna* poszłam za tego pijaka *niedbałycię* [2])... *Oj, biednaż moja hołowońka!* Żebym ja była panicza posłuchała, to on sam byłby się domu trzymał... Jabym była panowała, jabym była z kluczami chodziła, jak pani jaka... A tak jego niema orła jasnego, tylko ten pijanica ohydny, który mi już obmierził i świat ten Boży i to słonko jasne.

Sąsiadki, przyjaciółki pocieszały ją jak mogły:

— Nie płacz, rąk białych nie łam. Weź się do roboty, zarobisz trochę grosza i znowu sobie sprawisz spodnicę z galonem...

— Idź na łań do żyda — wołała, wybuchając śmiechem ironicznym Pałanka — żyd płaci co soboty, szabasu nawet nie szanuje.

— Niedoczekanie ich! — odpowiadała z oburzeniem Jeryna — niedoczekanie tym *nechrestom*, tym psim synom... Wolę już z głodu przymierać, niż żydom robić... wolę, wolę!

— A spodnica z galonem — szeptała jej kusząco Kseńka.

— Cóż wy myślicie, że mnie o sam galon chodzi... waryatki wy obie! Wam się zdaje, że mnie tylko kraśnej spodnicy brakuje? *Pek ta cur na was!* [3]) A choćbym i miała

---

[1]) *zoreńka,* gwiazda.

[2]) *nedbałycia,* niedbalec.

[3]) Zaklęcie ludowe, pogańskie jeszcze.

stroje nad strojami, to do kogo się w nie ubiorę? Do tego pijaka, do *neluba?* [1])

— Ha! ha! ha! Alboż to u nas w Hołczyńcach niema już żwawych parobków? — przerywała jej, śmiejąc się cynicznie Pałaszka. — Popatrz, za mną co niedzieli z cerkwi całe stado biegnie. Mój stary aż pęka ze złości, to i cóż mi zrobić może? Teraz wolność!...

— Giń i przepadaj z takimi żwawymi chłopcami — wybuchała gniewnie Jeryna. — Śliczne chłopcy, albo mu mleko jeszcze pod nosem widać, albo śmierdzi dziegciem na pół mili. *Ot tobi myłenkij!*

— Bierz takiego, jak niema innego!

— Prawdę mówi Jeryna — wtrącała Kseńka — co było starszych, co *praworniejszych,* to za Dunaj pognali... Tam poszli na *pohybel,* na śmierć marną...

— Co mi tam, ja i po nich nie płaczę — kończyła lekceważąco, machając dłonią Jeryna. — Mnie żal tylko jednego, panicza złotego... On to miał oczy jak *zirnyci,* a liczko jak obraz w cerkwi. A ja głupia, słuchać go nie chciałam... Popa mi się zachciewało... popa brodatego i korowaja rumianego.

Lamenty takie godzinami całemi trwały i kończyły się tem zazwyczaj, że na odchodnem, cyniczna i najbardziej zepsuta Pałaszka, żegnała Jerynę temi słowy:

— Czekaj! czekaj! przyjdzie jeszcze ta godzina, że ci twój pijak tak obrzydnie, że poszukasz sobie innego... Spiesz się, czasu szkoda... Patrz na mnie.

— Nie! nie! — wołała za odchodzącemi Jeryna i wybuchała gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

V.

Od roku już z górą przychodziły do Holczyniec smutne listy z za Dunaju.

---

[1]) *nelub,* niemiły.

Już wdowa po Wasylu Atamańczuku, który zginął był przy szturmie Ruszczuku, po raz wtóry za mąż się wybierała. Już stara wdowa Kateryna Gudrycha sześć mszy śpiewanych za swego jedynaka zapłaciła i odprawić kazała. Kilka dziewcząt popłakiwało skrycie po zabitych i rannych kochankach, aż wreszcie rozeszła się była po wsi wieść radosna, że »Turka już car całkiem zawojował« i wojska z za Dunaju do domu powracają. Długo jednak, długo napróżno ich oczekiwano. Dopiero w połowie września przyszedł do »starosty« wiejskiego *prykaz* od *stanowego*, ażeby w Hołczyńcach przygotował kwatery dla szwadronu ułanów, który miał się tam rozkwaterować na zimowe leże.

Wieść ta zrobiła wielkie we wsi wrażenie: młode kobiety i dziewczęta cieszyły się nadzieją wesołej zabawy z chwackimi żołnierzami, starsi gospodarze jak ognia obawiali się swawoli zwycięzkiego i w wojnie rozwydrzonego żołnierza. Koniec końców, zawrzało we wsi jak w garnku; wszyscy się od dawania kwater wymawiali; ale z tem żartów niema, *prikaz prikazem* musi być spełniony, tylko dwór od wojskowego postoju wolny.

Kłótnie te i spory byłyby trwały Bóg wié jak długo, gdyby nie następujący wypadek. Pewnego popołudnia ukazało się we wsi kilku zdrożonych, błotem okrytych jeźdźców. Przodem jechał stary sierżant o marsowej twarzy i siwiejących wąsach, za nim dwójkami postępowało sześciu ułanów. Byli to kwatermistrze zbliżającego się szwadronu. Koło karczmy zapytali o mieszkanie starosty i przed jego chatą się zatrzymali.

Przestraszony starosta wybiegł przed chatę, w pas się przed srogim sierżantem skłonił i konia za cugle przytrzymał. Żołnierz z butną miną z konia zsiadł, fajkę zapalił, w boki się wziął i rozpoczęła się narada nad kwaterunkiem. Naradę tę długo potem, ze smutkiem wielkim wspominali hołczynieccy dostojnicy, skończyła się ona bowiem dosadną żołnierską połajanką i omal że nie przyszło do dotkliwszych argumentów. Stanęło na tem, że sam sierżant poszedł szukać kwater dla

naczalstwa [1]), a trzech żołnierzy rozesłał po wsi, ażeby upatrzyli pomieszczenia dla ludzi i koni. Sposób przez sierżanta wybrany, był znać bardzo praktyczny, bo w godzinę było już wszystko załatwione. Dla rotmistrza, dowódcy szwadronu, wybrał sierżant kwaterę w nowej, najparadniejszej w całej wsi chacie Hnata pijaka — tak go już dziś wszyscy nazywali.

Nazajutrz od samego świtu, tłumnie było około kołowrotu przy karczmie hołczynieckiej. Wszystkie oczy były zwrócone na trakt, który zwężając się dla oka ludzkiego coraz bardziej, ginął prawie zupełnie po za falowatemi wzgórzami. Dopiero około południa zaciekawieni mieszkańcy Hołczyniec ujrzeli, jak z po za pagórków wychylać się zaczęły: zrazu chorągiewki od lanc, po nich żółte kaski i rabaty. Już, już widać było przez chwilę całych jeźdzców, za chwilę skryli się znowu za najbliższym od wsi pagórkiem i wnet potem cały już szwadron wychylił się i wolnym marszem zbliżał się do kołowrotu.

Słońce jaśniejsze błysło w tej chwili, przedzierając się przez szare, ołowiane chmury i obrzuciło zbliżający się szwadron jaskrawemi promieniami, w których zamigotały wspaniale, żółte polerowane blachy kasków i ostro błyszczące groty lanc; od szabel iskry się wkoło sypały.

Zbliżali się do wsi wolnym, miarowym stempem, ale byli już wkrótce tak blisko, że dokładnie można już było rozpoznać całe postacie pojedynczych jeźdzców. Samym przodem jechali śpiewacy; w środku tej grupy rej wiódł stary, szpakowaty już żołnierz, sławny *zapiewało* [2]), znany w całej brygadzie. Puścił on koniowi cugle zupełnie, a ten niekierowany nawet szedł pewnym, regularnym chodem. Stary *zapiewało* trzymał w obu rękach dziwaczną, pstro przybraną *kukłę* [3]) i nią takt wybijał. Obok niego jechali młodsi towarzysze z piszczałkami, bębenkami, a wszyscy razem śpiewali jakąś

---

[1]) *naczalstwo*, oficerowie.
[2]) *zapiewało*, kierujący śpiewakami.
[3]) *kukła*, lalka.

dziką, stepową pieśń, pieśń straszną, pełną okrutnej poezyi mordu i grabieży. Kto nutę tę raz w życiu posłyszy, na długo mu ona w duszy się wypiętnuje niby krwawemi znakami. Przy tej strasznej, krwiożerczej nucie szły zapewne hordy Batu-Hana. Ponura ta nuta dźwięczała w uszach bohaterom ginącym nad Worsklą i tym, którzy swe życie położyli za ojczyznę pod Batohem i Żółtowodami. Ona to dźwięczała jako hymn pogrzebowy niewinnym ofiarom wyrżniętym na Pradze. Lud hołczyniecki drżał jak liść osiczyny, słuchając tej obcej pieśni.

Za śpiewakami szedł regularnie, poważnie czwórkami cały szwadron. Trudów wojennych i śladu już na tych żołnierzach nie było pozostało, długo znać szli z za Dunaju i wolno, bo ludzie i konie wypoczęli już byli zupełnie.

Bokiem na Karabachskim, złoto-kasztanowatym ogierze jechał rotmistrz. Śliczny koń, dziecię zakaukazkiego kraju sadził się jak wściekły i żuł wędzidło, ale silna dłoń wprawnego jeźdźca z łatwością hamowała ten zapał; konia niecierpliwiła ta niewola, wspinał się ciągle i wywracał łbem, próbując wyswobodzić się z pod władzy twardej ręki, napróżno jednak — tylko biała piana z pyska mu kawałami leciała, okrywając śnieżnemi płatami piersi i nogi.

Rotmistrz siedział jak przykuty; piękny to był egzemplarz żołnierza. Postać silna i zuchwała, barki szerokie, dzika energia biła zdala już od niego. Twarz miał dziwną, niezwykłą: delikatne, klasyczne prawie, normandzkie rysy zeszpecone jakimś dzikim, brutalnym, mongolskim uśmiechem, który mu wkoło pięknych ust krążył i zlekka ze wskośnych czarnych oczu wyzierał. Trudy obozowe i szalone pohulanki pozostawiły niezatarte ślady na tem obliczu; twarz ta była niby zmęczona życiem, może sterana przed czasem wszelką rozpustą.

Wreszcie znalazł się szwadron za kołowrotem; kwatermistrze czekali nań przed karczmą i tam złączywszy się, ruszyli w głąb wsi, drogę ukazując. Echo dzikiej pieśni rozlegało się ponuro po nad zwierciadłem stawu, gdy przez groblę przechodzili, i łamało się dziwnie, przeraźliwie pomiędzy licznemi

chatami, położonemi po przeciwnym brzegu stawu. W środku wsi na obszernym placu przed cerkwią uszykował się szwadron w dwa długie szeregi. Na głos donośnej komendy rotmistrza, oddzielały się jeden po drugim plutony i przedefilowawszy przed frontem, oddalały się w różne strony wsi. I tłum ciekawych, który i tu za wojskiem od kołowrotu przyciągnał, dzielił się także, dążąc pospiesznie za plutonami, ażeby asystować przy zajmowaniu kwater.

Dopiero po odejściu ostatniego plutonu, rotmistrz wyciągnął się leniwo na siodle, ziewnął przeciągle, a wyraz zdradzający zmęczenie fizyczne i znudzenie straszne zajął na jego twarzy miejsce panującego tam przed chwilą marsa żołnierskiego. Żołnierz zmienił się — w sybarytę.

Spojrzał wokoło a zobaczywszy sierżanta, komendanta kwatermistrza wyciągniętego jak struna, czekającego w służbowej postawie rozkazów, rzucił krótkie ostre pytanie:

— Gdzie moja kwatera, stary?

— Tuż obok, *wasze błagorodie!*

Odparł lakonicznie sierżant i wskazując drogę, poszedł wprost na dziedziniec Hnatowej chaty.

We wrotach zsiadł rotmistrz z konia, nasamprzód opatrzył stajnię, gdzie stały już wyprawione przodem, z kwatermistrzami zaprzężne i wierzchowe konie; później wszedł do izby. Nadspodziewanie ładnie tam było. Na ścianach rozwieszone były kaukazkie i tureckie kobierce, a na nich błyszczała prześliczna wschodnia broń, zdobyta gdzieś daleko za Bałkanami, obok broni świeciły bogate rynsztunki jeździeckie, zdobne w drogie kamienie. Duży gospodarski stół dębowy zasłany był wzorzystą jedwabną serwetą, a obstawiony przyborami tualetowemi zmienił się był w gotowalnię, której mogła pozazdrościć rotmistrzowi niejedna elegantka.

Komendant szwadronu wszedłszy, rozglądnął się zdziwionem okiem po izbie; znać to co ujrzał zrobiło mu przyjemność, bo zwróciwszy się do sierżanta uprzejmie przemówił:

— Dziękuję ci mój stary, dobrześ się sprawił, chwat jesteś! Choć będzie nudno na tem odludziu utrapionem, to przynajmniej w izbie nie śmierdzi.

W tej chwili, z po za nawpół odchylonych drzwi wiodących ze świetlicy do sieni, ukazała sie świeża, rumiana twarz Jeryny, spozierającej ciekawie do wnętrza izby.

— Ah! gosposia nasza — zawołał wesoło rotmistrz — *kakaja haroszeńkaja!* [1])... Przyjdź tu bliżej! Powiedz, czy bardzo się gniewasz za to, ze ci dali sołdata na kwaterę.

Jeryna zarumieniła się na te slowa gwałtownie; oczu jednak nie spuściła, tylko patrząc zalotnie w piękną twarz rotmistrza, przestąpiła próg izby. Tam wykonała przed rotmistrzem dyg zapamiętany widocznie z dworskiej jeszcze garderoby i śmiało a rezolutnie zaczęła mowić:

— Ta i za cóż ja się mam gniewać?

Rotmistrz nie zrozumiawszy rusińskich słów, wezwał na tłumacza sierżanta, który był ukraińcem i doskonale mówił ludowem, podolskiem narzeczem. Rozmowa więc poszła łatwo.

— Ze świetlicy wygnaliśmy cię, śliczna gosposiu do alkierza — odrzekł, uśmiechając się rotmistrz.

— Eh! i do stajnibym poszła, żeby co zarobić, biedni ludzie jesteśmy, grosza przy duszy nie mamy.

— No, a dom macie taki porządny — rzekł zdziwiony oficer.

— Kiedyś to było tam jakieś gospodarstwo, ale mój mąż pijak, *niedbałycia* zmarnował wszystko.

— Gdzież on?

— Pewno w karczmie. Co ja zarobię, to on przepije — kłamała bez zająknienia Jeryna.

— To nie dawaj mu.

— Pewno, pewno! Zrobię tak... A może u jaśnie pana robota się jaka znajdzie — dodała po chwilowym namyśle — bieliznębym prała i prasowała, we dworze byłam lat kilka, to umiem.

---

[1]) Jaka piękna!

— Dobrze! dobrze!

Odrzekł rotmistrz, który miał już dość na razie tej rozmowy, bo zmęczony był bardzo pochodem. Na pożegnanie pogłaskał piękną gosposię po rumianym policzku i dał jej w dłoń błyszczącego półimperyała.

— To na zadatek przyszłej roboty --- dodał i kazał zaraz *dieńszczykowi* buty z siebie ściągać.

Potem napił się wódki, zjadł kawał zimnego mięsa i w pięć minut później chrapał już jak zabity.

VI.

Szwadron na stałe się w Hołczyńcach rozlokował.

Czas upływał pospiesznie; zima poczynała się zbliżać. Inne życie zawrzało teraz w cichej przedtem wiosce. Na licznych w jesiennej porze weselach rej wodzili ułani, przyćmili oni zupełnie miejscowych parobków i wioskowa kronika skandaliczna wzbogacała swą treść z każdym dniem; dziewczęta i młode kobiety szalały za ułanami. Tylko starzy gospodarze kiwali smutnie głowami i szli zakrapiać swe troski do karczmy. Szeptali tam pomiędzy sobą cicho, ostrożnie, że:

— Chyba już zupełnie teraz poszło Hołczyńcom na *pohybel*...

Hnat z powodu swego nieszczęsnego nałogu, z urzędu już swego pijackiego, prawie zawsze należał do tych karczemnych narad. Jakoś dostatniej teraz było koło niego, odziany był porządniej, a nawet od czasu do czasu »postawił« starszym gospodarzom jedno lub nawet dwa »oka« wódki; z tego powodu miał teraz dość poważnych przyjaciół.

Ludzie dziwili się temu bardzo i nie mogli dojść zkąd Hnat bierze pieniądze; plotkarki wiejskie zaczęły sobie szeptać na ucho, że Jeryna jest kochanką rotmistrza i dla uspokojenia mężowskiej zazdrości i pozbycia się go z domu, daje mu pieniądze na te traktamenty.

Podczas jednego z tych zwykłych karczemnych posiedzeń przy butelce, swat Hnatów — Bazyli Kohut, zagadnął go pewnego razu nagle i niespodzianie:

— Hej, Hnat! powiedz ty nam szczerą prawdę... Czyś ty gdzie odkopał te »biesowe« pieniędze, które ciemnemi nocami po ogrodach się palą? Czyś żyda gdzie na gościńcu ograbił?

— Dlaczego się mnie o to pytacie? — odrzekł niechętnie Hnat.

— Dlaczego? dlaczego? — pytał dalej pijany Bazyli. — A możeś ty z czartem się zwąchał?... Każdy się dziwi, zkąd ty biedak ostatni, *łychołata pośledni* masz teraz zawsze pieniądze na wódkę i dla siebie i jeszcze drugich częstujesz... Zkąd pieniądze bierzesz?

— Tak mi już Pan Bóg łaskawie daje Wasylu — odrzekł Hnat skrobiąc się swoim zwyczajem w głowę — żonę mi dał taką poczciwą, że na mnie i na siebie pracuje... Zarabia biedactwo, bieliznę *komandirowi* [1]) pierze... Da mi czasem nieboga jakiego rubla odczepnego, a ja gałgan nie umiem nawet poszanować jej pracy... Ot przepijam tu z wami.

I przestał mówić, głowę opuścił smutnie na piersi; trunek go już poczynał rozmarzać coraz bardziej.

— Hi! hi! hi! — rozśmiała się ironicznie należycie już pijana »babka« Horpyna — hi! hi! hi!... Bieliznę pierze!... bieliznę prasuje!... I do *komandira* sama odnosi... Ho, nosi... nosi!... Ja stara wszystko wiem.

— Co wiesz babo? — mruknął Hnat i popatrzył dziko na staruchę.

— Co wiem, to wiem... A tobie synku, radzę pieniądze te chować a nie przepijać... Bo ty synku, nim jeszcze żyto dojdzie, sam do mnie przyjdziesz... Do chaty swojej będziesz mnie prosić... I pieniędzy musisz mieć dużo, i dla mnie i dla popa i na wódkę dla ludzi... Bo będziemy dziecko chrzcili,

---

[1]) *komandir,* komendant.

nie proste, nie chłopskie, a moskiewskie, *kazionne*[1])! *Kazionne* synku, *kazionne!*

I śmiała się dalej stara wiedźma syczqco, okropnie.

Hnat, sluchając słów baby, zamilkł zrazu głucho; przytomność prawie całkiem go opuściła; czerwoność wywołana trunkiem zupełnie mu z twarzy ustąpiła — pobladł jak trup, zaczął trząść się jak w paroksyzmie febry, nie mógł zdobyć się na przemówienie słowa. Wreszcie po chwili wybełkotał gwałtownie, lecz prawie niezrozumiale:

— Milcz, stara czarownico, milcz! Łżesz jak pies! Ona uczciwa!... Milcz!

— Sam milcz pijaku! kiedy nie wiesz, co w domu się dzieje — wrzeszczała przekornie pijana baba.

Hnat nie zważał na słowa baby, tylko dalej mówił, ale już ciszej niby sam do siebie:

Ona uczciwa, ona *czesna*[2]). Jam ją dziewką ze dworu wziął. Sam słyszałem na własne uszy, jak ją panicz podmawiał, złote góry jej obiecywał, a ona nie chciała; mówiła mu, że mnie jednego tylko miłuje.

— Ha! ha! ha! — śmiała się konwulsyjnie Horpyna, a za nią inne baby i odtrąceni przez Jerynę zalotnicy, miejscowi parobcy. — *Komandir* jej za pranie imperyałami »pecami« płaci... Co?

Pytania jak grad leciały ze wszech stron:

— Wierzysz babie? Wierz durny, wierz!

— Patrzaj na nią, jak ona chodzi?

— Tylko, że *hatłasu* jeszcze na niej niema!

— Całą jedwabną spodnicę miała w cerkwi na sobie.

— Proś *komandira* w kumy...

— Oh! proś go, proś — zawołała głośniej po nad innych rozdrażniona Horpyna. — Może on i mnie rzuci za »kwiatek« czerwońca na miseczkę... A warto, warto, bo to nie

---

[1]) *kazionny*, rządowy.

[2]) *czesna*, porządna.

chłopskie, to *kazionne* dziecko będzie, z batystu spraw mu pieluszki.

Hnat zerwal się wściekły z ławy, nie mógł słowa przemówić, gniew go oniemiał, hałas przygłuszał. Skoczył wprost ku rozkrzyczanej Horpynie, obiema rękoma schwycił ją za głowę i zdarł jej chustę wraz z kosmykiem siwych włosów. Rzucił chustę na ziemię i depcząc ją nogami wołał zdławionym głosem:

— Ot tobie babo sława! Ot tobie cześć! Naści za czterdzieści lat babkowania!... Wiedźmo przeklęta!... Ot tobie za *brechnie* [1]) na moją Jerynę!... Gadzino!

Wszystkie kobiety obecne w karczmie otoczyły starą kołem, starając się zasłonić ją przed nowym wybuchem wściekłości pijanego Hnata, wygrażając pięściami i tupiąc nogami, wołały, to pojedynczo na przemiany, to wszystkie razem:

— Idź ztąd nawiedzony, idź!

— Wracaj do chaty, tam zedrzyj chustę z twojej Jeryny.

— Odczep się, stara prawdę mówi.

— Ona nigdy nie kłamie!...

Hnat tymczasem skakał na wszystkie strony jak opętany, starając się rozerwać łańcuch otaczających Horpynę kobiet i na starusze zemstę swą wywrzeć.

Wreszcie zniecierpliwiło to starego Bazylego, który wstał flegmatycznie z ławy, podszedł do Hnata i ujmując go silnie za obie ręce, rzekł doń spokojnie:

— Słuchaj, nie bądź głupi! A może stara prawdę mówi? Ona wié, jak trawa rośnie, ona *worożka* [2]), jej nie godzi się zaczepiać... Przekonaj się pierwej.

Hnat przy tych słowach ochłódł odrazu, ciężko opadł na szeroką, dębową ławę karczemną i złamanym, drżącym głosem szepnął:

— Abramku, dajcie mi wódki!

---

[1]) *brechnia,* kłamstwo.

[2]) *worożka,* wróżka, czarownica.

Wypił półkwaterek, kazał nalać drugi i podał go starej Horpynie.

— Na masz babo, pij! — przemówił opryskliwie — ale jak się przekonam, że kłamałaś, to cię jutro psiawiaro zaduszę... zaduszę!... A jeśli to prawda... To, to temu *zawołoce* [1]) temu *sukinsynowi* śmierć!... Zarżnę! zaduszę! Śmierć, śmierć!

Wszyscy obecni wybuchnęli nagle śmiechem ironicznym; wokoło wykrzykującego Hnata rozlegały się śmiechem przeplatane okrzyki:

— Ot, jaki z Hnata *łycar!* — wołały kobiety.

— On chce *komandira* zadusić.

— Patrzcie go, jaki się tęgi znalazł!... Ilko Tanasiow, który wyciągnął bilet i miał za tydzień iść do wojska, z ważną miną wykładał Hnatowi:

— Popytajno tylko »zwodnego« *Sierebramnego*, albo wachmistrza *Afanasjewa*, to oni ci rozpowiedzą: jaki rotmistrz wojak, jak on po dwudziestu turczynów, lub czarnych *harapów* swoją szablą siekł... A ty jego charłaku chcesz zadusić.

— Idź popróbuj, idź! — rozlegały się krzyki i żarty wokoło.

Dłużej Hnat nie mógł wytrzymać; wyleciał jak szalony z karczmy. A pozostali bawili się dalej opowieściami o pięknej Jerynie i wspaniałym *komandirze*.

VII.

Na dworze było zimno.

Z wieczora jeszcze zaczął brać mróz; wiatr zimny i srogi wiał z północy, przynosząc aż na równiny podolskie surowe oddechy lodowatego oceanu. Śnieżek drobny, zmarznięty, iglasty pruszyć zaczynał. Zimno nie oprzytomniło Hnata; pijany trunkiem, rozszalały nieznanem mu dotychczas uczuciem zazdrości,

---

[1]) *zawołoka*, włóczęga, obcy przybysz.

biegł co sił mu stało — wprost do chaty. Gdy minął groblę, tchu mu w piersiach zabrakło; przystanął na chwilę, oparł się o przydrożną baryerę i ciężko oddychał. Głuchy dźwięk dzwonu cerkiewnego, którym stróż zaznaczał swe czuwanie, obudził go z tej zadumy. Porwał się i pędził dalej. Bez tchu, z gołą głową wpadł do sieni własnego domostwa.

Sień była słabo oświetlona małą naftową lampką. Ordynans, z dobytym pałaszem drzemał na ławce obok drzwi rotmistrza. Hałas sprawiony nagłem wejściem pijanego Hnata rozbudził ze snu żołnierza; powstał więc z ławy i ostrym tonem zapytał?

— *Ty za czem* [1])?

Hnat zmieszał się w pierwszej chwili, ale wkrótce wypity spirytus dodał mu rezonu i począł zuchwale mówić:

— Mam ważny interes do *komandira*... To moja chata! Puszczaj, muszę tam wejść!

Żołnierz ze zdziwieniem mu się przypatrywał, a widząc, że ma z pijanym do czynienia, odrzekł kpiąco:

— Interes, po nocy?... Czyś oszalał!... Rotmistrz śpi... Idź precz!

Wściekłość jednak coraz większa opanowywała Hnata w miarę jak mu tchu przybywało; lazł w oczy żołnierzowi i krzyczał coraz głośniej:

— Puszczaj! puszczaj! Ja muszę go zaraz zobaczyć.

Żołnierz cofnął się pod same drzwi; z pochwy wyciągnął nabity rewolwer i rozkazującym głosem krzyknął:

— *Paszoł won!...* [2]) Zabieraj się *siejczas* [3]), a nie to jak psu ci w łeb strzelę.

Hnat, choć pijany zrozumiał odrazu, że ten nie żartuje; mrucząc coś niechętnie odstąpił od drzwi oficerskiej kwatery i wpadł do drzwi przeciwległego alkierza, gdzie od przyjścia

---

[1]) Ty po co?

[2]) *Paszoł won!* pójdź precz! Najzwyczajniejszy rosyjski wykrzyknik.

[3]) W ten moment.

ułanów mieścił się wraz z żoną. Było tam zupełnie ciemno. Z trudnością odszukał na piecu pudełko z zapałkami i drżącą ręką potarł »siarnik« o ścianę. Gdy błękitnawy płomyk siarki zmienił się wreszcie w jasno świecący blask palącego się drewienka, ujrzał, że alkierz był całkiem próżny. Ani żywego ducha tam nie było; pościel nie ruszana — żony ani śladu nigdzie.

— Całe piekło zawrzało mu nagle w piersi; krew nabiegająca w mózgu oczy mu krwawą mgłą przesłoniła; zdawało mu się, że ziemia się pod nim rozstępuje, że otchłań się straszna przed nim roztwiera. — Oparł głowę o krawędź swego małżeńskiego łóżka i stał tak długo, długo niby skamieniały. Człowiek ten spodlony próżniactwem i pijaństwem, kochał jednak swą piękną żonę nad wszystko; było to jedyne jeszcze szlachetniejsze uczucie, jakie w nim pozostało. On ją kochał i wierzył w jej uczciwość. Była to jedyna wiara, jaka kiedykolwiek w nim istniała. Dziś i ona zniknęła nagle niespodzianie.

Od dnia ślubu nigdy cień podejrzenia nie powstał w jego myśli; Jeryna ze wstrętem i pogardą odpychała wszelkie zalecanki wiejskich gąchów. Teraz o jej winie nie mógł już wątpić; był pewny, że tam, o dziesięć kroków od niego, przedzielona dwoma cienkiemi ścianami, w jego własnej »świetlicy« spoczywa w objęciu obcego człowieka, przybłędy z za dziesiątej góry, z za dwudziestej rzeki, którego nawet mowy nie rozumié należycie.

Myśli te ognistemi zygzakami krzyżowały się w jego zbolałym mózgu; chciał je uporządkować, zebrać — nie mógł, szeregowały się one same i wreszcie objawiły się w szalonym, strasznym okrzyku rozpaczy.

— *Oh! ja neszczastnyj, neszczastnyj!*

Zaryczał nieludzkim głosem; opończę rwał na sobie w kawałki, głowę tłukł o krawędź łóżka. Nareszcie padł bezwładnie na ławę i leżał tam długo, bez znaku życia, bez słowa na ustach, bez łzy nawet; leżał niby martwy, i zdawać się już

mogło, że dusza już opuściła to zbiedzone i znękane ciało.

Po godzinie mniej więcej takiego stanu, zerwał się jak szalony i wybiegł z chaty. Przechodząc przez sień, usłyszał po za sobą szyderski śmiech ordynansa; śmiech ten dopełnił miary jego rozpaczy. Teraz był już pewny swej hańby. Echo tego śmiechu dźwięczało mu długo w uszach, niby jakaś piekielna orkiestra.

Wyszedłszy na ulicę, zaczął się posuwać przed siebie bezmyślnie. Ohydne, nieznane mu przedtem uczucie zazdrości, rozszalawszy się w jego duszy, głuszyło myśl wszelką; obezwładniało wszystkie zmysły; żarem palącym napełniało mu pierś nagą i na działanie północnego wiatru wystawioną. Wicher smagał pierś tę nieszczęsną wściekle, niemiłosiernie, nie mógł jednak ugasić, ułagodzić tej wewnętrznej pożogi.

Sam nie wiedział, jak długo błąkał się w takim stanie; jak mara jaka przesuwał się pomiędzy opłotkami we śnie już pogrążonej wsi; aż ocknął się przed znaną sobie chatą swego starego swata Andryja Szczerbatego.

Słabe światełko przedzierające się przez szronem okryte szybki okna zdradzało, że gospodarz nie spał jeszcze. Wszedł do środka, nie wiedząc co robi i po co tam idzie. Stary Andryj siedział w świetlicy przed tkackim warstatem i oddawał się swemu ulubionemu rzemiosłu, z którego słynął w całej okolicy i które mu dało dostatek a nawet względną zamożność. Ujrzawszy Hnata o tak spóźnionej porze i w tak opłakanym stanie, zerwał się pospiesznie ze stołka i oglądając go bystro a uważnie, tak go zagadnął:

— *Boh z toboju*, mój synku! Co się z tobą dzieje?

— Czart mną nosi! — mruknął Hnat.

— Przepadniesz!... Oh, przepadniesz marnie z tą przeklętą gorzalką!... Wyglądasz tak, jakbyś się od szubienicy oderwał i po wsi chodził ludzi straszyć. No, przemów co rozumnego.

Hnat, wpatrzony w światło małej lampki, stał milczący, nie mogąc się zebrać na słowo rozsądnej odpowiedzi.

— Czyś taki pijany, czyś zmysły już do reszty stracił? — pytał uparcie stary. — Opamiętaj się człowiecze! Czy bies cię jaki naprawdę opętał, czy co?... Zastanów się raz. Gubisz swą kobietę i sam się na ostatniego łotra wykierujesz.

— Ha! Ona... ona już zgubiona!

Wyszeptał z trudnością zrazu, lecz wnet potem zaczął gwałtownie mówić:

— Zgubiona! zgubiona! na wieki już przepadła... A jam jej tak wierzył, jak świętą szanował... Licho nadniosło przybłędę tego przeklętego... I wszystko odrazu przepadło, ona już nie moja, a jego! jego! jego!... Sam widziałem, p o ś c i e l nieruszona... Ona szelma myślała, że ja zawsze będę w karczmie do białego dnia siedzieć... Ah! niedoczekanie im djabelskim dzieciom... Żeby ich tam razem grom z jasnego nieba pobił.

Stary ze zdumieniem słuchał tych szalonych słów, w ciągu tej przemowy przeżegnał się ze dwa razy lewą ręką, wreszcie opierając ciężko swą dłoń na ramieniu Hnata, przemówił stanowczo:

— Czekaj!... powoli! Gadaj po ludzku. Co ci się przytrafiło? Zbierz *błużdy w kupę* i mów jasno, może ci co poradzę, może pomogę; długo na świecie żyję, dużo różnego widziałem.

— Nie trudź się *bat'ku* — odburknął Hnat — co mi tam poradzisz? Ot daj lepiej postronka, ta jeszcze pomóż powiesić się, bo mnie samego lęk babi bierze. Na babę, na piecucha mnie tam przy dworze wyhodowali.

— Boga wielkiego durniu nie obrażaj! zawołał w największym gniewie stary. — Mówisz, że żona cię na durnia wykierowała. Pewno, że to nie miło, ale ty nie pierwszy i nie ostatni, chodzi to po świecie... A do tego jeszcze nie wiesz na pewno, czy to prawda.

— Pościel nie ruszana, jej w chacie nie było — mruknął ponuro Hnat.

— Co to, pościel nie ruszona? — przerwał mu stary — ot może poszła prząść do sąsiadów, a ty pijany przyszedł i sławę kobiecie szkalujesz, dotąd się nic na niej nie pokazało.

— Prawda! święta prawda! — szepnął Hnat, chwytając się tej myśli, jak tonący deski ratunkowej.

— A widzisz — zaczął znowu Andryj — że moja prawda... Ot słuchaj, drugie już kury pieją, a ty zpijaczony i do *czorta* lub do *opiora* prędzej niż do chrześcijanina podobny, nie puszczę cię takiego z chaty, bo bies cię do reszty opęta i na *katorżnika* się wykierujesz. Lepiej przeżegnaj się i kładź się spać na ławie, a jak się wytrzeźwisz, to po dniu na rozum pogadamy. Może ci samemu przyjdzie rozmówić się z *komandirem*.

Rozmówię się ja z nim po swojemu!

Rzucił niechętnie przez zaciśnięte usta Hnat, ale starego posłuchał, opończę poszarpaną i buty zrzucił i na ławie się ułożył, oparłszy głowę na worku z przędziwem. Zrazu biedał i wzdychał, wkrótce jednak fizyczne zmęczenie i potężna doża alkoholu, krążąca w jego krwi, przemogły — zasnął snem przerywanym, gorączkowym, ale zawsze zasnął. Śniło mu się, że walczy na śmierć i życie ze znienawidzonym rotmistrzem, że w walce tej zażartej dławi strasznego wroga za gardło i tak martwego topi w zamarzającym stawie hołczynieckim.

VIII.

Dodnia wnuczka Andryjowa w piecu rozpaliła i obiad nastawiać zaczynała; stary wstał, przeżegnał się i odmawiając pacierze, pomagał babie skrobać kartofle — a Hnat zmorzony boleścią i zimnem spał snem kamiennym. Z litości nie budzili go nawet; Andryj tylko, półgłosem, żeby wnuczka nie słyszała, opowiadał żonie o wczorajszem zjawieniu się nieszczęsnego Hnata. Gdy obiad był już gotów, a słońce już dość wysoko podejść musiało, stary stanął nad spiącym i dotknąwszy ręką jego ramienia, zawołał:

— No, wstawaj, dzień biały! Wstawaj!

Hnat obudził się, przeciągnął się leniwie; nieprzytomnie spoglądając na wszystkie strony i nie mogąc sobie zdać sprawy,

zkąd się tu wziął? Głowa mu ciężyła okropnie. Zniecierpliwiony Andryj schwycił go za ramię i podprowadził go do blaszanego wiadra, pełnego czystej źródlanej wody, a wskazując na nie rzekł:

— Popatrz, jakiś ładny? Ładniejszych *etapami* [1]) wodzą. Masz tu wodę — umyj się; Nastka da ci grzebień, to uczeszesz się; potem obiad zjesz i dopiero pogadam z tobą jak z człowiekiem.

Hnat usłuchał bezmyślnie rozkazu, za parę minut był gotów zupełnie i w rzeczy samej jakoś pokaźniej wyglądał. Przystąpił później do stołu, skłonił się przed wiszącemi na ścianie obrazami, przeżegnał się machinalnie i zasiadł z drewnianą łyżką do wspólnej misy barszczu. Przez cały czas trwania obiadu milczał jednak uparcie.

Po obiedzie, Andryj wyprawił całe młodsze pokolenie z chaty, a zostawszy tylko we troje z żoną i Hnatem w izbie, rozpoczął uroczyście indagacyą.

— A wieszże ty Hnat — mówił bardzo poważnie — że ciebie będzie Pan Bóg bardzo ciężko karać, i ma za co, bo ty strasznie i przed Nim i przed twoją kobietą zawiniłeś.

— Popem wam trzeba było być dziadu a nie tkaczem — przerwał staremu szydersko Hnat — kiedy takie kazanie gadać umiecie. Co tu gadać długo, Jeryna na psy poszła i koniec!

— Stary się zmarszczył, popatrzył na Hnata ostro i nakazawszy mu ruchem ręki milczenie, prawił dalej:

— Słuchaj, gdy stary mówi!... Uwierzyć w to nie mogę, żeby Jerynie taka pusta myśl w głowie postała... Nie zapomnij tylko, jaki w niej był statek... Taż ty sam wiesz najlepiej, żeś ją z pańskiej garderoby dziewczyną wziął i to w takich czasach, kiedy ona tylko jedna ztamtąd nie *nakrytką* wyszła. Powiedz, zkąd ci to podejrzenie przyszło do głowy? Kto ci to powiedział?

---

[1]) *etap,* stacya więzienna, gdzie nocują deportowani.

— Ta, kto mi miał mówić? — zawołał niby w odpowiedzi Hnat — kto już tego nie gada?... Stara baba Horpyna i wszystkie baby w karczmie tak o tem klekotały, że mi mało uszy nie popękały... No i sam się już przekonałem... Niema o czem mówić, na psy poszła!...

I zamilkł znowu uparcie, uderzając tylko drewnianą łyżką po stole.

Andryicha nań ze zgrozą patrzała i załamując ręce szeptała zcicha:

— Sądny dzień! sądny dzień nadchodzi!

— Gadaj jasno! — krzyknął znieciecierpliwiony ostatecznie starzec — gadaj co wiesz, bo przecież na durne, babskie gadanie w karczmie nie godzi się żonę od czci i wiary odsądzić... To gałgaństwo!

Teraz dopiero wyprostował się, głowę podniósł w górę i patrząc w oczy staremu, począł mówić gniewnie, lecz porządnie.

— Nie sądźcie naprzód, kiedy nie wiecie... Pewno, że ja wiele winien, ale i to pewne, że i ona zhultaiła się ostatecznie... Na porządną nie gadaliby. Przedtem nikt na nią złego słowa nie powiedział... Zresztą, zkąd ona tyle pieniędzy bierze, zkąd galony, zkąd chusty jedwabne?... A gdzie ona tej nocy była?... Gadzina jest i koniec!... Ja przysięgnę na to; wiem nawet, że on sam ten *duszyhubnyk* [1]), ten *projdyswit* [2]) przeklęty, jej kochanek powié to samo... Kryć się nie będzie, wstydu moskal z tego nie ma, co mu tam!...

Tu znowu zaczął go opanowywać dawny paroksyzm wściekłości; pięście zaciskał, zęby zagryzał i mówił urywanemi zdaniami:

— Powié!... Powié! Co jego to obchodzi? Pochwali się zwierz dziki, że ona już teraz jego, nie moja... Jego! Jego!... A, *Bih mene*, że jak psa zadławię! Jak robaka zadepczę!... Co mam żałować, on sam się przyzna.

---

[1]) *duszyhubnyk*, ten co duszę gubi, czart, zły duch.

[2]) *projdyswit*, włóczęga.

Staremu wydało się, że wpadł w tej chwili na szczęśliwą myśl; nie przypuszczał nawet, żeby rotmistrz mógł potwierdzić plotki karczemne. — Jeżeli nawet to prawda — myślał — to zaprze się napewno, wstyd mieć musi.

— Słuchaj Hnat! — zaczął spokojnie — wiesz co zrób, pójdź sam do *komandira*, pokłoń mu się uczciwie i zapytaj: czy to prawda co ludzie plotą?... Powiedz mu, że to ciebie, sławie twojej gospodarskiej krzywdzi... Niech sam powié, co prawda... On carski dowódzca, *brechni* nie powié, bo oni na to przysięgają.

Hnat zastanowił się przez chwilę, niby się namyślał; zjadliwy uśmiech przemknął po jego zmizerowanej twarzy, wreszcie, hamując wewnętrzną wściekłość, odpowiedział:

— Posłucham was *bat'ku*, pójdę!... Ale, choć on powié, że to nieprawda, choć zełże, to ja prawdy dojdę — i śmierć go nie minie... Zaduszę!... Zaduszę, choćby był samym *odnirałem* [1]). Ja nie dla niego żonę brał i służbę *wraża* porzucił, i ze zgryzoty za służbą-drużbą, za końmi-orłami na pijaka się wykierował... Jak Bóg jest na niebie, tak zaduszę!

— No, no, później o tem pogadamy — zakonkludował stary, uśmiechając się żałośnie — a teraz odprowadzę cię do własnej chaty, aby cię gdzie znowu bies na drodze nie opętał, i poczekam pod chatą — ty sam pójdziesz do *komandira*.

Wyszli obadwaj i zwolna zbliżali się do Hnatowej chaty. Stary szedł z taką samą miną uroczystą i poważną, jaką miewał, gdy chodził w »swaty« lub z deputacyą do dworu. Hnat miał ruchy, to gorączkowe, to ospałe; bez przestanku coś szeptał do siebie i rękoma gestykulował; widocznie jednak tracił fantazyą w miarę zbliżania się stanowczej chwili. Wszedłszy na dziedziniec, ujrzał żołnierzy czyszczących konie w otwartej, pustej stodole; nie mogli swoim zwyczajem robić dziś tego na dworze, bo śnieg od rana pruszył i zadymka wzmagała się z każdą chwilą.

[1]) *odnirał*, jenerał.

W drzwiach chaty stał inny już żołnierz, z dobytym pałaszem. Hnat podszedł do niego i pokornie zapytał: czy rotmistrz już wstał?... Zapytany odpowiedział mu potakującem skinieniem głowy i nie wdając się w rozmowę, zrobił miejsce i szablą wskazał drzwi. Hnat wszedł do izby, pokaszlując dla dodania sobie odwagi.

Rotmistrz siedział przy herbacie, paląc wonny turecki tytoń z przepysznej stambulki; wschodni jedwabny *chałat* [1]) uwydatniał dokładnie herkulesowe kształty tego syna Marsa. Był sam w izbie, zadumany jakiś i znużony. Zobaczywszy Hnata koło drzwi, powstał leniwo z fotelu i zbliżywszy się doń zapytał:

— Czego chcesz?

Hnat milczał zrazu, odwaga opuściła go była zupełnie. Oficer przypatrywał mu się ciekawie chwil kilka, a potem niby przypomniawszy coś sobie, krzyknął doń odrazu gniewnym głosem:

— Ah, to ty łotrze tutejszy gospodarz; to o tobie meldował mi nocny szyldwach, że brewerye po nocach wyrabiasz... Chcesz, żebym cię kazał w kajdany okuć?... Chcesz?

— *Wasze wysokorodie!* — wyszeptał przestraszony Hnat drżącym głosem. — Ja nic... Ja tak sobie!... Przyszedłem tylko zapytać jaśnie pana: czy to prawda — czy to prawda, co ludzie mówią?

— Cóż ludzie mówią? — huknął groźnie oficer. — Powiedz tu zaraz, co ludzie mówią? A po nocach nie budź, bo...

— Co mówią?... co mówią? — bełkotał zdetonowany chłop. — Mówią paskudnie... Mówią, że moja żona — że Jeryna po nocach do was chodzi — że ona jest wasza gamratka... Tak oni mówią... Czy to prawda?

Rotmistrz słuchając tych urywanych, zwięzłości pozbawionych słów chłopa, rozśmiał się cynicznie:

---

[1]) *chałat*, rodzaj wschodniego szlafroku.

— Cha! cha! cha!... Oh, głupi chłopie — zawołał — toś ty o tem nie wiedział!... Czyż nie wiedziałeś tego także, że już przez dwa miesiące karmię cię, poję, odziewam — za twoją żonę... To ona ci tego nie mówiła... Ha! ha! ha! Głupi chłop! Czyż krzywda ci się jaka dzieje? Ja... ja płacę dobrze, po książęcemu!

Hnat skamieniał w obec tych bezczelnych słów; z takim bezwstydem nie spotkał się nigdy w życiu, oślepiał go on, ubezwładniał wprost fizycznie. W miarę jednak cynicznych słów oficera, dawna wściekłość zaczęła go ogarniać; cały tłumiony dotychczas gniew, wściekłość ujarzmiona strachem, zazdrość gryząca pierś i serce wybuchnęły razem; buta i zuchwałość dawnego paniczowskiego faworyta odżyły. Wyprostował się, jak mógł i patrząc hardo na swego śmiertelnego wroga, zawołał głosem tak strasznym, że aż szkło w oknach zadygotało:

— Twoich pieniędzy nie brałem!... Pluć mi na twoje pieniądze!... Ty złodziej!... Po to was tu car, ojciec miłościwy posyła, żebyście nam żony kradli! A gdzie zakon?!... A gdzie prawo?!... Sprawiedliwość gdzie?!... Ja pluję na ciebie psi synu!

Teraz przyszła kolej osłupienia na rotmistrza; w długich swoich pochodach, po całej, jak świat rozległej imperyi, na leżach zimowych w najdzikszych guberniach, miał stosunki bez przestanku z chłopami, takiego jednak nie spotkał nigdy.

Chłop tymczasem powtarzał jak opętany:

— Pluję na ciebie, pluję! Ty złodziej, złodziej!

Twarz rozwścieczonego rotmistrza mieniła się dziwnie, strasznie; żyły mu na skroniach nabrzmiały jak postronki, oczy płonęły, usta drżały jak w gorączce, lecz nie był w stanie nic wymówić, prócz urywanego.

— *Won! won!*

— Ty sam *won!* — wrzasnął Hnat i rzucił się nań z ostrym błyszczącym nożem, mierząc w pierś szeroką.

Tu zaszła nagle zmiana w wyrazie twarzy rotmistrza; usta mu drżeć przestały, oczy zamigotały jak u żbika, jednym skokiem, któregoby mu i tygrys był pozazdrościł, znalazł się

tuż przy chłopie i schwyciwszy go za rękę, ścisnął tak silnie, że wyostrzony nóż z głuchym brzękiem upadł na dębową podłogę. W temże samem mgnieniu oka drugą ręką uderzył osłupiałego Hnata w twarz tak silnie, że ten aż zatoczył się. Byłby runął o ziemię, ale wnet dłoń rotmistrza schwyciła go za piersi; potrząsł nim tak silnie, że aż Hnatowi oczy na wierzch wyszły z powiek, a potem rzucił nim jak wiązką słomy o ziemię.

Dzika wściekłość opanowała zwycięzcę; gniótł powalonego chłopa nogami, szarpał ostrogami, wydając przytem tylko jakieś ponure, niepowiązane dźwięki. Azyatycka, zwierzęca natura ozwała się w tym świetnym oficerze i starła mu z oblicza wszelkie ślady człowieczeństwa, cywilizacyi; Mogoł rozjuszony pastwił się nad pokonanym Europejczykiem. Małe, czarne oczy zwęziły się jeszcze bardziej i lśniły jak u rysia; z ust pięknych i delikatnych biała piana leciała kawałami — był pijany okrucieństwem. Wreszcie popchnąwszy nogami skatowanego, omdlałego chłopa do progu, drzwi otworzył i wyrzuciwszy bezwładne ciało do sieni, zawołał do szyldwacha:

— *Hej wistawoj!* [1]) Patrz na tego chłopa, żebym go już nigdy, nigdy nie zobaczył w życiu. Jeden drugiemu przy zmianie wart niech ten rozkaz powtarza. Rozumiesz!...

I zamknął z trzaskiem drzwi izby.

IX.

Zbity, obkrwawiony Hnat leżał w sieni martwy prawie.

Kilkanaście minut potrzebowali Andryj i kilku litościwszych żołnierzy na to, ażeby się zdecydować zabrać go z ziemi i zanieść do przeciwległego alkierza. Tam stary jego swat własnoręcznie poobmywał go z broczącej krwi i ułożył na łóżku. Chory nie przemówił jednak do nikogo ani słowa. Na troskliwe zapytania Andryja, jak się czuje, nawet gestem nie chciał odpowiadać. Odwrócił się twarzą do ściany i udawał że śpi.

---

[1]) *wistawoj,* ordynans.

Dłużej niż godzinę leżał w tym stanie. Stary usiadł obok na ławie i czuwał nad nim. Wreszcie wydało się Andruchowi, że nieszczęsny usnął naprawdę; powstał więc i udał się do wsi, dowiedzieć się: co się stało z Jeryną?

Wnet jednak po wyjściu Andrucha, Hnat podniósł się, usiadł na łóżku i począł się trwożliwie rozglądać po izbie; z wyraźnym niepokojem nadsłuchiwał, co się w sieniach dzieje. Po kilku chwilach z trudnością powstał z posłania i niepewnemi krokami obszedł kilka razy niewielką izbę. Ogień w oczach był mu już przygasł zupełnie, a wyraz niewolniczej rezygnacyi i podłego poddania się losowi zapanował bezspornie na zezwierzęconej pokaleczonej twarzy. Oglądając się ostrożnie na wszystkie strony, podniósł leżącą pod stołem siekierę i odbił nią wieko od żoninej skrzyni. Na samym wierzchu ujrzał tam blaszane pudełko, pełne rozmaitych pieniędzy; na samym wierzchu błyszczała duża sztuka złota — funt turecki, pod nim leżało kilkanaście banknotów rozmaitej wartości, a na samym spodzie kilkadziesiąt srebrnych monet, mniejszych i większych. Hnat nasamprzód wziął do ręki złotą monetę, przypatrywał się jej jakiś czas, uśmiechając się przytem szydersko, wreszcie schował ją do kieszeni w hajdawerach, i resztę pieniędzy wrzucił niedbale do chusteczki i wetknął je za *pazuchę*. Zrobiwszy to najspokojniej, wieko od skrzyni przymknął; odział się w nową opończę i wyszedłszy z alkierza, drzwi na kłódkę zamknął.

Z pokorną miną przeszedł obok przypatrujących mu się z pewnem politowaniem żołnierzy i dopiero znalazłszy się na ulicy, nasadził czapkę baranią na bakier, przybrał zawadyacką minę i począł nucić jakąś sprośną, pijacką piosnkę.

Zamieć na dobre już zaczynała szaleć; srożąc się zawzięcie, jakby pragnęła odrazu przyzwyczaić ludzi do nadchodzącej ostrej zimy. Na grobli spotkał Hnat kilkunastu parobków, którzy korzystając ze świątecznego dnia, zebrali się tłumnie na grobli i oczekując na jakąś »okazyą«, zabawiali się tymczasem płoszeniem, tłumnie na świeżo zamarzniętym stawie rozsiadających się kawek i gawronów. Czarne, żałobne ptactwo,

płoszone rzucanemi śnieżkami, zrywało się kracząc złowrogo, a po chwili obsiadało znów gromadnie sąsiedni kawałek cienkiego lodu. Hnat przechodząc obok tej, tak wesoło zabawiającej się grupy, wziął w dłoń zwitek banknotów i pokazując go parobkom, wesołym głosem zawołał:

— Hej chłopcy, za mną!... Po co tam macie wrony straszyć! Dajcie im spokój, one za wojskiem z za Dunaju przyleciały, one *kazionne*, carskie, święte... Poniechajcie je... Chodźcie za mną!

Parobcy śmiać się zaczęli, kilku z nich zapytało ironicznie:

— Nie wiedzieć po co mamy iść za tobą? wódki nie zapłacisz?

Hnat jeszcze bardziej demonstracyjnie począł wymachiwać zwitkiem banknotów i wołał:

— Chodźcie, sprawię wam poczęstunek nie lada. Patrzcie, mam pieniędzy huk... Chodźcie do Abramka.

Nie potrzeba było powtarzać jeszcze raz propozycyi; parobcy ujrzawszy w ręku Hnata prawdziwe pieniądze, pociągnęli za nim całą gromadą. Tłum rósł z każdą chwilą, bo kogo spotkali po drodze, to Hnat zapraszał z sobą do Abramka. Jeden z weselszych zaczął śpiewać, za nim ryknęła cała kupa i tak głośno i buńczuczno doszli do karczmy.

We drzwi karczmy wszedł pierwszy Hnat i pokazawszy żydowi trzymany w dłoni zwitek banknotów, zawołał doń rozkazująco:

— Żydzie, dawaj nam wódki!... Dawaj dla wszystkich odrazu, całą baryłkę na stół staw!... Mam czem płacić! Ho, mam!... Oh! ja szczęśliwy człowiek, jak ptak boży, ani sieję, ani orzę, a pieniądze mam... *Hołubka* moja, *zazula* stara się na mnie, żeby było na wódkę... i dla mnie... i dla was... żydzie lej!

Abramko ujrzawszy tak wiele pieniędzy u Hnata, zwijał się koło niego na palcach; wszystkie rozkazy Hnatowe były w ten moment spełnione, za chwilę baryłka z wódką stała na stole, a duże *kruczkowe* kieliszki, wychylane duszkiem, poszły kolejką.

Pijatyka odrazu rozpoczęła się straszna. Żyd tylko ręce zacierał, bo z doświadczenia wiedział, że gdy się wszyscy popiją, to z łatwością zagarnie wszystkie pieniądze, jakie miał Hnat przy sobie, a wprawnem okiem porachował odrazu, że musiało ich być kilkadziesiąt rubli.

Hnat wypił jednę, drugą lampkę milcząc; dopiero napełniwszy trzecią, podniósł ją wysoko w górę i śmiejąc się sucho, nerwowo, przemówił:

— Hej! Chłopcy wypijmy za zdrowie naszego *komandira*.

Wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem i wołali:

— Niech nam żyje *komandir*, przyjaciel Hnata!...

— Cicho, czekajcie! — wrzasnął Hnat tak głośno, że wszystkich przygłuszył. — A wiecie wy, jaki on *maładiec!*... Mocny nasz car, kiedy ma takich *oficyrów*... Chciałem się ja z wrażym synem *rotmistrem* popróbować, a on mnie jak wróbla podniósł i do ziemi rzucił.

— A myż ci nie mówili, żebyś go poniechał, nie zaczepiał — wołali chórem parobcy.

— Niech czart sam się z nim próbuje! — bełkotał coraz niewyraźniej pijany już Hnat. — Oh, ja z nim wojować nie chcę... Niech bierze sobie żonę, czart z nim... Drugąbym mu jeszcze dał, żebym miał... Niechby tylko *wrażyj* syn pieniędzy nie żałował... To jego prawo; on *gosudarski* [1]) dowódzca, a my *raby* [2]) i psy jego.

I śmiał się dziko, złowrogo, a za nim pijani jak noc chłopi. Przestał mówić, wszyscy naraz gwarzyć i radzić mu poczęli:

— Przestrzegaliśmy cię, przestrzegali, *komandira* nie zaczepiaj.

— Co ci tam żona, chłopu nie pierwszyzna...

— Tfu! także jest czego żałować! Ot za to mało ci kości nie połamał...

---

[1]) *gosudarski*, cesarski.

[2]) *rab*, sługa, niewolnik.

— Tu nie ma nic dziwnego — wołał głośniej od innych jakiś filozof-psycholog wiejski — że Jeryna woli jego niż ciebie... Abo ty nie wiesz, co babie potrzeba?... Ty mały z rodu, a pochyliłeś się jeszcze od roboty i wódki, a on rosły jak topola w pańskim sadzie; twarz ma białą i rumianą, a oczy czarne, sokole... One wszystkie za tem giną.

— Niech giną, niech giną! — szeptał sam do siebie pijany już Hnat — mnie już wszystko jedno... Żeby mi tylko grosz jaki za to dał... Widać tak już sądzone było; nie mnie na nim swej krzywdy dochodzić... Niech nas Bóg sądzi!

Głowę opuszczał coraz niżej; czuł, że obłęd jakiś chwytać go zaczyna, że w oczach mu się przedmioty dwoiły, troiły; myślał, że na to jedyne lekarstwo — wódka.

— Hej, żydzie dajno *haraku!* — zawołał bezsilnym już głosem i wychylił duszkiem spory kielich dziwnej mieszaniny czerwonawego koloru.

Pili i gwarzyli aż do późnego wieczora; niektórzy się kłócić zaczęli, inni mniej nałogowi do domu uciekali przed zupełną utratą przytomności. Abramko wyprawiał wszystkich co rychlej; chodziło mu bowiem o zabranie pieniędzy Hnatowi. Gdy mrok zapanował, pozostał tylko sam Hnat w szynkowej izbie. Abramko z nim w bardzo krótki sposób zakończył rachunki, poprostu zabrał cały plik banknotów i schował go z najzimniejszą krwią do szuflady za szynkfasem. Pijanego chłopa odsunął pod ławę, a sam zaczął szeptać szabasowe modlitwy.

Już było zupełnie ciemno, tylko nędzna łojówka rzucała skąpe i przyćmione światło na brudną szynkownią, gdy Hnat powrócił do jakiejtakiej świadomości. Usiadł na ziemi i począł się dotykać rękoma głowy i nóg; czuł, że coś nadzwyczajnego się z nim dzieje. Nagle obłąkane oczy w słup mu stanęły, piana ukazała mu się na ustach, a rękoma począł wykonywać jakieś dziwaczne ruchy, niby odpychał się przed jakiemiś widziadłami, które go ze wszech stron napastowały. Wreszcie drżąc całem ciałem niby w napadzie wielkiej choroby i dzwo-

niąc zębami, począł wskazywać w jeden kąt izby po za szynkwasem, przytem wrzeszczał przeraźliwie:

— Hej, ratujcie, dobrzy ludzie, ratujcie!... Patrzcie, czart po moją duszę przyszedł... Ot, tam, tam... Patrzcie, ogonem wywija, język czerwony wywiesił... Ratujcie, ratujcie!

Żyd przerażony podbiegł do niego, z ziemi go podniósł i popychając ku drzwiom przekonywująco mówił:

— Co ci się stało, pijaku? Czego wrzeszczysz, gałganie? Tu niema żadnego djabła, to moja córka Hesia tam siedzi. Idź! Idź sobie do domu, dość tego pijaństwa, a to jeszcze się szelma na śmierć zaleje i śledztwo mi sprowadzi.

Hnat zrazu opierał się bezsilnie, wreszcie rzekł przyzwalająco:

— Pójdę już, pójdę, do żony, do hołubki, ale zmiłuj się Abramku, daj mi jeszcze kieliszek wódki, bo tak mi w gardle zaschło, że do domu nie dojdę.

I trzymał się jego ręki, patrząc wokoło błędnym wzrokiem.

Żyd skinął na żonę, ta podała chłopu spory kielich spirytusu. W chwili, gdy go Hnat wychylił, Abramko przy pomocy dwóch żydów furmanów, którzy na nocleg zajechali, wypchnął Hnata na ulicę i drzwi za nim mocno zatarasował.

X.

Wypchnięty z karczmy Hnat, zatoczył się i upadł w śnieżną zaspę.

Zamieć dochodziła już do zenitu swej srogości; świst wiatru północnego łączył się z przeraźliwym brzękiem drutów telegraficznych i sprawiał straszną — piekielną muzykę.

Zimno okrutne przejęło odrazu pijanego chłopa i obudziło w nim instynkt zachowawczy; powstał, otulił się opończą i zaczął stawiać niepewne, chwiejne kroki. Czuł, że skryć się musi, nie był jednak w stanie zebrać zmysłów o tyle, ażeby przebić się przez wygon do grobli i pierwszych chat; zamiast

skierować się przeciw wiatru ku wsi, zwrócił się z wiatrem i ruszył przez zawiany śniegiem kołowrot — w pole. Szedł tak kilka minut, nie zdając sobie z tego sprawy — dokąd dąży; postępował od słupa telegraficznego — do słupa. Wicher i zimno straszliwe przyprowadzały go coraz bardziej do przytomności; nagle zapakowawszy się w zaspę, zszedł z traktu i stracił z oczu przewodnie słupy. Brnął więc jakiś czas na oślep w śniegu, aż znalazł drobny nieznaczny śladzik, którym dzień przedtem dworscy parobcy wozili nawóz w pole. Postępując tą drożyną, doszedł wkrótce do miejsca, gdzie ona znikała zupełnie. Tu ogarnął go strach śmiertelny; zdolność oryentowania się opuściła go całkiem; zaczął kręcić się w kółko, znajdując zawsze swe własne ślady, które brał za odszukaną drogę do wsi.

Ostatnim wysiłkiem woli wyszedł wreszcie z zaczarowanego, błędnego koła, zrobił kilkanaście kroków wprost przed siebie, lecz zawsze z wiatrem, nagle potknął się o coś twardego i runął całym ciężarem bezwładnego, osłabionego ciała na spotkany przedmiot. Była to bryła zamarzniętego nawozu w pole wywieziona. Okrutne zimno w połączeniu z przestrachem panicznym i resztkami odurzenia alkoholicznego odbierały mu władzę w członkach, tłumiły przytomność. Nawet nie próbował iść dalej.

Rozciągnięty na bryle pokrytej śniegiem, otulił się starannie opończą i patrzył bezdusznemi, szklistemi oczyma, w przestwór, w dal. Wicher porywał całe tumany sypkiego, puszystego śniegu i gnał naprzód, kłębił dziwacznie, rozrywał i miotał niemi na wszystkie strony. Śnieg pędzony wichrem zatrzymywał się na każdym, zaporę mu tworzącym, przedmiocie. Wkrótce też cała niższa część ciała nieszczęsnego Hnata była pokryta warstwą drobnego puszystego śniegu.

Otulał się on coraz staranniej i patrzał przed siebie, zwróciwszy oczy na północ.

Czasami, przed krótką chwilkę spokoju, zamigotały mu gwiazdy z po za białego tumanu, bladę jednak dziś one były,

tak smutnie i trupio patrzyły. Wnet jednak znowu huragan się wzmagał piekielny, wyjący, ohydny. Krzepnącego już zwolna Hnata halucynacye jakieś opanowywać zaczynały; chorobliwa wyobraźnia dzikie widziadła mu przed oczy podsuwała. Zdawało mu się, że jakiś olbrzym północny na tumanie tym zbliża się powietrzem ku niemu, z długą mleczną brodą, w białej futrzanej czapce, a na ramieniu tego olbrzyma zawisła piękna niewiasta. Zerwał się — popatrzył — to ona, to Jeryna, jego niewierna żona w objęciach białego cara...

Tuman przeszedł, lecz pozostawił w stygnącym mózgu przypomnienie — hańby, wstydu i niedoli. Bolesne to wrażenie, niby prąd galwaniczny, wstrząsnęło nim na chwilę; chciał iść znowu, ratować się — sił mu zabrakło — upadł powtórnie.

Oddychał coraz trudniej; głowę opuścił. Wspomnienia całą gromadą cisnęły mu się do mózgu. Szeptał sam do siebie:

— Panicza nie chciała... Sam słyszałem... Mówiła, że mnie jednego miłuje... A teraz... Co?

I wydostał, ostatnim wysiłkiem, sztukę złota, wybitą nad Bosforem; została mu ona, bo żyd jej nie był znalazł. Bezsilną ręką podniósł błyszczącą, nową monetę do zamglonych oczu, przypatrywał się jej żałośnie i szeptał dalej:

— A teraz, teraz, za tę blaszkę świecącą mnie zdradziła!... Na hańbę wydała!... Panicza nie chciała, a dziś do *oficyra* chodzi.

Głos mu zamierał już zupełnie.

Nagle usłyszał straszliwy szum i gwizd i zgrzyt jakiś odległy. I wydało się biedakowi, że słyszy tentent podków, brzęk szabel i dźwięk ostróg, że cała masa piekielnej jakiejś kawaleryi — jego wrogów — sadzi nań ze wściekłym impetem.

Szał przedśmiertny go opanował; cała groza własnej krzywdy stanęła mu znowu jasno przed oczyma — zapragnął zemsty... Zacisnął sztukę złota w pięści i wzniósł ją wysoko ponad głowę. Drgnął konwulsyjnie i podniósł się jeszcze raz całem ciałem z białego, zimnego całunu. Stawał do walki śmiertelnej, ze słowem groźby, z przekleństwem na ustach.

— Chodźcie tu, chodźcie! — wołał — nie boję się was. Krwi się waszej napiję, a potem zginę. — Lecz na dusze wasze, na dusze dzieci waszych, śmierć i krzywda moja spadnie... Bądźcie przeklęci!... Przepadnijcie!... Na *pohybel* wam złodziejom, podlcom, rabusiom!... Żeby ziemia święta gorzała pod wami!

I runął po ostatnich słowach.

Tuman przeszedł po nad nim, a konającemu się zdawało, że ginie tratowany końmi, kłuty lancami, sieczony szablami. Konwulsyjnie cisnął złoto w dłoni, w tej błogiej ułudzie, że dusi wroga śmiertelnego za gardło.

Runął i skonał.

A tylko w ostatniej już chwili żywota, zdało mu się, że na wyiskrzonym dziwnie firmamencie, anielska, świetlana postać się zjawiła, odziana w brylantową, gwiaździstą szatę. Postać ta wyciągnęła doń rękę, chcąc go podnieść ku sobie. Było to wspomnienie szczęśliwego dzieciństwa... To świętej pamięci dziedziczka, opiekunka młodości, zjawiła się na niebie w ostatniej chwili, by sierocie śmierć osłodzić.

Tuman przeszedł i obsypał trupa cichym, białym, śnieżnym całunem. Skonał — tylko dłoń zacisnęła silniej błyszczące złoto — zapłatę hańby.

Tuman przeszedł i osłodził boleść chłopa — na wieki.

*

* *

Po nocy strasznej zajaśniał pogodny, wspaniały poranek. Mróz wzmagał się z każdą chwilą. Purpurowe, skostniałe, wszelkiego ciepła pozbawione słońce zaiskrzyło się na szafirowym, czystym nieboskłonie, łamiące swe bezsilne, martwe promienie w kryształach świeżo spadłego śniegu.

Szerokie pola, grubą warstwą tego białego puchu okryte, nie przedstawiały żadnego oporu dla strudzonego oka. Za wsią tylko, opodal od drogi, śnieg pookrywał byl szeregi bryl na-

wozu, zmieniając to pole w jakiś fantastyczny cmentarz z śnieżnych mogił złożony.

I zaiste był to cmentarz prawdziwy, bo z mogiły jednej sterczała martwa, skostniała, zaciśnięta pięść, wzniesiona do góry, na północ zwrócona, niby grożąca komuś zemstą... Z pomiędzy zaciśniętych kurczowo palców świeciło złoto — wązki rąbek funta tureckiego.

Nagle ciszę grobową przerwano. Zaszumiało coś w powietrzu; szelest jakiś złowrogi rozległ się po przestworzu. To kruk czarny, ponury, z południa nadleciał żeru szukać, wahał się w powietrzu. Wreszcie ujrzał sterczącą rękę, a w niej blask metalu. Zawisł nad nią w błękicie i zwolna ku niej spuszczać się zaczął.

Usiadł na śniegu obok i zaczął potężnym dzióbem rozrywać skrzepłe palce. Nie mógł, a pragnął je posiąść, bo poznał to złoto, bo widział go już raz, ale hen tam daleko na Bałkańskich szczytach, tamże było ono w dłoni trupa, lecz ludzie chciwi prędzej je wydarli. Pracował teraz zażarcie, lecz napróżno — skostniała, zamarzła dłoń, silnie dzierżyła — cenę swej hańby, przyczynę śmierci.

Uniósł się więc gniewem ptak złowrogi. Pochylił głowę na piersi i zakrakał żałobnie, grobowo.

Głos ptaka rozchodził się daleko po białych równinach; odbił się o rozśnieżone dachy chat Hołczynieckich, a później wzniósł się w górę i rozlegał się kregami hen daleko od Karpat wysokich, po Dniepr szeroki. Płynął po nad mogiły liczne i płynął żałośnie.

I mogło się było zdawać, że rozmaszały przekleństwa zmarłego chłopa, że unosząca się po nad trupem dusza przemówiła głosem żałobnego ptaka.

Kto i kiedy głos ten usłyszy?

W Oleksińcu polnym, w Sierpniu 1888 r.

PRZY OGNISKU MYŚLIWSKIEM.

BIBLIOTEKA
Nr 244.
na KALINOWSZCZYZNIE.

Stefanowi Niementowskiemu

swemu serdecznemu przyjacielowi

poświęca

Autor.

Wspinaliśmy się coraz wyżej... Przed sobą widziałem stromą ścieżynę, pnącą się pomiędzy niebotycznemi świerkami, hen w górę, aż ku szmaragdowo-zielonym pastwiskom i połoninom; u ich kresu rysowały się wyraźnie kontury małej, przypartej do skały »kołyby« — pasterskiego schroniska; — ponad kołybą piętrzył się kamienisty, karłowatym jałowcem — tu i owdzie — porosły szczyt Rozticzki.

Tchu w piersiach zaczynało mi brakować; na plecach, na piersiach, na ramionach uczuwałem niby tysiące ukłuć szpilką; pot spływał mi z czoła obfitemi strumieniami. Stanąłem na chwilę, zwróciwszy się w stronę, zkąd przychodziliśmy. Oparłszy się na lufie strzelby, skierowałem wzrok w dół, lecz zrazu nic nie zdołałem zobaczyć, oddychałem tylko pospiesznie, gwałtownie, tak jak oddycha koń po forsownym wyścigu, lub chart po schwytaniu szybkonogiego zająca; dostrzegane przedmioty mieniły mi się w oczach, splatały w jakiś chaos dziwny, nieokreślony.

Gdy przyszedłem trochę do siebie, gdy oddech trochę mi się uspokoił, a oczy ze strumieni potu otarłem, ujrzałem tak wspaniały widok, że aż serce na chwilę bić przestało, a wszystkie władze duszy zmieniły się w oka mgnieniu w jedno uczucie —- wielkiego podziwu dla wspaniałego obrazu przyrody, dla cudownego dzieła Stwórcy.

U stóp naszych, gdzieś tam tysiąc metrów pod nami, wiła się błękitna wstęga Czeremoszu; strumień górski, połamany w zygzaki, przedzierał się pomiędzy złomy gór, podmywał wąskie góralskie ogrody, wciskał się prawie aż do progów huculskich chat. Niewola ta gniewała go widocznie, bo aż do moich uszu dochodził przyciszony, ale gniewny, zgryźliwy szum rzecznej fali; burzyła się tam rzeka — skarżyła na przymus. Po za strumieniem zielone lasy bukowe, pomiędzy niemi polany, a na nich rzadkie chaty huculskie, jakby gniazda orle do skały przylepione. Powyżej jodłowe i świerkowe bory, czarne i straszne, jakieś martwe, złowieszcze. A po nad niemi szmaragdowe hale, pełne owiec, pasterzy, pełne życia poetyczną legendą ludową owianego, ciągnęły się aż do stóp szarych, skalistych szczytów *Popa Iwana* i *Smotreża*, które ozłocone jarkiemi, słonecznemi promieniami, zdawały się mienić kameleonowemi barwy.

Karawana nasza, którą wyprzedziłem o jakie dwieście metrów, jak pstra gąsienica wiła się po krętej ścieżynie. Moi myśliwscy towarzysze, dla uniknięcia zmęczenia, jechali na małych huculskich konikach, prowadzonych przez właścicieli, którzy byli odziani w różnobarwne, jaskrawe stroje; błękitne, białe i czerwone sakwy na jucznych koniach widniały zdala na zielonem tle świerkowego boru; strzelcy huculscy przeznaczeni do prowadzenia obławy, przystrojeni byli w fantazyjne kapelusze, ozdobione obfitemi pióropuszami; gwar mowy ludzkiej, rżenie koni, szczekanie i skowyt psi zlewały się razem w dziwny jakiś, trochę dziki dźwięk, który setnem echem rozlegał się po cichej zazwyczaj puszczy.

Karawana zbliżała się coraz więcej; patrząc na nią, stałem zadumany, gdy nagle mój strzelec Mykoła, huculz Żabiego, najęty na cały czas trwania wyprawy, dotknął zlekka mego ramienia i rzekł:

— W drogę panie! Do kołyby jeszcze dość daleko, zresztą to nie dobrze tak stać.

Ruszyliśmy dalej. Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma; olbrzymie kłody świerkowe przez wiatr powalone leżały obok, ręką ludzką z drogi usunięte. Pod nogami miałem drobny żwir granitowy, ostry niezmiernie i nad wyraz dotkliwy. Promienie skłaniającego się już zlekka ku zachodowi słońca, jakby na złość zionęły dziwnie gorącym żarem; czułem, że siły zupełnie mię już opuszczają; oddałem naprzód Mykole strzelbę, później kordelas, manierkę, ładownicę, binokle. Mykoła brał te przedmioty z moich rąk i z uśmiechem czepiał je do siodła prowadzonego w ręku konika, którego pierwotnem przeznaczeniem było wywieźć mię na szczyt góry.

— Nic z tego nie będzie! — rzekł powoli z namysłem, w chwili, gdy mu rzuciłem moją kurtkę myśliwską. — Niech pan siada na konia, inaczej nie dojedziemy — pan nieprzyzwyczajony do chodzenia po górach.

Słowa starego hucuła podziałały na mnie jak ostroga na wyścigowego konia, ubodły mię do żywego; wstyd mi się zrobiło kolegów, z których naśmiewałem się niedawno i nazywałem ich niewieściuchami za to, że nie decydowali wydrapać się o własnych siłach. Ze zdwojoną energią ruszyłem naprzód, lecz uszedłszy ze dwieście kroków, straciłem zupełnie oddech i ... upadłem na ziemię. Stary poskoczył ku mnie, gwałtownie wlał mi z manierki w usta spory haust wódki, okrył burką i przemocą posadził na konia, a idąc obok, mówił spokojnym, melodyjnym głosem:

— Wy panowie z dolin nie wiecie co to góry. Tu żartować nie można; na zgrzanego człowieka powieje zimny górski wiatr i już po paniczu... Okryj się pan burką lepiej... Tak, tak — zrzędził dalej. — Duszę macie z siarki, myślą tobyście jak orły latali, jak dzikie kozy skakali, niedźwiedzia byście palcami zdusili, a jak przyjdzie do dzieła, to siły was opuszczają i robicie się jak małe dzieci.

Konik raźno przebierał nogami, tylko żwir chrupotał mu pod podkowami; góral szedł obok, oddychając tak swobodnie, jakby się przechadzał po miejskich bulwarach. I ja

wreszcie odzyskałem znowu oddech. Nie próbowałem już więcej pieszej wędrówki, usadowiłem się — o ile to było możliwe — wygodnie na drewnianej terlicy i zacząłem rozmowę z góralem. Kołyba była od nas nie dalej już jak o sto kroków, po nad nią wznosił się szczyt kamienisty. Patrząc nań, uczułem nagle nieprzepartą chęć znalezienia się natychmiast na nim i spojrzenia z niego w dal na odległe a sercu drogie równiny.

— Jedźmy prosto na *gruń* [1]) — zawołałem na Mykołę — tamci dadzą sobie sami radę, wieczerzę przygotują.

— Na samym gruniu bardzo zimno, wierzchnie wiatry wieją, żeby wam co panie nie zaszkodziło.

— Nie bój się, mam burkę i manierkę, nie zamarzniemy.

W dziesięć minut potem byłem na szczycie, tysiąc sześćset metrów po nad poziomem Czarnego morza. Spojrzałem na wschód.

Otworzył się przed mojemi oczami potężny widok, niby jakiś ocean zmrożony szalonym podmuchem północnego wichru. Szczyty i szczyty w dal, w nieskończoność, jedne za drugiemi ciągnące się i opadające coraz to niżej, niżej... aż ku równinom dalekim, nieprzystępnym dla oka. A całe to morze gór, skał, borów i wód owiane mgłą jakąś tajemniczą, poetyczną, zbłękitniałe od cienia rzuconego przez wyższe pasma, wydawało się poważne i uroczyste.

Zlazłem z konia i usiadłszy na złomie zwietrzałej skały, patrzyłem przed siebie. Zwolna dziwna jakaś zaduma zaczęła mię opanowywać i wzrok mój ślizgając się tylko po owem blado-sinawem morzu mgły, sięgał coraz dalej, dalej, gdzieś aż po za spienione nurty Prutu, po za mętne fale Dniestru, gdzieś aż na równiny podolskie i dostrzegał tam biały dwór pod słomianym dachem i stare, odwieczne drzewa wkoło...

— Panie, schodźmy na dół do kołyby! — przerwał moje marzenia Mykoła. — Wasyl już ognisko rozpalił, a panowie proszą na wódkę i zakąskę.

---

[1]) *gruń* = szczyt.

Zerwałem się, gwałtem przeciąłem marzenia i pospieszyłem — na wódkę i zakąskę. Schodziłem w dół dość spiesznie, tak, że stary huculi wraz z koniem ledwie zdążyć mógł za mną. Słyszałem, jak za memi plecami rozprawiał widocznie sam z sobą, na temat: »o wiele to łatwiej schodzić z góry, niż drapać się na szczyty.« Góry były teraz lekko zamglone, słońce zaszło już było po za grzbiet *Czarnohory* i zdawało mi się, że dostrzegłem daleko bladą błyskawicę na południu.

— Panie! — doszedł w tej chwili moich uszu głos Mykoły. — A widzieliście kiedy burzę w górach?

— Nie! — odparłem zwalniając kroku i dając tym sposobem Mykole sposobność zrównania się ze mną. — Nie widziałem!

— To dziś zobaczycie; — odparł, przynaglając konia do szybszego stępa. — Na węgierskiej stronie błyska, *Pop-Iwan* w mgły się odział, a duszno tak, że koń bez wagi stępo idąc potnieje... Będzie burza! Milnerowy niedźwiadek i pies cieszą się już... i na połoninie granicznej, tam pomiędzy Pop-Iwanem a Howerlą skoki wyprawiają... To dla nich raj, burza albo zawierucha.

Mykoła wbrew huculskiemu zwyczajowi był rozmowny bardzo i pogawędkę lubił, obecnie spieszyłem się jednak do towarzyszy i nie zapytałem o znaczenie: Milnerowego niedźwiadka i psa... Zdaleka dochodził mię już głos naszego malarza, który dla robienia szkiców przyłączył się do naszej myśliwskiej wyprawy; w rzeczy samej ani malował, ani też nie splamił artystycznych rąk niewinnie przelaną krwią zwierzyny, wódkę tylko pił za trzech, mamałygę i bryndzę jadł jak Wołoch i umizgał się do góralek, prawiąc im o cudnym wyrazie ich melancholijnych oczu. Teraz stał z rozkrzyżowanemi rękoma; pstry jego szkocki szal, wiatrem rozwiany, unosił się po nad nim jak chorągiew: w jednej ręce trzymał potężną obozową manierkę, a w drugiej kieliszek.

— Spiesz dziecię, nuż! — wołał do mnie — bo Beotowie owi, których z sobą wozisz, wypiją ci wszystek spirytus, a bez spirytusu *vulgo* ducha, czem twe utwory będą?

Za chwilę byłem już obok nieocenionego koleżki. Wypiłem nalany jego ręką spory kielich wódki; dobrze mi on zrobił, uczułem jakieś ciepło rozpływające się po wszystkich żyłach... Tęskne marzenia zupełnie odleciały.

Spojrzałem wkoło. Towarzysze moi, zapamiętali myśliwi, siedzieli na rozesłanym węgierskim kudłatym kocu, spierając się zajadle o to: czy będzie jutro niedźwiedź? czy nie? — Nowak, leśniczy ze Skarbkowskich lasów, który z grzeczności przyłączył się do nas, komenderował huculami, rozniecającymi ogromne ognisko; psy upięte do żerdzi przy zagrodach dla bydła wyły i skomlały, dopraszając się pożywienia; krowy ryczały, owce beczały, a gospodarz kołyby wraz z pomocnikami stali milcząc i przypatrując się z pewnym podziwem całemu naszemu licznemu taborowi.

— Spieszcie się z wieczerzą — ozwał się, nadchodząc ze mną Mykoła. — Na węgierskiej stronie po nad *klauzami* błyska! będzie burza. — A zwracając się do *gazdy* zapytał go: — Bracie Juryj, czy jest u was miejsce w kołybie, ażeby przenocować trzech panów, malarza i pana Nowaka?

Mykoła nie chciał nigdy naszego artysty do panów zaliczać; na wszytkie moje tłumaczenia odpowiadał mi lakonicznie:

— *Naj pan ne durat!... Bohomaznyk taj tylko!* Do sojki spudłował, tylko za mołodycami ugania!...

Obecnie na twierdzącą odpowiedź gazdy, skinął na dwóch podrostków, których przeznaczeniem było psy prowadzić, i wraz z nimi zabrał się do znoszenia juków w głąb kołyby, przestrzegając ustawicznie: »by z wieczerzą się spieszyli, bo burzy tylko co nie widać.«

My wszyscy usiedliśmy wygodnie wkoło ogniska przez Nowaka roznieconego i zajadaliśmy ogromny udziec barani, używając w tym celu myśliwskich noży i dopomagając sobie palcami.

— Prędzej Bóg stworzył palce niż widelce! — wygłosił sentencyonalnie Nowak, pakując do ust duży kawał baraniny.

— Widzę! widzę! — przerwał mu nasz artysta — że nie dalekoście wy tu wszyscy w tych przeklętych górach odbiegli od tej epoki świata, w której Pan Bóg ludzi stworzył... Zwyczaje tu wasze i cywilizacya i inteligencya poszczególnych jednostek...

— Co pan przez to rozumiesz? — zawołał poczciwy Nowaczysko, rumieniąc się nagle i prawie się dławiąc kawałem mięsa, którego jeszcze nie przełknął.

— Rozumiem to, co rozumiem! — odpowiedział mu wesoło śmiejąc się malarz. — To wiem, że do nikogo specyalnie nie mówiłem, ale widać, że przysłowia są zasobem mądrości narodów!... Czy pamiętasz pan... a może w tych górach już i zapomniałeś... przysłowie: »uderz w stół, nożyce się odezwą«?... Powtarzam jednak, że nikomu specyalnie do jego osoby nie przymawiałem.

— Mój panie, ja sobie bardzo wypraszam — bełkotał coraz niewyraźniej Nowak, dławiąc się na dobre. Oczy mu słupem stanęły, twarz aż posiniała. Przestraszyliśmy się wszyscy, nie wiedząc w pierwszej chwili co robić: malarz jednak widocznie był najprzytomniejszy, bo zerwał się natychmiast i silną pięścią uderzył kilka razy leśniczego w kark. Sposób ten, aczkolwiek barbarzyński, był jednak skuteczny, bo pacyent odrazu baraninę połknął i w kilka sekund był znowu zdolny do językowej wojny z dokuczliwym artystą.

— A widzisz, drogi sylwanie — prawił uczeń Appellesa — gdyby nie ja, jużby było po Nowaku... Płakałyby huculskie niewiasty, piękne córy gór!... *Pomer Nowak!... pomer!...* A teraz wskutek tego, że znalazłeś się luby sylwanie, to jest człeku leśny, w towarzystwie ludzi cywilizowanych, a szczególniej jednego, który za swą przytomność do kwiatu cywilizacyi całego świata może być zaliczony... teraz... powtarzam ci... żyjesz i żyć będziesz... Nawet więcej: żyć będziesz nieśmiertelnie, bo portret twój wymaluję i wystawię go w *salonie* paryzkim. Na górze, na ramach wypiszę: »Sylwan *vulgo* Nowak, człek na pół dziki, syn pustyń« etc. etc... Mój gieniusz uczyni cię obskurny Nemrodzie sławnym i głośnym.

— *Oto plete, aż słuchaty protywno!...* — usłyszałem w tej chwili glos Mykoły i uczułem znowu lekkie dotknięcie w ramię. — Panie, popatrzcie na lewo, jaka tam chmura się podnosi.

Spojrzałem. W rzeczy samej cała południowa strona widnokręgu przysłonięta już była ogromną, czarną, ciężką chmurą; na zachodzie przyświecał jeszcze blask przed chwilą zaszłego słońca, a w nim rysowały się ostro i wyraźnie skaliste szczyty. Od chmury wiał zimny, przejmujący wiatr, świszcząc przeraźliwie po złomach skał; ciemne bory, rozścielające się u naszych stóp, ssumiały smutnie, żałobnie. Ściemniało się z każdą chwilą coraz więcej. Nagle przez sam środek czarnej chmury przewinął się jasny, ognisty wąż, rozdzierając ją na dwie równe połowy; w kilka chwil po nim rozległ się grzmot potężny, lecz daleki jeszcze, podziemny niby; dochodził uszu naszych powoli, płynął poważnie dolinami, odbijał się od wierzchołków, od szczytów i konał w gąszczach dziewiczych lasów. Po chwili i echa stokrotne skonały i przez mgnienie oka zapanowała cisza wielka. Tylko chmura podnosiła się coraz wyżej, płynęła cicho dalej i dalej; bez szumu, bez szelestu przesłaniała wszystkie góry; ciemnością straszną przykryła świat cały w okolo, tylko nasze ognisko płonęło, wznosząc czerwone płomienie wysoko i rzucając dokoła migotliwe blaski.

Cały nasz obóz był już na nogach. Ściśnięci jeden obok drugiego, w milczeniu, z drżeniem serca oczekiwaliśmy wspaniałego zjawiska natury. Ciszę przerywały tylko przeciągle porykiwania bydła po oborach i żałośne skomlenie psów.

Naraz na czarnem tle chmury zarysowało się sto... tysiąc wężów ognistych, cały potop ognia z chmury spłynął na ziemię, huk stał się tak straszny, że góry drżały w swych podstawach i zdawało się, że szczyty chwieją się i kołyszą jak małe drzewiny. Równocześnie z hukiem tym powiał od chmury wiatr szalony; z nóg nas omal nie powalił; w borach dołem zatrzeszczało, ziemia w jednej chwili zmieniła się w piekło straszliwe.

Wszystkich nas przejął lęk jakiś dziwny, niemożliwy do opisania. Nie wiem jakim sposobem znalazłem się wraz z towarzyszami i huculami w kołybie. Tam cisnąc się jeden przy drugim, przysłuchiwaliśmy się temu hukowi, tym gwizdom i jękom przeraźliwym. Ja z malarzem i Mykołą staliśmy tuż obok przymkniętych drzwi; oko przytknąłem do szerokiej szczeliny i z pewnem upojeniem wpatrywałem się w ten chaos rozszalałej przyrody. Cała okolica naprzemiany to rozświetlała się szerokiemi — cały horyzont obejmującemi błyskawicami — to tonęła znowu w bezbrzeżnej, głębokiej ciemności.

— Haj! haj! Oto Milnerowe święto! pogańskie, czartowskie jej dzieciska hulają — szeptał mi w ucho przestraszonym głosem Mykoła. — To dla nich święto! Dyabelskie nasienie cieszy się teraz!...

Jeszcze jeden piorun oślepiający, jeszcze jeden grzmot, który wstrząsnął całym światem — i ucichło... Chmury otworzyły swe opusty i lunął — potop istny. Przez szpary w dachu kołyby woda strumieniami całemi wciskała się do wnętrza i groziła zalaniem ogniska. O spaniu nikt z nas nie myślał; z jakie pół godziny staliśmy tak milcząco, czekając aż ulewa przeminie. Wiatr ustał zupełnie, grzmoty przycichły; przez szpary w drzwiach dostrzedz mogłem, że chmury — przepełnione gromami — przeniosły się już ku zachodowi i od czasu do czasu szerokiemi błyskawicami oświecały dalekie szczyty...

Wreszcie i deszcz ustał. Wyszliśmy natychmiast z kołyby rozglądnąć się po świecie. Na kopule nieba nie było już ani jednej chmurki, błyszczące gwiazdki z szafirowego firmamentu figlarnie ku nam mrugały, tylko gdzieś daleko od zachodniej strony nad samym widnokręgiem czasem dziwnie się czerwieniło, lecz i te blaski krótko bardzo trwały i tonęły wnet w srebroprzezroczej, niby ciemnej. niby jasnej atmosferze nocy letniej. Rzuciłem okiem bliżej siebie, poniżej. Bydło przestraszone widocznie grozą burzy wyłamało poręcze w ko-

szarze i rozbiegło się po połoninie; *bowharowie* [1]) i sam *gazda* [2]) rozbiegli się spędzać je napowrót, inni znowu rozniecali wkoło zagród ogniska przez deszcz zalane. Smuga młodej jodliny, rosnącej o jakie sto metrów poniżej kołyby, leżała powalona do ziemi, niby łan bujnej wyległej pszenicy. Powietrze było chłodne, mroźne prawie; wiatr wschodni, zimny, przejmujący wiał; o noclegu na świeżem powietrzu nie można było marzyć.

Wróciliśmy do wnętrza kołyby. Moi towarzysze, zawołani myśliwi, nie łatwo poddający się poetycznym wrażeniom, rozlokowali się wraz z Nowakiem na ławach po pod ścianami i wkrótce smacznie zasnęli, współzawodnicząc z sobą — w chrapaniu. Nasz artysta, Mykoła i ja nie mogliśmy spać; usiedliśmy wkoło ogniska tlejącego na środku kołyby na ziemi. Malarz był wbrew zwyczajowi milczący, zadumany, cały pogrążony w jakiejś jednej myśli, którą tylko ożywioną gestykulacyą zdradzał. Oczy mu dziwnym ogniem natchnienia płonęły, a z białego wysokiego czoła biły niby promienie. Twarz, cała postać tego rubasznego zazwyczaj, trochę gminnie, trywialnie żartobliwego człowieka zmieniła się teraz zupełnie. Czułem, że potężna myśl twórcza zawładnęła całą jego istotą. Nagle wyprostował wyższą część ciała, głowę zwrócił w górę i uderzając dłonią po kolanach, zawołał głośno:

— Będzie! Mam go już!

Mykola z nie mniejszem niż moje zainteresowaniem się patrzył na młodego człowieka. I jego — to na wpół dzikie dziecię puszczy — uderzyła zmiana zaszła w rysach i wyrazie twarzy malarza; i on dziwnym instynktem człowieka żyjącego w ciągłem obcowaniu z przyrodą odczuł całą powagę chwili artystycznego natchnienia. Spojrzał przyjaznem okiem na młodzieńca i cichym, do duszy wprost idącym głosem przemówił:

— Ja prosty chłop, huculi, ale ja was panowie lubię bardzo... Nie pierwszy mi to raz z wami się spotykać, znałem

---

[1]) *bowhar* = pomocnik pasterza.

[2]) *gazda* = gospodarz.

was w życiu wielu... wielu... i lackich i węgierskich... Och! znałem tylu, że aż zrachowaćby było trudno, a najwięcej poznałem wtenczas, kiedy z Milnerowej służby uciekłem i z huzarami na wojnę w węgierskie ziemie pociągnąłem.

Przy tych słowach Mykoły przypomniałem sobie, że wspominał on dziś już kilkakrotnie nazwisko Milnera; przypomniałem sobie również, że mówił coś o jakimś psie i niedźwiadku Milnerowym; obudziła się we mnie ciekawość poznania tej Mykołowej przygody. Towarzysze nasi spali jak zabici, ja zaś czułem, że mi się zupełnie na sen nie zanosi, dla dopełnienia więc bezsennej nocy, zapragnąłem skłonić starego hucuła do opowiadania. Zresztą lubiłem zawsze i lubię te powieści ludowe czarem przesądu i mytu jakiegoś niepochwytnego owiane.

— Mykoło! — zagadnąłem starego strzelca. — Kilka razy już dziś wspominałeś o jakichś tam Milnerach, o jakimś psie i niedźwiadku... Co to za historya? Spać mi się nie chce i tobie ponoś także, opowiedz nam więc o tych czasach, lubię posłuchać dawnych dziejów.

Zmarszczona, ogorzała twarz hucuła pobladła przy moich słowach; ręka wiedziona wrażeniem przesądnego strachu, wykonała bezwiednie prawie znak krzyża świętego. Po kilku chwilach dopiero mi odpowiedział:

— Eh! panie, straszno pod taką późną porę opowiadać historye o nieczystej sile... *Pek ta cur* na nią!...

Tu przeżegnał się powtórnie i my obaj za nim. Malarz, któremu na wspomnienie huculskiej historyi oczy jeszcze jaśniej zaświeciły, przyłączył się do moich nalegań.

— Widzisz stary — mówił — chrześcianieśmy tu wszyscy i przeżegnać się umiemy, a nieczysty słaby jest zupełnie wobec tego świętego znaku, nic nam on złego nie uczyni i nie jemu to z naszą wiarą wojować.

Mykoła choć lubiał opowiadać, jednakowoż jakiś czas wzdragał się jeszcze, aż dopiero zmiękł, gdy mu obiecałem dać za opowieść dwa funty doskonałego prochu. Nałożył sobie

blaszaną fajeczkę tytoniem, którego udzielił mu malarz ze swego kapciucha i przepraszając z góry za nieudolność opowiadania, począł mówić.

* * *

— Gdy się tu patrzę na was, panowie, to zaraz moje młode lata w pamięci mi stają... Hej! hej! hej! Gdzież to młodość moja? Gdzież to siła moja? Gdzie już ci panowie, ci kawalerowie, gdzie ci kamraci, z którymi człowiek noce przy ognisku trawił, bajki im opowiadał, pieśni słodkie, rodzone śpiewał? Wiatr zimny straszny powiał, *wiuga* północna pociągnęła i rozsypała ich po świecie szerokim, niby zeschłe bukowe liście; poprzeganiała ich wiuga ta po za góry dalekie, po za morza głębokie, sine to czarne, po za rzeki rwące spienione; pokładli oni głowy swe po dalekich majdanach, pobojowiskach. Ciężka obca ziemia przysypała te oczy, orle ta sokole... Niema już ich na świecie, chyba gdzieś jeszcze jakiś dziad, kulami natkany, włóczy nogi po świecie i dzieciom historyę o ojcach prawi, tak jak ja wam tu będę opowiadał.

Jak z dziecinnych lat zapamiętam ... i jak to ludzie opowiadali ... po całym świecie była pańszczyzna. Naród chłopski swojej ziemi nie miał, tylko na pańskiej albo cesarskiej siedział i do dworu na pański łan chodzili ludzie za ziemię czynsz odrabiać trudem własnym, potem krwawym. U nas, od kiedy świat był światem, od kiedy góry te sine górami... pańszczyźnianej robocizny nigdy nie było. Hucuły siedzieli sobie na cesarskiej, kameralnej, albo gdzieniegdzie na pańskiej ziemi, albo znowu na cerkiewnych, władyckich gruntach i zamiast roboty czynsz płacili, czem kto mógł, kto pieniędzmi, kto znowu bydłem, bryndzą, skórami, rzemiosłem a przemyślnością różną.

Po gminach cesarscy, pańscy, albo władykowi *mandatory* [1]) panowali nad narodem chrześciańskim; zbytkowali do

---

[1]) *Mandataryusz* = urzędnik, rodzaj wójta gminnego, płacony przez dziedzica.

woli swojej, jak który mógł i chciał. A już nie było na całą *Czarną rzekę* [1]), na wszystkie nadgraniczne *połoniny* straszniejszego mandatora jak Milner... szwab przeklęty na Jaworniku.

Słobodę on sobie, grodzisko mocne na górze wystroił, murowane i wysokie, niby monaster jaki; przeciwko opryszkom-sokołom trzymał dwudziestu czterech *puszkarów* [2]), samych gazdowych synów za powinne; darł naród, cisnął poborami tak, że każdy krył się z groszem, żeby Milner się o nim nie dowiedział, bo zaraz zabrałby; nawet *mołodyce* [3]) i dziewczęta poskrywały były węgierskie dukaty, tureckie czerwońce... i choćby najbogatsza, szła na tańce jak żebracka córka bez srebra, bez korali.

Milner ten miał żonę, *bohatyrkę* wielką [4]). Że ona była wiedźmą straszną a paskudną, dopiero się później o tem dowiedziałem, ale to wiedziałem odrazu, kiedym ją pierwszy raz zobaczył i wiem do dnia dzisiejszego, że gładszej, piękniejszej kobiety na świecie nie spotkałem. Była słuszna, gibka i wyniosła niby jodła młoda na północnym stoku *Czarnohory;* ręce, nogi małe, toczone; w stanie cienka, że ją można było dłonią objąć; włos miała długi, czarny, jak krucze pióra; usta koralowe ledwie że czasem zakrywały do połowy białe, do pereł podobne zęby. Cała była gadzina śliczna, cudna, a już największą siłę to nieczysty złożył w jej oczach. Oczami temi, modremi, niby toń jeziorek górskich, przejrzystemi a niezgłębionemi umiała ona czarować, umiała przeklętemi źrenicami temi tak do człowieka przemówić, że szedłby za nią na koniec świata, w ogień i wodę, skoczyłby ze skały w przepaść, tak umiała niemi rozkazywać, że lekkiem sercem na kryminałby każdy się ważył, byle tylko oczy te do niego się uśmiechały.

---

[1]) Czarny Czeremosz wypływa z gór galicyjskich.

[2]) Istniejąca dawniej straż ziemska rodzaj *pandurów* węgierskich.

[3]) Młode mężatki.

[4]) Istota wyższa nad gmin, odznaczająca się bogactwem, siłą lub stosunkami z nieczystą siłą.

Nie oblizujcie się panowie — zwrócił się ku nam. — Bóg was ochronił, że w życiu podobnej wiedźmy nie spotkaliście, Bóg was ochronił... Nie śmiejcie się! Wiem, żeście po świecie bywali, a różne cyganiarki a zmiennice za wierne kochanki brali, ale takiej biesowej córki, jak była Milnerowa... niech ją tam piekło na sam spód pochłonie... nie spotkaliście nigdy!...

Milczeliśmy, nie odpowiadając na tę apostrofę, skierowaną wprost do nas, baliśmy się bowiem, żeby nie przerwać opowiadania, które nas zaczęło już na dobre zajmować. Stary huculi po chwili znowu prawił dalej:

— Mój ojciec, Marko Kunysz, był najzamożniejszym gazdą na całe Żabie. Trzody nasze pasły się na całej połoninie po nad *Bystryc*, het aż po pod *Smotrerzowe grunie;* czeladzi miał bez liku; chata jedna na dole nad rzeką w Żabiu, zaraz koło samej cerkwi świętej, cała z heblowanej *kiedryny* [1]); druga na stoku pod górą na zimownik dla czeladzi, koło niej budynków, stajen, niby miasteczko jakie, a po połoninach kołyby koło każdego źródła.

Sam mój ojciec, nasz gazda był ponurym, małomownym człowiekiem... Czasem dwie i trzy doby przeszło, a on się do nikogo słowem nie odezwał. Matka, siostry i czeladź... wszyscy truchleli przed nim; mało, że z nóg się nie walili, gdy na kogo srożej spojrzał; ja jeden mniej się go bałem, bo byłem jedynakiem i wiedziałem, żem mu był jak oko w głowie. Palca na mnie nie skrzywił nigdy.

Życież bo miałem przy ojcu tym srogim, życie!... Roboty żadnej imać mi się nie pozwalał; ani siekiery, ani kosy za młodych lat w ręku nie miałem. Kiedy skończyłem czternaście lat, dał mi *kris zaprawlenyj* [2]) i strzelać nauczył i rozpowiedział: jako z tego krisa strzał taki pewny, że każdego

---

[1]) Kiedryna = *pinus* albo *limba*, materyał z niej bardzo cenią, bo jest trwały i robactwo się w nim nie mnoży.

[2]) *kris zaprawłenyj* = zaczarowana strzelba.

najsroższego *charakternika* i czarnoksiężnika dosięże i powali, a nie ma na świecie takiego niedźwiedzia, żeby po strzale poszedł dziesięć kroków. Zaczęło mi się wesołe, parobcze życie. Konia miałem czarnego, karego, jak orzeł skalny lotnego, jak *zmyj* sprawnego; nie utknął nigdy, choćby po najstromszych *płajach*[1]) cwałem na nim gnać! Ubrania posprawiał ojciec na mnie z sukna cienkiego, węgierskiego; pas na trzy piędzi szeroki, złotemi guzikami nabijany, przywiózł mi stary aż z samych Kut; tam go od kupca ormiańskiego za siwego konia wymieniał. W takiej wygodzie i rozkoszy chowany wyrosłem na strasznego rozpustnika; tylko pusta dumka mojej młodej głowy się trzymała... Jak miałem siedmnaście lat, znałem już wszystkie dziewczęta i mołodyce wzdłuż całej rzeki, od Jasionowa aż po Burkut; i one mię znały i hołubiły i w oczy mi mówiły, że ładniejszego *łegińa*[2]) na całe góry niema; płaciłem im za to gorącemi całusami, czułemi uściskami, chustkami jedwabnemi i krwistemi koralami, które za ojcowskie dukaty w Wyżnicy, w Kutach, lub aż w węgierskim Sigiecie kupowałem.

Matka płakała, białe swoje gospodarskie ręce łamała, mówiła, że duszę młodą gubię, śmiertelny grzech na nią biorę; ojciec się śmiał z tego i opowiadał, że młodemu wyszumieć się trzeba nim spoważnieje i na gazdę żonatego wyjdzie. Ja też ojca mego, dla wszystkich srogiego, a dla mnie powolnego, nad życie kochałem, byłbym głowę za niego oddał.

Towarzysze i kompanowie moich pohulanek opowiedzieli mi, że w całych górach, trzydzieści lat przedtem, nie było bystrzejszego *łegińa*, jak mój ojciec, teraz stary Kunysz... Opryszków on zaznał dawnych — mówili mi; — siedmiogrodzkie, wołoskie góry zbrodził, aż na tureckim Bałkanie z bułgarskimi hajdukami hulał, krew niewiernych psów muzułmańskich przelewał, pogańskie złoto rabował... Ot te dukaty,

---

[1]) *płaj* = drożyna górka.
[2]) *łegiń* = parobek, mołojec.

któremi ty płacisz za wino dla nas, to pewno z jakiegoś trzosa tureckiego lub ormiańskiego kupca, lub ze szkatuły siedmiogrodzkiego czy wołoskiego bojara.

Pytać starego o to nie śmiałem, ale za to nieraz pędząc na moim wronym, wyobrażałem sobie, że muszę tak jak mój ojciec popróbować wolnego, burłackiego życia; zdawało mi się już wówczas, że gonię na zborne miejsce, że gdy świsnę, gdy zadmę w mą trąbkę rogową, to z za każdego buka, z za każdej smereki, z za każdej jodły wysunie się *legiń-opryszek*, zbrojny w kris janczarski, w pałasz polski i węgierskie, złotem sadzone pistolety, i ja z tymi towarzyszami-kompanami napadać będę na mandatorskie dwory, wieszać będę szwabów projdyświtów, a narodowi huculskiemu, chrześciańskiemu, zapowiadać będą wolność wszelaką... A później, później, kiedy z kulą w sercu zaniosą mię pobratymy na górę wysoką, żeby mię tam jak orła w gnieździe pochować, to dziewczęta, ta mołodyce pieśni o mnie śpiewać będą, bajki opowiadać, jak o drugim Dowboszu-kapitanie...

Hej, gdzie te lata? Gdzie te dumki a myśli orłowe?

— Panie, jeżeli chcecie słuchać dalej — ozwał się zwracając się ku mnie — to nalejcie mi szklankę wina, bo w ustach mi zaschło, a głupie łzy do starych oczu się cisną i w gardle drapie... tak drapie, że przemówić trudno.

Wstałem i pomiędzy bagażami odszukawszy butelkę starego węgierskiego wina, nalałem całą szklankę i podałem ją staremu. Mykoła przytknął usta do szklanki i wnet ją odjął, mlaskając powoli językiem.

— Takiego to szkoda dla starego — mówił, lecz równocześnie pociągnął drugi haust wina. — Ot takiem samem napawały nas debreczyńskie dziewczęta, kiedyśmy do ich miasta przymaszerowali, zbiwszy Niemców... pod... pod... a kto tam te węgierskie, pogańskie miasta zapamięta, jak się one nazywały. Hej! hej! dawne to czasy. Ale trzeba wypić, bo wy panicze historyi o Milnerze i jego żonie ciekawi, a ja prawię wam o sobie, jeszcze i wina każę sobie nalewać.

Wypróżnił całą szklankę, postawił ja obok siebie i wnet z większym już zapałem opowiadał dalej:

— Do owego czasu, o którym opowiadałem przed chwilą, Milnerowej w oczy nie widziałem, słyszałem tylko jak parobcy o niej opowiadali, że jest śliczna jak obraz w cerkwi; że *mandator* sam stary i *tyrchawy*, a ona młoda, krew z mlekiem i chłopców lubi; że między mandatorskimi *puszkarami* niejeden już taki był, co się jej łaską mógł pochwalić; że ona wreszcie i mężem swoim starym i pisarzami i sługami i puszkarami rządzi, jak sama zechce, a łaskę wielką ma i w Kołomyi u cesarskiego starosty i u gubernatora w samym Lwowie, bo choćby niewiedzieć jakie skargi na Milnera poszły, to, jak ona sama pojedzie — tak wszystko odrobi i jeszcze pochwalę dla męża, a dla siebie różne dary przywiezie.

Okrutnie ciekawy byłem tę *bohatyrkę* zobaczyć, trudno jednak było dojść do tego; ona z dworzyszcza swego mało gdzie się wydalała, a mnie znowu stary zakazał srogo kręcić się pod mandatorską sadybą; na rozum mi powiedział, że nie chce, ażeby Milner o nim sobie przypominał. Tak było przez lat kilka.

Aż nareszcie razu pewnego inaczej się zdarzyło.

W górnej cerkwi w Żabiu bywa u nas zawsze odpust na drugą Matkę Boską. Innego roku to bywa już o tej porze i słota i pluta i śnieg; a wtenczas jakby na moje nieszczęście słońce od samego rana świeciło, jakby na św. Iwana i dogrzewało niby w samo najgorętsze lato. Praźnik, u nas wielkie święto. Każdy chce się pokazać przed ludźmi z tem, co ma najdroższego, najładniejszego. Wilią jeszcze z wieczora nieboszczka moja matka głowę mi ługiem bukowym zmyła. Zrana siostry włosy mi olejkami pachnącemi, różanemi wysmarowały. Ciżmy obułem wołoskie z żółtej skóry, sznurowane aż pod same kolana; szarawary wązkie, węgierskie, z sinego sukna tak do nogi przylegały, że żyły można było rachować; koszulę wdziałem z cienkiego płótna, jak *diwoczą*, w dwanaście wzorów haftowaną. Na to wszystko rzuciłem na opaszki

guńkę z czarnego cienkiego sukna, złotym sznurkiem z węgierska obszytą. Kapelusz z pawiemi piórami nasadziłem na bakier, pistolety nabijane srebrem za pas wetknąłem i toporek wziąłem w dłonie. Kiedy ubrany już całkiem pokazałem się matce i siostrom, to aż w ręce klasnęły z podziwu i radości; a i stary nawet coś mruczał zcicha, ale po minie poznałem, że rad był z syna.

Choć do cerkwi było blizko, jednak nie poszedłem piechotą, tylko siadłem na mego karego i pojechałem. Przed cmentarną bramą konia uwiązałem do słupa w rząd koło innych *parubockich* wierzchowców, a sam wszedłem na cmentarz. Na cmentarzu szum; huk mołodyc; dziewcząt ze wszystkich okolicznych gór naschodziło się mnóztwo, a wszystkie postrojone jak róże, jak malwy, a wszystkie patrzą na mnie i palcami pokazują mówiąc: »to Mykoła, bohatyrski syn, jedynak Marka Kunysza.« A ja idę pomiędzy niemi, niby nie słyszę tej chwalby, niby nie wiem, że to do mnie, tylko puszę się, jak ten *gotur* [1]) między kurami na tokowisku. Parobcy towarzysze podbiegli, zaraz mnie obstąpili wkoło i prowadzili do cerkwi, niby starostę albo kapitana jakiego.

W cerkwi stanęliśmy po prawej stronie przed samemi *carskiemi wrotami;* służby Bożej jeszcze nie było, tylko diaki z *psałtyrów* pieśni bogomolne śpiewali. Choć ja ostatniemi laty w różnej rozpuście się nużał, mimo to duszy nie byłem zatracił i w domu Bożym pusta myśl głowy mi się nie czepiała; ukląkłem był w ten dzień przed obrazami cudownemi i pokłony biłem i modliłem się gorąco i do Chrystusa ukrzyżowanego i do Panny przeczystej. Jeszcze i połowy modlitw nie odmówiłem, kiedy nagle usłyszałem jakiś tartas, *homon* niezwyczajny w cerkwi i to taki, żem aż modlitwę przerwał i podniosłem oczy, żeby zobaczyć, jaka była przyczyna tego hałasu.

I zobaczyłem... Starszy brat cerkiewny i *pałamary* [2]) nieśli przodem jakieś krzesło i na naród chrześciański hukali,

[1]) *gotur* = głuszec.
[2]) *pałamar* = kościelny.

żeby się rozstąpił i drogę dla światłej pani czynił. Za nimi szła ta sama bohatyrka, którą tak pragnąłem zobaczyć... sama Milnerowa mandatorka. Koło niej był Milner, mąż jej, rudy, łysy, chuderlawy i Niemczyk jakiś młody, jak kołacz niesolony biały, ze złotemi bujnemi kędziorami i błękitnemi oczami, takiemi jak te oka na pawich piórach. Mandatorka szła przodem taka piękna i wyniosła, taka pyszna jak królowa jaka. Suknia na niej była *hatłasowa*, złotą frenzlą obszywana, *keptar* [1]) z kuniego futra niebieskim jedwabiem pokryty, czapeczka maleńka kunowa z orlem piórkiem; na szyi gruby łańcuch złoty z *mentalem* jakimś. Przeszła przez całą cerkiew, przed carskiemi wrotami ledwie głowę uchyliła i usiadła na krześle, które jej starszy brat wskazał po lewej stronie pod obrazem świętego Mikołaja, mego patrona.

Tu zamilkł stary góral na chwilę; dziwnym wzrokiem patrzył wkoło; przenikliwe oczy jego spoczęły były na chwilę i na naszych twarzach; świdrowały je, jakby badając, jakie wrażenie robi na nas jego opowieść; wreszcie po chwili takiego wpatrywania się w nas, zawołał:

— Widzę, że nie śmiejecie się ze starego dziada, który wam o swej młodości opowiada... Czyste serce mieć jeszcze musicie; słuchajcie więc panicze wy moi dalej, może z tej chłopskiej opowieści i dla was jakaś nauka da się wyciągnąć... Słuchajcie, słuchajcie! bo w tej chwili, jak Milnerową żonę zobaczyłem, zaczęły się moje biedy i nieszczęścia.

Ach, ślicznaż ona była, śliczna! Tych oczu do śmierci nie zapomnę. Jak w nie spojrzałem, to zdawało mi się, że patrzę w odmęt Czeremoszu, gdzie woda nie płynie a stoi; gdzie, zdaje ci się, że dno tuż, tuż, a ono głębiej niż najdłuższą żerdzią dosięgniesz. Uśmiechu tego... musiała ona pożyczyć sobie od owego czarta, który Jezusa Pana naszego i Zbawiciela na górze do grzechu kusił... Boga czart nie skusił, ale ona, to ręczę, że każdego śmiertelnego, grzesznego czło-

[1]) *keptar* = rodzaj kożuszka bez rękawów.

wieka byłaby skusiła, najsroższego pustelnika i bohomolca w grzechby zaprowadziła.

Dobrodziej[1]) nasz widocznie wiedział, że Milnerowa na prażnik zjedzie i czekał na nią ze służbą Bożą, bo jak tylko usiadła na swojem krześle, tak zaraz w dzwony uderzyli, dyakoni i dyaki kadzielnicami zatrzęśli i księża zaczęli prawić.

Nie wielkiego ja tam zbawienia dostąpił z tego nabożeństwa... Nie na obrazy ja patrzył, nie słów pasterskich ja słuchał, nie ewangelia święta w głowie mi była. Jak zobaczyłem Milnerową, tak oka z niej nie spuściłem, choć sam nie wiedziałem, co robię... Żeby nie Hryńko Czerbeń, który stał koło mnie i w czas mię w ramię trącił, to bylbym się przed ewangelią świętą nie przeżegnał nawet.

Satana prawdziwa urok jakiś rzuciła na mnie odrazu... Czarodziejskim, jakimś dyabelskim sznurkiem przywiązała moje oczy do swojej liliowej twarzy... A spostrzegła odrazu, że oczu z niej nie spuszczam, lecz widocznie nie gniewała się za to, bo nawet uśmiechnęła się do mnie kilka razy bardzo łaskawie, a raz coś szepnęła do tego białego Niemca, który z nią przyszedł, i palcem na mnie wskazała.

Tak już przeszło całe nabożeństwo... Do samego końca tylko na nią patrzyłem.

Jak msza się skończyła, wybiegłem pierwszy z cerkwi; przez tłum się przepychałem, jakbym do pożaru gnał. Chciałem koniecznie ją zobaczyć w blasku słonecznym, w jasności dziennej. Koło furtki zobaczyłem dwóch *puszkarów*, poznałem ich po torbach skórzanych i orłach cesarskich na piersiach; stali oni przy koniach, na których mandatory przyjechali. Koń Milnerowej był biały jak mleko, oczy tylko czarne, wielkie na wierzchu głowy mu świeciły; siodło na nim było takie, jakiego nigdy w życiu nie widziałem, a pokryte całe puszystym, błękitnym aksamitem. Spytałem puszkara: »co to za

---

[1]) Dobrodziejem nazywa lud góralski księży unickich; duchownych zaś oryentalnego wyznania nazywają *pan-oteć*.

takie siodło i jak ona na niem siedzi?« Ledwie miał czas odpowiedzieć mi, kiedy sama pani, jej mąż i ten biały Niemczyk pokazali się we drzwiach cerkwi. Nasz dobrodziej, który już był ornat zrzucił, wyprowadził ich i zapraszał na poczęstunek na probostwo. Milnerowa nie przyjęła zaproszenia, bo mówiła, że spodziewają się dziś gości jakichś wielkich z dalekiego gdzieś tam miasta. Nie gadała nawet więcej z dobrodziejem, który szedł z tyłu z mężem, a ona biegła co śpieszniej do konia. Zdaleka poznałem już, że mię koło koni zajrzała. Gdy zbliżyła się na kilka kroków, zdjąłem przed nią *krysanie* [1]) i skłoniłem nizko głowę.

— Co ty za jeden? — spytała, patrząc bystro mi w oczy.

— Mykoła — odpowiedziałem zakłopotanym głosem, spuszczając oczy przed jej spojrzeniem.

Ona uśmiechnęła się wesoło i pytała dalej:

— A czyjże ty Mykoło?

— Marka Kunysza, gazdy z Koziego dołu syn.

Na to nadeszli sam Milner i ten drugi młody Niemczyk. Mandatorka patrząc ciągle na mnie, zaczęła coś do tego Niemczyka po szwabsku szwargotać i on także popatrzył na mnie, skrzywił się i coś jej odpowiedział tym samym szwargotem, ale tak, że choć ani słowa z tego nie rozumiałem, to uczułem w sercu ochotę do połamania kości temu Niemczykowi.

Tymczasem puszkar podprowadził białego ogiera; Niemczyk chciał jej pomódz do wsiadania, ale ona powiedziała mu po naszemu już, że nie potrzebuje jego usługi i radziła mu, żeby lepiej sam sobie pomagał, bo mu trudno na siodło się dostać, a tymczasem skinęła znowu na mnie i wskazała, żebym jej podał rękę do wsiadania. Teraz jeszcze czuję, jak mi w on czas serce biło, jak mi się ręce trzęsły, kiedy ona swą małą nóżkę oparła na mojej szerokiej dłoni... Atłas zaszeleścial, zapach jakich odurzył mię, ręka jej biała, oparta na

---

[1]) *krysanie* = kapelusz o szerokich krysach, filcowy, zazwyczaj ubrany pawiemi piórami.

mem ramieniu, ogień jakiś w piersi mi wlała... Odetchnąć nie mogłem. Ona usiadła już na siodle i pochyliwszy się na lewą stronę, szukała strzemienia... lecz znaleźć go sama nie mogła... czy nie chciała?

— No! czego stoisz jak pień? — zawołała, śmiejąc się — pochyl się leginiu-sokole i włóż mi nogę do strzemienia.

Mówiła to tak czysto po naszemu, jakby się huculką w górach rodziła.

Pochyliłem się więc i odsunąwszy długą jedwabną suknię, dotknąłem się nogi ostrożnie, delikatnie, niby świętości jakiejś i ułożyłem ją w pozłacanem strzemieniu. Gdy przypadkiem wówczas dotknąłem się drugiego jej kolana, czułem jakby strumień jaki ognisty przepłynął mi przez wszystkie żyły; mimowolnie podniosłem na nią oczy i popatrzyłem już tak samo, jak spoglądałem na wszystkie dziewczęta i mołodyce moje *lubaski* [1])... Nie rozgniewało jej i to zuchwałe spojrzenie, tylko uśmiechnęła się znowu jakoś dziwnie i zapytała:

— A wielu was jest w chacie u starego Kunysza? Czy wszyscy tacy dzielni chłopcy, jak ty?

— Ja tylko jeden... jedyny u starego Kunysza syn i więcej nas nie było nigdy — odpowiedziałem, śmiało jej w oczy patrząc.

— A nie przystałby ty do nas na *puszkara?* — pytała dalej, a na twarzy jej pięknej zakwitł znowu ów szatański kuszący uśmiech. — Ładnieby ci leginiu-mołojcze było w kapeluszu z koguciemi piórami i z orłem cesarskim złotym na piersiach... I biedybyś nie zaznał nijakiej, bo ja samabym o tobie pamiętała i takiemu ładnemu chłopcu nie pozwoliłabym biedować.

— Nie moja to, światła pani, wola, ale wasza i starego mego gazdy ojca Kunysza stanowić może — odpowiedziałem pokornie. Ja... z ochotąbym służył.

---

[1]) *lubaska* = kochanka.

— To dobrze!... Pamiętaj! — I ruszyła; za nią pojechali mąż sucherlawy, Niemczyk ów młody i puszkary.

Pojechali!... Ja stałem na miejscu, jakby mię kto był w ziemię wkopał; patrzyłem za białym koniem, co ogon jak chorągiew niósł, za sinym *keptarem*, za orlem piórkiem. I byłbym tak stał do nocy, gdyby nie to, że nagle uczułem, jak mi ktoś ciężką rękę na ramieniu oparł. Obejrzałem się — przedemną stał mój ojciec milczący, surowy jak rzadko.

— Chodź do domu — przemówił do mnie.

Odczepiłem więc mego karego i prowadząc go w ręku, szedłem obok starego i lęk mię jakiś dziwny ogarniał; przeczuwałem, że coś bardzo ważnego ma mi powiedzieć, nie mogłem jednak domyśleć się — co?

Gdyśmy zeszli z głównej drogi i skręcili na ścieżkę, prowadzącą do naszej chaty, stary przemówił do mnie smutnym, złamanym głosem:

— Stało się nieszczęście! Stało się to, czego najgorzej się obawiałem. Patrzyłem się własnemi oczami, słuchałem uszami, jak ta czarownica cię do siebie mamiła... Nie twoja wina i nie moja, żeś na jej drodze stanął... Nigdy ona na ten *prażnik*[1]) nie przyjeżdżała, nie mogłem więc tego przewidzieć, że tego roku licho ją nadniesie. Znać już taka wola Boska i kara Najwyższego za grzechy i winy moje... A ja grzesznik stary, bezsilny przeciw niej; z nią i z mężem jej wojować nie moja siła, w rękach mię swoich plugawych mają, i nic z nimi nie poradzę... Kara to za grzechy, za przewinienia moje, kara Boża.

Mówił to, jakby nie ze mną, a sam z sobą rozmawiał; głowę na piersi pochylił i taki był smutny, że aż serce mi się z bólu krajało, gdym na niego patrzył.

Ojcze!... Tatuńciu mój słodki! — zawołałem, płacząc prawie. — Nie smućcie się! Co ona nam zrobić może? Nie pozwolicie, to nie pójdę w *puszkary*, wola to wasza.

---

[1]) *prażnik* = odpust.

— Jak ona zechce, to pójdziesz! Nie moja wola, och, nie moja, tylko jej, wiedźmy przeklętej; wiedzą oni na mnie takie rzeczy, że jakby chcieli, to głowę mi wziąć mogą. — Tu przerwał i znowu ciężko zasumował się i po chwili dopiero dodał: — Jeżeli nie zapomni i przyśle za tobą, to iść musisz, bo inaczej hańbę na ojca głowę, a nieszczęście na nas wszystkich sprowadzisz... Znać to kara Boża.

Przyszliśmy wreszcie do chaty. Ojciec matce i siostrom nawet nie wspomniał o niczem, sam tylko chodził jak podcięty.

Mnie czasem ogarniał ojcowski smutek i niepokój, ale wnet znowu stawała mi przed oczyma piękna postać *mandatorki*, jej uśmiech wabiący; przypominałem sobie te oczy jasne, bezdenne, a takie słodkie, i miło mi się na duszy robiło... Rozzuchwalony bo byłem bez miary, dziewczęta popsuły mię były zupełnie; zdawało mi się, że żadna kobieta nie może popatrzeć na mnie bez zakochania się...

— A co ona zrobi mi złego? — myślałem. — Gołąbka taka biała, taka łaskawa... Stary niewiedzieć czego się lęka, strach go jakiś obleciał... Mandatorka poprostu młoda kobieta, męża ma już starego i *drannego*, chłopców ładnych lubi, upodobała widać sobie we mnie i w *puszkary* ciągnie do siebie... Co mi to zaszkodzi?... Żenić się jeszcze nie czas, niechże młodości zażyję koło światłej pani.

Machnąłem ręką na te obawy, zjadłem w domu do woli i poszedłem po południu z powrotem do wsi zabawić się. We wsi *hłum:* wszystek naród, co na prażnik się zebrał, teraz pił już po karczmach; na bazarze hulatyka, aż ściany trzeszczą. Kiedy wszedłem do środka, wszyscy parobcy i dziewczęta zawołały razem:

— Hej! A gdzież to ty Mykolo się chowasz? Czyś tak zhardział dlatego, żeś z Milnerową panią gadał, że nawet zabawić się już nie chcesz? Hej, w taniec z nami!...

Kazałem żydowi zaraz postawić przed kompanią garniec wódki i garniec miodu, a sam wziąłem w taniec Katerynę Hilkowę, najładniejszą molodycę wzdłuż całej rzeki... Oj Kate-

ryna, to była Kateryna! zgrabna jak wiewiórka, zwinna jak *łastówka* [1]), a łasiła się do mnie, jak gołębica jaka.

Poszedł taniec, poszła ochota!... Z każdą tańczyłem, każdej słodkie słowo w ucho szepnąłem, a niejednej dostał się i całus serdeczny... Czego żałować? Młodość od tego.

Już drugie kury piały, gdy nas wójt z puszkarami z bazaru rozpędził. Towarzysze, przyjaciele odprowadzili mię aż do naszego obejścia, pożegnałem się z nimi serdecznie, za kompanię podziękowałem i ruszyłem spać pod szopę... Choć chłodno było, to wolałem tam przespać się, niż ojca budzić o tak późnej porze, a do tego jeszcze byłem trochę podchmielony. W kilka chwil później spałem jak zabity.

*

Na drugi dzień, już koło południa, sam ojciec przyszedł pod szopę mnie zbudzić. Wstałem zaspany jeszcze, ledwie oczy przetarłem, doszedł mię z chaty płacz jakiś i zawodzenie straszne.

— Co to tatu? Czego one tak płaczą? — zapytałem ojca, wskazując na chatę. — Co tam się stało?

— Ach, co się miało stać? — odpowiedział ponuro. — Stało się to, co stać się musiało; starszy puszkar Kornył przyszedł po ciebie... Niby to proszą, a każą poprostu... Musisz synu iść, taka już twoja dola.

Poszedłem do chaty. Patrzę, matka, *neńka* moja stara, ręce łamie i płacze tak, że od zmysłów odchodzi, siostry za nią sobie zawodzą aż obrazy na ścianach dygoczą, a Kornył stoi na środku świetlicy, jedną ręką wziął się w boki, drugą na strzelbę oparł i mówi:

— Nie płaczcie baby, nie zawodźcie! Nic mu się złego tam nie stanie, chleba białego, kołaczów pszenicznych się naje, wina słodkiego napije do syta. Pobędzie rok, półtora, dopóki się nie przejé... Pani dobra, krzywdy ładnemu chłopcu nie zrobi...

I zaśmiał się jak puhacz.

---

[1]) *łastówka* = jaskółka.

— Nie ma co płakać! — dodał i ojciec. — Prośba pana *mandatora* to dla mnie tak, jak rozkaz najświętszy... Niedaleka droga. Niech co zjé po wczorajszej hulance i niech idzie z Kornyłem... Niedaleka droga, za trzy godziny najdalej będą na miejscu... Cicho baby! Nie płaczcie!

Wola ojca była święta, przestały głośno szlochać i zawodzić, ale łzy mimo to gradem z oczu matki się lały i po zwiędłych policzkach spływały. Choć nastawiała mi jadła różnego dowoli, jeść jednak nie mogłem, jakoś ochota do jedzenia odeszła mię zupełnie; wina tylko szklankę wypiłem, żeby nabrać mocy i przy Kornyle nie płakać, gdy będę się z matką żegnać.

Skończyłem, wstałem z ławy, przed obrazami świętemi trzy razy się przeżegnałem, ojca trzy razy w kolano pocałowałem i podchodzę do matki... Aż tu ona z wielkiej boleści ścisnęła mię za głowę.

— Synku mój — szepnęła i jak martwa padła na ziemię.

Chciałem ją podnieść, chciałem ratować, ale ojciec tylko ręką skinął i powiedział:

— Ruszajcie! sami sobie radę damy... Ruszajcie z Bogiem!... Co ci będzie potrzeba — dodał, zwracając się do mnie — to ci jutro *najmyt* [1]) przywiezie... z Bogiem!

Wyszliśmy z chaty. Gdy byłem we drzwiach, usłyszałem za sobą żałośne jakieś wycie, zwróciłem oczy i ujrzałem, jak stary *Sirko*, pies nasz jednooki, poczciwa stara *kotiuha* [2]), wzniósł pysk w górę i zowodził tak samo, jak tam w chacie matka i siostry. Nie wiem, co mi się stało, ale to psie wycie głębiej mi w duszę weszło, niż płacz matki i sióstr; strach mię jakich ogarnął, smutek jakiś obleciał. Szedłem długo za starym puszkarem i słowam do niego nie przemówił, wzroku nań nie podniosłem.

Gdyśmy tak milcząc uszli z pół godziny, pierwszy zagadnął mię Kornył:

---

[1]) *najmyt* = sługa najęty.

[2]) *kotiuha* = pies,

— A cóżeś to tak posmutniał *łeginiu-sokole?* Maminej ci pierzyny żal, co?...

— Ot! śni ci się *ojcze-wataho* — odpowiedziałem mu, przybierając zawadyacką minę. — Nie pierzyny mi żal, ni pieca domowego, ni sióstr gołąbek. Wiem, że ja ich zobaczę, jak zechcę... Tylko żal mi, serce mi się ściska za koniem moim wronym, za orłem moim karym... Trudno mi będzie żyć bez wierzchowca miłego...

— Takiś sobie żal wyszukał — odpowiedział, pokpiwając. — Jak do mandatorskiego dworca przyjdziemy, to powiedz światłej pani słowo, a ona pewno pozwoli ci wziąć z sobą twego wronego. I tak byłbyś dostał mandatorskiego konia... Wszystko jedno, któremu obrok i siano dawać będą.

— Powiedz światłej pani! — powtórzyłem jak echo za Kornyłem. — Powiedzcież wy mnie *ojcze-wataho* — spytałem po chwili — jaka to pani? Dajcie dobrą radę młodemu.

— Radę ci dać! — odparł, zatrzymując się na chwilę. — Rady ci pewno nie pożałuję, bom z ojcem twoim gazdą Kunyszem niejedną szklankę wina wypił, niejeden kawałek chleba przełamał, niejeden raz głowę razem ważył; pobratymem twego ojca w czasie naszej młodości byłem, rady ci nie poskąpię... Krótka ona będzie: rób, co ci pani każe robić! Na nią się patrz, jej słuchaj, bo ona wszystko we dworze robi tak, jak zechce. Ona tam najwięcej znaczy... A przytem język za zębami trzymaj! Ot i wszystko!

Minęliśmy Jawornik, po za osadą wzięliśmy się leśnym *płajem* na prawo w górę i gdy słońce skryło się za *Smotrežowy gruń*, stanęliśmy na miejscu.

Gdy przeszliśmy bramę, rozglądnąłem się w około... *Skut*[1]) to był prawdziwy; naokoło mury z ogromnych kamieni, po pod murami stajnie jak kamienice gdzie w mieścisku; na środku dworzec z kutemi drzwiami i okiennicami. Koło samej bramy stała buda, a w niej psy na łańcuchach...

[1]) *skut* = obronny klasztor.

Kotiuhy takie straszne, że nie wiedzieć było, czy to pies, czy *zwiriaka* [1])... Przeszliśmy bramę i dziedziniec brukowany; stary Kornyło wszedł po schodach na ganek, ja za nim; za chwilę otworzyły się drzwi do *mandatorskiej świetlicy* [2])... Pierwszą zobaczyłem samą Milnerową...

*

Tu stary góral przerwał opowiadanie; oparł głowę na obu dłoniach i pogrążył się w głębokiej zadumie; grzebał widocznie we wspomnieniach młodości. My obaj zasłuchani, wyobraźnią przenieśliśmy się w owe dawne czasy, które tylko z książki lub opowieści znać mogliśmy. Cisza zapanowała w kołybie wielka, tylko lekkie już obecnie i równe oddechy naszych śpiących towarzyszy mąciły ją trochę... Świerkowa kłoda płonęła cieniuchnym, bladawym, błękitnym płomykiem. W słabym tym świetle stary, zaschnięty, wiatrami spalony huculi wydawał się duchem jakimś, gór opiekunem.

Po chwili podniósł ku mnie zadumane oczy i przemówił:

— Oj panoczku złoty, jeśli wasza łaska, dajcie mi jeszcze wina tego szklankę. Z powieścią swoją dochodzę do takich miejsc... do takich czasów, że dziś jeszcze, jak człowiek sobie wspomni, to aż żółć w środku się burzy i tak się gorzko w gardle robi, że wytrzymać trudno.

Pospiesznie nalałem mu znowu wina, które on dwoma haustami wypił i opowiadał dalej:

— Do świetlicy tej bodajbym nigdy nie zaszedł. Siedziała ona tam w jedwabnym szarafanie taka cudna, że jak człowiek popatrzył na nią, tak musiał pomyśleć: anioł to jest boski... *heruwym nebesnyj*... a to tymczasem była *satana sprawiedliwa*... Czart... czart... czart! I Bóg wszechmogący tak mię był młodego pokarał, że od samej drugiej Matki Bożej,

---

[1]) *zwieriaka* = wilk.

[2]) *świetlica* = izba do przyjęcia.

aż do niedzieli po przewodach, ja pod jednym dachem z *dyawołem* tym mieszkałem, w jej szatańskie oczy patrzyłem.

Wówczas kiedy za Kornyłem pierwszy raz do tej świetlicy przyszedłem, skłoniłem się przed nią nizko, jak przed obrazem świętym, ona podniosła głowę, popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się znowu tak, jak poprzedniego dnia, że człowiek nie wiedział, czy się ona cieszy, czy żartuje? I przemówiła:

— Wcześnieście przyszli Kornyło; myślałam, że was tam długo stary Kunysz z pożegnaniami zatrzymywać będzie... No, cóż tam nasz nowy *puszkar*?... Zbliżno się chłopcze do mnie!

Przyszedłem tuż do sofy, na której siedziała. Ona podniosła się z siedzenia, poklepała mię po ramieniu, jak bydle jakie, pogładziła pod brodę, popatrzyła w oczy i zwracając się do Kornyła rzekła:

— A co stary, prawda, że mam dobre oko? Sławny *łegiń!* Takiego nie miałeś jeszcze pomiędzy swoimi *puszkarami!*...

Nim te słowa mówić skończyła, nadszedł z drugiej świetlicy i sam Milner i ten Niemczyk, com go wczoraj widział... Sam mandator był strasznie *niepoczesny*. Teraz dobrze mu się przypatrzyłem; mały był, chudy jak pies, oczy miał zielone jak u żaby, a prawe ramię wyższe; jak chodził, to jedną nogę ciągnął za sobą niby drewnianą, przyprawioną... Popatrzył na mnie od niechcenia i powiedział do Kornyła:

— Trzeba mu jutro wydać orła na oznakę, *gwer* [1]) cesarski i przyjąć przyrzeczenie. Niech jutro rano stawi się w kancelaryi, ja go sam do kontroli zapiszę.

Niemczyk tylko nic nie mówił, a jeno spoglądał to na mnie, to na *mandatorkę* z wielką złością, od której zzieleniała mu jego biała twarz woskowa.

Pogadali jeszcze trochę i obaj gdzieś poszli; ja w świetlicy z panią i Kornyłem zostałem. Kazała mi przynieść jeść, sama nalała szklankę wina i wypytywała o ojca, o matkę

[1]) *gwer* = karabin.

i siostry. Później powiedziała Kornyłowi, żeby mi włosy trochę postrzygł i odprawiła nas obu do *szlafcymbry* [1]).

Od tego dnia niewola się moja rozpoczęła. Nie to, żeby służba ciężka była — nie; starsi wszystko robili, a mną pani się zabawiała niby kotem jakim, lub ptaszkiem w klatce. Ognia mi jakiegoś, żaru piekielnego w krew namieszała; wiedziała wiedźma o tem dobrze, ale ją to bawiło i śmiała się ze mnie... Przez cały czas, com pod tym przeklętym dachem żył, ni snu ludzkiego nie zaznałem, ni mię ochota do jadła brała. Wyschłem, wychudłem był jak upiór jaki, a po nocach to tylko rozmyślałem, jakiby ja szczęśliwy był, żeby ona na mnie łaskawem okiem popatrzyła.

Prawdę powiedziawszy, ciała jej grzesznego nigdy się nie dotknąłem, ale nie z woli i postanowienia cnotliwego, jak to dawno kiedyś Józef patryarcha był uczynił, a poprostu dla tego, że ona nigdy nie pozwoliła na to.

Pomiędzy kamratami moimi był jeden taki sam młody chłopak, jak ja, aż z za Burkutu; nazywali go Illią Sinyczem. Ten także, jak durny chodził i jak słonecznik za słońcem zawracał głowę za Milnerową. Zrazu on na mnie krzywem okiem patrzył, jakby za złe mi miał to, żem tu przyszedł, kiedy się jednak przekonał, że nasza dola jednakowa, przystał do mnie jakoś serdecznie i polubiliśmy się bardzo, a nawet później zawiązało się między nami pobratymstwo serdeczne i na wojaczce i na wędrówce.

Po miesiącu mego pobytu w mandatorskim dworcu opowiadał mi Ilia, że i jego pani tak samo przymaniła, jak mnie, że bawiła się nim, jak mną, a teraz nawet okiem nie rzuci. Dalej opowiadał mi, że ten Niemczyk, co to u nich mieszka, to przyciągnął się za nią gdzieś aż z za Lwowa. Przyjechał z nią wtenczas, kiedy ona ostatni raz do miasta jeździła. Opowiadał mi, że Niemczyk ten podobnoś sierotą był po jakimś

---

[1]) *szlafcymbra*, wyrażenie żołnierskie, z niemieckiego przerobione, *schlafzimmer* = sypialnia.

wielkim niemieckim panu, który łaskę wielką u samego cesarza miał i majątki wielkie na tego jedynaka swego zostawił, ale Milnerowa tak go zatumaniła, tak przywabiła, że chłopczysko porzucił i dwory swoje i pokoje cesarskie i matkę starą, i tu za czarownicą w góry nasze sine przyleciał — i ona jego hołubi i jaki może grosz z niego ciągnie, a sam Milner wszystko widzi i ręce zaciera z radości, bo grosz nad wszystko miłuje.

Słuchałem wówczas, co mi Ilia rozpowiadał, ale nie we wszystko wierzyłem; myślałem, że ze złości, a żalu tak gada. Później się dopiero przekonałem, ze Ilia nigdy nie kłamał, i że to wszystko prawdą świętą było, co on mi wtenczas mówił.

Owego roku zima u nas wcześnie nastała. Ile razy śnieg upadł, młody Niemczyk zabierał puszkarów i szedł z nimi w bór na polowanie; mnie pani kazała w domu zostawać... Bywało nieraz, każe mi nanosić smolnych drzew i ogień w jej pokoju na kominie rozniecać: później przyjdzie, siądzie przed ogniskiem i bajki każe sobie opowiadać. Nogę na nogę tak pozakłada, że kolana jej białe widać i wyciąga się jak kotka jaka.

Innym razem znowu każe mię wołać rankiem, kiedy w łóżku jeszcze leży, jedwabne *łyżniki* [1]) nieco poodsłania, i leży taka biała, jak zjawisko jakie. Spyta mię: »co tam na dworze? czy mróz większy, czy mniejszy, czy może śniegu dopadło?«... A mnie trudno słów na odpowiedź znaleźć, tylko oczami ją zjadam i bełkoczę ni w pięć, ni w dziewięć, ot, co mi ślina na język przyniesie.

Szał mię już jakiś wtenczas chwytał, dur głowy się imał. Nieraz nocą nie śpię, przewracam się tylko i myślę, coby tu zrobić? I postanawiam sobie, że niech się tam co chce ze mną stanie, niech mam głową za to nałożyć, niech mam przepaść zaraz — to muszę ją mieć, choćby za cenę życia. Gwałtem ją zniewolę, z rąk się moich żelaznych nie wymknie... Chwila szczęścia, rozkoszy ... a niech tam wszystko djabli biorą!...

---

[1]) *łyżnyk* = koc, kołdra.

Co mi po takiem życiu, lepiej nie żyć, niż tak się męczyć... Zrobiwszy takie postanowienie, uczuwałem w sobie straszną moc, niby zwierz jakiś dziki i tylko czekałem sposobności... A kiedy sposobność nadeszła, to ona tak popatrzyła się na mnie swojemi szatańskiemi oczami, że wnet ze zwierzęcia krwawego, robiłem się barankiem głupim. Och! jak głupim!

Słowam do niej śmielszego nie powiedział. Bywało tylko oczami się do niej modlę i zmiłowania proszę. A rozumiała ona mowę tę tak samo, a może lepiej, niż inne ludzkie słowa, ale odpowiedzi od niej trudno się było doprosić... Śmiać się tylko umiała. Raz, pamiętam, rozłożyłem ogień na kominie i usiadłem tuż koło ogniska, ażeby drew dokładć; ona przyszła do mnie i usiadła na swojem wysokiem krześle, nóżki swe drobne oparła na mem ramieniu, niby na podnóżku jakim, i patrzyła mi w oczy, a później nagle mię spytała:

— Mykoła, powiedz mi prawdę: czy ja ładna?

Ja wtenczas pochyliłem głowę do jej stóp i pocałowałem je po raz pierwszy.

Och! światła pani — zawołałem — tyś ładniejsza niż wszystkie inne kobiety na ziemi, piękniejsza niż królowa i cesarzowa, piękniejsza pewno od aniołów w niebie.

— A chciałbyś mieć taką żonę... taką *lubaskę*?... — pytała dalej, śmiejąc się. — Ja milczałem, coś mię w gardle dławiło, myślałem, że krew mię zaleje. — Powiedz, cobyś dla takiej lubaski zrobił? Czybyś jej usłuchał, gdyby ci co zrobić rozkazała?

— Cobym dla niej zrobił? — szepnąłem prawie, bo radość jakaś dziwna mowę mi odbierała. — Co?... wszystko, co człowiek zrobić może... Górybym na góry poprzenosił, smoka ognistegobym zabił... duszębym djablu dla was, pani, zaprzedał.

— Pamiętaj o tem, coś tu powiedział; kiedyś ci to przypomnę, a jak słowa dotrzymasz, to wynagrodzę — powiedziała, wstając pospiesznie i uśmiechając się słodko, kusząco. — Za chwilę nie było już jej w świetlicy.

Sam nie wiem, co się wówczas ze mną działo; ręce w ogień pchałem i zdawało mi się, że ogień nie pali; zdawało mi się, że świat ten cały, to jedno jakieś niebo błękitne a wonne, że wkoło mnie nie zima śnieżysta, a zieloność rajska mię otaczała, że jestem olbrzym jakiś potężny, któremu nikt na świecie tym bożym nie podoła.

Później jak waryat jaki wybiegłem ze świetlicy; konia karmiłem i napawałem, kris czyściłem, ładunki robiłem, ażeby być gotowym na każde skinienie mojej pani, ażeby na jej rozkazanie służbę wszelką spełnić. I żeby tego dnia kazała mi była pójść i ojca rodzonego zastrzelić, to byłbym posłuchał, bo już taki jakiś jad w sercu miałem, że byłbym jej nie mógł nic odmówić.

*

Zima jak prędko przyszła, tak prędko minęła. I u nas w górach wiosna wcześnie się zaczęła; słońce jarkie z za węgierskich szczytów przezierało; wody odrazu wielkie, rozhukane poszły, ale też prędko spłynęły.

Dziwna to jakaś wiosna była, trawy się mocniej zieleniły, kwiatki po dolinach kwitnące mocniejszą woń miały, orły raźniej jakoś, wyżej i poważniej wkoło szczytów szybowały, ludzie do ludzi lgnęli serdeczniej, a nowiny dziwne dochodziły do nas, aż w góry — i to takie same: tak od północnej strony z lackiej ziemi, jak i od południa z węgierskiej. Jaskółki o cały miesiąc wcześniej niż zwykle przyleciały i szeptały zcicha, że po świecie wielkie dziwy się zaczęły, że wolność wszelka i swoboda dla narodu chrześciańskiego pracowitego ma wyjść, że mandatory i inne szwaby pójdą precz. Jaskółki te pochyliwszy swe śliczne główki kwiliły dalej, że takie już czasy nastały, iż panowie sami: kniazie, grafy i rycerze, tak po lackiej stronie, jak po całej węgierskiej ziemi, powiedzieli panu swemu, cesarzowi niemieckiemu, żeby narodowi swobodę dał, a jeśli nie zrobi tego, to bunt na niego podniosą i z tronu go zsadzą a innego, miłościwszego pana sobie obiorą. Wkrótce i ludzie

to samo powtarzać zaczęli — i radość wielka zapanowała po wszystkich górach i dolinach.

Milner zrazu milczał, ale jak wieści te coraz głośniej powtarzać zaczęto, zwołał zewsząd gazdów i ogłosił, że to wszystko jest nieprawdą, że kto będzie wieści takie szerzyć, to każe go na suchej jodle powiesić, bez sądu i spowiedzi... Śmiał się naród Milnerowi w oczy i mało dbał o mandatorskie słowo, bo cyganie z Węgier przynieśli już byli pewne wieści, że już cesarz sam nie zechciał dalej panować, a młodego, braterskiego syna, na stolicę swą wyniósł i temu rozkazał wolność dla narodu podpisać. Milner tylko tę wiadomość taił, bo mu żal było swego panowania.

Mandatorka jedna także nic sobie z tego gadania nie robiła, jeszcze pyszniejsza niż przedtem stała i głowę tak wysoko nosiła niby królowa. Śmiała się ona z męża i z Niemczyka Hermana, tego swego kochanka; mówiła im, że serce ich babskie, a odwagi nie mają za trzy grosze.

Ja sam nie wiedziałem, co mam robić; czy na panią patrzeć się, która co dnia łaskawszą się dla mnie stawała, czy o wolności i swobodzie narodu myśleć? Kiedy bywało wyjdę w noc ciemną i usiądę opodal dworzyszcza na szarej skale, a owieje mię chłodny wiosenny wiatr, to zdawało mi się, że wiatr mi ten szeptał do uszu słodkie, dawne dumki, że przesuwał mi po przed oczy obrazy, o których dawniej śniłem.

— Czas! czas! — zdawało mi się, że wiatr mi szeptał do ucha. — Czas *łeginiu* w pole ruszyć! Czas na sławę zarobić! Pora do tego najlepsza... Czego będziesz koło baby fałszywej, koło Niemkini niewiernej młode lata tracić, z żalu a pożądliwości schnąć... Pora już tobie z toporkiem pohulać, jak ojcowie i dziadowie twoi hulali!

Na samo *Błahowiszczenie* [1]) święte poszedłem do cerkwi w Żabiu na nabożeństwo. Po służbie Bożej naród chrześciański zebrał się wkoło Dmytra Korszuna, który powracał z jarmarku

[1]) *Błahowiszczenie* = Zwiastowanie Najśw. Panny.

w Sygiecie, gdzie jak zwykle za końskim handlem jeździł. Dmytro rozpowiadał, a ludzie słuchali. Rozpowiadał on wtedy, że już i przeciw młodemu cesarzowi węgierscy panowie się zbuntowali, że wojewodę cesarskiego z Buda-Pesztu wygnali i wojnę zaczęli. — Opowiadał, że panowie ci nie zbywali narodu obietnicami, jak to czynili urzędnicy i żupani, ale odrazu wolność chłopstwu dali, a co młodszych i dorodniejszych do huzarów werbowali, za pańskie pieniądze ubierali, i na wojnę z cesarskiemi pułkami wyprawiali.

Musiał się i Milner o tem dowiedzieć, bo tego samego wieczora zwołał znowu starszych gazdów i ogłosił im, że cesarz wolność dał i powinności podarował, ale jeszcze rok, dwa może, musi zostać po dawnemu, dopóki buntowników nie ukarze i nowych podatków w Wiedniu nie wyznaczą.

Na takie słowa gwar się zaczął między *gazdami*. Zaczęli wszyscy razem krzyczeć, że chcą wolności zaraz, że wiedzą dobrze o tem, jak po całym świecie naród jest już wolny, że podatków żadnych nie myślą płacić.

Milner opowiedział im, że napisze z zapytaniem do Lwowa i kazał im iść tymczasem do domu i czekać odpowiedzi.

Kiedy się rozeszli, zwołał znowu nas wszystkich puszkarów, powiedział nam, że, jeżeli wierni mu będziemy i przyrzeczenia zrobionego dotrzymamy, to cesarska łaska nas czeka i dary wielkie; później kazał nam rozdać proch i kule i nie pozwolił nigdzie z dworzyszcza się wydalać, tylko z nabitą bronią sadyby pilnować.

W nocy przyprowadzili do mandatora Lejbę Bera, arendarza z jawornickiej karczmy; długo oni coś sobie po żydowsku szwargotali, a później, przed rankiem jeszcze, Lejba wziął mandatorskiego konia i gdzieś pojechał w dół z biegiem rzeki.

Pomiędzy nami *puszkarami* różne gadania o tem wszystkiem były, stary Kornyl, nasz *wataha*, wieczorami rozpowiadał nam różne powieści o opryszkach, nibyto zasłyszane od kogoś w młodości; my jednak wiedzieliśmy wszyscy doskonale, że opowiadał rzeczy, na które sam się patrzył, bo wiedzieliśmy,

że za młodych lat sławnym opryszkiem był i tylko z ubóstwa i niedostatku u Milnera za *watahę puszkarów* służy.

Opowiadania te starego Kornyła coraz dziwniejsze myśli w duszy mojej budziły i coraz to mniej myślałem o Milnerowej, a nawet raz spotkawszy się z Kateryną na *płaju* odprowadziłem ją do domu, a że mąż jej gdzieś w górach deski tarł, więc zostałem u niej i dopiero o świcie do *wachcymbry* wróciłem. Jeden tylko Kornył to zauważył, ale nietylko mnie nie połajał, lecz przeciwnie uśmiechnął się filuternie i darował mi ładną rogową prochownicę.

W wielki wtorek wyprosiłem się na tydzień cały do domu; chciałem zobaczyć rodziców i dłuższy czas z siostrami zabawić, i tak dwie już tylko w domu były, bo najstarsza w zimie za mąż poszła. Kiedy przyszedłem wieczorem, zastałem ojca jeszcze pochmurniejszego niż zwykle. Siedział na ławie zadumany i ledwie że głową mi skinął, gdy go w kolana całowałem. Przedtem nim poszliśmy spać powiedział mi, żebym się na jutro do spowiedzi i komunii świętej gotował, bo życzy sobie, żebyśmy obaj razem te sakramenta przyjęli, Strach mię wielki wziął na te słowa, bo oddawna już o spowiedzi nie myślałem nawet... Wola jednak ojca świętą była dla mnie. Całą noc o grzechach moich rozmyślałem i zmiłowania Boskiego prosiłem... Obawiałem się strasznie, raz: czy zdobędę się na odwagę i wypowiem przed *dobrodziejem* ciężkie grzechy? drugi: czy przewinienia moje znajdą odpuszczenie i łaskę u Pana Boga?

Rano przyszliśmy do cerkwi. Dobrodziej, jak dostrzegł nas obu, skinął zaraz, żebyśmy do zakrystyi przyszli się spowiadać. Ojciec mój spowiadał się pierwszy; spowiedź ta trwała bardzo długo, ja tymczasem klęczałem przed wielkim ołtarzem za *carskiemi wrotami* i w piersi się biłem. Do uszu moich dochodziły westchnienia mego starego, a nawet zdawało mi się, że słyszałem szlochanie. Słuchałem tego i strach mię jakiś przejmował i pragnąłem, żeby spowiedź ta ojcowska jak najdłużej się przeciągnęła. Wreszcie wyszedł. Ja przestąpiłem próg zakrystyi i odrazu jakby ręką odjął... Strach mię zupełnie

opuścił... Stary nasz ksiądz jak gołąb biały, uśmiechnął się do mnie pobłażliwie i nadzieja jakaś z uśmiechem tym w serce mi weszła.

Biłem się w piersi... *Ja rab bożyj* wyznawałem przed sługą pańskim, wszelkie nieprawości moje, opowiadałem mu w jakiem piekle żyłem, jakie żądze szatańskie duszę mi trawiły; spowiadalem się i z myśli grzesznych i z zamiarów plugawych. A on starzec siwowłosy, jak święci pańscy łagodny, ręce skrzyżowane nad głową moją trzymał i prosił Boga o zmiłowanie, a grzechów odpuszczenie. Gdy już skończyłem wyliczać grzechy, nachylił się nademną i szepnął: że choć bardzo ciężko przeciw prawu Bożemu zawiniłem, jednak odpuszczenie za grzechy u Boga znajdę, bo miłosierdzie Jego jest niewyczerpane a cierpliwość wielka.

Przez całą służbę bożą modliłem się, jak nie pamiętam w życiu, ażebym się tak drugi raz modlił... Tak mi jakoś na duszy lekko się stało, tak słodko i wesoło, jakbym najsłodszej rajskiej szczęśliwości dostąpił. A kiedy pochyliwszy głowę przyjmowałem wino i chleb — ciało i krew Chrystusa Pana — to wydało mi się, że do nieba już idę i że ziemia ta czarna nie jest moją ojczyzną.

Po służbie Bożej ojciec zamiast zaprowadzić mię do domu, powiódł, milcząc, na stary cmentarz, który leżał na stoczystości góry, na lewo od naszej sadyby.

Szedł stary pospiesznie naprzód, jakby go coś pędziło, i nie oglądał się nawet. Nogą spruchniałe wrota odsunął i weszliśmy do środka.

Odwieczne, wyniosłe jodły szczupłą swą zielonością nie ocieniały dostatecznie małych, omszonych krzyżyków; jałowiec puścił się dołem i obejmował swojemi gałęziami niby splotami wężowemi nadgrobne znaki. Po krótkiem rozejrzeniu się ukląkł ojciec przed większym trochę kamiennym krzyżem i mnie wskazał ręką, bym to samo uczynił. Gdy ukończyliśmy modlitwy, rzekł stary takim głosem, jakiego nigdy przedtem u niego nie słyszałem:

— Mykoło! Tu leży mój ojciec a twój dziad... Ja sam aż z pod Suczawy przyniosłem go tu z kulą w piersi, martwego trupa; przyniosłem, ażeby go w rodzinnej ziemi pochować... Jego ojciec, a twój pradziad, «Czarny Danyło» leży aż na siedmiogrodzkiej ziemi, tam na «Wołoskim-dile», a leginie-towarzysze grób mu toporkami w skale wyciosali... Gdzie ja sam głowę złożę?... Tego jeszcze nie wiem. A wiesz ty synu, za co oni głowami nałożyli? Za co życie swoje dali?... Za wolność, za swobodę huculskiego, chrześciańskiego ludu!...

— Czy znasz ty nasze dzieje synu? — zapytał nagle.

— Trochę znam — odpowiedziałem cichym głosem — tyle, co Kornyl opowiadał.

— Posluchaj, opowiem ci w krótkości — rzekł mój ojciec, siadając na mogile.

Ja stalem przed nim, patrząc mu pilnie w oczy.

— Dawniej, za dawnych czasów niewoli żadnej nie znaliśmy: moc tu pańska, starościńska nie sięgała. Sąsiadamiśmy tylko byli... Raz żyliśmy z podgórskimi panami w zgodzie i razem na dzikiego zwierza polowali, to znowu wojowaliśmy trochę, ale nie zawzięcie. Aż dopiero, gdy Niemcy przyszli, skończyło się huculskie życie... Sól zaraz nam zabrali, za lada marną przewinę na szubienicę ciągnęli, a kupców jadących przez góry strzegli jak oka w głowie... Biedny naród żyć nie mógł i nie miał z czego, niewola mu dojadała... Zaczęła się wojna. Tak jak mój dziad zginął... tak oddało życie tysiąc *leginiów* najbujniejszych, najprawowierniejszych. Za dziadem poszedł mój ojciec... Wojna to była zacięta. Jak wilki, jak orły czatowaliśmy na każdego Niemca; spadaliśmy na nich jąk jastrzębie... Żołnierskiemi szkieletami obwieszaliśmy sto sosen na Howerli... herbowemi orlami ubrali *grań* Pop-Iwana. Wreszcie przyszła zła godzina. Niemcy w białych kabatach należli, jak ćmy... Ojca mi zabili... Zaniosłem go tu i pochowałem, sam aż na Bałkan uciekłem... Tęsknota za krajem zmusiła mię do tego, że wróciłem. Powróciwszy ożeniłem się, dzieci podchowałem, majętności wszelakiej dorobiłem się...

a jednak spokoju nie zaznałem. Krew mię nieraz pali, krew niewinnie nieraz przelana. Sumienie nieraz dokucza, niepokój gnębi... Gnębi, bo Milner, ten zielonooki wie o wszystkiem, ma dowody, czarno na białem, zaprzysiężone świadectwa... Milczy dotychczas, bo mię się boi... obawia się zemsty moich pobratymców, których jest mnóstwo, ale i ja jego się boję i spokoju nie mam. Dlatego to kazałem ci do woli jego skłonić się i w *puszkary* iść, odżałowałem nawet duszę twoją młodą na pastwę tej wiedźmy oddać... Zrobiłem to grzeszny człowiek, bo o głowę moją truchlałem, on mi ją może wziąć, kiedy zechce. Teraz jednak wszystkie te drobne przyczyny za nic — zawołał nagle głośniej, a oczy mu dziwnym blaskiem zaświeciły — czasy nowe nastały, a dla nas huculów przyjdzie wolność i swoboda. Synu, choćby ci przyszło poświęcić głowę ojca, choćby ci przyszło i swoją młodą główkę gdzieś na pobojowisku złożyć, nie patrz na to... Przysięgnij mi. A jeżelibyś inaczej postąpił... to niech piekło cię pochłonie, bo w takim razie tyś nie mój syn, nie krew krwi mojej, nie kość z kości!..

Jak rażony gromem przypadłem do nóg ojcowskich i całowałem je ze łzami w oczach. Łzami temi gorącemi skropiłem dziadową mogiłę... i stałem się mocny jak *gruń* Iwanowy i jak on nieugięty. Czary wiedźmy nie miały już na mnie mocy, jakaś inna siła z za grobów duszą moją zawładnęła... Wróciliśmy do domu.

Święta przeszły wesoło, w naszej chacie szczególnie. Obie moje młodsze siostry zaswatano w czasie tych świąt... Wszyscy *gazdowie* się dziwili, że ojciec tak dumny i hardy, sam *przekazał* do ubogich chłopców — prawda że pracowitych, ale chałupników tylko — *przekazał*, że mogą przysyłać swaty, bo im dziewek nie odmówi. Jakby z obawy jakiej, dla każdej zaswatanej dziewki zaraz po sto dukatów na posag u dobrodzieja złożył.

Tydzień zbiegł, jakby go nigdy nie było. Ani obejrzałem się, jak przyszło do puszkarskiej służby wracać. Oj! nie chciało mi się tam iść, ale ojciec kazał, ażeby przed czasem psa nie

droczyć. Jedyna weselna myśl, która mi — w tym smutku i nudzie — jaśniej przyświecała, była nadzieja, że w niedzielę po przewodach znowu do domu wrócę na sióstr wesela, które jednego dnia miały się odbywać.

Gdy do mandatorskiego dworca powróciłem, zaraz tej samej nocy opowiadał mi Ilia, że Lejba z papierem od mandatora do Kołomyi do starosty cesarskiego jeździł. Na papier ten w odpowiedzi starosta przysłał Milnerowi kapitana i żołnierzy ze sześćdziesiąt, których on w blizkich, ale trudno dostępnych *kołybach* pokwaterował. A co nocy sześciu wojaków w białych *kabatach* [1]) przychodzi do dworca na wartę.

Wyszedłem natychmiast na dziedziniec i przekonałem się, że w rzeczy samej dwóch żołnierzy przechadzało się koło bramy na warcie, a przez szerokie okno *wachcymbry* widać było innych czterech zajętych graniem w karty. Stary kapral siedział z Kornyłem koło ogniska i widocznie bawił się jakąś Kornyłową opowieścią, bo ze dworu mogłem dostrzedz, jak mu się ze śmiechu brzuch trząsł.

Tak mijały dnie po dniach. Ja pamiętny słów ojca — i postanowiwszy sobie przy spowiedzi nie uledz niewieściemu czarowi — unikałem jak mogłem widoku Milnerowej. Ona jednak kilka razy przypominała sobie o mnie i wołać do świetlicy kazała. Rozpytywała mię znowu: co między huculami za baje chodzą? co gazdy o tych bajkach mówią?... Później śmiała się i mówiła, że potrzeba takiego bydła jak hucuły, ażeby w takie brednie wierzyć.

— Mąż mój ma cesarską moc w swej dłoni, za najmniejszy bunt każe powywieszać buntowników, jak psów wściekłych... na gałęziach suchych.

Ja tylko głowę na te słowa pochyliłem i odpowiedziałem jej:

— Wasza wola, a moc, światła pani!

---

[1]) *Kabat* = kurtka mundurowa.

Zacząłem nienawidzieć sam siebie. Wiedziałem bowiem już wtenczas dowodnie, że ona jest piekielną poczwarą, którą szatan dla kuszenia grzeszników na tę ziemię posyła. Ksiądz mi to stary przy spowiedzi wytłumaczył, a mimo to ciągnęło mię do niej jak pijaka do wódki. W oczybym jej tylko patrzył, jej białych rąk dotykał...

Zimny dreszcz mię nieraz przechodził — taki mroźny, niby już przedśmiertelny — gdym sobie pomyślał, co się ze mną stanie, kiedy przyjdzie wybierać pomiędzy przysięgą złożoną ojcu, a tą czarnobrewą... tą liliową, różaną panią.

Raz przed wieczorem kazała mię znowu wołać do siebie... Poszedłem... Zastałem ją siedzącą nad jakąś dość dużą skrzynką żelazną... Była tego dnia dziwnie zadumana i smutna. Gdy wszedłem, podniosła na mnie swe duże przejrzyste oczy i patrzyła niemi na mnie długo... długo... jakby pragnęła przejrzeć mię na wylot.

Ja oczu także nie spuszczałem, lecz wpatrywałem się w nią uważnie. Zapomniałem wówczas o wszystkiem: o spowiedzi, o naukach starego dobrodzieja, o opowiadaniu ojca. o przysiędze złożonej... Jakiś szatan zaczął mi szeptać do ucha: «Właśnie przyszła chwila, ona będzie twoją, już ją masz!»

Ona tymczasem przemówiła do mnie powoli, z namysłem, ważąc każde słowo:

— Mykoło! zdaję mi się, że tobie zaufać mogę — mówiła, patrząc mi ciągle w oczy — jeżeli przyrzekniesz mi, że nie zdradzisz tej tajemnicy, którą twemu sumieniu powierzę, to zażądam dziś w nocy pewnego poświęcenia z twej strony, pewnej pomocy...

— Chcecie, światła pani, — przerwałem jej porywczo — to wam przysięgnę!

— Nie! nie potrzeba, ufam twojej uczciwości — odrzekła po pewnym namyśle. — Widzisz — mówiła dalej, wskazując na skrzynkę — tam są pieniądze i kosztowności, które chciałabym zakopać... Czasy są niebezpieczne, wojna w sąsiedztwie, kto wie, co i nas czeka. Sama tej skrzynki nie zaniosę w bez-

pieczne miejsce; przyjdź dziś po pierwszych kurach, zastukaj do tego okna, ja ci dam skrzynkę i sama z tobą pójdę do lasu... zakopać... Chciałam do tego użyć albo Hermana albo starego Kornyła, ale ciebie wolę, tobie najwięcej ufam...

Przestała mówić, tylko ciągle patrzyła mi w oczy.

Ze mną dziwy jakieś się działy, coś mię strasznie koło serca dusilo, a świat kręcil się wkolo mnie tak, jakbym był porządnie pijany... Zdawało mi się, że dwa jakieś duchy, wrogi śmiertelne, tam we mnie, gdzieś w sercu, w piersiach wojnę wielką toczą. Po chwili dopiero odpowiedziałem jej, że przyjdę wedle rozkazu i czemprędzej wybiegłem z izby.

Gdy byłem już w drzwiach, zawołała mnie i kazała mi wrócić.

— Czego lecisz jak szalony? — zapytała surowo. — Nie powiedziałam ci jeszcze, jak masz to zrobić. Masz tu klucz od tej furtki, co z ogrodu prowadzi wprost w bukowy las... Teraz idź zamelduj się Kornyłowi, że idziesz posłany przeze-mnie na dół, do Jawornika... Do północy przesiedź gdzieś w lesie, gdzie sam chcesz wreszcie, a po pierwszych kurach otwórz furtkę, podejdź pod to okno, stuknij dwa razy, ja ci otworzę, zabierzesz skrzynkę i pójdziemy... Teraz możesz już iść...

Ścisnąłem w ręce klucz od furtki i wybiegłem. Klucz ten zdawał mi się ogniem żarzącym, palił mi ręce... Sam nie wiem, co powiedziałem staremu Kornyłowi, to tylko pamiętam, żem co rychlej wybiegł z dworzyszcza i pognałem wprost przed siebie w las bukowy, w ciemną, czarną puszczę.

Nie zatrzymałem się aż koło krzyża nad «biesową pieczarą». Krzyż ten postawiono za dusze węgierskich robotników, którzy kilka lat temu, wracając gdzieś z lackiego kraju z roboty, zabłąkali się w zamieć aż do tej debry i w niej śmierć znaleźli. Dopiero na wiosnę, jak śnieg stajał, ciała ich na dnie znaleziono.

Krzyż ten i straszne baśnie przywiązane do tego miejsca oprzytomniły mię trochę, przeżegnałem się i zacząłem się mo-

dlić. Kiedy wszystkie pacierze odmówiłem, dał mi jakoś Pan Bóg opamiętanie. Zastanowiłem się nad tem, co mam czynić.

Zrazu chciałem zostawić Niemkinię, a sam uciec do ojca; bałem się jej czarnoksięzkiej siły. To znowu dawny zły duch czepiał się mnie i szeptał: »Napluj na ojca, na księdza, na świat cały... Ona śliczna, ja ci ją dam za kochankę; razem z tem złotem pojedziecie gdzieś w wołoskie lub tureckie kraje i panować tam będziecie... Pluń na wszystko!«

Zaraz jednak zacząłem się żegnać i złego ducha odpędziłem.

Rozmyśliwszy się dobrze, postanowiłem pójść, posłużyć mandatorce i nikomu o tem nie wspominać. W ich rękach była jeszcze wielka siła.

— Nie posłucham *satany* — myślałem — to jeszcze nieszczęście na głowę ojca sprowadzę.

Zrobiwszy takie postanowienie, co prędzej, przed ciemnym mrokiem jeszcze, wyszedłem na *płaj* i nie wiedząc, co robić do północy, powlokłem się na dół do karczmy, w której Lejba, prawa ręka Milnera, siedział. *Homon* [1]) tam zastałem wielki, kompanów kilku i jakichś cudzych ludzi z dalekich węgierskich i lackich dolin.

Rozpowiadali oni, że wojna straszna na węgierskiej stronie, że krew przelewają, majętność wszelką niszczą, za łby się wodzą tak cesarscy, jak i pańscy, że wolność tam taka już nastała, że chłop z huzara prostego może jenerałem i *grafem* zostać, a szewca już nawet jakiegoś baronem panowie zrobili za to, że nieprzyjacielskie *harmaty* pobrał. A laszek jakiś *rusiawy* [2]) zaczął mówić, że w lackiej ziemi tak samo będzie, że on teraz idzie do węgierskich panów przystać, nie on sam tylko, ale takich jak on pójdzie krocie, że za nim idą wszystkie huzarskie pułki, które wojaków w pień po całem podgórzu — hen! aż na Podolu — wycięli, pańskie i mieszczańskie rządy na-

[1]) *homon* = hałas.
[2]) *rusiawy* = blondyn.

znaczyli, a sami idą na swoją ziemię resztę wojsk zwojować do ostatniego końca.

Towarzysze moi kazali zaraz postawić przed wrażym lachem i wódki i miodu, i mnie pić prosili, ale wymówiłem się mówiąc, że dobrodziej za pokutę nie kazał mi przez miesiąc wódki brać do ust. Zawierzyli, bo tak się nieraz działo... Ja tylko zbliżyłem się do laszka i szepnąłem mu, że, jeżeli chce na węgierskiej ziemi wojować, a nie w Milnerowym kryminale gnić, to niech zaraz ucieka i przez *ruski dił* tej nocy jeszcze przemyka, bo spotkałem na drodze żydka, który biegł do *kancelaryi* zapewne dać znać o nim do mandatora.

Laszek popatrzył na mnie z wdzięcznością, dopił miodu, wziął toporek i wraz ze mną wyszedł z karczmy.

Tam nawinął się zaraz Dmytro Korszun, który znowu szedł czegoś na węgierską stronę i obaj razem ruszyli... Mogli iść, bo choć noc była późna, za to jasna. Księżyc stał na pełni i widać tak było, jak wśród białego dnia.

Ja zawróciłem na *płaj* ku mandatorskiej sadybie. Na drodze spotkałem Kornyła, którego posłał w rzeczy samej Milner, żeby mu tego laszka przyprowadził. Szepnąłem staremu, że darmo idzie, ale on tylko ręką machnął i ruszył dalej, a za nim czterech puszkarów, i żydek kaprawy, wnuk Lejbów.

Podszedłem pod mur sadyby od strony bukowego lasu i usiadłem na kłodzie. Po gwiazdach miarkując, było jeszcze z pół godziny do pierwszych kurów... Żeby mi się nie nudziło i dla odstraszenia biesa wykrzesałem sobie ognia, zapaliłem fajkę i zacząłem powoli *Otcze-nasz* szeptać, tak od wszelkiego przypadku.

Puszcza otaczała mnie dokoła, jakaś taka cicha, głucha, że aż lęk mnie brał dziecięcy; nawet psy mandatorskie posnęły gdzieś spokojnie i nie odzywały się tej nocy. W około z pni zwalonych, pruchniejących, roztaczały się jakieś blade, smutne światełka, niby to ogniki, co po cmentarzach płoną w noc ciemną.

Wreszcie od strony Milnerowej sadyby rozległo się pierwsze pianie koguta. Głos ten pruł ciszę. Jakoś tak gwałtownie rozlegał się po lesie, tak donośnie, że wydał mi się wówczas głośniejszym od najhuczniejszego strzału. Wstrząsnąłem się cały, zerwałem się na nogi i poszedłem do znanej mi furtki.

Drzwi otworzyły się bez hałasu, znać zamek był smarowany i widocznie niedawno ktoś go próbował otwierać. Zdaje się, że Milnerowa musiała niecierpliwie oczekiwać mego przybycia, bo nim zastukałem do okna, otworzyło się ono, a stojąca w głębi pani wskazała mi milcząc skrzynkę, sama zaś — opierając się mocno na mem ramieniu — zeskoczyła i stanęła obok mnie w ogrodzie. Pospiesznie wrzuciłem skrzynkę, która okazała się nazbyt ciężką, do przygotowanego worka, wziąłem ciężar na plecy i ruszyłem przodem do wskazanego przez panią miejsca.

Szedłem umyślnie przodem, ażeby na nią nie spoglądać i pokusie przystępu nie dawać. Drogę mieliśmy niedaleką. Uszedłszy jakie dwa tysiące kroków ku górze, pod pierwszym ogromnym smerekiem Milnerowa stanęła, dała mi do rąk *ryskalik*, który sama przyniosła i kazała jamę w ziemi kopać.

Po półgodzinnej robocie skrzynka znikła zakopana na półtora łokcia pod ziemią. Dla większego bezpieczeństwa przesunąłem na to miejsce, gdzieśmy ją zakopali, wielki spruchniały pień, zwalonego przez wiatr świerka.

— Dziękuję ci — przemówiła pierwsza mandatorka.

Ja stałem milczący, krew gorąca znowu nosić mną zaczęła.

Dreszcz zimny przebiegł po mojem ciele: »Poczekaj, światła pani — pomyślałem — koniec twego znęcania się nad huculem. Teraz ty w moich rękach i twój piekielny pobratym już ci nic nie pomoże.«

W myślach tych nie było żadnej serdeczności, żadnego przywiązania, tylko złość jakaś bezmierna i chęć zemsty. Posunąłem się nagle ku niej i chwytając ją niespodzianie za rękę zawołałem:

— Tylko tak dziękujesz mi, światła pani... Tego zamało.

Ona nie przestraszyła się nawet, tylko śmiejąc się wesoło odpowiedziala:

— Uważasz, że za mało, masz więcej — i zarzucając obie swe białe ręce na szyję, pocałowała mnie w same usta.

Otchłań jakaś przedemną się wówczas odkryła, rozszalały, pijany, nieprzytomny, ścisnąłem ramiona, ażeby ją do piersi przygarnąć.

Gdy nagle stała się rzecz dziwna, rzecz, której do dziś nie mogę sobie inaczej, tylko sprawą ducha nieczystego wytłumaczyć. Ta biała, ta delikatna, ta gołąbka odtrąciła mnie nagle od siebie z taką siłą, że jak gałązka bukowa, wiatrem złamana, odleciałem kilka kroków na bok i zachwiawszy się, upadłem na kolana. A ona stała powyżej, niby jakaś większa i potężniejsza, mocna siłą nie swoją, a z piekła chyba pożyczoną. Wszystkie blade światełka z pruchen zleciały się teraz do niej i otoczyły ją jakiemś białem, cmentarnem światłem. Nagle zaśmiała się tak, że aż korzenie świerkowe na sążeń pod ziemią zadrzały, a z *grunia* Smotrężowego skała się urwała i w dolinę z hukiem spadła.

— Cha! cha! cha! Ty chłopie! Ty chamie! — wołała, śmiejąc się czartowsko. — Toś ty mnie chciał siłą mieć... Nie gwałtem, ani przemocą mnie trzeba brać, a prośbą nizką, a służbą wierną. Mówiłam, że będę twoją, bo mi się podobały oczy twe sokole, barki twe niedźwiedzie, usta rumiane... twój wiek młody. Ale zasie do mnie przemocą, bom ja silniejsza, mocniejsza niż dziesięciu takich jak ty... Teraz wstawaj i idź za mną. Służ wiernie jak pies, a słowa swego nie zmienię, obietnicy dotrzymam.

Mimowolnie podniosłem się z ziemi i ze spuszczoną głową poszedłem za tą wiedźmą. I sam do dziś nie wiem, czym szedł obok kobiety śmiertelnej, czy koło upiora piekielnego.

Jak wspomnę sobie teraz tę noc, to myślę, że byłem pijany do śmierci, a czart mi takie sny straszne przesuwał po przed oczy, choć znowu przysiądz mogę, że żadnego nanapitku dnia tego w usta nie brałem.

Szliśmy milcząc. Koło furtki ona wzięła z moich rąk klucz i zniknęła za drzwiami, a mnie tylko ręką wskazała, ażebym wracał do *wachcymbry* przez główną bramę. Nie wiedząc sam, co robię, posłuchałem tego niemego rozkazu.

Przyszedłszy do bramy, zastałem ją otwartą. Hałas jakiś był na dziedzińcu. Lejba rozmawiał coś pocichu z Milnerem, a żołnierze w białych kabatach stali rzędem przed nimi. Wreszcie mandator, odprowadziwszy kaprala na bok, coś mu tam mówił i wręczywszy mu jakieś pismo, machnął ręką. Kapral stanął na czele żołnierzy, zmienił front i wyszli miarowym krokiem za bramę. Żydek pobiegł przed nimi.

Gdzie i po co oni poszli w ten czas? Nie wiedziałem... Nie wrócili... i później nie mieliśmy już wojskowej warty. Następne dwa dni przeszły spokojnie, o żołnierzach nikt u nas nie słyszał, wiedzieliśmy tylko, że żydki mięso i chleb górskiemi płajami w połoniny zwozili. Dokąd i dla kogo oni to robili? Nie dopytywałem się wówczas.

W piątek po Przewodach powiedział mi Kornył, że mogę iść na wesele sióstr. Poszedłem rad, że z tego czartowskiego gniazda choć na jakiś czas się wyrwę.

Gdy przyszedłem do domu, zastałem tam praźnik prawdziwy. *Łeginie - towarzysze* z najdalszych gór na wesele się poschodzili, a wszyscy postrojeni niby na Wielkanoc. Dziewcząt było tyle, ile kwiatów na połoninie, a wszystkie piękne i wesołe niby ptaszki leśne. Przybyli i gazdowie starzy, blizcy i dalecy, od węgierskiej i wołoskiej granicy, z naszej czarnej i mołdawskiej białej rzeki — a byli nawet aż z nad Prutu i Bystrzycy.

Stary mój ojciec poczęstunku nie żałował. Miód się czerwony pienił, wódka się perliła; wołów kilka na uboczu rznięto codzień. Rodzic mój — sam jednak napitku do ust nie brał, tylko na stronie z gazdami gadał ciągle; naradzali się nad jakiemiś ważnemi sprawami.

Ludzie, którzy od dolin poprzychodzili, opowiadali, że wojsko wielkie węgierskie — sama konnica, huzary złote —

idą z lackiego kraju przez nasze góry na ziemię węgierską. Opowiadali, że w Kossowie ksiądz z sakramentem, naród zaś z procesyą i chorągwiami ich witali, że wolność wielką dają wszędzie, a mandatorów rozpędzają lub wieszają przy drogach.

W sobotę, w *diwoczy-wieczór* sto dziewek śpiewało, kiedy moim siostrom wianki splatano i kosy bujne czesano. W ten sam wieczór przyleciał do nas na podwórze *łegiń* z Jasionowa, Pańko Wódwód, i dał znać, że huzary już w Jasionowie dziś nocują; jedni w Jasionowie, a drudzy już aż w Krzyworówni. — Opowiadał dalej, że panowie ich tam po dworach goszczą, że w Krzyworówni wytoczył pan dwanaście beczek wina, dwanaście miodu, a dwanaście wódki; opowiadał, że przy stu ogniskach całe woły dla nich pieką. Mówił dalej, że przez jutro, przez niedzielę świętą, przestoją w Jasionowie i Krzyworówni, a w poniedziałek na południe zagoszczą w Żabiem, żeby więc naród przygotował dla nich wszystkiego: tak jadła jak i napoju.

— Chłopcy to śliczni jak sokoły — mówił, zwracając się do dziewek — oczy u nich czarne a włosy krucze, a złota na nich tyle, że aż w oczach się ćmi.

Dziewkom, mołodycom w to graj, aż śpiewać ładniej, serdeczniej zaczęły, jak tę nowinę posłyszały.

W niedzielę świętą po Przewodach, odbyły się rano w cerkwi oba śluby moich sióstr. Po służbie Bożej dobrodziej nasz przywołał mego ojca i starszych gazdów i przykazał im, żeby strawy różnej dla ludzi i obroku dla koni węgierskich przygotowali, a jutro rano byli w cerkwi przystojnie odziani, ażeby z paradą i uczciwością przyjąć gości wojennych.

Tego dnia już jakoś zabawa nie szła, każdy tylko o huzarach myślał. Dziewczęta nie wiedząc czego same do siebie się uśmiechały, a parobcy zbierali się kupkami, zcicha coś radząc i pistolety opatrując.

Nazajutrz w poniedziałek słońce tak jasno zeszło, że nie pamiętam nigdy, ani przedtem, ani już potem, takiego jarkiego, przejrzystego słonka. Od samego dodnia tłum narodu chrze-

ściańskiego zgromadził się wokoło cerkwi; starszy brat cerkiewny wydobył wszystkie moździerze cerkiewne i prochem je cienkim ponabijał, żeby huk był większy; bractwa z chorągwiami stały, a na drodze ku Krzyworówni *łeginiów* na koniach porostawiano, aby dawali znać, kiedy wojsko się ukaże. Po mnie rano Kornył przysłał, żebym się zaraz stawił koło cerkwi i tam z puszkarami innymi się połączył. Na ten dzień nazbierał Milner puszkarów ze czterdziestu; dał nam wszystkim inne znaki na piersi — jakieś białe. Pobratymowi memu Ilii kazał nieść świeżo uszytą chorągiew białą z czerwonem. Raz jeden tylko ludziom chorągiew tę pokazali.

Na dwie godziny może przed południem przyjechała na koniu i Milnerowa; suknię miała na sobie tę samą białą atłasową, w której ją po raz pierwszy widziałem i ten sam *kieptar* błękitny ze złotem; na głowę tylko wzięła była tego dnia inną jakąś czapeczkę białą, czerwonym puchem obszytą. Stanęła przed nami, a obok służąca, która miała w rękach tacę z chlebem i solą, i mąż z pochyloną głową.

W pół godziny może po jej przyjeździe nadleciał pierwszy posłaniec. Koń pod nim szedł takim cwałem, że prawie ziemi kopytami nie dotykał.

— Już ich widać, już idą! — wołał zdaleka.

Dano znać do dobrodzieja. Wyszedł zaraz w ryzę ubrany, z krzyżem świętym w ręku. Chorągwie się podniosły, w dzwony uderzono, pałamary kadzielnicami zatrzęśli, procesya ruszyła naprzód; puszkary z Milnerami na czele szli zaraz za księdzem. Niemczyka Hermana nie było tego dnia pomiędzy nami.

Co chwila nadlatywał nowy posłaniec, krzycząc:

— Idą! idą!

Nie doszliśmy do ostatnich chat w Żabiu, doleciał naszych uszu wesoły dźwięk muzyki wojskowej i ujrzeliśmy huzarów.

— O, panowie! — zawołał nagle głośniej Mykoła, podnosząc głowę i patrząc na nas zasłuchanych w jego opowiadanie. — Umierać będę, a jeszcze w pamięci będzie mi jasno stał ten dzień.

Szli ci Węgrowie drogą wijącą się krętą po nad Czeremoszem. Łuna od nich biła; zdawało się, że to złoto, co na nich lśniło, zabrało w siebie wszystkie promienie słońca i dopiero od nich promieniami temi na naród błysnęło; konie pod nimi były niby *zmyje*, niby smoki ogniste, płomieniami z nozdrzy ziały... Orły z gruniów najwyższych z nad Hawerli, z nad Popa Iwana pozlatywały się tego dnia i nad wojskiem tem ciągnęły, ciesząc się tak, jak my widokiem wspaniałym. Koło cerkwi chłopcy we wszystkie dzwony bili niby na pożar lub Wielkanoc.

Nareszcie nadeszli.

Ksiądz modlitwę odprawił, krzyżem pobłogosławił, kropidłem pokropił, chorągwie wszystkie pochyliły się przed wojskiem.

Jadący przodem generał głowę pochylił i znak krzyża świętego wykonał. Wtenczas wysunęła się z po za księdza Milnerowa, piękniejsza niż kiedykolwiek, oczy ku ziemi pochyliła i podając dowódcy tacę z chlebem i solą przemówiła coś do niego po węgiersku. Błyskawica radości zaświeciła na obliczu młodego wodza, łzy mu w oczach stanęły i nie wiedząc prawie, co robi, pochylił się na siodle, chwycił piękną kobietę wpół, podniósł ku sobie i w oczach całego wojska i wszystkiego narodu w usta ją pocałował.

— *Elien! elien! elien!* — jak grom rozniosło się po szeregach. Całe wojsko krzyczało i wiwatowało dalej, nie wiedząc nawet, z jakiej przyczyny.

Wtem nagle dowódca dał znak, żeby się wszystko uciszyło i w tej chwili z po za generała wyjechał naprzód jakiś młody oficer; twarz miał białą jak panienka, a oczy błękitne jak niebo pogodne. *Czako* nasunął na prawe ucho, prawą ręką skinął ku narodowi, a lewą hamował karego, lotnego konia, który wił się pod nim i wspinał jak lew.

— *Sława Isusu Chrystu!* — zawołał oficer czystym, huculskim językiem, a koń nagle stanął pod nim jak wkopany.

— *Wo wiki wikow! Sława! sława!* — rozgrzmiało

po całym narodzie i echem dalekiem, stokrotnem odbiło się od szczytów czarnohorskich i popłynęło dolinami rzek i strumieni.

A orły w powietrzu zakrakały radośnie, jakby wraz z narodem sławić chciały Zbawiciela świata.

— Narodzie chrześciański, huculski — mówił dalej oficer, gdy gwar przycichł. — Kłamali ci, którzy wam mówili, że z cesarzem najjaśniejszym, z królem apostolskim, węgierskim wojnę my prowadzimy... Teraz wam imieniem samego cesarza, monarchy najmiłościwszego, objawiamy wolność zupełną; ziemię, pastwiska i sadyby, kto jakie ma, darowujemy na wieczną własność dzisiejszym posiadaczom i ich dzieciom i wnukom; tak już będzie, dopóki będzie istnieć to cesarstwo i to królestwo nasze węgierskie, a kto inaczej będzie czynił lub mówił, to wróg cesarza i króla, wróg wasz, wróg narodów wszystkich!

Skończył i zamilkł, a narodowi całemu długo jeszcze zdawało się, że oficer ten jasny mówi ciągle, a to tylko orły w obłokach słowa jego światu całemu głosiły. Naraz nagle krzyknął ktoś:

— *Mnohaja lita! Slawno!* — i tłum powtórzył za nim. — *Mnohaja lita! Na zdorowle* cesarzowi, królowi naszemu. *Mnohaja lita* panom druhom, cesarskim opiekunom huculskim! *Mnohaja lita* wojsku temu całemu sławnemu!... Na pohybel zawłokom, psom parszywym!...

Wtenczas dojrzałem, że mój ojciec zbliżył się do oficera i całując go w nogę, przemówił coś doń. Zrazu nic nie mogłem dosłyszeć, lecz wkrótce uciszyło się i słyszałem wyraźnie, jak w imieniu całego narodu huculskiego oddawał się wojsku w opiekę i prosił o obronę.

— Co każecie — wołał — to zrobimy... Rozkaz nam dacie, a dziesięć tysięcy *łeginiów* ze strzelbami i toporami stanie zaraz i pójdzie tam, gdzie wy rozkażecie.

Oficer pomówił coś z generałem i wnet odpowiedział tak, że wszyscy słyszeli:

— Czekajcie! wkrótce z Węgier przyjdą wojska piechotne i harmaty. Czekajcie!... Tymczasem rządźcie się spo-

kojnie i *mandatorowi* waszemu złego nic nie róbcie, bo on z przymusu tylko z wrogami narodu trzymał, a teraz tego żałuje... i on i jego żona obiecują krew przelać za węgierską i waszą wolność...

Ojciec tylko popatrzył ponuro na Milnera, splunął nieznacznie i wszystko się skończyło. Ksiądz zaprosił generała i oficerów na śniadanie, a żołnierzy porozbierali gazdowie po sadybach i gościć ich zaczęli, czem kto miał.

My puszkary stanęliśmy pod swoją nową chorągwią przed probostwem, a Milnerowa u księdza zasiadła do śniadania z oficerami.

Co oni tam rozpowiadali sobie i jak ta ochota szła, nie wiem, bo staliśmy wszyscy w szeregu, dopiero w godzinę później wybiegł panicz księży i zawołał mnie, abym szedł do świetlicy, bo *mandatorka* mnie potrzebuje. Poszedłem. Za chwilę czterej huzarzy wnieśli małą skrzynkę żelazną i położyli ją na stole przed generałem.

— Mykoło! czy podniesiesz to? — zapytała Milnerowa, patrząc na mnie z uśmiechem.

— Nietylko podniosę — zawołałem porywczo, a złość jakaś chwyciła mnie znowu — ale, jeżeli zechcecie, to zaniosę wam do waszego dworu... Nie pierwszy mi to raz, światła pani.

Ona popatrzyła na mnie łaskawie, uśmiechnęła się znowu po swojemu kusząco i zwracając się do oficera tego samego, który do narodu przemawiał, a który był synem jakiegoś wielkiego pana, kniazia, czy grafa, rzekła:

— Mówiłam panu, że nie będzie potrzeba huzarów męczyć po górach; ten chłopak jest dziwnie silny, najsilniejszy może w całych górach i w dodatku zawierzyć mu można... Czy nieprawda Mykoło? — zwróciła się znowu ku mnie.

Tymczasem księże panny i *dobrodziejka* przyniosły mi wszelakiego jadła pełną misę i wina węgierskiego szklankę — i kazały mi się pożywić. Rad byłem, bo od samego rana nic w ustach nie miałem.

Po śniadaniu generał, dwóch pulkowników i ten młodszy oficer, który był generalskim adjutantem, zabrali się razem z Milnerami, powsiadali na konie i pojechali w górę rzeki ku mandatorskiemu dworowi. Ja z trzema huzarami włożyliśmy skrzynkę żelazną na jucznego konia i pociągnęliśmy tuż za nimi.

Milnerowa jechała z generałem przodem, uśmiechała się ciągle do niego i coś rozmawiali po węgiersku, czego zrozumieć nie mogłem. Śmiech ich tylko ciągle do moich uszu dochodził.

Ślicznie bo szelma wyglądała na tym białym arabskim ogierze; węgierskiemu dowódcy aż oczy do niej z głowy wyskakiwały.

Kornyła z puszkarami Milner zostawił w Żabiu i kazał ludziom rozejść się wzdłuż rzeki, gdzie tylko huzary stali, a to dla pomocy wojsku w rozkwaterowaniu się i zgromadzeniu zapasów.

Kiedy dojechaliśmy do karczmy w Jaworniku i potrzeba było zawracać na płaj górski, po którym już trudno koniem przejechać, dowódca węgierski pierwszy zsiadł z konia i podał rękę Milnerowej, ażeby ją pod górę prowadzić; my za nim pozsiadaliśmy z koni. Jeden huzar i przygotowani huculi odebrali konie i odprowadzili je do stajni przy karczmie, a ja, wziąwszy skrzynkę ciężką na plecy, wraz z dwoma pozostałymi huzarami poszliśmy za państwem do góry.

W dworcu czekała nas uczta nielada.

Milnerowa nocą sprowadziła kucharza od pana z Krzyworówni i kazała mu gotować, co jest na świecie najlepszego. Wina powydobywała z piwnicy co starsze a doskonalsze, jakieś takie zamszone butelki, że szkła żadne okoby na nich nie dojrzało.

Gdy weszli na podwórze, najsamprzód dowódca zapytał o skrzynkę, a kiedy mu pokazałem, że ją przyniosłem na plecach, wyjął z kieszeni dwa dukaty i dał mi je, mówiąc coś do tego białego oficera. Ten mi zaraz powtórzył, że jenerał pyta: — Czybym nie chciał do huzarów przystać, bo byłby ze mnie dzielny wojak?

Odpowiedziałem, że nie moja, ale ojcowska wola może o tem stanowić.

Pieniądze trzymałem w ręku, nie wiedząc co z niemi zrobić. Z grzeczności nie śmiałem rzucić albo oddać, a schować jakoś mi nieswojsko było. Pierwszy to wówczas raz w życiu ja, syn najbogatszego gazdy, otrzymałem pieniądze od obcego człowieka... Później, to już bieda nauczyła brać pieniądze, a nawet o zarobek się kłopotać... wówczas jeszcze nie musiałem. Gdy oficerowie znikli w głębi domu, wpuściłem dukaty bezmyślnie do kieszonki na piersiach i skinąłem na huzarów, żeby poszli za mną do kuchni, gdzie był i dla nich przygotowany suty obiad.

Uczta trwała do nocy prawie. Ja z huzarami nosiliśmy półmiski i widzieliśmy, co się tam działo, Młody jenerał i ten laszek rusiawy podchmielili sobie doskonale. Dowódca patrzył jak w tęczę na Milnerową i tylko ją za ręce chwytał i całował, a ona się niby to wzbraniała, niby nie pozwalała, a oczami go wabiła do siebie, jak to ona sama tylko umiała, zwyczajnie — wiedźma. Jeden tylko pułkownik już stary nie pił nic, tylko siwe wąsy ogryzał i oglądał się w około.

Już się zciemniało zupełnie, kiedy od stołu wstali. Oficerowie pozapalali fajki, a przeszli do drugiego pokoju, Milnerowa zaś skinęła na mnie i szepnęła mi, żebym na nią w ogrodzie pod wiszniową altaną czekał, to ona wyjdzie do mnie, bo ma mi coś bardzo ważnego powiedzieć.

Gdym to usłyszał, ścisnęło mnie coś koło serca i domyśliłem się, że to będzie jakaś czartowska sprawa. Nie chciałem zrazu iść, ale rozmyśliłem się. Najsamprzód muszę się przyznać, że mnie zawsze ciągnęło do tej kobiety; później pomyślałem, że jeżeli ona coś knuje, to lepiej, że, ja o tem się dowiem, niż kto inny... Młody oficer swojemi słowami tak mnie wziął był za serce, że i bez przestróg ojcowskich byłbym się był starał wszelkie niebezpieczeństwo od niego i od jego towarzyszy odsunąć.

Poszedłem więc pod wiszniową altanę i tam, ukryty za gęstemi drzewami, czekałem na Milnerową z wielkim niepokojem. Serce mi biło jak młotem. Coś takiego dziwnego po człowieku chodziło, że sam jeszcze nie wiedziałem, czy mam paść do nóg tej dziwnej pani i stopy jej całować i przyznać się przed nią, że chciałem ją zdradzić, czy... toporkiem głowę jej roztrzaskać.

Szelest atłasowej sukni przerwał moje dumania. Ujrzałem ją znowu. Biegła cicho, ostrożnie, podkradała się jak wilk pod stado, jak jaszczurka.

Gdy weszła do altany, usiadła zaraz na ławeczce — i uchwyciwszy za obie ręce, pociągnęła mnie ku sobie. Drżałem jak liść osiczyny, kiedy zaczęła mówić:

— Twoja godzina nadeszła, Mykoło — szepnęła, przyciskając się swojem ramieniem do mego. — Ja słowa nie zmienię, za wierną służbę ci zapłacę. Ta sama Milnerowa, o której łaskę dobijali się napróżno najwięksi panowie, będzie twoja... twoja... twoja...

I przycisnęła swe białe, marmurowe piersi do moich, rękoma objęła mą szyję i zaczęła raz po raz całować moje usta.

— Twoja, twoja! — szeptała ciągle. A od piersi tych łabędzich, z ust jej koralowych wiało jakieś zimno lodowe, niby mroźny, północny wiatr po połoninach. Chłód ten podziałał na mnie dziwnie; zdawało mi się, że *opierzyca* [1]) z dna Czeremoszu wyszła i hołubi mnie i ciągnie za sobą w modre fale, na dno zimne. W oczach stanął mi cmentarz nasz mały, w pamięci odżyły w tej chwili słowa ojca i nauki dobrodzieja. Przytomność wielka mi powróciła, krew się we mnie odrazu uspokoiła.

— Będę twoją — szeptała dalej czarownica — jedną tylko próbę musisz przebyć, jedną służbę mi oddać... Słuchaj! — przemówiła nagle cichym, ale ostrym tonem, wyjmując jakiś papier z za gorsu. — Z tym listem idź co najśpieszniej do

[1]) *opierzyca* = upior żeńskiego rodzaju, dziwożona.

Spasowej kołyby, na smotrężowych stokach, tam znajdziesz pana kapitana naszych żołnierzy, tego samego, który tu u nas był. Kapitanowi temu list ten oddaj... powiedz, żeby się spieszył i przed północą z żołnierzami tu był.

Mówiąc to, wstała i wyprostowała się tak, że mi się wydała wysoka jak jodła, a taka biała i zimna, niby śnieżne szczyty gór.

— Ani pary z ust o tem nie puść nikomu — mówiła dalej cichym, świszczącym głosem niby syk gadziny. — Jeżeli się dobrze sprawisz, słowa swego nie zmienię; jeżeli zdradzisz, to zemsta moja i ciebie i całej twojej rodziny nie minie... Pamiętaj!... Pamiętaj Mykoło!...

I w tej chwili znikła mi z oczu, zczezła niby jakieś widziadło senne, niby mara z tamtego świata.

Zostałem sam i zamyśliłem się głęboko. Strach wszelki już mię był zupełnie opuścił; wiedziałem już, że suka-czarownica postanowiła zgubić dowódców węgierskich, których jak braci gościła u siebie i przyjmowała. A do tego lisiego dzieła chciała mnie użyć... Niedoczekanie jej!

Kiedy tak zadumany siedziałem, nie ruszając się jeszcze z miejsca, doszedł moich uszu szmer jakiś cichy. Coś w krzakach zaszeleściło, niby lis, podkradający się pod kurnik. Pochyliłem głowę, natężyłem oczy i ujrzałem cień jakiś niewyraźny, przemykający od tej altany, gdzie siedziałem, w drugi koniec ogrodu, gęstwiną zarosły... Przy bladych promieniach księżyca wydało mi się, że to Herman, Niemczyk, którego już od samych świąt wielkanocnych nikt u nas nie widział. Widziałem go zaledwie przez mgnienie oka, po chwili znikł mi ów cień w gęstych zaroślach.

Spostrzeżenie to wyrwało mnie z zadumy. Wstałem z ławki i spojrzałem w około: w oknach dworu widać było jasne światło, szczególniej jaskrawo błyszczały okna pokoi, oddanych na kwaterę węgierskim oficerom. Ciekawość mię zebrała: co też oni teraz robią?

Podsunąłem się cichaczem bliżej okna i ujrzałem w pierszym pokoju dwóch pułkowników i owego młodego adjutanta, pochylonych nad dużą mapą, rozłożoną na stole; jakieś znaczki małe, niby szpilki wpychali oni w ten duży papier. Generała nie było między nimi. Posunąłem się dalej.

W drugim, narożnym pokoju, było o wiele ciemniej, tylko mała lampka paliła się w kącie. Musiałem natężyć wzrok, ażeby dojrzeć dokładnie, co się wewnątrz działo... Po chwili dojrzałem dokładnie... Ujrzałem i aż krew wszystka zakipiała we mnie.

Naprzeciw okna, na nizkiej sofie siedział generał promieniejący, a obok niego Milnerowa... Światło lampki padało na jej twarz i widziałem wyraźnie, jak się do niego uśmiechała, jak łasiła się jak kot fałszywy... Piersią go wabiła, udanemi błyskami oczu paliła, a w duszy zdradę chowała. Przed chwilą... wyprawiała mnie żebym na niego śmierć sprowadził.

Wszystko to razem wprawiło mnie w jakieś dziwne zadumanie; na razie nie mogłem prawie tego wszystkiego w swojej głowie pomieścić... Stałem zapatrzony w ten obraz zdrady kobiecej i myśli zebrać nie mogłem. Nie zazdrość duszę mi szarpała... Nie!... Plułem już teraz na te modre oczy i na te piersi białe, marmurowe... Wstręt do niej uczułem taki, jak do gadu zimnego a jadowitego. Stałem i patrzałem jednakże. Po chwili dopiero spostrzegłem na stole, który stał w pośrodku pokoju, ową skrzynkę żelazną przezemnie przyniesioną, i wydało mi się, że spostrzegłem, jak Milnerowa kilka razy pożądliwie na nią spoglądała... Wówczas dopiero jasno mi się w głowie zrobiło.

— Dla grosza podłego chce suka nikczemna cztery dusze zgubić — pomyślałem sobie. Tumani go, ażeby nie miał podejrzenia... Niedoczekanie twoje!

I taka mnie złość porwała, że chciałem strzelić do niej jak do psa wściekłego... I źle zrobiłem, że nie posłuchałem pierwszej myśli. Gdym na nią drugi raz spojrzał, żal mi się zrobiło; żal było ołów zimny wpakować w pierś taką białą

i rozkoszną. Odstąpiłem od okna, aby pokusa nie pociągnęła ręki do cyngla i zacząłem rozmyślać: jakby to tak zrobić, żeby i kobiety nie zabić i nie dać jej zdrady dokonać.

Wkrótce namyśliłem się. Do Spasowej kołyby jeden tylko ztąd płaj prowadzi; postanowiłem więc na tym płaju stanąć i pilnować do rana, ażeby nikt się nie przekradł od mandatora do kapitana.

— Rano głupstwo — myślałem sobie — przystanę do huzarów i pójdę z nimi na wojnę... Co mi Milnerowa zrobi? W najgorszym razie powiem generałowi, że łaskawa gospodyni-hołubka zdradę na nich knowała... A jak posłaniec nie posłucha? — myślałem dalej. — To mu kulkę w łeb wsadzę! — odpowiedziałem sobie natychmiast, a w tej chwili przesunął mi się w myśli cień Hermana, Niemczyka, i jakaś radość grzeszna opanowała mnie na tę myśl, że może kulka z mego *krisa* rozłupie ten czerep wstrętny.

Zrobiwszy takie postanowienie, poszedłem natychmiast ku bramie, ażeby się na płaj dostać. Koło naszej *wachcymbry* zobaczyłem jednego huzara, który z dobytą szablą chodził niby na warcie, ale był tak pijany, że zataczał się na wszystkie strony. Drugi spał gdzieś w *puszkarskiej* izbie. Zbliżyłem się do tego szyldwacha i zapytałem go grzecznie: czy długo ma jeszcze tu stać? Odburknął mi coś pogańską jakąś, niezrozumiałą mową i krzyczał, wskazując mi pałaszem bramę, żebym szedł spać... Wyszedłem za bramę.

Tam, o kilkaset kroków od obejścia wychodziło się na płaj, którym w dół idąc, dochodziło się do Jawornika, a w górę — ku Spasowej kołybie.

Gdym się znalazł na tem bezdrożu, obejrzałem się i wybrawszy najgrubszego buka schowałem się zań, rozpatrując się w około i zwracając najbaczniejszą uwagę na ścieżkę, którą przed chwilą przeszedłem. Nie rozmyślałem już teraz: co mam robić, miałem bowiem stanowcze postanowienie i nicby mnie od niego nie odwiodło. Popróbowałem naboju w lufie, podsypałem świeżego prochu na panewkę, oczyściłem paznogciem

krzemień i oparłszy się o drzewo czekałem, zwracając baczną uwagę na ścieżkę.

Tymczasem jasne promienie księżyca przyćmiły się nagle. Po niezwyczajnie upalnym dniu wiosennym, wieczorem chmury się zebrały, a obecnie zasnuły były całą już południową stronę nieba. Duszność była zapanowała taka, jak dziś przed wieczorem... Ze strachu, żeby niespodzianie deszcz nie bryznął i prochu mi nie zamoczył, trzymałem cały zamek w lewej garści, a prawą ręką dotykałem od czasu do czasu toporka, jakby dla przekonania się, czy mam go przy sobie.

Nie mogę spamiętać, jak długo tam pod tym bukiem stałem. Wytężyłem z całej siły wzrok i słuch, tak, że — mimo chmur i ciemnicy — widziałem jak w dzień, a słyszałem szum Czeremoszu, który warczał tam gdzieś w dolinie, przesuwając się po dnie kamienistem. Chmury nasuwały się tymczasem coraz ciemniejsze, powietrze robiło się tak ciężkie, że odetchnąć trudno było.

Nakoniec doleciał moich uszu cichy zgrzyt, niby skrzypnięcie bramy w mandatorskim dworcu. Natężyłem słuch jeszcze bardziej i słyszałem wyraźnie odgłos cichych, skradających się kroków. Przyczaiłem się i oddech zatrzymałem w piersi. Strzelbę podniosłem do ramienia i czekałem... Po chwili na odkrytej ścieżce ukazał się cień Hermana... Przyłożyłem twarz do łoża i zacząłem mierzyć... Trudno było wiernie go wziąć, bo muszki nie mogłem dostrzedz, po lufie więc tylko wycelowałem mu w sam łeb.

W tej chwili piorun straszliwy, pierwszy tej nocy, rozdarł czarną chmurę i ogniem niebieskim oświetlił cały świat boży. Oślepiony, bezwiednie prawie pociągnąłem za cyngiel... Chybiłem psu-brata. Tylko kapelusz z piórami kula zerwała z głowy i odrzuciła na stronę. Skręcił się psia-dusza na miejscu jak gadzina. W pierwszej chwili myślałem, że runie... gdzież tam, wyprostował się, spojrzał prosto na mnie... W tej chwili drugi piorun uderzył... Nie było między nami więcej jak dwadzieścia kroków; chwyciłem toporek z za pasa i skoczyłem ku niemu,

tymczasem on wyciągnął pistolet i strzelił... Ciemno mi się w oczach zrobiło; w uszach zadźwięczała jakaś czartowsko-niemiecka klątwa i uśmiech dyabelski, nieczysty... Siły mnie zupełnie opuściły... straciłem przytomność.

Dopiero duże, zimne krople deszczu i huk burzy wyrwały mnie z odrętwienia. Burza szalała nad Czarnohorskiem pasmem, nad falami Czeremoszu, może jeszcze straszniejsza, niż dziś; stare buki aż do ziemi się kładły. Sam nie wiem, jakim sposobem zerwałem się na nogi, a uczuwszy ból i pieczenie jakieś w prawym boku, podniosłem ku niemu lewą rękę, bo w prawej władzy nie miałem — i uczułem wilgoć jakąś, lecz nie wiedziałem wówczas, czy od krwi czy od strumieni wody deszczowej, która lała się z nieba. Odrazu stanęły mi jasno w pamięci przejścia dzisiejsze i zapragnąłem koniecznie — choćbym miał na to życie ważyć — przeszkodzić zdradzie Milnerowej. Zacisnąłem z bólu zęby i puściłem się *płajem* na dół, do Jawornika, ażeby dojść do pierwszej chaty i dać znać huzarom, jakie niebezpieczeństwo grozi ich dowódcom.

Nie przypominam sobie już, czy szedłem, czy mnie strumienie z gór płynące niosły, dość, że dobiłem się do obejścia Hryńka Duziaka i zastukałem z całej siły do drzwi. To pamiętam, więcej nic... Pociemniało mi w oczach zupełnie i zdawało mi się, że już ostatnia moja godzina wybiła... Miałem tylko tyle siły, że się przeżegnałem.

Do życia wróciłem dopiero na drugi dzień nad wieczorem.

Szare, smutne niebo było dnia tego, deszcz lał bez ustanku. W około siebie ujrzałem pełno ludzi, a między nimi mego ojca i starą Wróbczychę, lekarkę sławną — aż z Roztoków. Doktor jakiś huzarski ranę mi opatrywał, a Wróbczycha kłóciła się z nim i taki gwałtem swój plaster przyłożyła. Powiedziała, że nic mi nie jest, że tylko krwi dużo straciłem i dlatego omdlałem; kazała spokojnie leżeć.

Nie trudno mi było rozkazu baby usłuchać, bo nim mówić przestała, ja zasnąłem snem kamiennym.

Spałem całą dobę. Gdy się obudziłem, uczułem, że żyję znowu. Jeść mi się tylko strasznie chciało. Dali mi też natychmiast wina jakiegoś doskonałego i polewkę taką mocną, że odrazu uczułem, że mi dawne siły wracają. Koło mnie był mój ojciec, matka moja, doktor huzarski i jakiś jeszcze oficer.

Pierwsze słowo, co mogłem przemówić, było pytanie, co się z jenerałem i oficerami stało? Ojciec odpowiedział mi, że znaleźli ich wszystkich wraz z huzarami pozabijanych w Milnerowym dworcu, a z mandatora, jego żony i Niemczyka Hermana nie pozostało ani śladu. Kasy wojskowej także nie stało, znać ją łotry z sobą zabrali.

Kiedy stary to opowiadał, oficer ów huzarski, który z boku siedział, zbliżył się do nas i zaczął mnie po naszemu rozpytywać: jak to wszystko było?

A gdym mu, o ile sił starczyło opowiedział, to on mi na to rzekł, że nie mam co tu robić, ale najlepiej, żebym z wojskiem szedł za granicę, bo tu głową nałożę za to, co zrobiłem.

— Za dwa dni — mówił ten oficer — drogi po tej burzy straszliwej ponaprawiają i nasza brygada w dalszy pochód ruszy; choćby na plecach przeniosą cię żołnierze na węgierską ziemię... Wart tego jesteś, bo omal życia nie utraciłeś w obronie naszych nieszczęśliwych, lecz i nierozważnych wodzów.

Wtedy zbliżył się doktor i coś z tym oficerem szeptał, czego jednak nie mogłem rozumieć. Po chwili oficer znowu zwrócił się do mnie i do mego ojca:

— Doktor mówi — rzekł — że będzie mógł wytrzymać drogę, bo rana nieciężka, a on sam jak niedźwiedź silny.

Uśmiechnąłem się na te słowa oficera, podobały mi się one i w rzeczy samej uczułem się silniejszym.

Gdy nadszedł dzień wymarszu, ojciec i matka pobłogosławili mnie na drogę. Żegnałem ich ze smutkiem w sercu, bo przeczucie mi mówiło, że już ich w życiu tem nie zobaczę. Przeczucie się sprawdziło.

Ojciec dał mi trzos, w którym było pięćdziesiąt dukatów węgierskich i powiedział, że to na wojnę, a jak wrócę szczęśliwie,

to drugich tyle zastanę u naszego dobrodzieja na zagospodarowanie się.

— Mnie już pewnie nie zastaniesz — mówił głosem miękkim, jakimś takim, że aż do serca szedł — bezpieczniejby może było, żebym z wami ruszył, ale mnie to nie przystoi. Trzeba na miejscu być i huculów pilnować. Być może, że u nas w domu robota będzie, więc ludzieby się dziwowali i pytali: a gdzie stary Kunysz, wataha nasz dawny?... Idź! idź synku! Niech cię Bóg prowadzi! Może Bóg da, że jak z wojny powrócisz, to inaczej, jaśniej słońce będzie po nad Czarnohorą świecić... Może ludzie o mandatorach tylko bajki opowiadać sobie będą... Daj to Boże!... daj Boże!

Na konia siąść nie miałem siły. Czterej łeginie-towarzysze nosze z jodłowych gałęzi zrobili i na nich mnie położywszy, ruszyli wraz z wojskiem. Ilia, pobratym mój, był z nimi.

Pamiętam, gdy stanęliśmy na wierzchu grzbietu czarnohorskiego, tam, gdzie się kończy huculska, a zaczyna węgierska ziemia, tam pomiędzy *gruniami* Pop-Iwanem a Smotrežem, jak siostry moje, które mnie aż tam odprowadziły, zaczęły płakać a zawodzić żałośnie; a huzarzy tymczasem, co który dojdzie do węgierskiej ziemi, to pada na kolana i ziemię tę całuje, a łzy mu się leją po żółtej twarzy, po wąsiskach czarnych. Hej! hej! Jak oko zasięgnąć mogło, ciągnęło się to wraże wojsko górskiemi *płajami*. Jedni z północy drapali się pod górę, a drudzy spuszczali się już ku południowej słonecznej ziemicy; uciecha między nimi była taka, że aż konie w ręku prowadzone rżały i radowały się.

Siostry ucałowałem, szczyptę ziemi rodzinnej wziąłem w płateczek i na piersi ją powiesiłem — i ruszyłem z huzarami na dolę zmienną, na losy wojenne, niepewne.

Nim dziesięć dni minęło, już na moim wronym siedziałem i w szeregu obok Ilia jechałem. A jedenastego dnia już nam kule koło uszu świstały, a mój wrony szedł równo z huzarskiemi końmi, tylko głowę niósł jeszcze wyżej niż one, znać huculska, gazdowa dusza w tym koniu była.

I poszło już od tego dnia! Rok prawie cały wojowało się i terało wzdłuż całej węgierskiej krainy. Były i wesołe dni i smutne, był i dostatek i rozkosz, ale przechodziliśmy i biedy wielkie i głodne, chłodne tygodnie całe. Ilia, pobratym, był ciągle przy mnie; w jednym szwadronie służyliśmy, w jednym szeregu jeździli, z jednego kotła strawę jedli. — Aż pod koniec wojny, kiedy wielkie siły nadeszły, poradzić już nie mogliśmy. Na debreczyńskiem polu ostatni raz zwycięztwo głosiliśmy. Smutne to dla mnie zwycięztwo było, bo tam na tej płaszczyźnie, na tej równinie trawą bujną porosłej, zostawiłem brata Ilię z kulą w sercu. Śpi on tam spokojnie pod stepową murawą, ale smutno mu bardzo musi być, bo ztamtąd żadne oko gór naszych sinych nie dojrzy... Wiatry nawet nasze górne nie wieją...

Przeszedłem z wojskiem granicę, znalazłem się na tureckiej, sułtańskiej ziemi — pomiędzy narodem swojackim, chrześciańskim, między *rają* bułgarską.

Kazali Turcy oddawać sobie broń i konie. Mnie szczęśliwie tak się zdarzyło, że nim do naszego szwadronu doszli, wieczór zapadł, a ja w nocy uciekłem i między Bułgarami się skryłem. We trzy doby później już hajdamakowałem na tureckim Bałkanie.

Sny młodości się sprawdziły. Lat parę upłynęło mi tam. Mołodyce bułgarskie mnie hołubiły tak samo, jak huculskie. Gdziem jaki grosz zdobył, to w ich białych dłoniach pozostał. Płaciły za to całusami gorącemi, uściskami namiętnemi...

Choć to góry podobne do naszych, choć nieraz, kiedy słyszałem szum strumieni i szelest liści bukowych, to zdawało mi się, żem w rodzinnej stronie, że czarnohorskie grunie mam nad głową, a modry Czeremosz warczy u moich stóp, jednak tęsknota chwytać mnie zaczynała za serce i nuda straszna ogarniać, i niemiłe mi były te mołodyce zadunajskie, i te wina słodkie, i te barany tłuste. Choćby głową nałożyć, a zapragnąłem koniecznie dostać się w nasze strony.

Jakoś w czwartym roku mego przebywania w bałkańskich górach, przywlókł się do nas *łegiń* z Roztoków, Hryńko Hudynycz; zbój to był prosty i przed karą za kryminały różne z ziemi naszej uciekł. Przyjęliśmy go jednak do hajduczej kompanii, bo w ludziach nie przebieraliśmy. Braliśmy każdego, byle był silny i kapitana słuchał. Hryń też był pierwszym człowiekiem, który mi wieści z ojczystej strony przyniósł. Smutne one były.

Zaraz na trzeci dzień po przejściu huzarów za węgierską granicę, Milnery z żołnierzami powrócili. Pierwszą rzeczą rozwścieczonego mandatora była zemsta na moim ojcu za moją zdradę. Wzięli więc starego mego, gołębia białego, wzięli go posiepaki i zaprowadzili do miasta przeklętego, do murowanej Kołomyi, i tam go na rynku stracili, jak złoczyńcę. Na szubienicy wysokiej jego biała, siwa głowa wisiała, a naród chrześciański spędzili, ażeby się patrzył, jak ginie buntownik. Matka moja, *neńka* stareńka, i miesiącem nie przeżyła śmierci *gazdy* swego; zasnęła z bólu jak wdowia gołębica. Nawet księdzu naszemu, dobrodziejowi świątobliwemu, zajadła dusza nie przepuściła. Więzili go w lochach ciemnych za to, że wojsko zbuntowane procesyą uroczystą witał i krzyżem świętym błogosławił. I on, stary nasz przewodnik, z życiem z tego prześladowania nie wyszedł, i on zmarł w kryminale surowym, i jego pochowali w jednej mogile ze złodziejami i oszustami.

Ale Pan Bóg jest zawsze sprawiedliwy, a Jego moc jest wielka. I na Milnerów przeklętych kara Boska przyszła. W dziesięć miesięcy po tej nocy, w której dowódcy węgierscy zginęli śmiercią zdradliwą, mandatorka zległa i zrodziła psa — bestyę czarną. Druty miała ta poczwara piekielna zamiast szerści, a gwoździe stalowe na miejscu zębów. Gdy się urodziła, *uroda* [1]) ta straszna, lęk wziął okrutny wszystkich, co przy tem byli. A bestya sama zawyła tylko strasznie i w bory czarne uciekła na biedę i nieszczęście narodu huculskiego. Potwora uciekła,

---

[1]) *uroda* = potwór, zjawisko naturze przeciwne.

a Milner uspokoił się trochę. Gadać ludziom o tem zakazał i dalej panował i cieszył się nawet. Nie minęło dziewięciu miesięcy urodziła mu żona znowu potwora jeszcze straszniejszego — niedźwiadka krwią z pyska buchającego. I ta bestya mrucząc zajadle, uciekła przed znakiem krzyża świętego, którym żegnała się baba-znachorka, która przy tem cudowiszczu była. Nie miał już co Milner w naszych górach robić; ludzie przed nim, jak przed nieczystym się żegnali. Zabrał wiedźmę żonę, zabrał skarby swoje z potu ludzkiego i ludzkiej krzywdy, ze zbrodni wszelkich zebrane i uciekł gdzieś w dalekie kraje, gdzie wstydu jego ludzie nie znali.

Kiedy dowiedziałem się o tem od Hrynia, nie wytrzymałem i doby za Dunajem. Siedmiogrodzkiemi wierzchami, połoninami dobiłem się do naszych gór i żyję w nich i pracuję na kawałek chleba. Z majętności ojca nic nie zastałem. Chatę, połoniny, ogrody porozdawał Milner jakimś zawołokom i w papierach — na nich pozapisywał. Pieniądze, które ojciec u księdza zostawił, zginęły, gdy starego dobrodzieja do kryminału brali... Oj taka moja dola!

Gdy nad naszą rzeką osiedliłem się znowu, dowiedziałem się, że dyabelskie dzieci — z Milnerowej urodzone — żyją gdzieś w skałach kamiennych, w borach czarnych, a jak tylko burza wielka nad naszemi górami się sroży, to z nor swoich wychodzą i krzywdę narodowi czynią, byki co silniejsze zabijają, a i chrześcianinowi nie darują, jeżeli się z nim spotkają. Żadna kula się bestyj tych nie ima... zwyczajnie jak czarta!..

*

Przestał opowiadać Mykoła, a myśmy siedzieli milcząc, pochwyceni czarem jego prostej, przesądem ludowym owianej opowieści. Otwarcie przyznam się, że uczułem pewien rodzaj zawiści do tego strzelca-hucuła; zazdrościłem mu, że nie miałem tak dziwnej i wzruszeń pełnej młodości.

Z zadumy tej wyrwał mnie ryk jakiś przeraźliwy, jęk zwierzęcy tak bolesny i grozy pełny, że chyba nie zapomnę

go do śmierci. W ślad za nim doszły moich uszu odgłosy hucznych strzałów i głośne okrzyki pasterzy.

Zerwaliśmy się na równe nogi i pobiegli w stronę, zkąd te odgłosy dochodziły. Ujrzałem wszystkich mieszkańców *kolyby* przestraszonych i zmartwionych bardzo. Najlepszego wołu, który wskutek burzy wyłamał się z zagrody i błąkał się po sąsiednich zaroślach, napadł niedźwiedź i zdusił odrazu. Na ryk ginącego zwierzęcia nadbiegli ludzie i nie dali mu odciągnąć ścierwa dalej, jak na sto kroków.

Za chwilę całe nasze myśliwskie towarzystwo stało zgromadzone nad trupem zabitego wołu.

— Teraz niedźwiedź już pewny — zawyrokował pierwszy Nowak. — Nie było wypadku, ażeby niedźwiedź do trzeciego dnia nie wrócił do zabitego przez siebie bydlęcia .. Tylko wyczekać cierpliwie!

Ej! ej! panie Nowak — przemówił przestraszonym głosem Mykoła — lepiej poniechać tego niedźwiedzia; z czartem źle wojować... A to podobnoś Milnerowej był niedźwiadek... Bóg wié, czy nie ściągnąłem bestyi opowieścią moją?...

Nie posłuchaliśmy przesądnej rady starego strzelca i przekonaliśmy się trzeciego wieczora, że to nie był czart, ale prawdziwy niedźwiedź, z którego kły mam dotychczas u siebie.

BIBLIOTEKA
249.
W KALISZU

SPIS RZECZY.

	Str.
Do celu	1
Semen Kwitka	99
Hnat sierota	163
Przy ognisku myśliwskiem	213

UNIVERSITY OF ILLINOIS URBANA
3 0112 059256153